ISSN 2083-2494 02
9 772083 249003

Migotania

Gazeta literacka

Nr 2,3 M-p (63, 64) 2019 kwartalnik

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

„(...) krzyżowa droga nie jest jedynym szlakiem (...) do Boga”, Wesele, Janusz Solarz

POLECAMY:
- Cezary Sikorski, proza,
- Alina Biernacka, nowe wiersze,
- Ekaterina Polianskaja, wiersze z Rosji,
- Roman Warszewski, fragment biografii Dzikowskiej,
- Urszula M. Benka, o Marcie Fox,
- Zbigniew Kresowaty, wiersze,
- Zbigniew Joachimiak, fragmenty dziennika (5)

Pismo nie jest wspierane przez Ministerstwo Kultury

Krzysztof Gąsiorowski

Ogrody jesienne

Jesień byłaby piękną
porą roku, gdyby nie ten widok
objuczonych sadów.

Jeśli już jedno jabłko z rajskiego
ogrodu
przysporzyło nam tyle kłopotów,
to - co nas czeka wobec tylu pokus?

Każda jabłonka wygląda jak wielkie
stado wielbłądów, a pachnie niczym
rozdrażniona panienka.

Małe węże jabłka drążą, krusząc
słodko
wiedzą gorzka; w każdym jabłku śpi
ogryzek.

W numerze swoje prace artystyczne prezentuje Maja Wolińska
Plakat artystyczny: Maja Wolińska
Plakat poetycki: Alina Biernacka

Gazeta literacka ISSN 2083-2494 Fundacja Światło Literatury Gdańsk 2019

FELIETON

Marek Wawrzkiewicz

Dedykacje (16)

CZOPIK

To był chyba jedyny przypadek, kiedy poezja praktycznie na coś mi się przydała. A właściwie wiersz, mój wiersz.

Zmieniałem mieszkanie. Wpłaciłem zadatek na nowe, ale nie mogłem sprzedać starego. Przekroczyłem termin, jeden, drugi. Właścicielce mojego przyszłego mieszkania w podzięce za tolerancje i cierpliwość podarowałem swoje wiersze wybrane. I kiedy na kolejnym spotkaniu byłem przekonany, że zadatek przepadł, starsza pani powiedziała, że prolonguje mi jeszcze raz termin, bo przeczytała moją książkę i znalazła w niej wiersz z nazwiskiem Jana Czopika. A ona w latach studenckich bardzo się w nim kochała. I transakcja doszła do skutku. A akapit z mojego wiersza *Zaduszki codzienne* brzmiał tak:

A potem Janek Czopik w tenisówkach, dresie,
Pobiegł truchtem i bieg swój zagryzał węgorzem,
Wysapał popularne, przysłowiowe zdanie:
- Jak utyję, to, bracie, do bab nie mam szczęścia,
A jak schudnę, to, bracie, do bab nie mam siły.
I jeszcze coś powiedział, ale wiatr to przedarł.

Wiersz napisałem w roku 1986, dziewięć lat po śmierci Janka. Miał niespełna 40 lat. Umarł w drugi dzień Bożego Narodzenia, kiedy jechał dużym fiatem do swojej rodzinnej miejscowości. Umarł dwukrotnie: miał rozległy zawał, a wał kierownicy przebił mu klatkę piersiową. Zderzył się z PKS-em, którym kierował jego szkolny kolega. Kilka dni po pogrzebie poszliśmy z naszym wspólnym przyjacielem profesorem Florkiem Nieważnym do jego mieszkania na warszawskiej Pradze. Szukaliśmy wierszy i przekładów Janka, żeby je opublikować. Kiedy grzebaliśmy w papierach weszła pięcioletnia córka Janka, popatrzyła na nas surowo i zażądała, żebyśmy wyszli, bo tatuś wyjdzie z grobu i będzie się gniewał.

Wtedy, w końcu lat sześćdziesiątych i początku siedemdziesiątych wszyscy się znaliśmy z czytania: czytaliśmy swoje wiersze publikowane w rozlicznych czasopismach i wiedzieliśmy kto jest kto. A Janek należał wówczas do czołówki młodych poetów wrocławskich. Początek naszej znajomości był niefortunny. Na jakimś spędzie poetyckim wszedłem późnym wieczorem do któregoś pokoju, gdzie zgromadzeni czerpali radość z niewielkich kieliszków. Na stole leżały tomiki wierszy, a na okładce jednego z nich widniało nazwisko autora: Jan Czopik Leżachowski. Powiedziałem, że to idiotyczny pseudonim, bo nie wiedziałem o istnieniu niewielkiej wioski około, Leżachowa, w której Janek się urodził. Ale ten incydent nie wpłynął na nasza przyjaźń, która umocniła się po jego przyjeździe do Warszawy, gdzie uzyskał etat w redakcji radiowej *W Jezioranach*. Wizytówki wtedy nie były jeszcze modne, ale Janek zafundował sobie imponującą: *Jan Czopik Leżachowski. Szatyn*.

Był jednym z najserdeczniejszych ludzi jakich znałem. I najbardziej pracowitych. Pisał wiersze i prozę, recenzował, redagował. I znakomicie tłumaczył poezję rosyjską i ukraińską. O jego kilku książkach poetyckich i prozatorskich już dawno zapomniano, nawet o tej zatytułowanej *Ucałować się niewymownie... W Kradzionych jabłkach* Jewtuszenki, wyborze przeze mnie zredagowanym jest wiele znakomitych przekładów Janka. Zachowałem niewielki tomik wydany przez Ossolineum *Jest poranek*. Widnieje tam dedykacja: *Marku mojej młodości, ofiaruję Ci siwy włos miłości. Janek*.

Marek Wawrzkiewicz

WONNOŚĆ

Zaprosić księżyc. Taki tytuł nosi wydana w roku 2012 książka, a na jej stronie tytułowej widnieje dedykacja, której nie potrafię odczytać. Nie potrafię, ponieważ jest napisana po chińsku. Ale jej autorka przetłumaczyła mi na polski treść hieroglifów. Jest tam podziękowanie za pomoc w przygotowaniu powieści, za przedmowę i opinia, że najwłaściwiej odczytałem jej treść. Autorką rozgrywającej się na przestrzeni kilkudziesięciu lat opowieści opartej na własnej biografii jest Irena Sławińska, której rodowe nazwisko brzmi Hu Peifang, co tłumaczy się na Wonność.

Kiedy Irena kończyła 75 lat postanowiłem jej podarować orginalny prezent. Ponieważ mam kolegę, który profesjonalnie wykonuje drzewa genealogiczne, chciałem jubilatce coś takiego podarować. Niestety, okazało sie to niemożliwe: jej rodowód liczył sobie 2500 lat.

Urodziła się w roku 1931, zmarła w lutym 2014. Przez przeszło 30 lat zaszczycała mnie swą przyjaźnią. A przyjaźniła się nie z byle kim: Tadeusz Kulisiewicz rysował jej portrety, z całą galerią najwybitniejszych aktorów, z Krzysztofem Zanussim, który planował realizację filmu według jej scenariusza, z Michałem Żebrowskim obok którego zagrała epizodyczną rolę w *Kochankach roku tygrysa Bromskiego*, z Elżbietą Dzikowską i Tonim Halikiem, z politykami i ludźmi kultury... Jej mieszkanie na warszawskim Mokotowie, w który ugaszczała mnie najlepszymi chińskimi obiadami było nieprawdopodobną graciarnią. Trzeba się było przeciskać przez graty, z których każdy był zabytkiem. Na regałach tłoczyły się cenne bibeloty, a na ścianach wisiały grafiki i obrazy świetnych malarzy współczesnych. Była Irena wielką ambasadorką Chin w Polsce i Polski w Chinach. Powiedziałem jej kiedyś, że powinna być zapisana w czerwonej księdze. Nie zrozumiała. Wyjaśniłem: to taka księga, w której zapisuje sie ginące gatunki. A ona była wielką damą.

Opowiadała mi, że jako maleńka dziewczynka podległa bolesnemu obyczajowi krępowania stóp. Płakała dniami i nocami, aż wreszcie ojciec przerwał te tortury. Był generałem, ale ponieważ dość wcześnie opowiedział się po stronie Mao Tse Tunga, jego rodzina uległa tylko łagodnym opresjom. Ona sama uczyła się na pilota wojskowego, ale szybko skierowano ją na Uniwersytet Pekiński. Tam poznała studenta z Polski. Co tydzień wzywano ją do komitetu partyjnego i pokazywano albumy: to pułkownik, to wysoki urzędnik, to generał – wybieraj, po co ci ten cudzoziemiec? Odpowiadała, że to wprawdzie cudzoziemiec, ale z kraju socjalistycznego. Wynikiem prywatnej rozmowy premiera Cyrankiewicza z premierem Czou En Layem była zgoda na jej małżeństwo z Polakiem.

Przeżyła w naszym kraju przeszło pół wieku. Do swojej ojczyzny mogła pojechać dopiero po wielu latach. Odbyłem z nią trzy podróże do Chin. Ta wielka dama była mistrzynią w targowaniu się, a to jest umiejętność, bez której tam trudno zdobyć szacunek.

Podarowała polskiej publiczności *Kwiat śliwy w złotym wazonie*, klasyczne dzieło porównywane z *Dekameronem*, powstałe w średniowieczu. Książka miała 5 wydań. Wydała *Chińszczyznę*, tom szkiców mówiących o państwie środka więcej i przystępniej niż wiele przewodników. Gromadziła materiały do wielkiego dzieła o wynalazkach, które ludzkość zawdzięcza Chinom.

Była taoistką. Kiedy zwierzałem się jej z jakiegoś poważnego kłopotu, pytała zawsze, czy zrobiłem wszystko, żeby problem rozwiązać. Jeśli odpowiadałem, że tak mówiła: to przestań się martwić. Ona tak robiła. Ale ja nie jestem taoistą.

Marek Wawrzkiewicz

FELIETON

Marian Lech Bednarek

W KSZTAŁCIE KURY

Napisać coś w kształcie kury. To może nie aż takie zaszczytne, ani nawet i nie kopytne, bo właśnie jestem zdania, że świat bardziej brnie do przodu na kurze niż na koniu, który jest już przeżytkiem, ozdóbką, choć nadal bardziej mnie pociąga, muszę przyznać. Dlatego mój szwagier Darek żyje z jajek. Rozwozi je po całej Polsce, tam gdzie wielka kwoka na dwóch nogach go wyśle, bo każdy człowiek, stety albo niestety, ma coś z kury i z szefa, to taki homo Gallus domesticus. A jak Darek ściągnie na łikend do domu, to chla dwa dni, żeby ten kurz transportu wypłukać z siebie. Także każdy dziobie ile się da, uwije sobie swoje gniazdko i tam znosi jajka, najlepiej jak złote. A białko i żółtko ma w dowodzie osobistym i we wszystkich dokumentach, bo jajkiem jest wszystko na świecie przesiąknięte. Nawet niektóre znaki drogowe są biało-żółte. Na przykład droga z pierwszeństwem przejazdu ma żółty kwadrat na białym tle. Można zasuwać aż się prędkościomierz ugotuje na twardo. Ale znak jak to znak. Trzeba raczej uważać na portfel, bo oczy policjantów mają skorupki systemu. Wcale nie jest im potrzebne moje bezpieczeństwo, wiadomo. Muszą tylko uzasadnić za co biorą wypłatę, żeby kupić sobie jajko. Gdy chcę sprzedać wiersze na targowisku, to dokładam do nich kurze piórka. I schodzą. Tak przynajmniej zrobiłem w moim ostatnim spektaklu „Śpiew poziomki". Po dwa kilo wierszy ludzie brali. Wszystko jest fajne z tymi kurami, ciasta, różne wypieki, dużo żarcia. Ale największą klęskę sieje lis. Kura i lis to antypody, dwa bieguny zwalczające się. To znaczy kury nie walczą. To takie sieroty te kury, słabe. A ten skurczybyk zeżre wszystko, kury, kaczki, gęsi, indyki, wszystko co znosi jajka, koguty też. Zatem pisanie o kurze nie przynosi mi tu żadnej chwały, jak widać, bo nie porywa mnie ta kurza forma żadną siłą, raczej irytuje mnie swą kurzą ślepotą, co nie przeszkadza jej wcale królować w kulinarnym menu świata. Jak zatem ten kurzy pierwiastek wdziera się w dramaturgię ludzkiego losu i w etykę przykładowego Hamleta, że broni on honoru najważniejszego koguta w stadzie, czyli króla, swojego ojca. I czy rozwijanie tego tematu chociażby do historii Bazyliszka coś by tu pomogło? Wątpię. Napisać coś w kształcie kury, to mniej więcej puścić video z obrad Polskiego Sejmu, chociażby z jednego dnia, gdzie tematem obrad są najlepsze ziarna, czyli największe sumy pieniędzy do podziału, gdzie chodzi o to by się nie podzielić. Ale nie będę w to wchodził, bo mnie interesuje raczej sama istota kury. Nie lubię chodzić spać z kurami, jak to mówią, więc nie wiem o czym śnią. Wczesne poranki są dla ludzi-kur, to też nie dla mnie. Niech dziobią z rana jak lubią. Ja wolę dziobać w nocy. Bazgrać coś w zeszycie jak kura pazurem. To lubię. Tak, bardzo. Bo te wszystkie esy floresy mnie wyzwalają z jakiejś kurzej ślepoty i prowincjonalnego myślenia. Se myślę, napisać coś w kształcie kury, to pomalować kurze pazury na czerwono, jak kobiecie paznokcie, żeby jej się spodobało. To trudne, zwłaszcza żeby jej się spodobało; tu jakiś dzwonek ekologii sam się włącza i robi dzyń! dzyń! Ale pisaniem wszystko można wyhaftować. Napisać coś w kształcie kury, to przeskoczyć kurnik w samym sobie i znieść porządne ludzkie jajo. Tylko jak ono naprawdę wygląda? Kto wie?

Marian Lech Bednarek
czerwiec 2019

Spis treści 2,3/2019

Marek Wawrzkiewicz, Dedykacje (16):

Czopik, Wonność, FELIETONY..... str. 2

Marian Lech Bednarek, W kształcie kury, FELIETON.....str. 2

Cezary Sikorski, Wujek Maks we Lwowie, fragment powieści.....str. 3

Alina Biernacka, nowe wiersze.....str. 7

Grzegorz Bazylak, Nieodwracalna anomia, ESEJ.....str. 8

Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska, wiersze.....str. 9

Tadeusz Zawadowski, wiersze.....str. 10

Zbigniew Kresowaty – Marian Molenda, ROZMOWA.....str. 12

Ekaterina Polianskaja, wiersze, POEZJA ROZYJSKA.....str. 14

Maria Jentys, Pożegnanie Marka Słyka.....str. 16

Marek Słyk, Pra-weda, PROZA.....str. 17

Marek Słyk, W barszczu przygód, PROZA.....str. 18

Michał Frąckiewicz, Akceleracja, ESEJ.....str. 19

Janusz Solarza. wiersze.....str. 20

Roman Warszewski, Śmierć ojca, fragment biografii E. Dzikowskiej..str. 22

Zbigniew Kresowaty, wiersze,.....str. 28

Jerzy Grupiński, wiersze.....str. 30

Urszula M. Benka, Konstelacje, komety, meteoryty, ESEJ.....str. 31

Jan Stanisław Smalewski, Wspomnieniowo wierszem,.....str. 32

Michał Frąckiewicz, Kometa, PROZA.....str. 33

Gabriel Berger, Protestuję, wiec jestem, PROZA.....str. 36

Vladimir Stockman, wiersze,.....str. 38

Andrzej Katzenmark, Naskalna Dekadencja, ESEJ.....str. 40

Aleksander Pietruszunas, wiersze.....str. 42

Norbert Pilarz, Bez zmian, PROZA.....str. 42

Marek Jagliński, wiersze,.....str. 44

Jerzy Lengauer, Gustav Herling- Grudziński, ESEJ.....str. 45

Kamil Wrzeszcz, Drogi Janku. O Janie Błońskim…ESEJ.....str. 46

Krystyna Śmiechowicz, Wszystko zobaczyć…(Maksimilian Wołoszyn),

OSOBY.....str. 50

KSIĄŻKI KWARTAŁU

Aleksandra Naróg, Obrazy czasu,.....str. 54

Aleksandra Naróg, O Istocie?.....str. 55

INTERPRETACJE

Jan Stanisław Smalewski, O „Kamienicy" Renaty E. Paligi,.....str. 56

Urszula M. Benka, Nie spiesz się. Nie ma do czego

(o poezji Marty Fox),.....str. 57

RECENZJE

Jerzy Stasiewicz, Cisza w poezji Edmunda Borzemskiego,.....str. 58

Roman Warszewski, Hiszpanie, czyli… Polacy,.....str. 59

Andrzej Walter, Gdzie my tam niebo….....str. 60

DZIENNIKI

Zbigniew Joachimiak, Aneks do kalendarza (5).....str. 61

DEBIUT POETYCKI

Patrycja Cieślak, wiersze,.....str. 64

Leszek Szaruga, Wyprasowanie (29), STAŁY FELIETON.....str. 64

PROZA

WUJEK MAKS WE LWOWIE[1]

Cezary Sikorski

Nie można wykluczyć, że w roku 1937 proseminarium filozoficzne na Uniwersytecie Lwowskim mogło zostać poświęcone sporowi o czas między Newtonem i Leibnizem. Nie przypadkiem w poprzednich latach studenci sporo dyskutowali o *Logice* Milla, a nieco później wiele czasu zajął im dialog Hylasa z Philonousem. Pośród zimowej ciszy spotęgowanej przez grube mury kamienicy przy placu Akademickim newtonowskie idee mogły torować sobie drogę niczym wielka śnieżna lawina, której energia zabiera ze sobą i układa na nowo wszystkie młodzieńcze pomysły. Koncepcja przestrzeni, która będzie istnieć nawet wtedy, gdy przestanie egzystować wszystko, co ją wypełnia oraz newtonowski czas, który w jednakim tempie odmierza wszystko, co było, jest i będzie, zapewne obie te idee wprowadzały ład do studenckich umysłów, tak boleśnie doświadczanych przez chaos i przedwojenną zawieruchę.

Prawdopodobnie ci, którym koncepcje Newtona wydawały się zbyt proste i nieco przestarzałe, popierać mogli wówczas Leibniza, który we wszystkich sferach refleksji walczył z oczywistościami i wprowadzał bolesny niepokój.

— *We wszechświecie złożonym z monad* — przemawiał referent, szczupły, rudy dwudziestolatek z kostropatą twarzą — *przestrzeń i czas nie należą do sfery fizyki, lecz są wartościami metafizycznymi. Podobnie jak inne, choćby przyczyna czy racja istnienia*.

Stąd wynikają szczególne definicje czasu i przestrzeni. Każda monada ma swoje czasowe i przestrzenne koordynaty, tyle że nie mówią one nic o relacjach pomiędzy monadami, ani o związkach jakie między nimi zachodzą, bo nawet jeśli w ogóle zachodzą, to i tak te związki są nieistotne i nie wiele o monadach powiedzieć potrafią. Jest całkiem inaczej. One wskazują na wnętrze monad, na to szczególne odbicie, które zawiera w sobie ogólną koordynację oraz uporządkowanie całego kosmosu — wszystkich istniejących oraz nieistniejących, chociaż możliwych, monad. Czas nie ma więc miejsca na zewnątrz. Nie jest obiektywny w tradycyjnym sensie, ponieważ to, co zewnętrzne nigdy nie jest obiektywne. Podobnie jak relacje przestrzenne są wewnętrznymi związkami między monadami, także i czas jest wewnętrznym procesem każdej monady, który odzwierciedla porządek całego kosmosu i wszystkich monad.

Załóżmy, że to seminarium miało miejsce i że nie było sklecone wyłącznie z nudnych, akademickich referatów. Być może znalazł się tam ktoś, kto przełamał konwencję i stał się jego jednodniowym bohaterem; ktoś, kto w sposób wykraczający poza konwenanse akademickiego seminarium nie zgadzał się tego dnia ani z Newtonem, ani z Leibnizem. Przypuśćmy, że był nim wysoki młodzieniec, o blond włosach i szczupłych, ale też nienaturalnie rumianych policzkach, który nazywał się Ezechiel Wuerzenberger. Jego przodkowie przywędrowali do Europy Środkowej z Hiszpanii. Najpierw osiedlili się w Wiedniu. Pod koniec stulecia ojciec Ezechiela wzbogacił się, gdy pomagał Lubomirskim wybudować cukrownię w Przeworsku, gdzie osiadł zresztą z rodziną na długie lata. Ezechiel nie chciał po śladach ojca utrwalać ład rzeczy z pomocą społecznej inżynierii. Brzydziły go rodzinne pieniądze. Odrzucił wygodne, mieszczańskie życie, bo interesował go wyłącznie chaos i zmiana. Czas był według niego żywiołem wyłącznie ludzkim i na wskroś nowoczesnym, który za sprawą coraz to głębszych przekształceń i wyodrębnień, na zawsze przestał być powiązany z obiektywnym bytem przyrody. Czas w świecie wolnej burżuazji wciąż pozostawał określeniem ważnym dla fizyków i biologów, lecz dla człowieka był już wyłącznie istotą społecznej ewolucji oraz miarą rewolucyjnych przekształceń.

Być może Ezechiel miał za sobą kilka lektur marksowskich broszur wydanych przez lwowski PPS, lecz równie prawdopodobna może być całkiem inna hipoteza; że źródła radykalizmu Ezechiela tkwią w niezwyczajnych przeżyciach, które towarzyszyły jego dziecięcym lekturom Księgi Rodzaju. Bo zapamiętał z nich nie tylko wszechobecną grozę poczynań i podstępów bohaterów biblijnej opowieści. Lecz przede wszystkim powszechny wariabilizm, nieustanną konfrontację grzechu i odkupienia, zespolenie bólu i radości, jedność błogosławienia i przekleństwa, które odtwarzały się wciąż na nowo w urzekającym, dialektycznym splocie. Być może wszystko to wypełniało jego niepokojące sny i dręczyło go na jawie. Przy tym daleko mu było do strof Nowego Testamentu, bo czymże mogła być trywialna przemiana wody w wino i inne jezusowe cuda w zestawieniu z rewolucyjnym i obrazoburczym założeniem, że oto Coś powstaje z Niczego. Nawet roczny kurs historii filozofii, a w nim studia nad Heraklitem, nie były w stanie przekonać go o pierwszorzędności Efezyjczyka. Heraklit i jego rzeka, ogień i ciemność, wszechobecność transsubstancjacji, wszystko to wydawało mu się wtórne i niczym odprysk starożytnej kultury semickiej krążyło na odległych orbitach rewolucji.

Nie powinno więc nikogo dziwić to, że w drugiej godzinie nudnego seminarium prawdopodobnie Ezechiel nie wytrzymał akademickiej duchoty i wypalił:

— *A niech to szlag! To wszystko jakieś starocie. Żyjemy w dwudziestym wieku. Czas nie jest już wielkim naczyniem na zdarzenia, które miały i mają miejsce w świecie! Ani rzeką, w której płyną wszystkie rzeczy. Nie jest także zjawiskowym systemem relacji między substancjami, które tylko tak odczuwają uporządkowanie świata! Czas to nowoczesny wynalazek, który służy mierzeniu naszej wartości.*

*

Tymczasem Maks — przemieszczając się na wschód — pokonywał coraz to nowe odcinki, które w jego przekonaniu dzieliły go od ojca. Zatrzymywał się, by odpocząć lub pracował dorywczo, chcąc zdobyć środki na dalszą podróż. Przemieszczał się bez przekonania i coraz wolniej, więc czasem myślał, że nie zdąży. Stronił od zażyłych kontaktów. Mężczyźni, których spotykał próbowali go poganiać, bo większość z nich rozminęła się z celem. Inaczej kobiety, które namawiały, by przystanął i dziwiły się tej podróży. Te, z którymi połączył go smak cielesności, przekonywały, że każda podróż jest złudzeniem i że poddać się trzeba kołu przemian, w którym wszystko — niczym cykl księżyca — powraca do punktu wyjścia.

Pierwiastek żeński czasu spowalniał go i zakręcał wokół siebie. Bał się, że nigdy nie dotrze tam, dokąd prowadzi go droga, że wbrew pozorom, jaki wywołują w nas migające obrazy, zmierzając przed siebie, cofa się. Może dlatego intymność pogłębiała w nim lęk, iż nie dość wysiłku wkłada w dotarcie do celu. Tymczasem pierwiastek męski wciąż wysyłał go w niewiadomym kierunku, do nieznanego celu. Im bardziej czuł tę sprzeczność, tym mniej miał energii, by ją przezwyciężyć. Czasami miał wrażenie, że zbliżając się do ojca — niczym Achilles goniący żółwia — w istocie oddala się od niego. Ten przestrach nasilił się, gdy w roku 1937 dotarł do Lwowa, gdzie zatrzymał się na dłużej.

Znalazł tam tani pokój bez wygód w oficynie, niedaleko centrum i stałą pracę przy rozładunku wagonów na kolejowej stacji. Stało się jednak coś niepokojącego. Dotychczas sądził, że czas można wyobrazić sobie jako nieskończony zbiór punktów na linii prostej, który uporządkowany jest przez zbiór liczb naturalnych. Wprawdzie nie jest możliwa zmiana jego kierunku, jak również jakakolwiek zmiana w hierarchizacji tego zbioru, lecz cały ten porządek jest przewidywalny i poukładany. Lecz ten obraz uległ degradacji. Czas przestał być dla niego zbiorem odcinków przyporządkowanych do przemierzanych fragmentów przestrzeni. Zredukował się do punktu, który odcinał go od tego, co było i co będzie. Był tak przynależny do chwili obecnej, iż nie miał czasu na jakikolwiek namysł nad przemijaniem. Jak mógł myśleć o przyszłości, gdy przeszłość już go nie intrygowała? Jak mógł planować dalszą drogę, gdy zapomniał skąd i po co przyszedł?

cd. str.4

cd. ze str.3

*

Do takiej bezrefleksyjnej teraźniejszości przywarłaby na trwałe jego egzystencja, gdyby nie spotkał na swej drodze — na stacji kolejowej we Lwowie — Ezechiela Wuerzenbergera. Ezechiel nie szukał tam pracy, raczej kontaktu z radykałami. Lecz anarchistów nie znalazł, ponieważ w tym miejscu spotykali się tylko — nieczuli na idee — galicyjscy lumpenproletariusze. Spotkał tam za to Maksa, który skończył niedawno dwadzieścia pięć lat i stał się mężczyzną, którego twarz zdawała się mówić więcej niżeli on sam miał do powiedzenia.

Stanęli blisko siebie w zimny, grudniowy poranek, na towarowej rampie, gdzie z dala od dworcowych megafonów, miał miejsce rozładunek opału. Towarzysze Maksa wyrzucali węgiel z wagonu na betonową platformę. Maks przewoził go dalej, z pomocą taczki, w pobliże wagi, gdzie porcjował go w worki po dwadzieścia pięć, detalicznych kilogramów. Wszyscy wokół podobni byli do siebie: szczupli, osowiali i pokryci czarnym pyłem. Lecz Maks wyróżniał się pośród nich z powodu kontrastujących z młodym wiekiem zniszczonych rąk, przebarwionej od mrozu skóry na policzkach i zasuszonych niczym skrzela martwej ryby zmarszczkach wokół oczu. Widząc go po raz pierwszy Ezechiel pomyślał, że czas, jaki Maks spędził w swojej podróży dłuższy był chyba od samej podróży i że nie obszedł się z nim zbyt łaskawie.

Ezechiel chciał, by go dostrzegli. Wyszedł zza parowozowni przy ulicy Biłahorskiej, przeszedł wzdłuż torów przez poczerniały od węgla plac i stanął tuż za wagą. Pyzaty i czysty — w lnianej marynarce narzuconej na różowawą koszulę, przedzieloną wertykalnie granatowym krawatem — przyglądał się z ironicznym uśmiechem mozolnemu przekształcaniu nieokreślonej masy węgla w przeliczalne cząstki energii, popakowane w jutowe worki.

— *Słuchaj no* — zwrócił się do Maksa, który wydawał mu się zupełnie nieadekwatny do miejsca, w którym się znajdował. — *Skąd wiesz, że w każdym worku jest węgla tyle, co trzeba?*

Maks nie był zaskoczony tym pytaniem, bo już gdy Ezechiel zbliżał się do niego pomyślał, że jest to indywiduum rzadkiego sortymentu.

— *Cóż… każdą nieskończoność* — odpowiedział Maks z ironią, która na moment ubogaciła mimikę jego twarzy, poczernionej od węgla i uprzednich zdarzeń — można podzielić tak, by można ją było przeliczyć.

— *Może i tak… ale w każdym wypadku, gdy ktoś na części podzielić chce to, co nieskończone, pojawia zawsze jeden — trudny do rozwiązania, a może i całkiem bez wyjścia — problem*.

Tu Ezechiel zrobił pauzę. Odgarnął z czoła pukiel blond włosów i uśmiechnął się do Maksa i wszystkich — leżących niedbale obok — worków z węglowym gruzem.

— *Otóż…* — dodał po przemilczeniu tego wszystkiego, czego i tak nie potrafiłby klarownie tam wypowiedzieć.

— *Otóż… podział jakiejkolwiek nieskończoności na części wymaga od tego, który liczy współuczestnictwa w wieczności. Bo wieczna musi być egzystencja tego kogoś, kto chciałby policzyć nieskończoność* — zakończył Ezechiel wolterowym aforyzmem.

Wcześniej dużo było wokół hałasu. — Szurały szufle o deski wagonów, przetaczały się z hukiem wagony po sąsiednich towarach. Lecz po tych słowach zaległa cisza.

— *No, no, blondasku…* — powiedział Maks, pozbawiony znagła męstwa argumentu. — *Ty jakiś filozof chyba jesteś… A ja — gdy tak sobie dzień w dzień liczę — może i Bogiem?*

— *Raczej szaleńcem, który uwierzył, że jak zliczy wszystko, to będzie wszystkim* — ironizował Ezechiel. I dodał: *Bóg nie ma takich obsesji. Nie musi zliczać chwil, bo sam wyznacza granice wieczności.*

— *Chyba, że jest doskonałym przeciwieństwem owej całości, która nie będąc wszystkim, jest niczym, nicością. Albo złem, horrorem niebytu, otchłanią szatana…*

— *Albo śmiercią, do której wszyscy tęsknimy, choć się jej lękamy, bo domyślamy się, że w miejscu, którego nie ma, zamieszkać się nie da…*

— *To mnie chyba najbardziej odpowiada ta kraina, której nie można udomowić* – wyznał Maks. — *Od dawna rezygnuję z dachu nad głową, bo czuję, jaki obcy i nieprzeliczalny świat nas otacza.*

— *A wokół mnie wciąż jest za dużo… Jestem i tu i tam, gdzie nie jestem…* A po teatralnej pauzie, za którą Maks go wtedy polubił, Ezechiel dodał:

— *Bo jestem Żydem, który nie wierzy w święte cyfry i który przestał liczyć.*

Wtedy zrobiło się jeszcze ciszej. A ponieważ miało to miejsce prawie w samym centrum Europy, w roku 1937, Maks z trudem opanował zakłopotanie.

— *To i tak masz nieźle* — odpowiedział. — *Bo ja to w ogóle nie wiem, kim jestem.*

Maja Wolińska

*

Nie było to ich ostatnie spotkanie. Już następnego dnia, tuż przed Wigilią Bożego Narodzenia roku 1937, trafili na siebie na Krakowskim rynku, gdzie Maks szukał żydowskich smakołyków, a Ezechiel dowodów na istnienie diabła. Gdy dostrzegł Maksa przestał rozmyślać o teodycei i pełen dobrych zamiarów zbliżył się do ziemi. Maks nie był wówczas przesadnie zadbany. Wyglądał na osobnika niedożywionego, którego przybrudzony kaszkiet i wytarta sztormowa kurtka — co ją dostał w prezencie od Klary jeszcze we Freiburgu — wzbudzały niekonwencjonalne skojarzenia. Tymczasem Ezechiel nosił się solidnie, a w ten zimowy poranek założył szary, matowy bowler i brązowy płaszcz z wielbłądziej sierści. W przeciwieństwie do Maksa, który trzymał się z dala od innych, Ezechiel miał w sobie sporo tej energii, która chce coś zmieniać w życiu ludzi spotkanych na drodze. Stanęli więc wtedy naprzeciw siebie nieco zaskoczeni, przez dłuższą chwilę bez jakiegokolwiek słowa, póki Ezechiel nie wydobył obu z kłopotliwego milczenia.

— Nie wiem, jak ty — zagadnął — *ale ja jestem głodny. Chodźmy coś zjeść. I by nie patrzeć ani na Maksa, ani na jego wymęczone odzienie dodał zwrócony już do niego tyłem: — Ja stawiam.*

I poprowadził Maksa Krakowską w kierunku alei Akademickiej, gdzie na rogu Chorążczyny ciocia Teliczkowa wydawała już śniadania. Ezechiel zamówił kanapki z wędliną, sałatkę z warzywami i majonezem oraz butelkę mocno zmrożonej wódki. Nie czekając na Maksa — bez zakąszania — wypił setkę i powiedział, by Maks się nie krępował:

— Jedz, proszę. Sprawisz mi przyjemność. Nie miej skrupułów. Mam bogatą rodzinę, której wszystkie pieniądze chciałbym wydać zanim ten świat rozpadnie się na kawałki.

— Wcale się nie krępuję. Całe moje życie upłynęło na korzystaniu z takich okazji jak ta.

— A ja myślałem — zaśmiał się — *żeś całe życie tylko liczył i liczył… No nie obraź na te moje żarty. Nie mam złych zamiarów i wczoraj na stacji – też nie miałem.*

— Ech tam — mruknął Maks. — *Ja się nigdy na nikogo nie obrażam. Pewnie nie byłoby mnie tu, gdybym tak robił. Wychowałem się w sierocińcu.*

— ten akcent?

— Z polskiego przytułku w Chicago.

— A… to teraz rozumiem, co wczoraj powiedziałeś, że nie wiesz, kim jesteś.

— No może nie tak dosłownie. Pamiętam matkę. A ojciec może wciąż żyje. Czasami wydaje mi się, że szukam go.

— A wiesz, gdzie może być?

— Jasne. Wszędzie. A więc równie dobrze – nigdzie.

— Jak w tym dowcipie o Jahwe, który jak ojciec: niby jest wszędzie, ale jak jest akurat potrzebny, to go nigdy nie ma…

— Tak na serio, to domyślam się, gdzie może być, ale kiedy o nim myślę łapię się na tym, że to, co o nim wiem, jest wyłącznie tym, co myślę o samym sobie. Więc to, że on jest wszędzie, czyli nigdzie, dotyczy chyba mnie. Bo przecież włóczę się po świecie, dziś tu, jutro gdzieś indziej, i tak będąc wszędzie, w istocie nie jestem nigdzie. Albo — jakby to ujął filozof z Freiburga, którego nie rozumiem: jestem nigdzie, bo nie potrafię się zadomowić …

— Ja tam bym z tego powodu nie rozpaczał. W moim krótkim życiu na razie nic się nie wydarzyło – powiedział Ezechiel i zamyślił się spoglądając na druga stronę alei, w stronę kamienicy Segala. Nalał znów wódkę i szybko wypił. — Chociaż może raz… Kiedy skończyłem 16 lat uciekałem z domu, z Przeworska, najczęściej do Lwowa. W pewne styczniowe popołudnie, ponad 10 lat temu, byłem tutaj i patrzyłem jak jakiś linoskoczek z Warszawy albo Radomia próbuje przejść po linie od tamtej dużej lukarny na domu Segala aż do dachu nad bufetem pani Teliczkowej.

Szybko pita wódka dotarła do Ezechiela, rumieńce na jego twarzy przybrały siny odcień, a oddech skrócił się to szarpiąc, to przyspieszając opowiadanie:

— Gdy prawie że dotarł do celu, stanął na linie, o tu, tuż nad nami, podczas gdy ja stałem wówczas tam — w połowie odległości pomiędzy budynkami i widziałem go dokładnie, przez chwilę także jego twarz, która nie mówiła niczego szczególnego, ot twarz osiłka pozbawionego wyobraźni i strachu, a chwilę później zobaczyłem, jak podskoczył, by dostać się na dach, a potem odwrócić się i triumfalnie pokłonić, co jednak — wbrew logice takich cyrkowych prezentacji — nie zdarzyło się, bo poślizgnął się i stracił równowagę. Widziałem jak próbuje złapać się powietrza, uchwycić się jakichś zabezpieczeń, z których przecież zrezygnował, czy wreszcie wyimaginowanej chropowatości gzymsów — a wszystko nadaremnie, bo równowaga, którą stracił nijak nie chciała do niego powrócić, gdy tymczasem krzywizny jego ciała pogłębiały się, poziomy mieszały się z utraconym pionem, a twarz, jego twarz nagle przestała być pustą maską i zaczęła ukazywać to, co nieuchronne. Wszystko działo się błyskawicznie. Nie wiem, czy cały ten dramat trwał dłużej niż sekundę. Ale w moich oczach naonczas – w jakiejś niebotycznie rozciągniętej bezczasowości mgnienia oka – każdy ułamek przemian jego twarzy stawał się dialektycznie adekwatny do coraz to karkołomniejszych napięć pozbawionego kontroli ciała. Atleta spadał niezwykle szybko, lecz spadając dzielił nagle nie tylko swój — lecz i mój, a może także każdego innego, który to obserwował — czas na niezliczoną ilość refleksyjnych tchnień duszy, która dojrzała właśnie z tej bliży, jaką wykreował trotuar — swój kres.

— Też tak kiedyś miałem — przerwał mu Maks. — Pierwszy raz w życiu wsiadłem do kolejki linowej i oderwałem się od ziemi. Nagle ogarnęła mnie groza nieistnienia, poczułem, że mnie nie ma, że całe moje trwanie kurczy się do malutkiego punktu, jakiegoś —niewidocznego dla kogokolwiek — fragmentu, nieskończonej i nieograniczonej, przestrzeni.

— Cóż… — podsumował Ezechiel, po czym czknął i poprosił córkę pani Teliczkowej, by przyniosła dwie butelki czerwonej oranżady.

*

Jeszcze tego samego dnia, pijany Ezechiel obiecał Maksowi, że zaprowadzi go *do tej kawiarni, niedaleko Teliczkowej, w której wciąż rozprawia się o nieskończoności. — Przychodzi tam taki magik* — bełkotał Wuerzenberger — *który każdy pomyślunek potrafi podzielić na tak nieskończoną wielość części, że da się z nich ułożyć dwa takie same pomyślunki.*

Maks prawie wytrzeźwiał, gdy to usłyszał. I choć nalegał, by Ezechiel zaprowadził go tam już następnego dnia, nigdy nie doszło do tego. Ezechiel najpierw wymigiwał się brakiem czasu, by w końcu wyjawić, że jak tam pójdą to pewnie nigdy nie zaliczy seminarium z logiki, które na filozofii prowadzi jeden z asystentów owego *magika*. Maks nie nalegał. Więc na początku roku 1938 zachodził do *Szkockiej* sam. Ubierał się w najlepsze ciuchy. Nie jadł nic przez dwa dni, by za zaoszczędzone pieniądze zamawiać kawę i mały koniak. Obserwował stolik, przy którym siadali żonglerzy nieskończonością, lecz nic tam szczególnego nigdy nie zauważył. Zazwyczaj wszyscy siedzieli bez słowa. Czasem ktoś nabazgrał coś na kawiarnianej serwetce lub wpisał krótki tekst do leżącego na stole kajetu. Nie śmiał podejść i zapytać, czy oni wiedzą, co to jest czas.

Bo i co miałby im powiedzieć? Że niby czas i przestrzeń są ze sobą trwale połączone i wszyscy wiemy, że nigdy nie występują osobno. Lecz przecież przestrzeń to mniej lub bardziej skomplikowany zbiór, który choć nieskończony, to przecież da się prosto policzyć z pomocą zbioru liczb naturalnych. Podczas, gdy czas… Czas wymyka się wszelkim naszym rachubom. Mocy zbioru, jaki tworzy ludzki czas, nie da się policzyć z powodu jego pulsacyjności i nieciągłości. Czas bywa zdecydowany i wyrazisty, ale też często zdaje się rachityczny i mglisty. To dlatego w naszym języku czas domaga się wciąż nowych odróżnieni, jakiegoś elastycznego wypełnienia obszaru pomiędzy prawdą i fałszem poprzez nieskończoną ilość modalności.

Lecz nie tak łatwo oddać jego metamorfozy i nieforemność. Czas jest niby w każdym prostym orzeczeniu — gdy mówimy, że coś jest, zawsze osadzamy owo coś w czasie. Każdy to wie, albo przynajmniej czuje — gramatyka jest tylko wyrazem ontologii czasu. Lecz jakże niedoskonałym. Egzystencja w czasie potrzebuje czegoś więcej niż najbardziej rozbudowane koniugacje. Na próżno budowane są coraz to bardziej wyrafinowane konstrukcje gramatyczne. Czas wymaga czegoś więcej — innej logiki, w której pomiędzy prawdą i fałszem znajdują się byty pośrednie, cienie i duplikaty tego wszystkiego, co się wydarza i co tylko może się wydarzyć. Ale i to za mało, bo umieszczając dowolny podmiot w czasie wciąż zadajemy pytania, wciąż oceniamy i wciąż mamy wątpliwości, czy są one zasadne. By mówić o czasie potrzebna jest więc taka logika, która ostatecznie wprowadzi czas do naszego myślenia. Jakaś nieznana logika pytań i wątpliwości, której efekty równie dobrze przyczynić się mogą do postępu, jak i do regresu.

Na wiosnę skończyły się Maksowi oszczędności. Nie pijał już koniaku. Na kawę też nie starczało. W lecie, gdy rozładunek i porcjowanie węgla na stacji ustały zupełnie, dorabiał niekiedy wieczorami jako

cd. str.6

cd. ze str.5

szatniarz w *Szkockiej*. Gdy lokal pustoszał, tuż przed zamknięciem, chował się za dębową ladę szatni i czytał ukradkiem nowe wpisy w kajecie, który ufni w naturę ludzką *magicy* powierzali na noc personelowi kawiarni. Jesienią zdobył się wreszcie na odwagę i gdzieś pomiędzy stroną 80 i 84 wcisnął niewielką kartkę, na której zapisał chodzący mu po głowie *problemat*:

— Jeżeli możliwa jest logika modalna, która pomiędzy prawdą i fałszem znajduje zdania o wartości pośredniej, to równie możliwe odkrycie porządku logicznego pytań, stwierdzeń wyrażających oceny albo wątpliwości.

Nie podpisał jej, nie umieścił żadnej daty, nie wypisał adresata. Zresztą, na nic by się to nie zdało, bowiem już dnia następnego — gdy jeden z *magików* przenosił kajet z szatni do stolika i niezdarnie upuścił go — chłodny, wilgotny wiatr, który nadleciał od otwartych drzwi wydmuchnął nieśmiały zapisek Maksa i niepostrzeżenie dla wszystkich wcisnął go pod kontuar baru. Tam rychło rozdeptały je mokre buty zziębniętych mężczyzn, którzy wpadli na chwilę do *Szkockiej,* by ogrzać się przy kieliszku nalewki z derenia.

*

W tym czasie Maks nie stronił wcale od Ezechiela. Przeciwnie — mimo, że Ezechiel nie zachodził z nim nigdy do *Szkockiej*, i tak — gdy tylko mogli — spotykali się, spędzając czas głównie na rozmowach. W lecie 1938 Ezechiel namówił swego ojca na kupno dwóch rowerów, tłumacząc, że we Lwowie ma już narzeczoną, z którą jeździć winien wskroś miasta lub na romantyczne wycieczki za miasto. Narzeczonej po prawdzie nie było, lecz wycieczki — a nawet prawdziwe, kilkudniowe wyprawy, podczas których obaj młodzieńcy przemierzali rozległe i podmokłe doliny, które tworzyły dorzecze Bugu — jak najbardziej.

W sierpniu roku 1939 obaj powrócić chcieli do miejsca, które odwiedzili już wcześniej, wczesną wiosną, tyle że nazbyt krótko, albowiem już drugiego dnia wędrówki nagłe ochłodzenie i gęsty śnieg z deszczem pokrzyżowały im plany. Dotarli wówczas rowerami aż do Kamionki Strumiłowa, gdzie zamierzali wynająć łódź — na tyle dużą, by pomieściła także ich dwa rowery i pozwoliła popłynąć na północ w kierunku Dobrotwora. Z powodu pogody zawrócili jednak nim wsiedli do łodzi. Do Lwowa dotarli mokrzy i zziębnięci, lecz tam wezbrała w nich moc i obiecali sobie, że niezadługo wybiorą się tam ponownie.

W ostatni weekend sierpnia pogoda była upalna i sucha, więc na wyprawę w strony deszczowe i mokre nadawała się znakomicie. Chwilowo bezrobotny Maks i wolny od rygorów uczelni Ezechiel wyjechali w kierunku Kamionki już w piątek. Jechali tak jak poprzednio, często przystając i nie spiesząc się, przez Wisłoboki i Żółtańce, co rusz przekraczając coraz to nowe mokradła i strugi, które szczególnie w tym rejonie — w sposób nie zawsze dostrzegalny dla laika — zbierały w sobie cały ogrom wody, który Bug przenosił co dnia z południa na północ Europy.

Wczesnym popołudniem dotarli do gospodarstwa rybackiego Polikarpa Woblera, który w oddzielonym od nurtu rzeki — przypominającym rozległy staw — starorzeczu utrzymywał się z hodowli karpia. Łodzią mieli dopłynąć aż do Sielec, gdzie krewny Polikarpa miał zaopiekować się łodzią, a przed zimą odholować ją z powrotem do Kamionki.

Do łodzi wsiedli na długo przed zmierzchem. Nurt wody był tam leniwy. Ale też na tyle silny, że nie musieli nadwyrężać wioseł, by oddalać się od Karpat. Tuż za Kamionką minęli z prawej Łany Niemieckie, a za zakrętem, który bez wyraźnego celu kierował rzekę na wschód, Łany Polskie, niewiele później także Pod Gaik i Gaik. Ruch rzeki uspokoił się. Chwilami zdawało im się, że w ogóle nie poruszają się. W meandrach wody — która przez tysiąclecia wyżłobiła tu niezrozumiałą siatkę kanałów, rowów i bagnistych oczek — można było pogubić się. Zakręty rzeki wciąż krzyżowały się ze swymi starorzeczami, ciecz stała tam lub poruszała się w sposób niewidoczny. Komplikacje w ruchu wody odzwierciedlały powikłania historii rzeki. Nie omijały żadnego odgałęzienia, żadnej — zdawałoby się całkiem ubocznej — strugi. Wręcz przeciwnie. W tym właśnie miejscu meandry cieczy wypełniającej koryto Buga, pogłębiały własną definicję poplątania i perturbacji. Nic zatem dziwnego, że łudziły i wciągały w kłopoty. To nie młodzieńcza ciekawość, lecz zawiłość i poplątanie rzeki sprawiały, że w wielu miejscach łódź skręcała niebezpiecznie w boczne, martwe odnogi. W szczególności wtedy, gdy wydawało się, że to one, a nie stojąca woda, po której dryfowali, poprowadzą ich wreszcie do żywszego, wartkiego cieku.

W ostatnich dniach przed wielką wojną woda ta wręcz fatygowała ich swoją zawiłością. Tuż przy Perekałkach — tam gdzie rzeka przekraczała swoje granice i wędrując po łąkach, tworzyła szerokie na pół kilometra rozlewisko — zdawała się w sposób niepraktyczny, a przy tym nielogicznie, nie tyle płynąć na północ, ku morzu, lecz raczej cofać się — na południe, w kierunku swoich górskich źródeł. Zmuszała więc Maksa i Ezechiela, by tam, gdzie nie trzeba, w sposób pozbawiony sensu używać wioseł i nieustannie wystawiała na próbę cierpliwość ich rozumności.

Tak płynąc w dół zmierzali ku górze.

*

Czy to nie dziwne, że na karteczce ukradkiem wciśniętej w księgę *problematów* Maks nie napisał niczego o czasie — a więc o tym, co od lat natrętnie przewijało się przez jego nieoswojone myśli? Czy chciał stłumić swoje obsesje, pozbyć się ich przy pomocy myślenia ścisłego i nienagannego? Czy może wstydził się swoich chałupniczych rozważań, ponieważ nie potrafił zebrać w elegancką całość pytań, które względem czasu wygłaszałyby jakąś istotną wątpliwość? A może sądził, że czas w jego najbardziej frapujących formach nie powinien w żaden sposób zajmować akademickich uczonych, którzy przywykli do rachunkowej niepodważalności wzajemnych powiązań czasoprzestrzeni?

Tak czy inaczej — czas powrócił do Maksa w sierpniu roku 1939, gdy razem z Ezechielem odłożyli wiosła i niedaleko Perekałki dali się ponieść nieruchomej wodzie. Z dala od górskich źródeł i bezkresu odległego oceanu leżeli na dnie łodzi i razem z nią ulegali pozorowi trwania w bezruchu. Gdyby jednak unieśli nieco głowy, gdyby wychylili się ponad burtę, dostrzegliby horyzontalny ruch, z jakim chałupy we wsi przemieszczały się powoli na południe.

— Czy nadal sądzisz — zapytał Maks — *że czas nie istnieje poza społeczeństwem?*

— Chyba jestem dziś bardziej radykalny. Wydaje mi się, że jest na zewnątrz, poza nami, że włada nami i dyktuje, co mamy robić, lecz w istocie nie jest niezależny od żadnej zbiorowości. Jest w niej, a także w każdym z nas, bo inaczej nie czulibyśmy jego cichych podszeptów i bezlitosnej presji. Sprawa wydaje się skomplikowana. Bo to przecież my, ludzie wytwarzamy obowiązujące nami zasady. Te zaś zawsze realizują się w czasie. Ale gdy zaczynają obowiązywać, wówczas każda z nich niczym imperatyw kategoryczny dyktuje co mamy czynić od wewnątrz, poprzez myśli i emocje. Ten wewnętrzny dyktat — interioryzację obiektywnych zasad — odczuwamy w postaci pulsującego czasu. Można więc powiedzieć, że puls czasu jest transmisją prawideł, jakie stanowimy i narzucamy sobie. Czas stanowi zatem coś w rodzaju piątej esencji stosunków społecznych. Nie ma czasu bez człowieka i jego społeczności. Ale czas jest bardziej niż każda osobna egzystencja, bo jest także historią całej społeczności, specyficznie ludzkim środowiskiem symbolicznym, które wciąż zmienia się i rozwija się. Można powiedzieć, że jesteśmy czasem, poprzez czas i w czasie.

— Wbrew pozorom szedłem chyba podobną do twojej drogą. Mnie też wydawało się, że problem czasu tkwi w tym, jak go się liczy i czy w ogóle jest przeliczalny. Zastanawiałem się, czy można go liczyć z pomocą tych samych liczydeł, jakimi mierzy się i dzieli przestrzeń. I wychodziło mi na to, że w gruncie rzeczy nie ma różnicy między przestrzenią i czasem. Jeżeli dzielić i mnożyć można każdy obiekt przestrzenny, to równie dobrze można kawałkować i duplikować te same obiekty w czasie. Sam nie wiem kiedy — być może wówczas, gdy podglądałem tych „magików" w „Szkockiej" — zdałem sobie sprawę, że błąd tkwi w — przyjmowanym za pewnik — przywiązaniu czasu do przestrzeni. Nikt nie zadał sobie pytania, czy może istnieć przestrzeń bez czasu lub czas bez przestrzeni. A warto. Z czysto logicznego punktu widzenia można sobie wyobrazić świat bez czasu. Taki wszechświat byłby nieskończonym zbiorem możliwości, z których każda tworzy odrębny nieskończony świat, twór złożony z praw fizyki, chemii i biologii, istniejący zawsze tu i teraz, a więc jednocześnie raz i na zawsze.

— Taka równoczesność i alternatywność wszechświatów wymagałaby innej niż ta nasza logiki — zauważył Ezechiel.

— Masz rację. Można wyobrazić sobie inną logikę, która dopuszcza prawdziwość alternatyw rozłącznych, przeciwstawnych wersji wydarzeń, a w końcu pytań i wątpliwości o przeciwstawnych wartościach.

— Wiesz Maksiu, słyszałem, że wśród „magików" ze „Szkockiej" jest też taki, który planuje stworzyć logikę zdań pytajnych. Trzeba byłoby zachęcić go do stworzenia logiki alternatyw…

— Nie żartuj. Oni wszyscy boją się zadawać pytania fundamentalne. Nie są filozofami rozmyślającymi o rzeczywistości. Dla nich nawet sprzeczności w teorii mnogości nie odnoszą się w żaden sposób do świata, lecz do wewnętrznych problemów matematyki.

— Może masz rację. Ciekawa ta twoja koncepcja, ale ma jedną poważną wadę. W mojej czas jest formą życia ludzi. Może służyć ocenie zjawisk społecznych, może uszeregować ich w historii, ale równie dobrze służy liczeniu niepowtarzalnych uzewnętrznień ich egzystencji. Przekłada w każdej chwili niepowtarzalne jakości nieredukowalnych osób do wspólnego, ilościowego mianownika, którym jest prosta wartość mierzona czasem niezbędnym do odtworzenia każdego indywiduum z osobna. Co więcej, tak pojmowany czas wyjaśnić pomaga cały szereg procesów, które wydają się od niego niezależne. Trwałość wielkich epok, w których czas wydaje się nie odgrywać żadnej istotnej roli. Albo rewolucje, kiedy czas przyspiesza i wydaje się ważniejszy niż zmiany, które w nim zachodzą. Tymczasem w twojej koncepcji czas wydaje się marginalny, zbyteczny, można wręcz — z twoja pomocą — sobie wyobrazić świat bez czasu.

— Sam bym nigdy tak mocno tego nie wyraził. Ale tak — ja właśnie tak to chyba teraz czuję. Popatrz na tę wodę, która zewsząd nas tu otacza? — Taka oczywista i zmysłowa. Gdy jej dotykamy zdaje się sama siebie definiować: mokra, płynna, plastyczna, wszechobecna… Czy nie podobnie jest z czasem? Jest wokół nas i w nas, szemra dzieląc nasze życie dzień po dniu, pluszcze odmierzając nasze godziny. Każdemu wydaje się, że nie ma nic bardziej oczywistego i prostszego niż czas. Tymczasem wówczas, gdy zaczynamy go wyodrębniać, gdy chcemy myśleć o nim jako takim, wymyka nam się niczym woda, którą próbujemy łapać samą dłonią. I wówczas okazuje się, że nic o nim nie wiemy. Albo inaczej. Wiemy o nim tylko tyle, ile wiemy o nas samych, ale nic nie wiemy o czasie samym, gdy staramy się rozważać jego własności w oderwaniu od naszego życia.

— Ale to samo można powiedzieć o wszystkim innym, o czymkolwiek. Może i są rzeczy same w sobie, ale mówiąc o nich zawsze i tak sięgamy po jakiś konkret, czyli — jak powiadają — zapośredniczenia…

— O nie! — krzyknął poirytowany Maks, a po chwili dodał już po cichu: *— Nie o to tu się rozchodzi. Ty uważasz, że czas działa niczym napędzane przez nas tryby historii, co oznacza, że on porusza nami w dokładnie takim tempie, w jakim sami się poruszamy. A czym to się różni od czasu stworzonego przez Boga podczas owego siedmiodniowego Genesis? Przecież my tylko powtarzamy za nim — dzień za dniem, tydzień po tygodniu — wciąż ten rytm stworzenia. Czas przez cały czas pozostaje Jego własnością. To jego poniedziałek, wtorek lub niedziela… To jego tydzień zwyczajny bądź adwentowy… Nawet jeżeli dowiedziemy sobie samym, że koniec końców to my Go stworzyliśmy, wciąż pozostaje w tym samym porządku. I tak dalej, w nieskończoność. A przecież czas jest tylko pozorem nieskończoności. Bo jakby to miało być nieskończone coś, co w istocie przypisane jest do pojęcia zmiany?*

Przerwał, bo nie dostrzegał już Ezechiela na drugim końcu łodzi. Niby wciąż było lato i nadal powinno być widno, ale pośród tej wielkiej wody zmierzchało szybko. Chłopcy wiedzieli, że ich łódź była duża, szeroka i płaskodenna. Trudno ją było rozpędzić, gdy każdy z osobna, po obu jej stronach, wiosłował nieco chaotycznie, w odmiennym tempie.

— Płyńmy już — zaproponował Ezechiel — *bo do Perekałek mamy spory kawałek. Chwycili za wiosła, lecz długo bez skutku machali nimi szukając wspólnego rytmu. Słabi z nich byli wioślarze. Gdy zmęczeni poczuli, że nadal nie płyną, Maks dopowiedział swoją wcześniejszą kwestię:*

— Czuję teraz Ezechielu, że lepiej nie szukać czasu, bo to, co istotne istnieje nie w nim, i nie poprzez niego, lecz poza nim. Nie w przestrzeni codziennych, elementarnych działań, które utrzymują nas w cyklu biologicznej reprodukcji. Ani nie w strukturze uporządkowanych przestrzennie społecznych rządz, które popychają nas do wojen i rewolucji. A także nie pośród zjawisk, które albo redukują nas do trybików w społecznym mechanizmie, albo wyrzucają na jakiś margines, bądź sprowadzają do coraz to nowych form izolacji i odszczepienia.

— Już noc Maksiu. Płyńmy do brzegu. Nie ma czasu.

No i w końcu popłynęli. Wiosłując zgodnie, w dół rzeki, pod prąd.

Cezary Sikorski

Alina Biernacka

Don Giovanni

Przespać zaduszki,
nie słyszeć nawoływań,
nie myśleć o zaproszeniu
Komandora na kolację.
Don Giovanni ginie w płomieniach,
Lorenzo da Ponte wiedział wiele
o uwodzeniu i śmierci.
Dalej, dalej – niech płynie
ta cudowna muzyka!
To wybrany utwór na dzień umarłych!
Ale Mozart nie umarł – jest stale obok
i sprawia, że świat krąży wokół niego.
Viva la liberta -- śpiewa don Giovanni.
Towarzyszę mu, ale nie przestrzegam go
przed upadkiem, jak donna Elwira –
niech dramat się toczy do ostatniej nuty.
Mozart odkłada pióro, otula się peleryną
i spieszy na zebranie masonów.
Wracając zaziębia się.
Na szczęście dla nas
potrafił zlekceważyć śmierć
i ani myślał spłonąć –
teraz jest samym głosem,
a ma go słuchamy.

Nadmiar

Nadmiar szczyci się swoim bogactwem,
ulega fascynacji własną mocą,
przechadza się w wieńcu zwycięzcy.
Jednak po jakimś czasie
odczuwa własny ciężar
i pragnie zdjąć go z ramion.
Nadmiar smutku przygina do ziemi,
nadmiar uczuć prowadzi do rozpuszczenia się
w jeziorze sentymentu.
Niedostatek, zbliżony do pustki,
całym sercem zazdrości nadmiarowi
i stara się uzyskać choć część
jego trofeów.
Patrzy łakomie na Ucztę Trymalchiona
pragnąłby pochłonąć wszystkie dania.
Chciałby posiadać rzesze niewolników
i co roku odbywać triumf na ukwieconym
rydwanie.
Pomiędzy nadmiarem i niedostatkiem
stoi umiar – ma postać Ateny
i jej rozsądek.
Te trzy istoty trzymają się za ręce
i wymieniają duszami,
aby zaburzyć życie ludzkim istotom.
Jak w antycznym tańcu,
prowadzi raz nadmiar, raz niedostatek,
umiar zaś przygląda się
i uśmiecha łaskawie.

Nieuleczalna wiara w dobro

Nieuleczalna wiara w dobro
przeciwstawia się nihilizmowi,
a ten, rozkładając ręce,
osuwa się coraz niżej.
Ze swojego punktu widzenia
ogląda tylko kopyta koni,
które są zaprzężone do rydwanu Heliosa.
Cały przepych nieba pozostaje
poza zasięgiem przeczącego wszystkiemu.
Dobro, które z trudem dobija się
do możliwości władania,
wie, że nic nie jest dane na wieczny czas,
że łatwo stracić poczucie sensu
i że bogowie nie zawsze wiedzą,
co czynią.
Wiara w dobro, zamknięta
w pieczarze piratów,
wydostanie się na brzeg morza
kiedy białe ptaki będą wyprowadzały
z gniazd swoje młode.
Wtedy, wraz z nimi, będzie kołować
nad wysokimi falami przyboju.

ESEJ

Grzegorz Bazylak

NIEODWRACALNA ANOMIA

Autobiografizm to niewątpliwie jedna z zasadniczych cech prozy Zbigniewa Wilczyńskiego, o czym także świadczy przedstawiony przez niego w powieści „Drugi sen pod wiatr" niezwykle groźny i miejscami groteskowy obraz polskiej, pozornie wolnej i niezależnej po 1989 roku, prowincjonalnej prasy i świata mediów. Przyczyniła się być może do tego długoletnia przyjaźń autora tej powieści z Markiem Koprowskim (1947-2009)[1], który na co dzień obracał się w takim środowisku. Pierwszy z nich, to mało znany prozaik, publikujący niegdyś pod pseudonimem Zbigniew W. Kryński[2], podczas gdy drugi, to doświadczony redaktor i syn znanego w Polsce pisarza Jana Koprowskiego (1918-2004), kierownika literackiego w Teatrze Nowym w Łodzi w latach 1953-1964[3] i dobrego znajomego Güntera Grassa (1927-2015), laureata Literackiej Nagrody Nobla w 1999 roku[4]. Postawieni obok siebie, Zbigniew i Marek, mogą do pewnego stopnia kojarzyć się z opisaną już na pierwszej stronie arcypowieści Michaiła Bułhakowa (1891-1940) parą pisarzy, poetą Bezdomnym i redaktorem Berliozem[5], przy czym okazuje się, że wszyscy czterej są zagorzałymi amatorami piwa i właściwie bez końca, oraz bez względu na okoliczności, „*mają coś w rodzaju halucynacji*"[6]. Także szczególnym trafem jest to, że Wilczyński, podobnie jak w finale „Mistrza i Małgorzaty", w zakończeniu swojej przepełnionej przemocą i cierpieniem powieści „*uwolnił stworzonego przez siebie bohatera*"[7], który jednak, w opozycji do przesłania Bułhakowa, „*odszedł w bezkres, odszedł bezpowrotnie*"[8] nie uzyskując przebaczenia.

W przeciwieństwie do pełnej bogatych aspektów życia prozy Bułhakowa, oszczędny, reporterski, wręcz ascetyczny język jakim posługuje się Wilczyński w powieści „Drugi sen pod wiatr", a także skrótowe, lakoniczne, niemal filmowe dialogi i częste wykorzystywanie narracyjnej iteracji jako metody rozwijania fabuły, wskazuje na kolejny, istotny wątek autobiograficzny, który dotyczy wywołanych „*ciężkim pobiciem*"[9] problemów neurologicznych i związanych z tym zanikiem zmysłu smaku i węchu. Wpływ takich neurologicznych zaburzeń w funkcjonowaniu mózgu, o do końca nieznanej etiologii lub spowodowanych obrażeniami odniesionymi w wypadku samochodowym, na twórczość muzyczną lub plastyczną został opisany w literaturze naukowej na przykładzie wybitnego francuskiego kompozytora Maurycego Ravela (1875-1937)[10] oraz kanadyjskiej malarki, chemiczki i biologa, matki czworga dzieci, Anny Adams (1940-2007)[11,12]. Niechęć obu głównych bohaterów, Konia i Figata, do proponowanego im przez oficjalną medycynę zabiegu neurochirurgicznego być może jest uzasadniona osobistym doświadczeniem autora powieści „Drugi sen pod wiatr", który, aby się ratować, wybrał, i to z powodzeniem, bioenergoterapię Reiki, zapoczątkowaną jeszcze w połowie XIX wieku na terenie Japonii i zaaprobowaną w wielu krajach, pomimo kwestionowania jej wyników, metodę medycyny naturalnej, szczególnie przydatną w leczeniu bólu, stanów lękowych i depresji[13]. Przebieg wydarzeń, który „*sprowokował jakichś opryszków*"[14] i doprowadził do powstania krwiaka mózgu, był prawdopobodnie bardzo zbliżony do sytuacji opisanych w pierwszej, wydanej w 2008 roku, powieści Szymona Koprowskiego, młodszego brata wspomnianego wcześniej Marka[15].

Niewątpliwym osiągnięciem autora powieści „Drugi sen pod wiatr" jest szokujące przedstawienie rozwijającego się w społeczności prowincjonalnego miasta zaawansowanego procesu anomii społecznej, czyli sytuacji, w której poszczególne jednostki w powszechnej skali przestają odróżniać, tradycyjnie utrwalone, zachowania dobre i poprawne od złych[16]. Opisał w tej powieści kolejne przejawy permanentnego i eskalującego się stanu anomii prowadzącego do trwałej dezintegracji społecznej i moralnej: wulgarny konformizm, kryminogenną innowacyjność, rytualizację zachowań, wycofanie poza społeczność, a wreszcie nieokiełznany bunt, w którym następuje całkowite odrzucenie norm, wartości i akceptowanych dotychczas środków działania[17]. Opisani w powieści Wilczyńskiego młodzi ludzie, to spełniający kryteria Standinga współcześni prekariusze, z których każdy „*odczuwa jednocześnie [trzy rodzaje* – przyp. GB*] deprywacji: względem prawdziwej lub wyobrażonej przeszłości, z racji nieobecnej teraźniejszości („nieobecnego" domu) i w odniesieniu do poczucia braku przyszłości*"[18]. Coś czego doznawał u progu epoki gierkowskiej, na starcie globalizacji, pochodzący z małego miasteczka pod Toruniem student i artysta malarz, bohater neorealistycznej powieści Ziemowita Ogińskiego (1944-2010), na ulicach Łodzi z początku lat 70. XX wieku: „ *idąc ulicą miał wrażenie, że na wszystko patrzy z bardzo daleka. Albo zza szyby, przez którą przechodnie widzą jego, on widzi przechodniów, lecz nie ma z tymi ludźmi innego kontaktu prócz wzrokowego. Zdawało mu się, że jest wewnątrz przezroczystego niettłukącego się klosza, i że ten klosz, niedostrzegalny dla innych, przesuwa się bezszelestnie wraz z nim. Precyzyjnie powtarza każdy manewr. Potem przywykł do trzymania się na ulicy w pobliżu murów, gdzie mniej się wpadało przechodniom w oczy*"[19].

Ten zmarginalizowany, trwale pozbawiony życiowych szans, człowiek, ten spotykany od lat na co dzień w wielu miejscach Europy prekariusz, „*połączenie lęku, alienacji, anomii i gniewu*"[20], przypomina opisanego ponad pół wieku temu przez Gabriela G. Márqueza (1927-2014), laureata Literackiej Nagrody Nobla w 1982 roku, w opowiadaniu „Trzecia rezygnacja" młodego, zawieszonego między życiem a śmiercią, mężczyznę, który uporczywie rośnie przez osiemnaście lat pod czujnym okiem troskliwej mamusi ułożony w ciągle tej samej trumnie, bez możliwości przebudzenia[21]. Wydane w 1976 roku w Polsce tłumaczenie tego opowiadania Márqueza, w zbiorze pod tytułem „Dialog lustra", było z pewnością znane Wilczyńskiemu, na co wskazuje także słowo „sen" w tytule jego powieści. Zawarte w twórczości Márqueza natarczywe senne wizje zjawisk z pogranicza życia i śmierci mogły być tutaj istotną inspiracją dla charakteru postaci wykreowanych w powieści Wilczyńskiego. Sen traktowany jako „*struktura symboliczna, która dominuje nad sferą społeczną, nad więzami pokrewieństwa (…), co daje nam poczucie, że symbol jest czymś, co jest już obecne i co nas przyzywa, swego rodzaju preformacja w naturze, która z czasem ulega wyeksponowaniu*"[22].

Niegdyś tragicznie niespełniony niemiecki pisarz i filozof Walter Benjamin (1892-1940), w niepublikowanych za jego życia pismach, postulował aby „*przerobić to co byłe z intensywnością snu, aby doświadczyć teraźniejszości jako świata jawy, do którego sen się odnosi*"[23]. Dlatego Wilczyński w swojej powieści, w której paradoksalnie nikt nie śni i nikt nie śpi, podejmuje powiązany z kompleksem Edypa problem transformacji funkcji złoczyńcy[24], subtelnie analizuje, jakby mimowolnie, skomplikowaną relację między bohaterem (Koniem) a złoczyńcą (Burym). Bury odgrywa rolę potwora, który musi być zgładzony, aby ulegający przemianie bohater Koń mógł dopełnić swój los i ostatecznie „*wybyć na zawsze*". Aby doznać wreszcie skradającego się podstępnie przebudzenia.

Grzegorz Bazylak

Zbigniew Wilczyński, DRUGI SEN POD WIATR, Wyd. OŁOSL, Łódź 2018, ss. 233, ISBN-978-83-911897-7-1

1 M. Koprowski, Spowiedź praktykującego alkoholika, oprac. Mateusz Koprowski, Biblioteka Tygodnika Angora, Wyd. Westa-Druk Mirosław Kuliś, Łódź 2010, s. 148-150.

2 Z. Wilczyński (Z.W. Kryński), Normalnym kursem, „Nowy Wyraz", Miesięcznik Literacki Młodych, Warszawa, Nr 12(55), Rok V, grudzień 1976, s. 85-88.

3 J. Koprowski, Potomkowie Tespisa, Wyd. Poznańskie, Poznań 1966, s. 1-175.

4 Sz. Koprowski, Uszy van Gogha, Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław 2016, s. 63.

5 M. Bułhakow, Mistrz i Małgorzata, przeł. z j. ros. Leokadia Anna Przebinda, Grzegorz Przebinda, Igor Przebinda, Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 9.

6 Ibidem, s. 11.

7 G. Przebinda, Posłowie-Bułhakow udomowiony, w: M. Bułhakow, Mistrz i Małgorzata, przeł. z j. ros. Leokadia Anna Przebinda, Grzegorz Przebinda, Igor Przebinda, Wydawnictwo Znak, Kraków 2016, s. 532.

8 Ibidem, s. 532-533.

9 M. Koprowski, Spowiedź praktykującego…, op.cit., s. 149.

10 L. Amaducci. E. Grassi, F. Boller, Maurice Ravel and right-hemisphere musical creativity: influence of disease on his last musical works?, „European Journal of Neurology", 2002, 9, s. 75-82.

11 W.W. Seeley, B.R. Matthews, R.K. Crawford, M.L. Gorno-Tempini, D. Foti, I.R. Mackenzie, B.L. Miller, Unravelling Boléro: progressive aphasia, transmodal creativity and the right posterior neocortex, "Brain", 2008, 131, s. 39-49.

12 P. Aldhous, Boléro: Beautiful symptom of a terrible disease, „New Scientists", 7 April 2008.

13 M.S. Lee, M.H. Pittler, E. Ernst, Effects of reiki in clinical practice: a systematic review of randomised clinical trias, „International Journal of Clinical Practice", 2008, 62(6), s. 947-954.

14 M. Koprowski, Spowiedź praktykującego…, op.cit., s. 149.

15 Sz. Koprowski, Balkon na krańcu świata, Oficyna Wydawnicza Atut, Wrocław 2008, s. 187-194 i 273-277.

16 Anonim, Anomia, Encyklopedia ENCENC, https://encenc.pl/anomia/; dostęp: 12-06-2018.

17 R.K. Merton, Teoria socjologiczna i struktura społeczna, przeł. z j. ang. Ewa Morawska, Jerzy Wertenstein-Żuławski, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2002, s. 1-669.

18 G. Standing, Karta prekariatu, przeł. z j. ang. Piotr Juskowiak, Paweł Kaczmarski, Maciej Szlinder, słowo wstępne: Jacek Żakowski, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2015, s. 36.

19 Z. Ogiński, Karnawał i post, Czytelnik, Warszawa 1977, s. 141.

20 G. Standing, Karta prekariatu…, op.cit., s. 37.

21 G.G. Márquez, Opowiadania, przeł. z j. hiszp. Zofia Chądzyńska, Carlos Marrodán Casas, Warszawskie Wydawnictwo Literackie Muza, Warszawa, 2017, s. 7-17.

22 J. Lacan, Mit indywidualny neurotyka albo poezja i prawda w nerwicy, przeł. z j. franc. Tomasz Gajda, Janusz Kotara, Jacek Waga, Wyd. Naukowe PWN, Warszawa 2015, s. 66-67.

23 W. Benjamin, Sny, przeł. z j. niem. Bogdan Baran, wybrał i posłowiem opatrzył Burchardt Lindner, Wyd. Aletheia, Warszawa 2017, s. 107.

24 L. Mulvey, Do utraty wzroku. Wybór tekstów, red. Kamila Kuc, Lary Thompson, Korporacja Ha!art-Era Nowe Horyzonty, Kraków-Warszawa 2010, s. 222-223.

Agnieszka Wiktorowska-Chmielewska

z tomiku „impresje"

To już trzeci wiersz

Dziewczyna obok kroi bagietkę.
piję wino z plastikowej butelki.
to nic, w Paryżu wszystko smakuje.
tłum nie przeszkadza,
samotność nie przeszkadza,
kolory świata nie mają znaczenia.
i cień, który obejmuje od minuty.
już wiem, już nie boję się,
czy też boję się zupełnie inaczej.
o co inne. znalazłam w sobie
przystań, poza sobą przystań.
ponoć myśli tworzą rzeczywistość,
a słowa są początkiem światów.

Mój śnie

Świat oszalał albo oszalałam ja.
przed mostem Aleksandra znowu
pławiłam się w cudzie. Sekwana
pląsała, słońce odbijało złoto.
przy stolikach na Rose Banheur
rodziny cieszyły się sobą -
blondynka z Mulatem, rodzice
z bliźniętami, dwaj spleceni
palcami panowie. a ja szłam
sama i byłam szczęśliwa.
nieprawda, nie szłam,
to znaczy nie sama.

Art's Modern - „Evening"

Przed palimpestem Georges Noel
młodziutkie Chinki się roześmiały
- kreseczki, kółka, freski -
nawet czerń ma kilka poziomów.

Plac zabaw

Cyganeczka na biedronce,
beztroski ojciec kołysze ją
i jej mleczne marzenia
pod kościołem św. Medarda.
ponoć w osiemnastym wieku
na cmentarzu działy się cuda.
ludzie przychodzili tutaj,
modlili się, medytowali,
wznosili nad ludzką powłokę.
zrobiło się niebezpiecznie -
motłoch doznawał objawień.
władze zakazały zgromadzeń,
wejście na cmentarz zamurowano,
na kościele wywieszono tablicę:
Tu król zabraniał czynić Bogu cuda.

Parki i odległości

Paryż bawi się w parkach,
ja przesiaduję w parkach
i piszę, bo inaczej nie mogę
przestać myśleć o kilku chwilach
w półmroku rozświetlonych ogniem.
ciemnej stajni i świetle świec
biegających po stolikach letnią nocą.
o bliskości w pokoju hotelowym 211,
o bliskości w pokoju hotelowym
którego numeru jeszcze nie znam.
o bliskości w bliskości.
i wszystkich tych innych
kolorowych pastylkach,
mimo różnic i odległości.

Metropolia i natura - archetypy

Czuję rytm tego miasta,
siebie w nim, ile mogę
mu wyrwać. czuję, to ten
czas, gdy topi się wstyd.
dlatego porzucam wszelkie
zaprzeczenia, strach, fantomy.
pożądam niemożliwego,
wydawałoby się, lecz to jest
możliwe, bo tego pożądam
i dlatego.

POEZJA

Tadeusz Zawadowski

ARMIE OŁOWIANYCH ŻOŁNIERZYKÓW

wojna przypomina małą dziewczynkę. przeskakuje z nogi
na nogę. z państwa na państwo. raz dwa trzy jutro
ty. dołączają chłopcy. zakładają polowe mundury. zamieniają
drewniane karabiny na wyrzutnie rakiet spady z jabłek
na granaty. rany malowane sokiem malinowym na kikuty rąk
i nóg. raz dwa trzy jutro dziesiątki tysięcy sierot i bezdzietnych
rodziców.

za jednym przyciskiem joysticka

PIWNICA

schodzimy do piwnicy. przeglądamy skrzynie ze starymi
ulotkami i wybieramy nadal aktualne. konfitury i ogórki
mogą się przydać jeśli zajdzie potrzeba pozostać
dłużej. w kącie na wszelki wypadek odbiornik
przystosowany do odbioru radia wolna europa. wczoraj
wstawiłem wysłużoną kanapę i kilka krzeseł. sąsiedzi
udają że nie widzą ale też meblują swoje komórki. o północy
obradował sejm. zaryglowałem drzwi

do piwnicy.

BUNT

Bunt nie przemija,
bunt się ustatecznia.
(Stanisław Grochowiak)

bunt co pewien czas przestaje być statecznym. pozostawia
łapcie w przedpokoju i wychodzi na ulicę. przygląda się uważnie
przechodniom i zaciska ich dłonie w pięści. jeszcze chwila
a chwycą za gardło. wtedy będzie już za późno
aby zmienić cokolwiek. tyrani pospiesznie będą się chować
gdzie popadnie. niczym myszy lub szczury próbować kryć się
w drogich norach poza granicami kraju. jednak
oko buntu i tam ich wypatrzy. naiwni nie przewidzieli
że jego czujność tylko na chwilę układa się do snu. o świcie

odzywa się budzik.

POWOLI. POWOLI

powoli. powoli będą ci zaciskać pętlę. nawet nie zauważysz
że nie żyjesz. wcześniej sypną garścią srebrników aby
mniej bolało. będziesz miał przecież co jeść póki co
dach nad głową. nie narzekaj. oni tylko
chcą twego dobra. przecież wiedzą
lepiej. podejmą właściwą decyzję za ciebie. powoli.

powoli będą ci zaciskać pętlę.

Maja Wolińska

STARY FILM

włączam telewizor okna. powoli wyostrzają się kontury
ludzi. jeszcze nie ma dźwięku. przekręcam gałkę
futryny. do pokoju wdzierają się słowa pieśni
niesionej na ustach jak kiedyś na ramionach ciało janka
wiśniewskiego. policja jeszcze nie strzela ale lufy wycelowane.
dziewczyny wkładają w nie białe róże. już oglądałem
ten film. pragnę go wyłączyć. wciskam różne przyciski. Boże

nie każ mi go znowu oglądać.

WIDOK NA POKÓJ

kiedyś sądziłem że pokój jest jak powietrze. można
nim oddychać i cieszyć się do syta. któregoś dnia
jednak pod drzwiami pojawili się zamaskowani
żołnierze bez mundurów z karabinami załadowanymi
nienawiścią. wtedy zrozumiałem co to strach i że nic
nie jest darowane na wieczność. w niedalekich miastach
zaczęli ginąć ludzie. wychodzili na ulice młodzi chłopcy
i wyrastały im siwe brody a z minuty na minutę wypadały
włosy. kobiety chowały dzieci do łożysk i kurczyły się
na odgłos kroków na schodach. stałem w drzwiach i patrzyłem

jak rozpada się mój pokój.

ARMIE OŁOWIANYCH ŻOŁNIERZYKÓW

po obu stronach ulicy zgromadziły się armie. mundury
schowane w plecakach lub w podręcznych torbach. sztandary
gotowe do wciągnięcia na maszt. obie pewne zwycięstwa.
ćwiczą krok defiladowy. czekają na właściwy moment
który nie wiadomo kiedy nadejdzie. ludzie przechodzą
pomiędzy nimi robią zakupy w sklepach na wypadek wojny
i na wszelki wypadek. pozostali w domach zasłaniają okna
wyłączają telewizory i radia. przestają ze sobą rozmawiać
lub robią to szyfrem. dzieci nie chcą już bawić się ołowianymi
żołnierzykami. wolą gry komputerowe w których same
ustalają zasady.

powoli pustoszeją ulice. żołnierze rozchodzą się do domów.

CZUJNOŚĆ

bądź czujny. nie daj się omamić. nie ufaj górom obietnic
wypiętrzających się z ust niczym w kolejnych orogenezach.
ich śliskie zbocza są zdradliwe. łatwo przeoczyć
granicę oddzielającą wiarę od podłości i upaść tak
nisko że już nie ma powrotu.
bądź czujny. będą cię obsypywać pochlebstwami i kusić
błyskotkami kłamstw. jeśli im uwierzysz - przestaniesz wierzyć
sobie. dlatego

bądź czujny,

Zbigniew Kresowaty

„rozmowa artystyczna" z prof. Marianem Molendą - artystą rzeźbiarzem i wykładowcą na Uniwersytecie w Opolu

RZEŹBIĆ WIEDZĘ I JEJ SIŁĘ

Profesor artysta rzeźbiarz Marian Molenda – portret wyk. Zbigniew Kresowaty

Zbigniew Kresowaty: Profesorze i Przyjacielu Marianie - wybacz ten zwrot oraz to, że ubrałem cię w strój Stańczyka królewskiego – to dygresja do twoich rzeźb, do twych myśli i aktów twórczych, które określiłbym intrygującymi, a nawet tajemniczymi, będziemy o tym rozmawiać? - Zatem wstępne pytanie retoryczne: Co cię przygnało z Baranowa Lubelskiego w strony nyskie? - a była to przecież droga edukacyjna przez Gdańsk, gdzie kończyłeś studia na PWSSP u profesora Franciszka Duszeńki – Co ważne! Dyplom z wyróżnieniem Marian Molenda otrzymał z wyróżnieniem w roku 1983. Przytoczę zatem kilka ważnych informacji z biografii dla lepszego poznania twej sylwetki, czego zresztą nie braknie w tej naszej „rozmowie artystycznej": Otóż, dziś finalnie, jak wiem, bodaj 27 lat, wykładasz na uniwerku w Opolu, na Wydziale Sztuki w Pracowni Rzeźby. Nie tak dawno w styczniu minęło 35 lat twej autorskiej działalności twórczej, wykładałeś także w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej, PLSP w Nałęczowie, a także Ognisku Plastycznym w Nysie. Ale jak spojrzeć posiadasz imponujący, wspaniały dorobek artystyczny, wiele realizacji, w tym poza granicami Polski: w Niemczech, Czechach, USA, Francji, Rosji, Węgrzech, a nawet w Chinach! - Głównie to rzeźby tzw. portretowe, ale nie tylko, które przyniosły wiele nagród artystycznych i wysokie uznanie krytyki i sztuki... co się pomnaża.

Marian Molenda: Tak! – Przygnały mnie w te strony sprawy osobiste. Nawet bardzo osobiste. Założyliśmy rodzinę, dlatego dla „ chleba" podjęliśmy z żoną Mirą, decyzję o przeprowadzce do Nysy i rezygnacji z pracy pedagoga w PLSP w Nałęczowie.. Bonusem było nowe mieszkanie M 5, które otrzymaliśmy w trzy miesiące po przeprowadzce w 1985 roku. Ale ty przecież pytałeś o Gdańsk, o moją Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych – odpowiem szczerze - pojechałem za namową mojego wspaniałego człowieka i kumpla Zdzisia Pidka, niestety już nie żyjącego, wtedy studenta V roku Wydziału Rzeźby w Gdańsku, późniejszego prodziekana i znakomitego rzeźbiarza i profesora. Po obejrzeniu moich uczniowskich prac rzeźbiarskich i rysunkowych, zachęcał, abym koniecznie zdawał na rzeźbę, drugim aspektem była ciekawość zobaczenia polskiego morza, poza tym Gdańsk zawsze był fascynujący od wieków. Pięknie się złożyło, że po I roku studiów dostałem propozycję od Pana Profesora Duszenki, wyboru Jego pracowni. To był dla mnie zaszczyt i wielkie wyróżnienie, oczywiście , że skorzystałem z propozycji. Byłem szczęściarzem !Profesor Franciszek Duszenko, jako uznany rzeźbiarz i pedagog, rektor PWSSP, miał bogaty dorobek twórczy, a sztandarowe dzieła jak pomnik na Westerplatte, czy nowatorski pomnik pod Treblinką wpisane zostały jako znaczące dzieła historii sztuki. Będąc w pracowni Profesora, doświadczałem korekt, a jego uwagi, jak się okazało później, były niesłychanie trafne. Profesor był moim mentorem, a w przewodzie doktorskim promotorem, w habilitacyjnym członkiem Komisji. Przykro, że mojej profesury nie doczekał, wielka szkoda. Powrócę do ostatnich lat spędzonych w Nysie, nasuwają mi się spostrzeżenia dotyczące wizjonerstwa mojego pracodawcy dyr. Józefa Kamińskiego, który sprowadzając kilkunastu artystów m.in. rzeźbiarzy, malarzy, grafików stworzył eksperymentalne Ognisko Plastyczne w latach osiemdziesiątych w Nysie, następnie Studium Pomaturalne z kierunkiem – renowacja i konserwacja detalu architektonicznego, a w 1990 roku otworzył Filię w Nysie, Wyższej Szkoły Pedagogicznej z Opola, która jak wiemy stała się Uniwersytetem Opolskim. Mając do prowadzenia zajęć wcześniej sprowadzoną z różnych ośrodków plastycznych (ASP Kraków, ASP Warszawa, PWSSP Łódź, Poznań, Gdańsk), wykwalifikowaną kadrę, rozpoczął działalność pedagogiczną i artystyczną. Nysa stała się prężnie działającym ośrodku na kulturalnej mapie Polski

Z.K. Odwiedzam cię powtórnie, w uroczej dużej pracowni artystycznej w Nysie, gdzie wiele projektów, cały poplon realizacyjny z poprzednich lat, tutaj „popełniasz" swoje realizacje i wydobywasz dalsze pomysły... Ale jakoś tak wyszło, że w drodze do Opola odwiedzam, także w dzień kolejnego Festiwalu Piosenki w Opolu, w „święto Piosenki Polskiej" – właśnie na Wzgórzu Uniwersyteckim, dziś odsłonięcie kolejnej realizacji - pomnika – ławeczki Wojciecha Młynarskiego. Miesiąc wstecz oglądałem rzeźbę w glinie, w pracowni, uderzyło mnie wtedy niebywałe podobieństwo do postaci, a patrzyłem dokładnie – i już wiedziałem, że to będzie kolejna udana rzeźba zasłużonego twórcy i bywalca opolskich festiwali – A dziś ten wspaniały dzień miasta z prezydentem Arkadiuszem Wiśniewskim oraz pomysłodawcą profesorem i byłym rektorem Uniwersytetu Opolskiego Stanisławem Nicieją, ze sponsorem – mecenasem tych realizacji, Panem Karolem Cebulą. Zebrało się tutaj wspaniałe grono opolan, zwłaszcza, że trwa Festiwal Piosenki w Opolu.

M.M. Tak! – jak zawsze, jest to dla mnie doniosła chwila, to jakby narodzenie kolejnego dziecka. Dylematy, które są nieodłączną częścią odbioru rzeźby przez odwiedzających to następny element braku komfortu psychicznego.

Takim wydarzeniom towarzyszy podniecenie, to jakbym zamknął za sobą kolejne drzwi, ale na szczęście jest nadzieja, że będą następne. Chwila to podniosła i wyjątkowa, która towarzyszy mi przez ten czas odsłonięcia pomnika. A wracając do rzeźby, to postać Wojciecha Młynarskiego została posadowiona przed Agnieszką Osiecką, przyjaciółką , z którą Mistrz Młynarski często podczas spotkań ucinał pogawędki,, a to dodatkowe krzesło? - to dla przechodnia, aby dołączył do wspólnej rozmowy. Usiąść obok wielkich artystów, którzy piękną polszczyzną przekazywali nam, pisząc o wartościach - miłości, życiu śmierci, z pewnym dystansem jest wartością samą w sobie. A w przypadku realizacji pomnika Agnieszki Osieckiej, miło wspominam Agatę Passent, córkę Agnieszki Osieckiej i Magdę Umer, które cennym uwagami pomogły mi dogłębniej spojrzeć na portret psychologiczny poetki nie wyłączając spostrzeżenia Magdy Umer co do wielkości biustu poetki, co okazało się niebywałe, zwłaszcza w okresie końcowym tej realizacji.

Z.K. - Jak wiemy odsłonięcie było bardzo efektowne, przyjechał syn Wojciecha ze swoją żoną i córeczką, była ekipa telewizyjna i wielu gości, i władze Uniwersytetu Opolskiego oraz mieszkańcy Opola i goście Festiwalu Piosenki. Zabrakło jedynie córek Wojciecha Młynarskiego, a były widziane w Opolu w tym czasie. Ale wróćmy do realizacji danych rzeźb - Jaki jest mechanizm twórczy powstawania tych sugestywnych portretów z brązu? - twego całego curriculum vitae, posiadasz wiele imponujących Nagród z tytułu tych realizacji - Wiem, że wiele z postaci nie było łatwo wypracować? – Ale też wiem co to jest portret, (po staremu konterfekt) - wiem, bo „robię" olejne portrety na płótnie i kartonie – Portret musi mieć to COŚ! czego nie ma fotografia – Ty wychowałeś się na poezji na utworach i dziełach wielu tu na Wzgórzu stojących w brązie osób, na „twórstwie" tych ludzi i ich dokonaniach – A przypomnę, że wykonałeś m. innymi pomniki portretowe następujących osób: A. Osiecka, J.Kofta, J. Grotowski, J. Wasowski – J. Przybora, , Cz. Niemen, E. Osmańczyk, K. Górski, F. Chopin, Karlik z Kocyndra, M. Fołtyn, J. Piłsudski, wiele innych – To jedno wielkie Portretowisko! – chociaż wiem, że wykonujesz rzeźby w drewnie także oraz w tworzywie...

M.M. Oczywiście, rzeźba konkretnej postaci nie może być tylko fotograficznym zapisem jej cech zewnętrznych: - Jeśli tylko na tym się skupimy, powstanie manekin, a nie portret trójwymiarowy człowieka, który za życia miał określoną twórczość, wrażliwość, pasje, był zasłużonym i wyjątkowym człowiekiem. Myślę, że w takich sytuacjach warto zaufać jednak artyście. Ja „ uczę się „ danej postaci: czytam , śledzę dokonania, rozmawiam z najbliższymi jakim był człowiekiem, a nade wszystko gromadzę dokumentację fotograficzną. Natomiast, gdybym miał wybrać tylko jedną z moich rzeźb, taką, z której jestem najbardziej zadowolony byłoby trudno, myślę, że byłby to „IKAR", nagrodzony na ogólnopolskim Salonie Plastyki „Egeria 2002" w Ostrowcu Wielkopolskim . „ Ikar" to symbol, jakby przynależy twórcom – to symbol pierwszego lotu i upadku, to duża żelazna szyna, przebijająca ogromny drewniany bok. Jest to wymowna rzeźba współczesna wyrażająca pewne wartości, odnoszące się do dramatu egzystencji człowieka.

Następną rzeźbą jest „Moja Statua Dowolności", która została zmultiplikowana i stanowi instalację rzeźbiarską, do tej rzeźby mam duży sentyment. Powstała w latach osiemdziesiątych, po wielu przeróbkach rzeźbiarskich ma swoją wartość formalną i semantyczną.

Z.K. - Myślę, że choćby na podstawie pojęciowej i etycznej wizji właśnie tej rzeźby, twój dorobek rzeź-

Makieta wstępna do pomnika Wojciecha Młynarskiego w pracowni prof. Mariana Molendy

biarski, w tym i ten malarski oraz projektowy, oczywiście i edukacyjny można zawrzeć w przestrzeniach między intelektualnym odważnym konceptualizmem, a dorobkiem tradycyjnych dziedzin sztuki oraz pomiędzy ikonograficznymi archetypami – Czy tak? – Co sądzisz o takiej retoryce swej sztuki? – A trzeba jeszcze wziąć pod uwagę sacrum, które bez profanum nie istnieje… To tak jakby oceniać dobro, trzeba mieć furtkę pojęciową do zła!

M.M. Pozwolę przytoczyć sobie słowa prof. Bogusza Salwińskiego, z ASP w Krakowie, który był recenzentem w przewodzie habilitacyjnym, w dysertacji napisał: „w rzeźbach Mariana Molendy odkrywam świat czystej formy, abstrakcyjną grę mas, ukrytych wektorów siły, przeczuwanych powiązań energetycznych, kierunków napięć, kontrastów. Śledzę profesjonalizm tych działań myślenie o rzeźbie, jako dyscyplinie warsztatowej , której podstawowe aksjomaty nie mogą wyjść poza zasadę fizycznej formy, zasadę środka, pełni, całości, struktury i konstrukcji, a w końcu – szacunku wobec tworzywa". Wiąże się to niejako także z Twoimi wysnutymi określeniami krytycznymi.

Z.K. To jak „nic dodać – nic ująć"! – Ale śmiało można mówić o Twojej rzeźbie, jeżeli idzie o pomniki, popiersia czy płaskorzeźby, że mieścisz się w opcjach byłych mistrzów jak : Michał Anioł, na którego „Pietę"

Kompozycja współczesna „IKAR" wyk. prof. Marian Molenda

ilekroć patrzymy, jakby na niedokończone postaci olbrzymów – patrzymy i patrzymy całymi godzinami: August Rodin – także Dunikowski, u którego na pewno terminowałbyś, gdyby żył w naszym wieku. Alberto Giacometti, który stosuje, jak wiemy, niezwykle ekspresyjne deformacje postaci osiągając niepowtarzalną formę. Wielu krytyków tak uważa! - Albo Adolf Wotruba austriacki mistrz, przedstawiciel abstrakcji geometrycznej, lub Donatello włoski rzeźbiarz. Oczywiście to nieskromne porównania krytyczne, bo jesteś oryginalny i jedyny. Wyruszyłeś kiedyś z PWSSP jakby „pieszo" do dalekiej krainy sztuk, jak Constantin Brancusii rzeźbiarz rumuński - mistrz abstrakcji organicznej, żeby znaleźć się w wtedy w kulturalnej stolicy Europy – on wtedy w Paryżu, a ty w Całej Unii, żeby podejść pod Parnas z zamiarem wejścia nań. Tych przykładów jest dużo – wszyscy byli oryginałami. Ty jak nikt dyskutujesz i prowadzisz dialog z przeszłością, z tą najwspanialszą przeszłością, przeciwstawianą teraźniejszości i naszej rzeczywistości... Jak to dobrze, że jesteś i tworzysz ...

M.M. Tak! – wyruszyłem jakby boso z Gniazda bardzo wartościowego i jestem nawet z tego dumny, że po latach wędrówki znalazłem się właśnie tutaj, jakby na ubitej ziemi, z tym całym dorobkiem, to była wytężona, ciężka praca. Owszem! - dyskutuję z przeszłością, czerpię z niej, i nawet podobają mi się takie porównania, tych wymienionych przez ciebie mistrzów, każdy z wymienionych Mistrzów stworzył podwaliny dla następnych artystów, którzy inspirując się dokonywali odkryć własnych, w swojej wyobraźni a zatem i twórczości. Wotruba czy Giacometti, to dla mnie Mont Everest sztuki, tej skubizowanej, geometrycznej i wrażliwej ekspresji budowanych figur „kroczących" itp. Tak - miałem po drodze ponad 40 wystaw indywidualnych, słyszałem inne głosy, na wystawach malarstwa, w których wziąłem udział, w tych kilkudziesięciu wystawach, także zbiorowych – słyszałem wręcz co innego, że malarstwo moje jednak idzie innym swoim torem – tym abstrakcyjnym, nawet postmodernistycznym, że jest bardzo zmetaforyzowane, w którym - co ważne przeważa zawsze człowiek, ale współczesny – tak - wszystkie wystawy były najważniejsze, choć ta stała wystawa rzeźb portretowo – pomnikowych na Uniwersyteckim Wzgórzu w Opolu góruje i cały czas, jest czynna... otwarta, i to mnie cieszy.

Kompozycja zbiorowa, wyk. prof. Marian Molenda

- Dopowiem, że moja twórczość w zakresie rzeźby i malarstwa porusza się równolegle dwoma torami, pierwszym torem jest stylistyka bliższa mojemu odczuwaniu, to inspiracja naturą z przełożeniem na język abstrakcyjny, drugi zaś to realizm i zbliżenie się do natury. Te dwa światy są mi bliskie.

Z.K. - Ale odejdźmy nieco od świata krytycznego. Widzę tu w tle tej ogromnej pracowni jeszcze jedną wielką pracę aktualnie realizowaną, to ogromny pomnik Józefa Piłsudskiego na koniu rzeźbiony dla miasta Nysy, który stanie przed Katedrą nyską na cokole kilkumetrowym. Oglądałem rok wstecz wielki stelaż i szkic - To wielka rzeźba, nawiązująca do tej, jaka stała ponoć w dawnym polskim Tarnopolu? - Swego czasu po wojnie pocięta przez stalinowców na kawałki, zachowały się jednak zdjęcia i rysunki oraz ryciny. Czy to prawda, że tutaj zamysł był taki, żeby ponownie oddać Piłsudskiego repatriantom? - gdyż cała Nysa to właśnie Oni - zwłaszcza ze starego polskiego województwa tarnopolskiego (dziś Ukraina) ? - To jest ukłon w stronę tych ludzi? - Jednak mało tych „świadków naocznych" zostało wielu się wykrusza – Mamy wolną Polskę wreszcie! - Piłsudski uosabia nasze bohaterstwo, walkę o ojcowiznę z moskalami, uosabia Polskę Niepodległą. Wiem, że nyscy luminarze i nie tylko mieszkańcy oczekują tego pomnika, w tym roku, na 100 lecie Niepodległości? – On stanie!. Powiedz coś, bardzo proszę, swoimi słowami o tym przedsięwzięciu.

M.M. – Powiedziałeś dużo, prawie wszystko. Pomnik ten, to moje ogromne prawdziwe wyzwanie, nie tylko rzeźbiarskie, również techniczne. Okaże się, czy realizacja rzeźby monumentalnej w małej pracowni z odejściem po półtora metra z trzech stron wyjdzie jej na dobre ?, zobaczymy. To nie jest przykład do naśladowania. Zapraszam na uroczystość, która obędzie się 12.10.2018 roku w Nysie.

Z.K. Dziękuję profesorze! za to wspaniałe widzenie i cenne spotkanie.

M.M. Zbyszku, to ja dziękuję za zainteresowanie się moją twórczością.

- Z wybitnym artystą rzeźbiarzem rozmawiał (czerwiec 2019)

Zbigniew Kresowaty

- Ogromny stelaż pod pomnik Marszałka Piłsudskiego, który za jakiś czas będzie pokryty gliną rzeźbiarską. i odjedzie do odlewni w Zabrzu

Ekaterina Polianskaja

***

Jaszczurka drzemie
na pniu drzewa złocistym
ach, nie spłoszmy jej!

***

Kiedy umierała moja matka,
ze wszystkich sił
bębniłam w klawisze fortepianu,
stojącego w tym właśnie pokoju.

Cóż, miałam wtedy
pięć lat.
Ludzkie współczucie nie było mi dane,
tak,
jak nie znali go
nieśmiertelni bogowie Antyku...

Dziś jestem starsza od matki,
Jestem starsza od Chrystusa.
Z każdym rokiem coraz częściej
odwiedza mnie
ból –
ogromny, trudny do wytrzymania.

Zwinąć się w kłębek.
Niczym zwierz chory
w kąt odległy wpełznąć... Ale
tam
całą siłą swojej czerni
w napięciu milczy fortepian.

Ekaterina Polianskaja

Urodziła się w 1967 r w Leningradzie, z zawodu lekarz medycyny. Poetka, tłumaczka z polskiego i serbskiego. Od r. 2002 członek Związku Pisarzy Rosji. Autorka siedmiu zbiorów wierszy, laureatka licznych konkursów i nagród literackich.

W swojej twórczości E. Polianskaja korzysta na ogół z formy wiersza klasycznego, rozbudowanego, rytmicznie pulsującego melodyką rosyjskiego języka – nie stroni jednak od wiersza wolnego, czy nawet od skondensowanej formy haiku.

Wiersze E. Polianskiej nie są prostą poezją uniesień emocjonalnych, niesposób doszukać się wśród jej wierszy typowej liryki miłosnej czy erotyków – poezja E. Polianskiej, to głęboko humanistyczna refleksja nad życiem, nad jego różnorodnością i jego pięknem i nad człowieczeństwem, z jego dobrymi, ale i z jego mniej dobrymi stronami. Ta refleksja jest afirmatywna – jest jak pochylenie głowy mądrego człowieka, który cieszy się tym, co jest i potrafi w prostocie rzeczywistości znaleźć piękno i wielkość.

***

Ledwo wieczór próg przekroczy,
ledwo w zamku klucz zazgrzyta –
już srebrzysty jednorożec
gdzieś ku rzece się przemyka.

Fala głucho i bezdźwięcznie
w księżyc niczym dłonią bije,
skórę zimny wiatr wychładza,
cisza w ciszy wprost się wije.

Czas się prószy, sny się kłębią,
mostu czuć na wietrze drżenie,
iskrzą w grzywę zaplecione
niedostępnych gwiazd promienie.

Drobno skrzy się srebrne światło
i po grzbiecie zwierza spływa,
w jego wnętrzu blask już inny –
inne światło tam ożywa.

Napowietrzny pochód płynie,
wstęga mlecznych gwiazd pulsuje,
bestia wolno w wodę wchodzi -
wolno wody łyk smakuje,

potem wzrok podnosi w górę
i przenika nim sklepienie,
a dźwięczące w kroplach światło
wargom sączy swoje drżenie.

I uleci dźwięk wysoki
gdzieś w noc ciemną, nieznajomą,
żebyś się przez sen uśmiechnął.
A do czego? Nie wiadomo....

***

„My wszyscy tu cacy, gdy cacy jest wszystko,
lecz rusz tylko kogoś – i heca gotowa,
już jesteś na minie, załatwią cię szybko."
Dopalił, ziewnął i broń przeładował.

„Ja jestem i bratem, i wilkiem dla ciebie,
a durnie mnie mogą za gada uważać."
Tu twarz mu stężała i zapadł się w siebie -
„a niech ich...", powiedział, „wprost nie chce się gadać".

Ten drugi zaś tylko roześmiał się śmiało:
„Patrz, teraz powietrze tak kipi od wiosny,
Że uszu za mało i oczu za mało".
I ruszył przed siebie, bezbronny, radosny.

Świat dyszał na przestrzał, świat dzwonił, szeleścił,
gdy ten jak na dłoni szedł prosto, niespiesznie,
zaś drugi łopatki wiąż muszką mu pieścił,
a z lufy skakały zajączki słoneczne.

***

spojrzałam w niebo
jerzyki odleciały
pusto nad dachem

***

W tym pokoju słychać, jak nocą jadą pociągi
gdzieś tam pod ziemią, w tunelu bez końca...
Żeby tylko przeżyć listopad! Jak Bóg da, to
nie wyczuje nas żadna świnia i, zobaczysz, doprawdy nie pożre.

Żeby tylko przeżyć listopad – tę skakankę dat w czeluściach pamięci,
te szare kartki ze stemplem na plecach,
ten ochrypły śmiech, to spojrzenie, od którego zasycha w gardle,
ten martwy odblask w oknach czerniejących naprzeciwko.

Żeby tylko przeżyć listopad. Poprzez burą zawieję dojrzeć
na arkuszu stycznia nierówny ścieg ptasich łapek,
błękitne cienie na marcowym sinym śniegu,
poluźnienie rygorów i odroczenie wszelkich wyroków.

Żeby tylko przeżyć listopad... Noc czochra wronie pióro,
zawiewa pod żebra, gdzie serce i tak ledwo już bije.
I abażur cały dygoce. To nierealny pociąg metra,
głucho zgrzytając na złączach, pomknął w nieznane.

Dwa warianty

Ach, długi oddać i żyć spokojnie.
I mocną kawę pić na śniadanie.
Gazet nie czytać, tam wciąż o wojnie,
ceny, reformy, głupie gadanie.

Czytać powieści, opowiadania,
takie sprzed laty minimum stu.
Do fortepianu staruszka siadać,
etiudy sobie odgrywać z nut.

Na hemoroidy nieco pocierpieć ,
widząc w tym korzyść czysto duchową,
a gdy właściwy nastrój nadejdzie -
w strofki po cichu zamieniać słowa.

Nie, nic nie pisać. Puszkin niech pisze.
Zresztą – napisał... Ach, co to mnie...
To niechaj innym świr w głowach gwiżdże
od tych dyskusji o duszy dnie.

I nic nie czytać. I grać na nerwach,
ma się rozumieć – tylko na cudzych.
Taki, po pierwsze, to miły rejwach,
no i bezpieczniej, to tak po drugie.

I w gry strzelanki wciąż grać jak leci -
ot, tak do piwa, tak po robocie.
Długów nie zwracać, z bliźnim Bóg przecież
kazał się dzielić, więc po kłopocie.

prośba

jako że ludziom życzliwa byłam,
dóbr nie ciułałam, kąta nie miałam,
kochałam drogi przez pola garbate,
uśmiechem za uzdę trzymałam strach -

was, gdy się za pogrzeb weźmiecie mój,
upraszam: konia mi nad grób przywiedźcie -
niechaj nad jamą odkrytą wierzgnie,
niech grudy gliny zabębnią o grób

aż dusza pojmie, że ta rozłąka faktem
i bez wyrzutów, litości i łez
ziemi się skłoni i już za chwilkę
na nowym rumaku podejmie swój bieg.

W Izborsku

Niczym strumień bez końca turyści
podążają do źródła – śmiejąc się, żując,
z zapałem kupując upominki,
pocztówki, pierożki i ogórki,
sięgają po aparaty fotograficzne,
próbują uwiecznić się
na tle.
Umierają z zachwytu.
A także paskudzą –
to przecież natura.

W przestrzeń ponad ludzkimi głowami
patrzy ze skały twierdza. Te kamienie
widziały już niejedno... Dla nich
praktycznie nic nie uległo zmianie.
Tylko w basztach dzień w dzień
warstwa po warstwie gęstnieje i echo osiada,
czasem przelewając się przez krawędź,
niczym mgła... Wtedy w dolinie
usłyszeć można czyjś jęk śmiertelny,
i krzyk wściekłości, i szelest śmieci,
i świst strzały, i ryk motocykla.

Prawdę mówiąc – i ci, i tamci,
i to, i tamto, po równi mi obce,
mnie ukrytej wśród plutonu młodych klonów,
szturmujących wały. Świat składa się
z trzepotu słabnących światłocieni,
z jaskółek, rysujących na niebie
figury, których nie znał Euklides,
z nieśmiałego szmeru potoku,
parskania koni na nizinie,
niespiesznego buczenia trzmieli,

suchego terkotu koników polnych
i pełnego błysków szmeru ważek.
Świat pachnie przejrzałą poziomką,
kamieniami i piołunem – i wodą,
łamiącą obce odbicia,
zmywającą je, unoszącą,
jakby na chwilę, tak dla zabawy,
żeby znów – niebo tylko odbijać,
jakby wokół i w istocie
nic nie uległo zmianie.

Przekład: Michał Bukowski

MINI ESEJ

Maria Jentys-Borelowska

POŻEGNANIE MARKA SŁYKA

(14 LISTOPADA 1953 – 3 KWIETNIA 2019)

O śmierci Marka Słyka, jednego z ważniejszych (i niezwyklejszych) debiutantów lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, dowiedziałam się zbyt późno, aby być przy Nim, kiedy wyruszał w swoją ostatnią i bezpowrotną podróż, na spotkanie z Największą − być może, bo któż to wie − Przygodą. Dopiero miesiąc po pogrzebie zadzwoniła do mnie siostra Marka, pani Małgorzata Grabowska z domu Słyk, aby powiedzieć mi o tym smutnym fakcie i... podziękować za wszystkie dobre słowa, które Pisarzowi, a ściśle Jego książkom, kiedyś poświęciłam.

W jednej chwili Marek stanął mi przed oczami jak żywy, choć nie widziałam go od lat co najmniej trzydziestu. Wysoki, szczupły, nerwowy, szalony dwudziestosiedmiolatek o sympatycznej, myślącej twarzy, z ciemną czupryną niesfornych włosów, błyskotliwy, dowcipny, ujmująco bezpośredni i przyjazny, słowem Ktoś, Kogo nie sposób nie polubić. Polubiłam więc Marka z miejsca, zwłaszcza, że książka, którą zaoferował „mojej" Redakcji Debiutów Literackich, urzekła mnie i setnie ubawiła. Była to powieść *W barszczu przygód*, pierwsza część „trylogii zupnej", jak ją nazwał któryś z recenzentów. Przyniósł ją autor do „Iskier" w roku 1979, a już rok później pojawiła się na rynku księgarskim, w szacie dość skromnej wprawdzie, za to z rysunkami Franciszka Maśluszczuka. Od razu rzucili się na nią krytycy, niewątpliwie sprowokowani entuzjastycznymi wypowiedziami Henryka Berezy o dwu utworach młodego prozaika „czytanych w maszynopisie": o młodzieńczej powieści fantastyczno-kryminalnej *Po co jest nóż* oraz o *Barszczu przygód*. Jedni rzucili się powodowani naturalną ludzką ciekawością, inni − równie, niestety, naturalną ludzką zazdrością, złością, bezsilną wściekłością. Wokół debiutanta i jego protektora zawrzało. Ale czy można się temu dziwić, skoro Henryk Bereza pisał:

„Nazwisko autora *Po co jest nóż* (1974) tkwiło mi w pamięci przez lata, do lektury powieści *W barszczu przygód* (maszynopis 1978) zabrałem się ze szczególną skwapliwością i ciekawością, nie spodziewałem się jednak, że czeka mnie przygoda lekturowa aż tak niezrównana. Przeczytać w maszynopisie zupełnie nieznanego polskiego autora utwór o cechach narracyjnej doskonałości, przeżyć w lekturze maszynopisowej jedną z najświetniejszych przygód literacko-intelektualnych, to w mojej sytuacji czytającego męczennika niemal łaska losu [...]

[...] Narrator *W barszczu przygód* nazywa siebie najczęściej 'poszukiwaczem przygód', jest wszakże czymś więcej, jest przygód kreatorem, ponieważ świat, o którym opowiada, jest bogatszy w przygody niż świat rzeczywisty, świat rzeczywisty wyżęło się tu z bezprzygodowości, jak wypraną koszulę wyżyma się z wody, bezprzygodową czasoprzestrzeń oddzielono tu od czasoprzestrzeni przygód, zostawiono tylko tę ostatnią, spreparowano tylko jej koncentrat, wypreparowano jej tworzywo – wewnętrzny język wyobraźni i myśli, i zewnętrzny język mowy i pisma – w taki sposób, że stało się ono mistrzowskim narzędziem przygód wyobraźni i myśli w języku polskim, którym się tak włada, jak nim nie władano od bardzo dawna"[1].

Młody pisarz stał się celem ataków, które burzyły jego i tak chwiejną równowagę psychiczną. Na pozór dobrze „uzbrojony", po mistrzowsku władający ironią i autoironią, kpiną i fantazją, był w istocie nadwrażliwy, a więc bezbronny. Leczony stale środkami psychotropowymi, miewał na przemian okresy remisji – dobre, twórcze − oraz okresy ostrych zaburzeń psychotycznych, kiedy kontakt z Nim był bardzo trudny lub wręcz niewskazany ze względu na nadzwyczajne pobudzenie chorego. Widywałam się z Nim jednak nawet w tych „złych" okresach, albo w Instytucie Psychoneurologicznym, albo w mieszkaniu państwa Słyków, dokąd byłam zapraszana. Rodzice Marka twierdzili, że ich syn lubi mnie, a że z racji choroby jest bardzo samotny, więc cieszy się, gdy przychodzę. Mógł mnie lubić z tej prostej przyczyny, że i ja go lubiłam, a traktowałam nie jak chorego psychicznie, ale jak miłego i mądrego, bardzo nietuzinkowego człowieka dotkniętego nieszczęściem. Z doświadczenia zresztą wiedziałam niemało o chorych na duszy...

Byłam szczerze rada, gdy oznajmił mi, że znalazł dziewczynę, która chce go za męża. Niełatwo mu to przyszło, długo szukał odważnej... No i zaznał szczęścia bycia mężem i ojcem, którego tak gorąco pragnął.

Przygotowywałam do druku trzy jego powieści – trzy najosobliwsze ze znanych mi literackich „zup": prócz *W barszczu przygód* także *W krupniku powikłań* (1982) i *W rosole rozstrzygnięć* (1986). Po odejściu z „Iskier" w roku 1990 straciłam Marka Słyka z oczu, lecz jeszcze dwukrotnie, nie pamiętam jednak w jakich okolicznościach, trafił mi do rąk jakiś jego utwór. Czytałam go ze smutkiem, gdyż był naznaczony chorobą... Być może było to w czasie, gdy pracowałam w redakcji dwutygodnika społeczno-kulturalnego „Sycyna", pod kierunkiem Wiesława Myśliwskiego. I właśnie w „Sycynie" opublikowałam esej *O nowe wartości w literaturze*[2], w którym po raz pierwszy wypowiedziałam się na temat pisarstwa mojego ulubionego „kuchmistrza". Nazwałam go tam między innymi szalonym wojownikiem prawdy wyobraźni, jej przewrotnym i przebiegłym tropicielem, niezmordowanym poszukiwaczem i kreatorem, nieobliczalnym żonglerem, prześmiewcą, kpiarzem i szydercą, gotowym wleźć, gdzie diabeł nie może, byle zbadać niezmierzone możliwości tej najogromniejszej z prawd. A zakończyłam mój króciutki esej następująco.

„Prawda wyobraźni! Z jaką mocą owładnęła umysłem niespełna dwudziestoletniego pisarza, skoro zaczął przenosić na papier wszystko, co od niej pochodziło, wierząc święcie, że tworzy świat bez granic, wszechświat zgoła, w którym chciane jest możliwe, ludzkie nie jest, nie może być obce, absurdalne jest naturalne, a dramatyczne i tragiczne zwyczajne, śmierć jest i nie jest śmiercią, bo wyobraźnia może ją odwołać, a zbrodnia jest wielokrotnością zbrodni, bo wyobraźnia może ją powtarzać, poszukiwacz przygód, grzęznąc po uszy w bagnie, może najspokojniej zatroszczyć się o kanapkę, którą ma w kieszeni, gdyż wie, że co ma go spotkać, i tak go nie ominie, a co ma go ominąć, pójdzie sobie precz, nawet gdy on w tym bagnie dosięgnie dna i tam utknie, nie ma więc powodu, by cierpiał z głodu.

Marek Styk – często bagatelizowany jako pisarz „zabawowy" – jest w istocie odkrywcą ziemi nieznanej w polskiej literaturze, albo prawic nieznanej, w każdym razie mało uczęszczanej i traktowanej nieco wzgardliwie. A przecież pejzaż tej ziemi jest oszałamiający. W fantastyczności można tam dojrzeć realizm, w realizmie – surrealizm, w surrealizmie – komizm, w komizmie – makabryczność, w makabryczności – groteskę. I tak dalej, i tak dalej. Poszukiwacz przygód, jakim jest narrator trylogii, *alter ego* Marka Słyka, nie pozwala czytelnikowi utknąć ani na chwilę w grzęzawisku nudy, na mieliźnie jednoznaczności. Jego prawda o świecie to prawda wielowymiarowa, złożona, z tajemnicą odmieniającą się jak w kalejdoskopie. Frapujące jest szukanie tej prawdy trop w trop za Flakononem Pluxem: w przygodach, które kreuje sobie ku potrzebie i uciesze, w języku który urabia na oczach czytelnika z nieporównaną zręcznością, swobodą i elegancją. Niezapomniany Flaczek!"

Nie ma już Marka Słyka, odszedł od nas bezpowrotnie, ale na pocieszenie zostawił nam nowe wcielenie „niezapomnianego Flaczka", czyli Flakonona Pluxa, narratora i bohatera „zup". Spróbujmy ruszyć za nim w podróż do Pra-Wedy, aby przekonać się, czy ten starszy o całe lata Plux przypomina jeszcze młodego i szalonego poszukiwacza i kreatora przygód, czy też jest już kimś innym.

Żegnaj, Marku! Witaj, Flakononie Pluxie starszy! Witaj po latach, niezapomniany Flaczku!

Maria Jentys-Borelowska

Maja Wolińska

ŻEGNANIE MARKA SŁYKA

Marek Słyk

PRA-WEDA

(fragment niewydanej powieści z 2012 roku)[3]

Póki jest jeszcze czas na formułowanie, intuicyjnie przecież już we mnie istniejących, odpowiedzi na stawiane bez rezultatu od tysiącroczy przez myślącą mniejszość ludzkości pytania, przystępuję oto w cichości mego gabinetu do zuchwałej próby przekształcenia mej intuicji w pewność. Niby pewna jest tylko śmierć, natomiast zwycięstwo zawsze musi być chybotliwe. Niemniej, ufny zasadzie wyjątku, tym usilniej próbuję wypracować własny, zapomniany dawno tryumf, a to tryumf nad bezwładem wszechświatowej masy, której pozostaję nieodrodnym, aczkolwiek silniej niż to bywa zazwyczaj, zbuntowanym atomem. Nikła albowiem w klęsce przebywa mądrość, jeśli już mamy mówić, że nie sposób się ostać, nie bazując na tej właśnie, chętnie korespondującej tylko ze zwycięzcami, wartości. Nie zmienia to faktu, że do rozpoczynającego się – kilku powyżej napisanymi zdaniami – wyścigu startuję niestety z pozycji słabeusza. O, poznałem fałszywe uroki słabości, która, wypłynąwszy z mej – teraz widzę, jak lekkomyślnej! – rezygnacji z uczestniczenia w bojach przeciwko naturalnym wrogom, spowodowała ten, ciągnący się dziesiątkami roków i mający dla mnie skutki jakże opłakane, stan wyższej konieczności – zmagania się z jakimś, quasi-fikcyjnym wrogiem nieokreślonym! W tym ostatnim rozpoznałem samego siebie dopiero wtedy, gdy go prawie już zdołałem zabić; będąc tym słabszym, im bardziej zwycięskim, nie mogłem wyciągnąć innego wniosku niż ten, że to jestem ja sam. Wiem, mój potencjalny czytelniku, że to, czy staniesz się mym czytelnikiem *de facto*, zależy w równej mierze od twego kaprysu – jak od twego (a nie mego) interesu. Otóż w kaprysie jest los, w interesie – ślamazarniejsza odeń kalkulacja. Wikłać się w myślowe ścieżki osoby słabej, nadrabiającej za to nadmiarem wysilonej – powie ktoś – pseudofilozofii, nie zechce przez rozum raczej nikt. Toteż, uświadomiwszy sobie dosłownie przed momentem, iż idąca tu, a mająca mieć swój finał może po latach mej męczarni, quasi-literacka praca uzyska sens dopiero wówczas, kiedy na te domniemane manowce czytelnika zwabię, spróbuję argument na rzecz, jak wierzę, naszą wspólną – jakoś wyprodukować środkami na tyle racjonalnymi, na jakie mnie stać, wspomagając namowę do lektury obietnicą pewnych propozycyj odwołujących się do twego – o ile mogę to odgadnąć – kaprysu. W dalszych partiach kiełkującego tu tekstu zostanie wyjaśnione, dlaczego istnieć jako cokolwiek musimy, a tego, by ostać się jako byt będący w drodze na właściwym naszym aspiracjom stopniu zaawansowania, nie mamy zagwarantowane. Otóż moim zamysłem jest obmyślić tu uniwersalną metodę (na własnym niestety przykładzie), jak nie ulec zbylejaczeniu. Że waży się na to człowiek słaby, jakim jestem, wiarygodność przekazu winno tylko wzmocnić.

Pakuję manatki i jadę do Monte Carlo. Samochód mam niezły; jest to przerobiona od strony samej koncepcji osobiście przeze mnie, a wykonana rękoma zdolnych wynajętych blacharzy, sportowa wersja poloneza karo, co wzmiankuję po trosze, żeby się pochwalić, lecz głównie chodzi mi tu o gruntowność opisu, ponieważ co by to było, gdybyś, drogi badaczu osobowości Flakonona Pluxa – wesołego pechowca, musiał bazować na nieaktualnych danych sprzed lat i wiosen, kiedy to po bezdrożach zamieszkiwanej wówczas przeze mnie Festylii telepałem się starym lombardari super. Do diabła, ktoś dzwoni!

− Tak? – tchnę do komórki. Ze słuchawki dobiega coś jakby szemranie strumyka.

− Cześć, Flaku, to ja – dobiega mnie cieniutki jak dźwięk skrzypiec głos mej żony, Kuby Plux, z domu Faynol, o której tyle wam opowiadałem w poprzednich tomach.

− Witaj, Kubo. Ale słyszę szmery. Czyżbyś zbłądziła nad jakiś szemrzący ruczaj? Wybacz mą ciekawość, ale to przez jej brak Indianie nie dokonali wynalazku koła nawet.

– Kąpię się w łazience – Kuba ceni konkret, dzięki czemu tak pięknie z sobą kontrastujemy. – Dzwonię, bo miałam telefon od Matrycji Remodas, której syn popadł w konflikt z prawem i która w związku z tym pyta, czy posiadasz wiedzę na temat, kto może być profesjonalnym… (poczekaj!, mydło wpadło mi do ucha, muszę je trochę odetkać!) … obrońcą w sprawie o gwałt. Wiem, że chodzisz z głową w chmurach i mało dbasz o kwestie, jakbyś powiedział, przyziemne. Co by nie mówić, jak zapatruję się na ten twój zwyczaj, zawdzięczasz mu znajomość innych pasjonatów operujących w ramach problematyki wolnomyślicielstwa, którym czasami nie przeszkadza to być specjalistami dziedzin dających chleb. Matrycja liczy na to, że wśród takich jest i zdolny prawnik.

– Kubo, to prawda, że kolegów mam wielu, bo za takich uważam także tych, którzy choćby raz na mnie spojrzeli lub stali się wyznawcami poglądu, który równolegle formułowaliśmy, choć poza tym nie łączy nas nic. Słynny adwokat, jakiego poszukuje nasza przyjaciółka, to może być Dragstrom Rurer – sięgam do mojej kapitalnej w chwilach olśnień pamięci. – Przy jednym stoliku pałaszowaliśmy niegdyś w barze swoje jajecznice. Zagadnąłem go wtedy, czy przyszłości jadłodajnictwa nie widziałby może w przestawieniu oferty zakładów taniego żywienia na specjalnie skomponowane izotopy węgla, co odsunęłoby od ludzi konieczność wątpliwego moralnie zabijania zwierzaków, w tym ich form nienarodzonych. Odpowiedział, że taki węgiel też miałby cechy życia, więc szkoda trudu. Na to ja, że idę o zakład, iż do roku dwutysięcznego dwudziestego drugiego jadalny węgiel wyjdzie ze stadium prób i przejdzie do fazy przemysłowej produkcji. Rurer zakład przyjął, wręczając mi swą wizytówkę ze słowami, że o ile tej jednak dość odległej daty dożyjemy i o ile stanie się tak, jak przewiduję, to gotów będzie uścisnąć mi wtedy mą dłoń.

− Masz tę wizytówkę? – pyta Kuba, która żyje problemami chwili obecnej.

− Poczekaj, muszę zatrzymać wóz – mówię. – Byłoby jednak zbyt niebezpiecznie szperać w dokumentach, jednocześnie prowadząc.

− Jedziesz gdzieś? – Kuba wykazuje partnerskie zainteresowanie.

− Tak, napadło mnie, by pograć w kasynie – tłumaczę, zjeżdżając na pobocze. Może to co poniektórego zdziwi, że znany przed laty z tułaczej bezdomności Flakonon Plux ma wreszcie prywatne mieszkanie. Lecz poza nim i niezłą bryką, w której teraz zresztą siedzi, cały swój majątek trzyma, jak i dawniej, w przepastnych kieszeniach swego surduta. Grzebie w tych kieszeniach doprawdy nie tylko od wielkiego dzwonu, choć materialnych swych potrzeb nie rozognia, ponieważ o cennych rzeczach woli jedynie wiedzieć, niźli takowe posiadać, co upodabnia go zapewne do starożytnych czy choćby średniowiecznych ascetów. Ale książki, dzięki którym wiedza staje się czymś, po co można sięgnąć, uzyskały ostatnio w Pyrii, kraju, gdzie z rodzinnej Festylii Plux się przeniósł, ceny nieledwie niebotyczne. Ascetyzm Pluxa lub, by wrócić do narracji pierwszoosobowej, mój cechuje jednak, znana z prac Alberta Einsteina, względność. Tak więc obojgiem rąk szperając w kieszeniach, potrzebny kartonik szczęśliwie prędko znajduję.

– Kubo, jesteś?… Fajnie. Czytam ci: „Dragstrom Rurer, adwokat. Telefon biura: 7777777". Siedem siódemek, łatwo zapamiętać. „Adres biura: Aleja Niewolniczego Trudu 1". Jedna jedynka, też pamięć łatwo przyswoi.

– Dziękuję, Flaku – mówi żonka. – Ale z tą łatwością zapamiętania to chyba nie będzie zupełnie tak, jak przewidujesz. Coś mi się pokićka i podyktuję Patrycji, że telefon Rurera to cztery czwórki lub osiem ósemek.

− Kubo! – parskam, zgorszony. – A ilocyfrowe są telefony w Schizogrodzie? Siedmio!

− A jak mam skojarzyć Aleję Niewolniczego Trudu z jedynką?

− Tak, że niewolniczy trud to nasza ludzka pierwszoplanowa powinność.

− No dobrze. Tylko nie zgraj się do cna w tym Pacanowie, czy gdzie tam jedziesz. Pamiętaj, że jesteśmy ludźmi ubogimi. Pa!

Rozłączam komórkę, po czym uruchamiam starter mojej maszyny. Odkąd mieszkam w Europie, moje życie jęło przypominać bajkę. Pyria nie jest może najpyszniejszym krajem – już choćby tylko ze względu na jej przeszłość, zaludnioną milionami istnień, które los przedwcześnie unicestwił, a czego pamięć beznadziejnie obciąża mentalność Pyryjczyków, ale dobre położenie geo-potrzebnościowe, czyli to, że wszędzie stąd blisko, umożliwia, bo że zapewnia, toby był niepożądany przecież nadmiar szczęścia, wypracowanie uspokajającego przekonania, że da się tu żyć. Pyria, kraj pyr, a więc ziemniaków, dla ludzi już tylko nieznacznie odbiegających od normy ku tak zwanemu przesadyzmowi, mieni się w swej codzienności, a co dopiero mówić o dniach świątecznych!, wszystkimi barwami tęczy. Środek kontynentu – czyż nie brzmi to podobnie jak tylekroć może wyszydzany, lecz w gruncie rzeczy mający wymiar tryumfalny, pępek świata? Być może rozwodzę się tak nad, kto wie, czy nie rzekomą, wspaniałością dotykanego obszaru dlatego, że sam tu zamieszkałem. Cóż, jestem fanatykiem własnej osoby nie bez powodu. Okaże się dalej, czemu tak sądzę.

Marek Słyk

(Endnotes)

1 Henryk Bereza: Bieg rzeczy. Szkice literackie. Warszawa, Czytelnik, 1982, s. 217- 228, szkic pt. Swoboda.

2 Przedruk w: Maria Jentys: „I światłem być, i źrenicą". Warszawa, Nowy Świat, 1990, s. 57-66, szkic pt. Oficerowie prawdy. (O nowe wartości w literaturze).

3 Powieść Pra-Weda jest dostępna, w 67 odcinkach, na oficjalnej stronie internetowej Marka Słyka. Podaję ją do druku w porozumieniu i za zgodą siostry Pisarza, pani Małgorzaty Grabowskiej.

Marek Słyk

(fragment powieści z 1980 roku)

W BARSZCZU PRZYGÓD

Podskoczyłem nieco, zawisłem na brzuchu i przechyliłem się, po czym wylądowałem na klepisku. Tymczasem ból prawej nogi powiększył się do tego stopnia, że bez przerwy jęczałem, lecz widok chrapiącego na sofie Farseta podziałał na mnie uspokajająco i zarazem rozweselająco. Nie wyobrażacie sobie, jak on pociesznie poruszał uszami przy każdym wdechu i wydechu, poza tym samo jego chrapanie należy do najprzysłowiowszych ciekawostek tych stron. Mianowicie przypomina zarazem rżenie starego i młodego konia, jest jednocześnie niejako syntezą dwu pokoleń komików i dwu pokoleń chomików, które przypomina lekkimi poruszeniami warg w miejscu, gdzie niektórzy noszą wąsy podobne tym futerkowcom.

Zaprzestawszy jęku, tym usilniej powróciłem do niego, jednak na nim nie poprzestałem. Podszedłszy do Farseta lekko wstrząsnąłem jego brzuchem, który był, wedle jego słów, „najbardziej unerwiony" i który w takich wypadkach właśnie należało lekko drażnić. Wynik takiego zabiegu zawsze był pewny, toteż bez zdziwienia przyjąłem fakt, że Farset, w ogóle się zresztą nie poruszywszy, otworzył oczy i z miejsca mnie zobaczył.

− Flak? Flakonon Plux? — wyjąkał rozespanym głosem. Świetnie!...

Zerwał się na równe nogi i wylewnie się ze mną przywitał.

— Byłem przygotowany na to, że wpadniesz. W tym właśnie celu... a może i niejako wbrew temu celowi, postanowiłem się trochę odświeżyć lekką niezobowiązującą drzemką. Pozwolisz, że napijemy się — właśnie! — mleka czy serwatki?

— Niech będzie mleko.

— By następnie dać folgę naszym językom.

Farset był z zasady nieco irracjonalny. Mówił często niejako od rzeczy, stosował pułapki słowne; zabawiał się wyrazem zmieszania i kłopotliwego zażenowania swych gości, którzy czuli do niego prócz sympatii także lekki intelektualny wstręt, bo chociaż zawsze można się było z nim dogadać, to jednak często dochodziło do nieporozumień. Na przykład Farset mówił:

— Pozwólcie, że nazbieram nieco wiwisekcji, nim zabierzemy się do skarlenia.

Na co gość z reguły odpowiadał:

− Przyznam, Farsecie, że głębie twych metafor są mi niedostępne.

Wtedy Farset rozkładał ręce i udając pobożnisia czy wręcz hinduskiego fakira z jakichś nieodgadłych powodów wypowiadał coś w tym rodzaju:

— Podnoszenie się do wyższego poziomu abstrakcji jest równie kłopotliwe i niezręczne jak opadanie schodzenie na poziom niższy — co niby wszystko miało tłumaczyć. Lecz sądziłem, że w sytuacji istotnie trudnej czy groźnej albo po prostu przymusowej Farset zachowa się rozsądnie.

— Nieszczęście, drogi wspaniały Farsecie, srogie nieszczęście — mówię gorączkowo, pojękując. — Zostałem, wyobraź sobie, pokąsany, ukąszony przez jadowitego węża lub żmiję w to — tu pokazuję palcem — miejsce. W boleści wprawdzie nie odchodzę jeszcze od zmysłów, ale chyba niebawem odejdę, gdy nie pomożesz, nie zaradzisz.

— Zostałeś ukąszony na mojej wyspie? — zapytał z przejęciem. — Na mojej wyspie? Czyż to nie jest wspaniałe, jeśli w ogóle... jeśli w ogóle jest to prawdziwe?

— Ach, Farsecie! Nie należę do szczupłego elitarnego grona symulantów, przecież wiesz o tym! — mówię, coraz bardziej pojękując. — Nie potrafię udawać, symulować, jestem szczery w bólu! Właśnie przez to jestem szczery w bólu! Ach, zrób coś, bo przecież ukąszenie to może...

— Jest nieśmiertelne. Na pewno jest nieśmiertelne — przemówił ze zwykłym sobie humorem. Ale zaraz powrócił do przejmującego, dojmująco radosnego tonu: znowu zaczął rozwodzić się nad tym, że ukazanie się jadowitego stworzenia na jego wyspie jest wspaniałe.

— Myślę jednak trochę bez głowy czy raczej wręcz z głową! — mówił. — Ale ty się nie przejmuj! Nie ma po prostu czym — zrobił długą pauzę — się przejmować! Jad tego stworu jest może nieco bolesny, jako że trafił pewnie na miejsce unerwione, jednak jest nieśmiertelny, przez co oczywiście należy rozumieć, że nie jest śmiertelny, więc naprawdę nie ma powodu! Och, przestań. Wypij lepiej mleko z rannego udoju, które tak lubisz.

Nie był jednak natrętny w swej propozycji. Skłonił mnie do pociągnięcia łyku niejako poglądowo — własnym pociągnięciem. Łyknąłem to mleko z miejsca, wprost od razu. Byłem wciąż zdenerwowany, łyk nie wystarczył, bym się uspokoił; musiałem wypić pełen kubek. Ale i kubek nie wystarczył. Przyszło mi do głowy, że musiałbym wypić chyba całe Farsetowe szambo, by poczuć się w miarę rześkim i uspokojonym, ale prędko odrzuciłem tę myśl jako nazbyt śmiałą i w ogóle głupią. By poznać smak soli, nie trzeba przecież zjadać całej beczki, wystarczy jedno, bezpłodne co prawda, ziarno, które z miejsca daje pojęcie o tym właśnie smaku. Nie bardzo się wprawdzie trzymało kupy to moje poboczne myślenie, machinalne swobodne dowodzenie, ale postanowiłem zacisnąć zęby i dalej brnąć w ślepe uliczki zachodzenia w głowę, aż wreszcie zmieniłem zamiar i powiedziałem Farsetowi, że tylko dla jednego konkretnego interesu tu przybyłem.

— W porządku. Jestem gotowy sprzedać ci to — powiedział zwyczajnie, jakby nagle odkrywając, że moja wizyta ma jednak jakiś pozarozrywkowy sens i że skoro sens rozrywkowy zszedł nieco na manowce, należy przystąpić do połączonej z kupnem sprzedaży.

— Nie jestem, w przeciwieństwie do ciebie, aż takim tumanem — ciągnął — by przywiązywać wagę do starych zwietrzałych papierów, na których najczęściej wypisane są brednie, jako że papier jest cierpliwy i nawet nie pali się ze wstydu... — tu lubieżnie łypnął okiem, dając mi do zrozumienia, że interesujący mnie, acz bez przesady interesujący, rękopis był już poddawany próbom spalenia, lecz jakoś opornie się im właśnie poddawał, przez co nieomal w całości został zachowany.

— Obstaję przy wyznaczonej cenie — powiedziałem — choć mogę dołożyć jeszcze parę groszy, jeśli specjalnie się w zatwardzeniu swoim pogłębisz.

— Nie jestem człowiekiem chciwym — on mi na to. — Mógłbym ci nawet dać go za darmo, jeślibyś z kolei ty w zatwardzeniu pogłębił się swoim. Zresztą — mówił lekko, jak gdyby dawno ułożone w głowie myśli teraz jedynie realizując słownie — dawałem ci tyle okazji, byś sobie, nie wyrażając się zbyt ostro, po prostu wziął czy ukradł te strzępy, że naprawdę zaczęła mnie już martwić twoja przysłowiowa uczciwość.

— Nie przyjmuję darowizn — odparłem. — Nie kradnę również. Jestem na to zbyt dumny czy uczciwy, jak powiedziałeś. Jednak kupię z przyjemnością.

— A więc dwadzieścia czerwońców?

— A więc rękopis.

— Dobrze. Ból zapewne nieco złagodniał? — chytrze spojrzał, uśmiechając się z odcieniem finezji.

— Nie rozumiem — odparłem niezmieszany.

— A więc czy mam przez to rozumieć, że incydent z wężem nie był z twojej strony jedynie próbą wzbudzenia we mnie litości, bym tym łatwiej, nieomal darmo, pozbył się mego cennego — wzniósł głos — środka do osiągnięcia bajecznej wręcz, bajkowej, być może, fortuny? Ale dość z kpinami. Dwadzieścia czerwońców właśnie ja dostaję darmo, ty zaś po prostu sobie bierzesz nieodgadły znikczemniały szczęt śmiecia.

— Dobrze, widzę, że nie odmawiasz sobie przyjemności krasomówczej, gdy okazja się wreszcie nadarzyła. Lecz zapewniam: noga boli mnie nadal, jeszcze może bardziej uprzykrzenie niż przed, powiedzmy, trzema minutami, co niech oddali ode mnie twe nieuzasadnione podejrzenia.

— Nie ma o czym gadać. Trzymaj rękopis i jeśli chcesz, posiedź u mnie trochę, a jeśli nie chcesz, pójdź sobie do wszystkich, że tak się wyrażę, diabłów!

Wręczyłem Farsetowi pieniądze, wziąłem rozeschły, acz przy tym nieco rozmokły papier i wyszedłem z chaty, tym razem drzwiami, gdyż było to wygodniejsze, jak zresztą każde konwencjonalne wyjście, które przez to się staje powszechne, że jest właśnie wygodne.

Marek Słyk

Maja Wolińska

AKCELERACJA

Michał Frąckiewicz

Ulice barwy sepii, ludzie oślepieni blaskiem słońca, przedzierającego się przez zamglony od smogu horyzont, telebimy reklamujące tropikalne raje, rozświetlające smog na zielono, granatowy cień kładący się nad nowoczesnym miastem. Smog nie ma jednej barwy, faktury i zapachu. Potrafi lekko pachnieć wędzonym dymem kominów lub piec w oczy i gryźć w płuca stężonym oparem. Toksyczna mgła jest piątą, widmową porą roku, nawiedzającą nienaturalnie gorące jesienie, pozbawione śniegu zimy i długie, zmutowane przedwiośnia. Smog kwitnie, wżera się w pory ścian i skóry, stając się naszą polską specjalnością. Smog nad polami, opary jak mgiełka broni chemicznej wyściela doliny, dymy, popioły, dziwne kolory nad linią miasta, okna zamykane w pośpiechu, gdy gryzący dym z czeluści pieców i rur wydechowych dostanie się do środka. Poziom zanieczyszczenia w powietrzu jest taki samym wskaźnikiem jak temperatura i opady. Czyta się go w radiu jak kiedyś stan wody Wisły i Warty. Smog, lotna maź, czarna esencja, mazut, haust spalonej ropy i gumy, węgiel, opar znad błotnistej ojczyzny.

Smog ma swój specyficzny zapach, który może w tajemniczy sposób wywoływać melancholię. Tak mogłaby pachnieć melancholina, petryfikowana czarna żółć. Fikcyjna substancja dostająca się do osocza komórek i tworząca swój własny układ limfatyczny. Gdzieś na obrzeżach melancholii, można odnaleźć śladowe ilości innych stanów. Być może dlatego, że posiada tyle domieszek, jest tak trudno uchwytna jako całość. Może jej towarzyszyć jakiś cień euforycznego samoumartwienia, ascetycznej mizantropii, ale i przekonanie o nabyciu jakichś wyjątkowych charyzmatów.

Smog i nieokreślona melancholia to cechy, które nawiedzają nasze miasta i wsie. Melancholia, jako zanieczyszczenie umysłu to katastrofa zdrowotna cywilizacji post-cyfrowej. Melan Koina czyli „czarna żółć", ta skondensowana metafora smutku, przywodząca na myśl skażoną chemicznie maź, przemysłowy olej i smar. To uczucie zanikania, kierujące uwagę „nosiciela" na ziemię, na ciężką materię rzeczywistości, na to, co podziemne, lepkie, kleiste niczym odrzuty post-cywilizacji. Dotknięci wirusem melancholii widzą rzeczy oderwane od słów, wyjątkowo namacalne i obecne. Wszystko nosi dla nich zalążek degradacji.

Ludy post-cyfrowe dotknęła podobno plaga melancholii. Katastroficzne wizję, każą nam sądzić, że zostaliśmy uwięzieni w korporacyjnych filmikach szkoleniowych i nie możemy znaleźć zaciskającego się wyjścia. Szczerzący kły guru postępu, zaklęli ludzi w cyfrowe zombie. Rzeczy miały uniezależniły się od nas i kawałek po kawałku przekształciły rzeczywistość w jej symulację. Trzeba przyznać, że zawodzi nas nawet pamięć. Pokolenie cyfrowych tubylców, lepiej pamięta odcinki seriali niż swoje życie. Poprzednia dekada to już tylko biały szum z milionów memów. Kuszący i autoironiczny kapitalizm, nagle wkroczył w swoją poważna, mistyczną fazę.

Mainstream lubi odwoływać się do imaginacji o czasach sprzed facebooka, kiedy postęp wydawał się nieunikniony, a nad rajem przyszłości, zawsze miało świecić digitalowe słońce. Okazuje się, że te reklamy nadchodzącej epoki wiecznej szczęśliwości, były programami abordażowymi fantasmagorycznej proto-przyszłości. Wrośnięci w sieć, tą protezę umysłu, dążymy za znikającym punktem, odmierzając kolejne fazy nowoczesności. Okazało się, że wyrzuciło nas na bezkresny ocean nudy i niepewności. Post-cyfrowa cywilizacja tęskni za niespełnionymi obietnicami, za oczekiwaniem na rajskość, której wie, że już nie osiągnie. Dziś ludy cyfrowe pędzą przez ten ocean, doznając przerażającego odczucia deprywacji zmysłów i deprywacji świadomości. Zaczęły tracić orientację kierunków, doznały depersonalizacji, derealizacji, mają umysł zamulony informacyjnym smogiem. Rozpaczliwie poszukują punktów odniesienia w tym dryfie. To rodzi melancholię i nostalgię, tym większą, jeśli urodzili się już w pozbawionych wyrazistych cech rozlewiskach ery cyfrowej.

W książce J.G. Ballarda „Królestwo nadchodzi", autor przewiduje moment, gdy pustkę, którą zrodził konsumpcjonizm, ludzie zapragną wypełnić czymkolwiek, choćby szaleństwem. Centra handlowe do pewnego momentu, zaspokajały potrzeby społeczności, dążącej do nowości i luksusu. Potem jednak, zdezorientowane, wypełnione nudą miasta wokół dróg szybkiego ruchu opanowała histeria. Ludzie zapragnęli wydostać się na zewnątrz, poczuć coś rzeczywistego, nawet jeśli miałby to być koniec ich pięknego świata. Wychodzą na ulicę i zaczynają demolować własne miasto, wiedzeni przez marketingowych mesjaszy. Z radością zapragnęli klęski pozornie szczęśliwej cywilizacji. Okazuje się jednak, że nawet zbiorowe szaleństwo, może stać się towarem na sprzedaż.

Czasy post-cyfrowe porzuciły marzenia o nieskończonej wolności, którą miała oferować globalna wioska. Właśnie aresztowano Juliana Assange i przegłosowano Acta-2 i nie spotkało się to z większymi protestami. Dzisiejsze czasy są raczej nihilistyczne, rygorystyczne, świadome swojej efemeryczności, czynią z formy swoją główną treść, gdyż od początku odgrywają historię o triumfie i upadku. Są naznaczone poczuciem przejściowości.

Podkładem muzycznym i estetyką tych czasów jest nurt vaporwave, który z czeluści internetu zainfekował mainstream. Pozornie może on uchodzić za spełnione marzenie globalizacji z swoimi lotniskami, hotelami, pokojami konferencyjnymi, wakacjami w tropikach, wspaniałym lifestylem, fetyszyzacją luksusowych przedmiotów i korporacyjną utopią. Nurt vaporwave leży gdzieś między muzyką, a wysypiskiem odrzuconych dźwięków. Podobne do gigantycznego strumienia informacji, wypluwanego przez zainfekowany software, mogą obrazować nasze czasy, są przyjemne i nieprzyjemne zarazem, wywołują sprzeczne emocje komfortu i mdłości, relaksu i nerwowości, zachwytu i czającego się za rogiem zagrożenia. Trochę jak polski pejzaż miejski i podmiejski. Kolaże niedopasowanych stylów, sklejone z cegły, socrealizmu, przemalowanego, betonowego modernizmu, kiczowatego turbokapitalizmu epoki transformacji i rosnących szklanych domów.

Moda na grzeczne, idylliczne i pretensjonalne retro przemija. Wraca nieobliczalny cyberpunk. Polska znów okazała się niezwykle bliska Azji, niczym u młodopolskich mistyków. Oto widzimy świat „high tech, low-life" niczym u Williama Gibsona. To krajobraz neurotyczny, pełen pułapek i nieograniczonych możliwości, zbitka z poszatkowanej cywilizacji, pędząca w tylko sobie znanym kierunku. W osnutej smogiem Warszawie, wieżowce pną się wzwyż, wszędzie mamy kontrasty PRL- u i XXI wieku, płonące telebimy Netflixa przytwierdzono do ceglanych kamienic, kapliczki stoją zwrócone w stronę ekranów dźwiękoszczelnych, rośnie korporacyjny mordor, wraz z przenoszeniem centrów usług krystalizuje się społeczeństwo informacji, a tłum pchany wzrostem, zamawia ubera i sunie przez galerie handlowe, kupuje telewizory plazmowe za chwilówki, odreagowuje traumę zawiedzionych aspiracji, pragnie roztopić się w pędzie cywilizacji, maszerować przez galerie z zakupionymi towarami. Paradoksalnie jest w tym konsumpcjonizmie jakiś ascetyczny rytuał. Wyśmiewanie materializmu, manifestowanie nonkonformizmu przestaje być modne, bunt przestał się sprzedawać. Dzisiejsze igrzyska są pompatyczne i na poważnie, więcej w nich dyscypliny niż hedonizmu, podobnie jak w książce Ballarda.

Peryferia miasta to też strefa estetyki „high-tech, low-life". Technologia wydaje się tu jeszcze ważniejsza, pozwala zachować kontakt z cywilizacją, jest augumentacją rzeczywistości. Biedna młodzież na krawężniku zatapia się w internecie, z twarzami rozjaśnionymi ekranami smartfonów, kiście talerzy satelitarnych obrastają zrujnowane balkony, telewizory plazmowe stają na zapleśniałych meblościankach. Mieszkańcy bieda-bloków siedzą w cyfrowym odosobnieniu, choć telewizja nie daje już rauszu. Siedzą w platońskiej, norze oglądając „ghost box". Gdy wyłączają to urządzenie-protezę, otoczenie staje się na ten ułamek niejasne i opresyjne, zużyte przez czas, podatne na rozpad. Powracają nieusuwalne bariery własnego ciała, życia nie da się zapisać. W tym okresie przeskoku, gdy duch wraca do maszyny, gdy rzeczywistość formuje się z powrotem, przypomina to dezorientację przed snem lub po wybudzeniu. Wtedy rzeczywistość telewizora i nasza interferują ze sobą, pojawiają się marzenia o tym, że będzie tak jak powinno być. Perspektywa z dronu wraca jednak w końcu do parteru.

Dookoła mamy pełen zgrzytów i kontrastów krajobraz, ale cywilizacja doznaje akceleracji i pokonuje ostatnią prostą ku jakiejś nowej erze. Kiedyś, trudno było przypuszczać, co będzie za pół wieku, a dziś przewidywania na najbliższą dekadę można traktować niczym tygodniową prognozę pogody. Najbliższe dwa dni mogą się sprawdzić, ale reszta to już raczej niewiadoma. Cywilizacja porusza się niczym bolid na skraju trasy i ciągle przyśpiesza. Klęską kończą się wszelkie, melancholijne próby poszukiwania mitologicznej krainy złotych czasów. Wzrost prędkości procesorów, nowe modele iPhona nie mają przełożenia na szczęście ludzi, jednak niektórzy upatrują rozwiązania właśnie w akceleracji. I tak wydaje się ona nieunikniona. Sposobem na przebycie oceanu, na który wypłynęliśmy i który nas przerasta, jest więc maksymalne przyśpieszenie. Dotarcie do drugiego brzegu może się odbyć tylko dzięki poddaniu się systemowi i przeciążeniu go. Nie da się już zatrzymać procesów, ani uciec z pełnego sprzeczności programu, do którego się wpięliśmy. Ucieczka jest możliwa tylko do przodu, a jej celem jest dotarcie do punktu osobliwości lub momentu, gdy we wszystkim wyręczą nas maszyny, a my będziemy mogli odpocząć, odzyskać oparcie, pewność co do jutra i poszukać spokoju. Nie, rozpaczliwa próba utrzymania się na powierzchni oceanu ponowoczesności, ale roztopienie się w nim, miałaby być receptą na melancholię XXI wieku i rozrastającą się nostalgię za „prawdziwym" życiem. I tu, polski krajobraz wielkomiejski zdaje się odzwierciedlać teorię akceleracjonizmu. Jest też cyberpunkowy, uwidacznia się w nim nierówno rozłożona przyszłości, jest rozwarstwiony, opowiada mnóstwo historii naraz, widać w nim sukces i upadek, jest eksperymentalnym polem, na którym wysoka technologia spotyka biedę i wykluczenie, a utopia rywalizuje z dystopią o przyszłość.

Michał Frąckiewicz

Maja Wolińska

Janusz Solarz

wiersze z tomu Dziecinada[1]

Pożegnania

Chciałbym wierzyć, że przyjdą, nic ich nie zatrzyma,
że ten dzień je zjednoczy, przestaną się zżymać
na urojone grzechy, na niedociągnięcia,
na jątrzące w pamięci wady i potknięcia.
A jeśli już się zjawią, niech każda zobaczy
świat przez pryzmat nadziei, na przekór rozpaczy,
bo to, że ktoś odchodzi, do piekła lub nieba,
nie jest wcale nakazem by razem z nim grzebać
obrazy chwil ulotnych, spędzonych w błogości,
w przeświadczeniu, że z czasem wygra duch miłości.
Nie znaczy to, rzecz jasna, aby zapominać
o plamach, czarnych dziurach. Zwykły dym z komina,
wznosząc się nad piekarnią lub nad krematorium,
świadczy, że na amnezję nie ma moratorium.
Gdyby jednak nie przyszły, gdyby coś wypadło,
ja tego nie przeżyję, nie zbudzi mnie światło,
które rozprasza ciemność, nie będę się zżymał,
że w ten dzień na cmentarzu czas się nie zatrzymał.

Ziemia obiecana

Ogród zoologiczny był miejscem bez granic:
jego mieszkańcy byli kudłaci, wypchani,
pozszywani z gałganków, zrobieni z plastyku,
niektórzy pełni waty lub twardzi w dotyku
jeśli ich gładkie ciała wytoczono z drewna,
a wszystkim zarządzała trzyletnia królewna.
Grała tam pierwsze skrzypce nowa kosmogonia,
mieszkańców miała łączyć niezwykła harmonia.
Rekin bawił się z foką, wilk przytulał owcę,
zwierzętom co zwierzęce nie mogło być obce.
Gatunki trwały wiecznie i w łasce tej aury
powróciły do życia nawet dinozaury.
Na ścianie było zdjęcie, na nim stara suka,
przyjaciółka królewny, lecz próżno jej szukać
w tym magicznym zwierzyńcu, a królewna szlocha,
bo już wie, że umiera to co się pokocha.

Pokolenie

Gromadka budowniczych wznosi zamki z piasku,
słońce hojnie dodaje tym budowlom blasku.
Baszty, mury, dziedzińce, piramidy, fosa:
cesarstwo rośnie w oczach. Mały Barbarossa
mówi, "To moje miasto," a wspólnicy milczą,
jeden łzy powstrzymuje, drugi z miną wilczą
rzuca łopatką w wieżę, trzeci twarz wykrzywia.
Morze też tym zakusom w końcu się sprzeciwia
gdy śle do brzegu przypływ i po chwili fale
równają połać piachu tak jakby tam wcale
nie było żadnych zamków ani żadnych dzieci,
a słońce miłosiernie coraz słabiej świeci.
Przez noc dzieci zapomną podłoże niesnasek,
na plaży będzie czekać na nie świeży piasek.
Być może coś zbudują, być może coś zburzą;
fale tak czy inaczej nigdy się nie znużą.

Bez znieczulenia

To dzieje się naprawdę. Trzyletnia lekarka,
przykładając do ucha chłodne szkło zegarka,
rozmyśla co powiedzieć pacjentowi z pluszu
o tym, że śmierć już blisko. Za oknem śnieg prószy,
misiowi spod ramienia sypią się trociny,
wyleniał, wychudł, wyblakł na nadejście zimy.
Chemioterapia niszczy urodę niedźwiadka,
na łóżku w izbie obok drzemie chora matka.
"Misiu," prosi dziewczynka, "nie umieraj jeszcze."
Miś leży nieruchomo, a ją biorą dreszcze.
Matka, ze snu wybita, biegnie na ratunek
i przytula lekarkę, bo ten sam frasunek
łączy te dwie kobiety i każda z nich łaknie
pocieszenia, że miłość przetrwa gdy zabraknie
tych, których przyszło kochać, tych, którzy odchodzą,
tych, którzy pozostają na śmierć się nie godząc,
tych pluszowych zwierzaków i szykownych lalek
w tym scenariuszu, który nie zdarzył się wcale.

Wesele

Pyta ją czy pamięta, ona kręci głową,
ta amnezja ją zmusza by wierzyć na słowo,
że kiedy była mniejsza, w świąteczną niedzielę,
stała się supergwiazdą w lokalnym kościele.
Gdy ksiądz wzniósł kielich z winem przed świętym obrazem,
wyskoczyła jak z procy i tuż przed ołtarzem
wykonała dwa salta i kilka fikołków,
które były, jak wyzna, hołdem dla aniołków
zmuszanych do grzeczności, bez pauzy na psoty,
tak jakby na arkadię kładł się cień Golgoty.
Tymczasem kongregacja trzęsła się ze śmiechu,
ksiądz wypił mszalne wino w łapczywym pośpiechu.
Nikt nie szepnął, a szkoda, że krzyżowa droga
nie jest jedynym szlakiem by dotrzeć do Boga.

Nic nie utuli żalu Urszuli

Czemu mnie, tatku, zbawiłeś od pani Kostuchy?
Zmuszona nawiedzać uczniowskie sztambuchy,
Umieram teraz na pokaz, lecz umrzeć nie mogę,
Gdy ty siedzisz pod lipą, w komitywie z Bogiem.

Mówisz, że tobą wzgardziłam i tedy wyniosłeś
Mnie nad odmęty czasu piórem niby wiosłem.
Czy chciałeś by twój ból był barometrem bólu,
By twoja córka przetrwała królestwa i królów?

Powiodło ci się, tatku, na skale pięknej Kalijopy,
W żałobie po śmierci dziecka, postawiłeś stopy.
Pełno mnie, choć tak jakby wcale mnie nie było:
Nieboszczka z listy lektur nie ma szans na miłość.

wiersze z tomu 47 sonneniziów. Sonety z pierwszej linii.[2]

Sonnenizio butne (za Jarosławem Markiem Rymkiewiczem)

Zakwita czarna sosna, nie znam jej imienia,
Lecz niewiedza nie zmienia samouwielbienia –
Dla mnie świerk się kołysze i nie ma w przyrodzie
Niczego co nie moje. Mieszka we mnie złodziej
Łasy na wszystkie dary, wciąż nienasycony,
Niezdolny do umiaru – mimo dzieci, żony
Nie do końca stateczny, do końca pazerny
Na każde mgnienie oka; tylko sobie wierny
W poszukiwaniu Boga w pustce i w gęstwinie,
Bo przecież jakiś młynarz musi być w tym młynie,
Dla niego wierzba płacze, choć dla mnie też płacze,
Bo ze mną Bóg jest Bogiem zupełnie inaczej:
Nawet jeśli go nie ma, wspólnie grają w wieczność
Moja niedoskonałość, jego nieobecność.

Sonnenizio syntaktyczne (za Julią Hartwig)

wierzę w zdanie w przystanek który szuka formy
odpowiedniej dla treści w myślnik który dzieli
i łączy w wielokropek który kryje sztormy
w spokoju który żąda byśmy powiedzieli
który to już raz w końcu mniej raczej niż więcej
w uznaniu stylu który kształtuje wypowiedź
w drodze do celu który jest darem po męce
po przecinkach po pauzach w bólu który spowiedź
zamienia w kondolencje a ten który wątpi
w szyk podmiot orzeczenie ten który grymasi
też spełnia się w języku który słów nie skąpi
każdemu który pragnie w życiu służyć pasji
wierzę w zdanie w porządek który jest zbawieniem
w sens który choć na krótko panuje nad cieniem

Sonnenizio wojenne (za Mikołajem Sępem-Szarzyńskim)

Pokój—szczęśliwość, ale bojowanie
to norma, której sednem jest niepokój.
Drgają w pokoju dwa cienie na ścianie,
wojna i pokój tańczą w jednym oku.

Ludzkie ambicje to wyścig pokoju,
pęd do zagłady przez pokój przechodni,
aby w pokoju zahartować w boju
najświętszy spokój do nieświętych zbrodni.

Pokój jest pusty, a wojna gościnna,
należy pokój wynająć od zaraz,
bo w przedpokoju, jak niesie wieść gminna,
bajkę pokoju chwalą wilk i baran.

Wojna jest normą, pokój to wymówka:
godzi ich cmentarz i śmierć pokojówka.

Sonnenizio mistrzowskie (za Rafałem Wojaczkiem)

Prawdziwe jest mistrzostwo śmierci, co wymyśla
Coraz to nowe formy końcowych etapów,
Jak racjonalizator, co chce wykorzystać
Wszystko, co znajdzie w ciele, od serc do ochłapów.

Śmierć nie wie co to święto, co nieco uwagi
Jest w stanie podarować żyjącym codziennie,
Obmyśla co ma robić bez buty i blagi,
A robi to co robi skutecznie, sumiennie.

Tych, co ją zapraszają i tych, co jej nie chcą
Jednako śmierć traktuje, a dół albo cokół
Jest czymś, co jest kaprysem przynależnym ślepcom,
Gdy śmierć już coś nowego planuje na boku.

W cokolwiek byś nie wierzył, jest prawda naczelna,
Co chwila ktoś umiera, śmierć jest nieśmiertelna.

Sonnenizio kontrolne (za Andrzejem Sosnowskim)

Jednak ktoś kontroluje stacje i zwrotnice,
ktoś kto jak zawiadowca dba o rozkład jazdy,
kto śmie mieć wgląd we wszystko, wszędobylski szpicel,
o którym ktoś rzec mógłby, że śledzi nas z gwiazdy.

Lecz nie ma nikt pewności czy ten ktoś nam sprzyja,
czy ten ktoś nadzoruje pociągi bez złości,
czy jest kimś kto śmieje się, że czas nas zabija,
czy patrzy na nas jak ktoś cierpiący z miłości.

Ma ten ktoś wśród podróżnych wrogów i pochlebców,
którzy pragną rozstrzygnąć co ten ktoś im dłużny —
ktoś mówi coś na migi w towarzystwie ślepców,
ktoś stuka białą laską po torach jak dróżnik.

Nie ma jednak nikogo kto śmierć trzyma w szachu —
en tylko kto śpi wiecznie jest wolny od strachu.

Sonnenizio stosowne (za Jackiem Dehnelem)

Jest pogrzeb, to przychodzisz, jest trumna — to płaczesz,
jest wesele, to tańczysz, jest wódka — to pijesz,
choć to czy tamto mógłbyś załatwić inaczej,
to, że znasz konwenanse oznacza, że żyjesz.

Nie przyjdziesz na swój pogrzeb, to jeden z pewników,
śmierć tak cię wynagrodzi za to, że umarłeś,
za to, że rozsiewałeś narybek plemników,
za to, że chciałeś przyszłość utożsamiać z tarłem.

Jest cmentarz, to odwiedzą, jest grób — to zapłaczą,
są znicze, to zapalą, jest czas — to zapomną;
w retrospekcji to wszystko czym byłeś wypaczą,
to co zapamiętają będzie mrzonką płonną.

Jest wiersz, to musisz czekać, może ktoś przeczyta
to twoje kruche, marne curriculum vitae.

Janusz Solarz jest emigrantem. Po ukończeniu studiów na krakowskiej anglistyce i kilkuletniej pracy na Uniwersytecie Jagiellońskim wyjechał na studia doktoranckie do USA i tam już po-został. Mieszka za oceanem ponad 30 lat. Specjalizował się, na początku swojej kariery, w literaturze jidysz. Później zajmował sie wychowaniem córek. Gdy te dorosły, powrócił do pi-sania i tłumaczenia poezji. Na tej drugiej niwie projektem jego życia jest próba przetłumacze-nia na język polski całego dorobku poetyckiego Emily Dickinson. Ten projekt jest już prawie na ukończeniu. Zawodowo pracuje obecnie ucząc na Indiana University w Bloomington.

1. Tom przygotowany do druku w Zaułku Wydawniczym „Pomyłka".

2. Sonnenizio – zostało wymyślone we Florencji w trzynastym wieku. Jego pomysłodawcą był Vanni Fucci. Jak sonet, ma czternaście linijek. Zaczyna się wersem z sonetu napisanego przez kogoś innego i powtarza to samo słowo wybrane z pierwszego wersu w pozostałych trzynastu linijkach. Dante umieścił pana Fucci w siódmym kręgu piekła jako złodzieja. Taką genezę przypisuje temu rodzajowi wiersza Kim Addonizio, kalifornijska poetka, która jako pierwsza napisała o tej formie literackiej.

Roman Warszewski

ROZDZIAŁ TRZECI: ŚMIERĆ OJCA

fragment biografii Elżbiety Dzikowskiej

CAŁKIEM NIECAŁA

Byłem na ulicy Niecałej w Międzyrzecu. Pojechałem tam w towarzystwie Elżbiety Dzikowskiej krótko po naszym powrocie z Vilcabamby, z Peru, w połowie lipca 2017 roku. Czy mi z kolei ta międzyrzecka uliczka skojarzyła się z fragmentami zabudowy, które kilka tygodni wcześniej widziałem w Huaycán de Cieneguilla?

Może po trosze. Może bardziej przez jej nazwę niż przez coś innego. Bo zabudowa w Huaycán de Cieneguilla była poszarpana, fragmentaryczna – właśnie niecała. Natomiast Niecała z Międzyrzeca naprawdę była niecała. Trudno byłoby wymyślić jej bardziej trafną nazwę. Bo była to uliczka tak niewielka, że na dobrą sprawę można by jej w ogóle nie zauważyć. Uliczka jakby hipotetyczna. Przeróbka polnej ścieżki, może miedzy. Ich zamysł. Dziś stojące przy niej jednorodzinne domki silą się na pewną nowoczesność. Ale przed wojną, albo w czasie wojny? Musiał to być absolutny margines miasta – miejsce, gdzie mieszkali jedni z biedniejszych lub nawet najbiedniejsi...

Domostwo, które Elżbieta Dzikowska tyle razy wspomina z wielkim sentymentem – ów Dom pod Wiązem, stało jeszcze bardziej w głębi, za zakrętem Niecałej – za zakrętem o dziewięćdziesiąt stopni w jeszcze większą niecałość. Na współczesnym planie miasta ten odcinek ulicy jest w ogóle nie zaznaczony, tak jakby nie była to już ulica, lecz łąka lub w najlepszym razie sad.

Przed siedemdziesięciu pięciu laty tym bardziej była to łąka, tym bardziej był to sad.

– Ogród – powiedziała Dzikowska, gdy próbowaliśmy odtworzyć dawną topografię wcale nie tak bardzo odbiegającą od współczesnej. – Ogród odgrodzony od drogi pochylonym drewnianym parkanem. W jego głębi stał mój – nasz, babciny – niewielki domek kryty strzechą. W cieniu wiązu. Skromny, nawet bardzo skromny domek. Ale gdy o nim myślę robi mi się miękko na sercu. Teraz – i za każdym razem.

Dziś nie ma po nim śladu. Pozostało tylko drzewo, ten wiąz. Ważny, bo właśnie na nim mała Ela lata temu odbyła swoją pierwszą wędrówkę w górę. Im wyżej, tym lepiej. Potem, w życiu ten nawyk jej pozostał.

(Nie na darmo z domu nazywała się Górska, a nie na przykład Podgórska, czy Krzywogórska. Górska. Bez wahania i wszystko jasne. Prosto z mostu.)

Po wiązie przyszła kolej na inne drzewa. Głównie brzozy i wiśnie.

– Domek stał tu – wskazał mi Ryszard Gąsior, z sąsiedztwa, który wyskoczył na drogę, jak tylko ze swego domu, przez okno, rozpoznał Dzikowską. – Jeszcze do niedawna. Długo i stopniowo był roznoszony na części. Aż nieraz żałość brała. Po desce, po cegiełce, po deseczce...

Po czym zwrócił się do Elżbiety:

– Jestem wnukiem Andrzeja Kołodzińskiego, pani kolegi z dzieciństwa, który kiedyś strzelał do pani z procy i ciągnął panią za warkocze... (O którym – *notabene* – będziemy jeszcze wspominać.) Jakby ktoś mi słówko powiedział, to bym pilnował... A tak to szkoda. Bo domek można było odnowić i wyposażyć w tablicę: „Tu przed laty mieszkała Elżbieta Górska, później Elżbieta Dzikowska – znana podróżniczka i obieżyświatka". Byłaby to jakaś atrakcja.[1]

– Nie sądzę, by kogoś mogło to interesować – odpowiedziała Elżbieta i brzmiało to bardzo szczerze.

Następnie cofamy się na ulicę 3 Maja, dawną Siedlecką – tę, od której odbija mniej hipotetyczny odcinek Niecałej. Tu, pod numerem 4., Ela Górska mieszkała z mamą zaraz po śmierci ojca. Dom jeszcze stoi, ale jest w ruinie (ale nie takiej jak Polska po rządach PO). Chyba właśnie wydaje swoje ostatnie tchnienie. Jego okna pozabijane są deskami.

Dzikowska jest zdumiona tym widokiem. Kiwa głową. W pierwszej chwili nie poznaje domu. Mówi:

– Pewnie przy mojej następnej wizycie w Międzyrzecu nie będzie tu już kamienia na kamieniu.

Zaraz potem, po drugiej stronie ulicy Lubelskiej, jest duży park, a w nim ułożone w podkowę zabudowania pałacowe. To dawny pałac rodziny Potockich, ostatnich właścicieli międzyrzeckich włości, u których byli zatrudnieni dziadkowie Elżbiety. Przed laty park był dostojny, a pałac piękny. Dziś park cuchnie uryną i straszy połamanymi drzewami. A pałac dziwi bezpańskością, zaniedbaniem i powybijanymi szybami.

Myślę: „Czy nie powinno być tak, że Elżbieta Dzikowska sprzedaje dom w Warszawie i ze swoimi zbiorami sztuki osiada w tym wyremontowanym pałacu? Bo czyż tak naprawdę to nie ona jest ideową spadkobierczynią międzyrzeckich Potockich?" (Patrz scena numer trzy w „Okruchach".) Ale myśl tę zachowuję tylko dla siebie.

W tym parku, po wojnie, mieściła się ochronka dla osieroconych dzieci (bardzo podobna do tej, o której później będzie opowiadał prof. Adam Daniel Rotfeld). Mała Ela po wojnie chodziła tam niemal codziennie, bo miała tam kilka koleżanek.

Potem kierujemy się ku centrum, bo jest tam jeszcze jedna ulica, przy której mieszkała młoda Górska. Piłsudskiego, kiedyś 22 Lipca. Domek stoi do dziś, choć wygląda nieco inaczej niż przed laty. Brakuje mu zadaszonego ganku, który niegdyś go okalał, co czyniło go pełniejszym, bogatszym.

Tu Elżbieta mieszkała zaraz po zakończeniu wojny, jak jej matka (zresztą za jej mocną namową), po raz drugi wyszła za mąż – za Marcina Zbańskiego, z zawodu rzeźnika, który do jej rodziny wprowadził troje przyrodniego rodzeństwa – siostrę i dwoje braci. Spośród tej trójki, Elżbieta najbliżej była z Tereską, z którą żyła w wielkiej przyjaźni do jej śmierci w roku 2017.

– Dlaczego zachęcała pani matkę do drugiego małżeństwa?

– Bo mamusi po śmierci ojca naprawdę było niedobrze. Nie chciałam, żeby była sama i żeby było jej tak ciężko. A Pawła mama znała jeszcze zanim spotkała mojego tatę i podobno nie byli sobie wcale obojętni...

– Długo pani ją namawiała?

– Dokładnie nie pamiętam, ale chyba nie za długo. Po wojnie takie sprawy przebiegały dość szybko. Była taka potrzeba, żeby wszystko zmieniać. Zmieniać na lepsze. I z tym nie zwlekać.

– Chodziło pani też o to, by mamusię bardziej uniezależnić od siebie?

– Być może przypuszczałam, że to ułatwi mój przyszły wyjazd z Międzyrzeca, bo o opuszczeniu miasta myślałam już zaraz po podstawówce.

– A nie brała pani pod uwagę, że drugie zamążpójście mamy może ograniczyć pani kontakty z rodziną ojca?

Maja Wolińska

– Nie, tego nie brałam pod uwagę.
– A tak się stało?
– Nie sądzę.

Ja jednak sądzę, że w jakimś stopniu tak właśnie się stało (o czym później).

Ale istnieje jeszcze inna relacja na ten temat. Usłyszałem ją od Sabiny Gościckiej, z domu Bajbak, koleżanki szkolnej Elżbiety, gdy spotkaliśmy się w Złotych Tarasach w Warszawie w listopadzie 2018 roku. Pani Sabina w latach szkolnych była świadkiem rozmowy młodej Górskiej z księdzem Rybakiem w Międzyrzecu.

– Elżbieta wyrażała wtedy do księdza swą dezaprobatę dla zamiaru ponownego zamążpójścia matki, natomiast ksiądz przekonywał ją, iż nie ma w tym nic złego, że to lepiej i dla jej mamy i dla niej, że mama nie powinna zostać sama...[2]

Jak te wersje pogodzić? Sabina Gościcka to, co mówi słyszała na własne uszy. Dzikowska twierdzi coś innego. Być może Elżbieta najpierw nie była zachwycona pomysłem matki, a potem to przemyślała? A może ksiądz Rybak – ponoć uwielbiany przez młodzież – po prostu ją przekonał?

Potem, nieopodal ulicy Piłsudskiego, na naszej trasie pojawia się skwer, na którym stoi metalowy pomnik z napisem „Miasto to ludzie", na którym wymienione są nazwiska znanych osób, związanych z Międzyrzecem. W sumie kilkadziesiąt osobistości. Na pierwszym miejscu – Elżbieta Dzikowska.

– To tylko dlatego, że moje nazwisko zaczyna się na literę „D" – mówi i – jak mi się wydaje – nie ma w tym chyba ani pozy, ani fałszywej skromności. – W szkole, w dzienniku, też zawsze byłam na początku listy, bo „G" od „Górska" też jest na początku alfabetu.

ŻEROCIN – MATECZNIK GÓRSKICH

Następnego dnia jedziemy do Żerocina. To dwanaście kilometrów za Międzyrzecem. Szosa wiedzie przez las.

– To tu ukształtowała się moja wielka dziecięca pasja – zbieranie grzybów – Dzikowska opowiada w drodze. – Do dziś umiem je znakomicie rozpoznawać. Ale teraz zbieram je znacznie rzadziej, czemu winny jest mój nadwerężony kręgosłup. Dziś grzyby wolę kupować w Falenicy, ale nadal uwielbiam je przyrządzać, jeść i, oczywiście, podawać gościom... – i śmieje się swoim charakterystycznym nieokiełznanym śmiechem.

Żerocińskie lasy stały się dla niej pierwowzorem puszczy, selwy, dżungli, które zaczęła odwiedzać kilkanaście lat później – najpierw sama, a następnie ze swym życiowym partnerem, obieżyświatem Tonim Halikiem.

Wioska, choć w przeszłości zamieszkana przede wszystkim przez Ukraińców, jest podszyta patriotycznymi tradycjami. Kiedyś znajdował się w niej kopiec upamiętniający pobyt Józefa Piłsudskiego i 1 Brygady Strzelców w dniach 15 i 16 sierpnia 1915 roku, ale w czasach PRL-u został on celowo rozjechany buldożerami. W inauguracji budowy kopca brał udział wuj Elżbiety, Józef Kortoniuk, przez lata związany z siostrą jej ojca – ciocią Kazią. Był legionistą Pierwszej Brygady i 12 maja 1936 roku, gdy zaczynano usypywania pamiątkowego wzgórza przemówił. Powiedział: „«Piłsudski dał nam wszystko, co może dać człowiek, dał nam Polskę nieodległą». Rok później premier Sławoj-Składkowski odznaczył (...) [go] Brązowym Krzyżem Zasługi, ale że wuj (...) był skromny, nigdy o tych faworach nie wspominał".[3] Uważał, że – po prostu – zrobił swoje.

Żerocin to jedna z tak licznych w Polsce wiosek koralikowych – jej zabudowania skupione są wzdłuż szosy. Przed wjazdem stoi zaniedbana kapliczka, a potem zaczynają się domy. Po kilkuset metrach bez trudności odnajdujemy chatę, w której w czasie wojny mieszkała Elżbieta z matką i ukrywającym się ojcem.

Dom jest zaniedbany – szczególnie ta jego część, w której mieszkała Elżbieta. Najpewniej długo już nie postoi.

Kilkadziesiąt metrów dalej stoi szkoła, do której ojciec Elżbiety najpierw chodził, a w której później także uczył. To długi, parterowy budynek, który bardziej niż ze szkołą kojarzy mi się z hangarem.

Nieopodal odnajdujemy mały zamknięty na cztery spusty murowany budyneczek. To dawna kuźnia, zbudowana przez dziadka Elżbiety Dzikowskiej ze strony ojca, Józefa Górskiego. Będąc kowalem, przez długie lata dzień w dzień brał się za bary się z żelazem i ogniem. Najpierw jako kowal pracował na folwarku żerocińskim, następnie usamodzielnił się, kupił kawałek ziemi, zbudował tę oto kuźnię oraz dom, który przed chwilą minęliśmy. Kuźnia stała kiedyś pod gruszą. Dziś gruszy już nie ma.

Maja Wolińska

– Myślę – mówi Elżbieta – że jeśli za kilka lat znów tu przyjadę, mojego dawnego domu też już tu nie będzie.

Możliwe. Bo gdy dalej, pośród pól próbujemy zlokalizować dom cioci Kazi – siostry Zygmunta Górskiego, gdzie Elżbieta jako dziecko zwykła spędzać wakacje, odnajdujemy tylko pustkę. Domu jakby zapadł się pod ziemię.

Żerocin był matecznikiem Górskich i wojenną kryjówką Elżbiety. Jej dziadkowie ze strony ojca wyrastali ponad ukraińskich sąsiadów („byli jakby «pańscy»„)[4], co na pewno niejednego gryzło w oczy i – być może – przyczyniło się także do tragedii Zygmunta.

Felicja z Krasuskich i jej mąż Józef Górski pochodzili z powiatu siedleckiego. Początkowo mieszkali we wsi Paprotnia, gdzie prowadzili jadłodajnię, ale zlikwidowali ją i przenieśli się do Żerocina, gdzie Józef znalazł pracę jako kowal na tamtejszym folwarku, należącym do dóbr międzyrzeckich.

Korzenie babci Feli ze strony ojca „nie są dla mnie do końca jasne – pisze w swoich wspomnieniach Elżbieta Dzikowska. – (...) Babcia, zdaje się była sierotą, nigdy nie opowiadała o swoich krewnych, musiały to być więc wspomnienia bolesne. Wedle krążącej w rodzinie legendy do opuszczenia rodzinnego domu zmusiła ją macocha."[5] Natomiast jej mąż „Józef Górski, był synem Jana i Marianny z Kucińskich"[6] – tyle udało się ustalić na podstawie ksiąg parafialnych.

Dalej w przeszłość ślad się urywa.

Na cześć dziadka Józefa Górskiego (i ponoć Piłsudskiego) Elżbieta dostała swoje imię – bo tak naprawdę nazywa się Józefa Elżbieta Górska-Dzikowska (co widnieje w paszporcie.) Elżbieta Dzikowska to... coś w rodzaju „stage name" – pseudonimu!

Józef i Feliksa Górscy mieli pięcioro dzieci. Czterech synów i jedną córkę.

Zacznijmy od córki: To bardzo – pośród czwórki chłopaków – ukochana przez rodziców Kazia. W dzieciństwie zapadła na gruźlicę, co wpłynęło na jej całe życie. Po pierwsze – nie otrzymała przez to jakiegoś szczególnego wykształcenia. Po drugie – z tej samej przyczyny długo nie mogła wyjść za mąż. (Bo było – Dzikowska: – „wiadomo, że nie pójdzie robić w polu")[7] Aż trafił się biedny, ale dobry Józef Kortoniuk, wspomniany przed chwilą legionista i piłsudczyk. Kazia Górska została jego niewiastą. Potem do nich, do Kortoniuków, Elżbieta jeździła na wakacje, gdzie pewnie została „zaszczepiona" początkami swojej gruźlicy – będziemy o tym jeszcze wspominać.

Teraz synowie.

Pierwszy to Czesław – już nam znany; ten, który w międzyrzeckiej gazecie opisywał „krwawe dni Międzyrzeca" u schyłku I wojny światowej. Inspektor szkolny, dziennikarz, redaktor, nauczyciel, a w końcu nawet poseł na sejm. Ojciec Janusza Górskiego – ekonomisty i późniejszego ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w czasach późnego Gierka.

Drugi to Zygmunt – nauczyciel i ojciec Elżbiety i Władysława Górskich.

Trzeci – Władysław. Studiował prawo, szefował uniwersyteckiej gazecie w Warszawie i był... najprawdziwszym komunistą! (Tak, gałąź rodu Elżbiety Dzikowskiej związana z rodziną Górskich na pewno stała znacznie bardziej na lewo niż konar jej drzewa genealogicznego wyrastający z rodziny Puszkarskich.) I była to naprawdę poważna sprawa.

Gdy Władysław „(...) komunista – wspomina Dzikowska – popadał w konflikt z prawem i trafiał do więzienia, poseł [Czesław – RW] go stamtąd wyciągał. A gdy na dodatek komunista spotkał komunistkę z bardzo bogatej rodziny żydowskiej, uroczą stryjenkę Sabinę, i ją poślubił, trzeba było dbać o nich dwoje.

cd. str.24

cd. ze str.23

W pewnym momencie sytuacja stała się tak groźna, że gdy stryj trafił do więzienia, nie pomógłby żaden poseł; uciekł więc do ojczyzny komunizmu, czyli Rosji – to było bodajże w 1937 roku – i tam go zamordowano w 1938. Stryjenka opowiadała, że oprawcy przyszli nocą i zabrali męża – niby na 10 lat, bez prawa «pierepiski» (korespondencji). Nigdy nie «pierepisał». Pewnie od razu został zamordowany. Stryjenka pracowała z Wandą Wasilewską w Związku Patriotów Polskich, musiała gdzieś zarabiać na utrzymanie córki, mojej stryjecznej siostry Liliany; po wojnie wróciła do kraju i do śmierci marzyła, żeby nadano jakiejś szkole imię jej męża. Była ładna, zawsze zadbana, dowcipna; bardzo ją kochałam".(7)

Cytuję to tak obszernie nie bez kozery. Sprawa komunizmu Władysława Górskiego, i w ogóle komunizowania tej części rodziny Elżbiety Dzikowskiej, rykoszetem trafiła jej ojca. Poza tym padają tu dwa znamienne sformułowania: „musiała gdzieś zarabiać na utrzymanie" i „bardzo ją kochałam" – do czego jeszcze będziemy wracać.

Piąte dziecko to Bolesław. Jego dzieje niezwykle dramatyczne. Bo miał odziedziczyć ziemię po ojcu, więc za bardzo nie zadbano o jego wykształcenie. On za to już zawsze miał pretensje – i do rodziców, i do pozostałego rodzeństwa. Odreagował to po wojnie, gdy na wsi doszło do tworzenia spółdzielni produkcyjnych: jakby utożsamił się z nową władzą i zaczął szefować jednemu z PGR-ów. Gryzło go jednak sumienie, więc swego jedynego syna, osiemnastoletniego Cześka, wysłał do partyzantki, do powojennego podziemia. I stała się tragedia: Czesiek zginął w czasie jednej z potyczek w siłami „władzy ludowej". Rozpacz rodziców była bezgraniczna, bezdenna. Stała się blizną, która już zawsze przypominała o wielkim rozdarciu w rodzinie Górskich.

Ów Czesiek miał jeszcze dwie siostry – Jadwigę i Marysię. O Jadzi wspomniała mi w naszej rozmowie w Warszawie koleżanka Elżbiety z czasów szkolnych, Sabina Gościcka – dawniej Sabina Bajbak:

– Jadzia chodziła do tej samej klasy, w której była Elżbieta i byłam ja. Wszyscy wiedzieliśmy, że to kuzynki – nosiły to samo nazwisko. Ale, co najdziwniejsze, one ze sobą nigdy nie rozmawiały! Tak jakby były sobie całkiem obce – traktowały się jak powietrze! Było to tak dziwne, a jednocześnie tak straszne, że bałam się Elę o to zapytać.[8]

– Było to rzeczywiście niezrozumiałe – tego samego dnia powiedział mi Albert Zalewski, inny szkolny kolega Eli Górskiej. – Mniej więcej tak dziwne, jak to, co wiele lat później mnie samego spotkało ze strony Elżbiety Dzikowskiej.[9]

Ale o tym później.

Wykorzystuję jednak okazję i pytam o Elę Górską w szkole.

– Była świetną uczennicą – mówi Sabina Gościcka. – Miała fenomenalną pamięć. W czasie lekcji czytała pod ławką książkę, a jednocześnie wiedziała o czym mówi nauczyciel. Niejednokrotnie była przyłapywana przez nauczyciela na takim czytaniu, ale zawsze wiedziała, o czym przed chwilą mówił. Jak pytał: „Górska, możesz powtórzyć moje ostatnie zdanie?", zawsze je powtarzała.

– Myślała pani, że to ona zrobi z was wszystkich największą karierę?

– Może formułowałam to inaczej: że na pewno daleko zajdzie. To, że pochodziła z nauczycielskiego domu nastawionego na naukę i poznawanie, na pewno miało duże znaczenie.[10]

ZBYT WCZEŚNIE UTRACONY

Tata Elżbiety, Zygmunt Górski, bardzo prestiżowe w owym czasie Państwowe Seminarium Nauczycielskie Męskie im. Mieczysława Brzezińskigo w Leśnej Podlaskiej ukończył w roku 1934. Urodził się w „mateczniku Górskich" – w Żerocinie 13 października 1913 roku i w gronie pięciorga rodzeństwa, był dzieckiem najmłodszym. Być może dlatego, jak na tamte czasy, otrzymał tak staranne wykształcenie: jego seminaryjnymi nauczycielami byli tak wybitni pedagodzy jak: Józef Perzyna, Stanisław Jedlewski, Józef Kowalski, Maksymilian Makarewicz, czy Franciszek Kędzierzawski.

Pierwszą pracę w publicznej szkole powszechnej, podjął w Węgrowie. Następnie przeszedł do szkół – kolejno – w Nałęczowie, a przed wybuchem II wojny światowej – w Międzyrzecu Podlaskim. Długo jednak tam nie pracował, bo po pojawieniu się w mieście najpierw Rosjan, a następnie Niemców, wszystkie szkoły zostały zamknięte, a nauczyciele zaczęli być wyłapywani.

Po Zygmunta Górskiego, do mieszkania przy ulicy Piłsudskiego, przyszli 14 stycznia 1941 roku. Na szczęście nie było go w domu. Był to jednak wyraźny sygnał, że znajduje się on na liście proskrypcyjnej i że musi mieć się na baczności. Wtedy rodzina Górskich przeniosła się do Żerocina, gdzie mieszkali rodzice Zygmunta, a mała Ela odbyła swą pierwszą daleką podróż – na wieś, na barana, na plecach ojca.

– Pewne znaczenie miało także to – mówi Dzikowska – że na wsi, w czasie wojny było znacznie łatwiej przeżyć niż w mieście. Było tam po prostu co jeść, bo można było coś zasadzić lub hodować, a w mieście żywności brakowało.

W Żerocinie Zygmunt pomaga w gospodarstwie i wstępuje do ruchu oporu – do Armii Krajowej. Ale w związku z tym, że „współdziała z partyzantką radziecką dowodzoną przez zbiegłego z transportu jeńców (...) dowódcą imieniem Wołodzia"[11] wiele osób do dziś uważa, że brał udział w partyzantce radzieckiej. Pośrednio tezę tę miała potwierdzać komunistyczna przeszłość jego brata Władysława, będąca w Międzyrzecu tajemnicą poliszynela.

– Ojciec Dzikowskiej brał udział w partyzantce radzieckiej, a nie w AK – uważa mieszkający obecnie w Warszawie, ale pochodzący z Międzyrzeca Podlaskiego Albert Zalewski. – Wiem to od moich rodziców, którzy dobrze pamiętali czasy wojny. Ponadto Ela miała ciotkę, sekretarkę samego Bolesława Bieruta, też Górską, co później, dla jej dalszej drogi życiowej, miało duże znaczenie.[12]

Pierwsza teza nie wydaje się jednak prawdziwa. Dla jej wyjaśnienia warto sięgnąć do publikacji Mariana Kowalskiego.

Pisze on: „Po napaści hitlerowców na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku przewożono jeńców radzieckich z ZSRR do Niemiec. W czasie postoju transportu na stacji Sokule, kilkunastu, pod osłoną nocy zbiegło do pobliskich lasów. Dwóch z nich w poszukiwaniu żywności przybyło do sąsiada Górskich, szwagra Zygmunta, [dawnego legionisty – RW] Kortoniuka. W tym czasie był u niego Zygmunt Górski. Po otrzymaniu żywności – jeńcy schronili się w pobliskim lesie. Jeden z nich miał na imię Wołodzia, jak się później okazało, zebrał on rozproszonych po lesie zbiegłych jeńców i założył oddział partyzancki, którym dowodził do lipca 1944 roku".[13]

To jest więc najprawdopodobniej źródło plotki o prosowieckiej partyzanckiej afiliacji Zygmunta Górskiego. Ale udzielone przez niego wsparcie Wołodzi nie może podważać jego przynależności do AK. Współdziałanie między AK a partyzantką radziecką było wtedy w tamtym rejonie na porządku dziennym. W swej monografii Międzyrzeca Podlaskiego wspomina o tym m.in. cytowany już poprzednio Józef Geresz.

Pisze: „W pobliżu Międzyrzeca grasowały bardzo aktywnie polskie i sowieckie oddziały partyzanckie, które dokonywały napadów na transporty. W dokumentach Spółdzielni Rolniczo-Handlowej «Rolnik» jest raport z 30 XII 1943, że w Warszawie zakupiono towarów [pisownia oryginalna – RW] za sumę 7393 zł i w czasie transportu zaginęły. W dokumentach AK z 20 I 1944 jest raport o walce w rejonie Międzyrzeca trzech patroli z powiatu Łuków, w wyniku której po obu stronach byli zabici w liczbie 10 osób. Walka miała miejsce 5 km od Międzyrzeca we wsi Żabce. Niemcy ciała zabitych partyzantów sfotografowali i wystawili na widok publiczny, wyznaczając wysokie nagrody za ujawnienie nazwisk".[14]

– Czy wsparcie okazane prze Górskiego Wołodzi, a następnie utrzymanie kontaktu z jego oddziałem, wyklucza jego przynależność do AK? – zapytałem Józefa Geresza w czasie naszej rozmowy telefonicznej.

– Ani trochę. A właściwie – wręcz przeciwnie. Wszak AK zachęcała do podejmowania tego rodzaju kontaktów, zdając sobie sprawę, że radzieccy partyzanci mogą mieć kłopot z samodzielnym uzyskaniem wsparcia ze strony miejscowej ludności."[15]

O przynależności Zygmunta do AK świadczą także jego bliskie wojenne kontakty z Józefem Kortoniukiem, byłym legionistą i – jak pamiętamy – piłsudczykiem. Także współpraca z Czesławem Górskim – w okresie przedwojennym blisko związanym ze sferami rządowymi II Rzeczpospolitej oraz z Janem Hryciukiem, znanym z antysowieckiego nastawienia.

Jeśli natomiast chodzi o drugą tezę o domniemanej krewnej Elżbiety – sekretarce Bieruta (mającej pomóc jej także w dostaniu się na studia), zapytałem o to samą Dzikowską. Usłyszałem:

– Bierut rzeczywiście miał sekretarkę o nazwisku Górska. Ale to była tylko zbieżność nazwisk – nic więcej. To nie był nikt z rodziny mojego ojca. Ale ludzie, jak wiadomo, bardzo lubią plotkować. Słyszałam, że ta pani miała na imię Wanda i była siostrą mojego taty... Ale jak wiadomo, mój tata siostry o tym imieniu nigdy nie miał. Siostra mojego taty na imię miała Kazia.

Zygmunt – „był łącznikiem między Żerocinem, Międzyrzecem Podlaskim i Siedlcami – czytamy na temat dalszych konspiracyjnych losów najmłodszego z braci Górskich w opracowaniu Mariana Kowalskiego. – Współpracował również ze swym starszym bratem (...) mieszkającym w Siedlcach. Zajmował się też wraz z bratem żony Zenonem Puszkarskim dostawą terpentyny i kalafonii do Siedlec dla celów konspiracyjnych."[16]

Obie substancje miały zastosowanie przy drukowaniu podziemnej „bibuły". Kalafonie była ważnym składnikiem farb drukarskich, poprawiała ich właściwości maziste. Produkowano ją z terpentyny. Tę ostatnią natomiast otrzymywano z żywicy sosny – drzewa, którego w okolicach Międzyrzeca była wielka obfitość. Terpentyniarzem, czyli osobą zbierającą w lesie sosnową żywicę i przetwarzającą ją w terpentynę, był Jan Małecki – pracownik w terpentyniarni Alfreda Falkowskiego, który w cały ten proceder był wtajemniczony. Z kolei Jan Hryciuk zapewniał środek transportu – czyli konia i wóz. Wszystko to to jeszcze jeden ważki argument przemawiający za przynależnością Zygmunta Górskiego do AK, a nie do rosyjskiej partyzantki: ulotki i „bibuła" była potrzebna polskiemu państwu podziemnemu, nie Rosjanom.

Aktywności tej – trwającej nie dni i tygodnie, lecz całe dwa lata – trudno było nie zauważyć. Toteż pogłoski o przynależności Górskiego do ruchu oporu, w Żerocinie i okolicy szerzą się coraz bardziej. Jest okazja, by na „pańskich" – na tle „chachłackiej" wsi – Górskich trochę się odegrać. Mnożą się donosy. Do żandarmerii i do gestapo – w Międzyrzecu i w Radzyniu Podlaskim. W domu rodziców Zygmunta dochodzi do wielu rewizji. Mała Ela wielokrotnie wyrywana jest ze snu przez ujadające nad jej łóżeczkiem niemieckie wilczury.

– Było to przerażające – powie po latach. – Tym bardziej że powtarzało się to wielokrotnie, a ja miałam wtedy może pięć, może sześć lat... W tamtych okropnych momentach, jak sądzę, tkwią korzenie mojej bezsenności, która trapi mnie do dziś.

Rodzina Zygmunta namawia go, żeby zaprzestał swej działalności, bo robi się wokół niego coraz goręcej. Ale on nie potrafi się wycofać.

Mówi, że nie może, że trzeba walczyć, trzeba iść do przodu. Nie można być biernym i ot, tak, się poddać Jeśli nie on to, kto? (Po latach bardzo podobne słowa, choć w całkiem innych sytuacjach, wielokrotnie będą padały z ust Elżbiety.)

Ukrywa się i kluczy. Raz mieszka u brata w Siedlcach, kiedy indziej u siostry ciotecznej Heleny Górskiej i w domu teściów Adama i Bronisławy Puszkarskich na Nowym Mieście w Międzyrzecu Podlaskim. Z Siedlec przywozi prasę konspiracyjną, którą rozprowadza w Międzyrzecu i okolicy. W drugą stronę zabiera chemikalia, by było czym drukować to, co potem ma przywieźć.

Marian Kowalski: „Po trzech latach ukrywania się spotkał go w Międzyrzecu Ukrainiec mieszkający w Żerocinie – jak się później okazało konfident gestapo. Śledząc go wykrył, że zatrzymał się u kolejarza Józefaciuka tuż obok dworca kolejowego. Zawiadomił policję kryminalną."[17]

Finał mógł być tylko jeden. Pojawiają się trzej tajni agenci Kripo – Władysław Wróblewski, Adam Czarniecki i Tadeusz Kowalik. Obstawiają dom Józefiuka. Czekają na Górskiego. Jak ten tylko pojawia się na ulicy, otaczają go i aresztują. Pod bronią odprowadzają do aresztu. Był 6 grudnia 1943 roku. Ela miała wtedy lat sześć, a urodzony w czerwcu tego roku Władek – trochę ponad pięć miesięcy.

(Czarniecki za to co zrobił – rzecz jasna nie tylko Górskiemu – wkrótce poniesie karę: w maju 1944 roku zostanie wytropiony w Warszawie przez komando mścicieli AK i zabity w zakładzie fryzjerskim przy ulicy Wroniej, blisko Pańskiej. W akcji udział wzięli członkowie AK z międzyrzeckiego ruchu oporu.)

Po trzech dniach przesłuchań w Międzyrzecu przez Kripo i gestapo Górski zostaje przewieziony do więzienia na zamku w Lublinie, gdzie był wielokrotnie bity i torturowany. Śledczy chcieli, by ujawnił szczegóły dotyczące siatki organizacyjnej ruchu oporu, ale nic z tego – był twardy i nie dał się złamać. Z zemsty, po krótki procesie-farsie, został skazany na karę śmierci. Z celi więziennej przeniesiono go do kaplicy zamkowej, w której przetrzymywano oczekujących na wykonanie wyroku.

Zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, Górski starał się o zamianę swojej kary na przeniesienie do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Niektórym coś takiego się udawało. Chodziło o zyskanie czasu, bo było wiadomo, że ze wschodu zbliżają się Rosjanie. Zależało mu na tym bardziej, iż wiedział, że w Oświęcimiu przetrzymywany był jego szwagier – mąż Felicji. Wierzył, że uda mu się go tam spotkać i że

Maja Wolińska

będą wzajemnie się wspierać. Jednak jego podanie zostało odrzucone.

Codziennie wykonywano kilka egzekucji na przetrzymywanych w kaplicy. Na dodatek Zygmunt Górski trafił na listę zakładników za Krasnystaw i Zamość. (Miało to gwarantować spokój w tych miastach, chronić je przed atakami partyzantów.) Coraz bardziej tracił nadzieję, że zdarzy się cud, że uda mu się przeżyć, iż zdoła wrócić do rodziny.

W oczekiwaniu na wykonanie wyroku, Niemcy skierowali go do rozminowywania pól. Codziennie, na kilka godzin, pod silną eskortą był wywożony poza miasto. Nie widząc innej możliwości, w czasie jednej z takich „wywózek" zdecydował się na desperacką ucieczkę.

Rzucił narzędzie, które trzymał w ręku i wziął nogi za pas.

Padła seria z karabinu.

Został trafiony kilkoma pociskami.

Nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc i prawie natychmiast zmarł.

Był 22 maja 1944 roku.

Pochowany został w zbiorowej mogile w Lublinie. Dziś spoczywa na cmentarzu bródnowskim w Warszawie, w grobie razem z Tonim Halikiem i swoją żoną Jadwigą.

TA OKRUTNA MARTYROLOGIA

– O śmierci taty moja mamusia dowiedziała się dopiero po kilku tygodniach – opowiada Elżbieta Dzikowska. – Najpierw miała jeszcze nadzieję, że to nieprawda, potem była skrajnie zrozpaczona i przez długi czas nie potrafiła przezwyciężyć tej tragedii. Ja, gdy dowiedziałam się, że już nigdy nie zobaczę tatusia, nie potrafiłam sobie tego w ogóle wyobrazić, ani nie umiałam w to uwierzyć. Nieraz wydaje mi się zresztą, że jest tak do dziś...

– Takie przedwczesne śmierci osób najbliższych często pozostawiają ślad na całe życie – powie mi nieco później wybitny psycholog prof. Bogdan Wojciszke, gdy rozmawiam z nim w gmachu Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej w Sopocie. – Przypuszczam, że w wypadku bohaterki pana książki, może być podobnie.

– Biografie podobno nie lubią psychologizowania...

– Ale w tym wypadku trudno jest uciec przed psychologizowaniem, bo problem jest bardzo wyraźny, powiedziałbym – ewidentny. Jakby pan nie poszedł tym tropem, popełniłby pan duży błąd.

– W związku z siłą tego przeżycia?

– W związku z niemożnością jego zapomnienia: okoliczności były tragiczne. Wojna. Bieda. Strach. Niepewność. Wiek – sześć lat! Za dużo, żeby nie zdawać sobie sprawy z tego, co się stało. Za mało, by mieć odpowiednią siłę, aby stawić temu czoła. Rezultatem jest trauma. Trauma bardzo głęboka. Trauma nieleczona. W efekcie – niemożliwa do wymazania.

– Co z tego mogło wyniknąć?

– Trwały schemat polegający na poszukiwaniu pomocnej męskiej postaci. Kogoś w rodzaju mentora, mistrza, mędrca. Kobiety noszące w sobie tego rodzaju bliznę, zwykle szybko wychodzą za mąż, zwykle nie za rówieśnika, lecz za osobę o co najmniej kilka lat starszą od siebie. Odwróceniu ulega to dopiero w latach późniejszych – na starość: wtedy takie kobiety raczej poszukują kogoś młodszego, bo właśnie ktoś taki może dać im poczucie pewności i bezpieczeństwa.[18]

Groza i ciężar tego zdarzenia były tym większe, że nie było to wcale odosobnione tragiczne zdarzenie w rodzinie w tamtym czasie. Już na początku wojny bez wieści przepadł dziadek Elżbiety ze strony matki – Adam Puszkarski: ten, który w jej wspomnieniu z wczesnego dzieciństwa trzymał ją na kolanach i karmił malutkimi kawałeczkami starannie pokrojonej kanapki.

Adam Puszkarski – ten, jak potem mówili o nim niektórzy w rodzinie, który babci Brońci „się nadarzył" czy „przytrafił" – był jakby od zawsze związany z mundurem. Najpierw wcielono go do carskiej armii w czasie wojny rosyjsko-japońskiej, potem – w roku 1914, jak wybuchła I wojna światowa. A w roku 1918 kiedy wrócił z jej frontów i nastała Polska, w związku z tym, że był obyty z bronią i miał słuszną, budzącą respekt posturę – został policjantem, a nawet – zastępcą komendanta! To, co najpierw wydawało się wielkim zaszczytem i szczęściem, bo dawało jakiś stały dochód (babcia Puszkarska w końcu mogła przestać pracować jako praczka) i budziło respekt, zaraz po wybuchu następnej wojny, tej z września 1939 roku, okazało się przekleństwem.

Zaraz po 17 września, „(...) oficerów i komendantów wezwano na zgrupowanie, ale że komendanta akurat nie było, pojechał zastępca" – Elżbieta Dzikowska tak opisywała to po latach.[19]

Pojechał i nie wrócił.

Na trasie był Kozielsk i Ostaszków – straszne nazwy, które wtedy jeszcze nikomu nic nie mówiły. Z Kozielska nadszedł ostatni znak życia – pełna nadziei kartka, że za chwilę wyjadą do obozu o łagodniejszym rygorze...

Babcia się ucieszyła. Z babcią cała rodzina. A dziś musimy zapytać, czy na pewno Adam Puszkarski słowa te napisał dobrowolnie, czy może formułował je pod groźbą bagnetu przyłożonego do gardła, czy pistoletu przystawionego do skroni?

Dzikowska przez długie lata była przekonana, że zginął on w Ostaszkowie – iż „tam, jak wszyscy polscy oficerowie, został rozstrzelany".[20] Jednak na początku września 2017 roku dostała list z Wrocławia od Adama Zalewskiego, którego ojciec w 1940 roku także zginął na wschodzie.

Adam Zalewski dotarł do źródłowych ksiąg dotyczących zbrodni katyńskiej. Pisał:

„Na str. 342 wymieniony jest [tam – inaczej niż Pani podaje – RW] Pani dziadek: Puszkarski Adam ur. 13 XII 1887 [r] s. Wiktora i Karoliny, Posterunkowy Policji Państwowej, Międzyrzec, pow. Radzyń."[21]

W publikacji tej data transportu dziadka Elżbiety Dzikowskiej z Ostaszkowa do Kalinina określona jest na dzień 22 kwietnia 1940 roku. „Z czego wynika – Adam Zalewski pisał dalej – że (...), uwzględniając czas transportu na trasie Ostaszków Kalinin (Twer) (...) [najprawdopodobniej] egzekucja miała miejsce w dniach 23–24 kwietnia".[22]

Dzikowska przeczytała te słowa z wielkim poruszeniem. Dopiero po tylu latach wątpliwości dotyczące losu jej dziadka mogła uznać za ostatecznie rozwiane! Na chwilę przed oczami stanęła jej postać wąsatego wysokiego i prawdopodobnie błękitnookiego przystojnego pana – jej dziadka Adama! W oku zakręciła się łza? Kto wie? – ale sama do tego przecież się nie przyzna (to owe zakazane, zamknięte rewiry, o których wspominała jej kuzynka, Barbara Dąbrowicz.) Przez chwilę nawet myślała o tym, by wraz ze swoimi bratanicami i bratankiem w ramach rodzinnej edukacji historycznej pojechać do Ostaszkowa. Ale jak w XXI wieku zgrać terminy czterech bardzo zajętych i zapracowanych osób? Za to Adamowi Zalewskiemu – w podziękowaniu – wraz z listem wysłała jedną ze swych książek.

LISTY Z OŚWIĘCIMIA

Innym mrocznym i traumatycznym wydarzeniem wojennym dla rodziny Eli Górskiej była śmierć w Oświęcimiu Edmunda Pióreckiego – męża Felicji, siostry jej mamy.

Stryj Edmund Piórecki ożenił się z Felicją Puszkarską w Boże Narodzenie w roku 1934 w Międzyrzecu Podlaskim. Świadkiem na ślubie był nie kto inny, jak ojciec Elżbiety – Zygmunt Górski. Ze związku tego urodziło się dwoje dzieci – dziewczynka Barbara i chłopak – Zenon. Piórecki z wykształcenia był handlowcem i w Międzyrzecu wraz z żoną prowadził sklep wielobranżowy. cd. str.26

cd. ze str.25

Wierzył, że z Oświęcimia uda mu się wyjść (a może uciec) i przebywając w obozie, bardzo interesował się, jak prosperuje sklep i jak z jego samodzielnym prowadzeniem radzi sobie jego żona Felicja.

Okoliczności w jakich trafił do Oświęcimia nie są jasne. Stało się to na wiosnę 1941 roku. Przywieziony został do KL Auschwitz z Lublina 4 kwietnia 1941 roku jako „więzień prewencyjny" i otrzymał numer 14506. Wraz z nim do obozu trafili także jego dwaj bracia Gustaw i Ludwik – numery 14504 i 14502. Bracia Piórecki byli oskarżeni o branie udziału w tzw. małej konspiracji, która polegała na słuchaniu polskich programów radiowych i na uczestniczeniu w spotkaniach, w czasie których omawiano metody przeciwstawiania się okupantowi. Gustaw i Ludwik w Oświęcimiu przeżyli brata mniej więcej o rok i o jego śmierci poinformowali rodzinę, ale ostatecznie także tam zginęli

Edmund Piórecki z obozu, w odstępach miesięcznych, napisał cztery listy do żony. Zawierają one bardzo oszczędne i lakoniczne informacje, podszyte wielkim niepokojem – inaczej i czegoś innego pisać po prostu nie było wolno. Zgodnie z obozowym regulaminem, list mógł zawierać tylko jedną kartkę, a na kartce mogło znajdować się co najwyżej dwadzieścia linijek tekstu. Z kolei na kartce pocztowej można było napisać tylko piętnaście linii tekstu, a zdjęcia nie mogły zastępować kartek.

Pierwszy list: z 11 maja 1941 r.:

„Kochana Żono!

Jestem całkowicie zdrów. Mam nadzieję, że Ty też. Czy mogłabyś mi przesłać pieniądze. Listy można pisać tylko raz w miesiącu i tylko po niemiecku.

Proszę napisz mi, co z naszym sklepem. Co robi moja kochana Basia. Czy jest zdrowa?

Aby uniknąć pytań od kierownictwa obozu i zapewnić sobie szybkie dostarczenie poczty należy przestrzegać następujących zaleceń:

1. listy tylko po niemiecku
2. (prywatne) listy polecone zabronione
3. wysyłać tylko koperty wewnątrz nie wyściełane
4. należy używać tylko niemieckich znaczków pocztowych
5. zdjęcia w liście zabronione
6. pieniądze w liście zabronione
7. można pisać tylko raz w miesiącu i raz w miesiącu na list odpowiadać

Proszę o szybką odpowiedź.

Serdeczne pozdrowienia dla Ciebie, Mamy, Basi i wszystkich znajomych. Do zobaczenie. Twój Edmund"[23]

Drugi list z 8 czerwca 1941 r.:

„Kochana Felu! Twój list z dnia 19.05 otrzymałem 25.05 za który dziękuję [pisownia oryginalna – RW]. Pieniędzy do dzisiaj nie otrzymałem. Bardzo się cieszę, że Ty i Basia jesteście zdrowe. Ja czuję się całkiem zdrowo. Proszę o przesyłanie pieniędzy co miesiąc – mianowicie 20 RM.

I Jadzia lub [nieczytelne] możecie na mój adres wysłać 10 RM. Napisz mi, jak dostajecie towar do sklepu i jak to się kalkuluje.

Ucałuj ode mnie Basię i powiedz jej, że bardzo tęsknię za nią. Listy możecie pisać bardzo długie, tak abym mógł się czegoś dowiedzieć. Jak czuje się nasza Babcia i Mama.

Pozdrowienia dla wszystkich znajomych.

Całuję Ciebie serdecznie i mocno. Twój Edmund"

Stempel: SPRAWDZONO[24]

To, co znalazło się w trzecim liście łatwo przewidzieć na podstawie dwóch poprzednich. Nosił on datę 29 czerwca 1941 r.:

„Kochana Felu! Twój list z dnia 19.06 otrzymałem 28.06. Bardzo się cieszę, że Ty i cała Rodzina jesteście zdrowi. Pieniądze w kwocie 20 RM już otrzymałem. 25 marek niemieckich jeszcze nie otrzymałem. Proszę Cie o przesyłanie 25 marek miesięcznie. Teraz wolno mi pisać do Ciebie dwa razy w miesiącu, Tobie także.

Serdecznie pozdrawiam Ciebie i wszystkich opiekunów. Twój Edmund"[25]

Dla rodziny, przez swój skrajnie sformalizowany charakter, musiała to być przerażająca korespondencja. Z drugiej strony – wypatrywana była ona z ogromną nadzieją. Jeśli nadchodziła, znaczyło, że Bliski dalej żył. Jednak, co tak naprawdę kryło się za tymi kilkoma linijkami, trudno było dociec. Zbyt mało było wiadomo o tym, co działo się za drutami. Zresztą – wielu w ogóle nie wiedziało, że były tam druty.

– Ja oczywiście tych listów z dzieciństwa nie pamiętam – opowiada Elżbieta Dzikowska. – Choć być może jakieś ich strzępy docierały do mnie i zapadały gdzieś w podświadomości, bo najpewniej były czytane po wielokroć i to na głos. Świadomie przeczytałam je dopiero kilka lat po wojnie – wtedy, gdy częściej bywałam w Grudziądzu, dokąd z Międzyrzeca przeniosła się rodzina cioci Feli. Lata wojny kojarzą mi się z ciągłym strachem i niepewnością. Z brakiem normalności, która jakże wyraźnie emanuje także z tej korespondencji.

Czwarty list był kalką trzech pozostałych. Najważniejszą zawartą w nim informacją było to, iż został wysłany. Nosił datę 13 lipca 1941 r. Czytamy w nim:

„Kochana Felu! Twój list z dnia 08.07 otrzymałem wczoraj. Jestem całkowicie zdrowy. Jestem zadowolony, że Ty i Basia jesteście zdrowe i że sklep idzie dobrze. Czy mogłabyś przesłać mi większą sumę pieniędzy, jednak nie więcej niż 40 RM miesięcznie. Te pieniądze, które mi wysłałaś już dostałem. Proszę, odpisz mi szybko. Serdeczne pozdrowienia dla Cioci, Matek i Babć i wszystkich znajomych. Mocno Cię całuję. Edmund".[26]

Piątego listu już nie było. Zastąpiła go cisza, milczenie. W jakich okolicznościach Edmund Piórecki zmarł, nie wiadomo. Na podstawie aktu zgonu wystawionego w obozie, wiadomo tylko, że miało to miejsce 5 sierpnia 1941 r. – niemalże dokładnie cztery miesiące po przyjeździe z Lublina.

CIŻEMKI – ŻÓŁTA I NIEBIESKA

W tak trudnych okolicznościach, pewne zapomnienie Elżbiecie dawały książki. Choć na krótko oferowały jej inną rzeczywistość w zasięgu ręki. Jakiś lepszy, ciekawszy, bardziej normalny świat. Ponadto – czytanie kojarzyło jej się z ojcem, który jej tej sztuki nauczył, a przez to, że się ukrywał i działał w podziemiu, w domu bywał dość rzadko. Dlatego, gdy czytała, wyobrażała sobie, że jest on blisko niej lub że czyta trochę dla siebie, a trochę dla niego. Czytanie było dla niej sposobem kontaktowania się z nieobecnym.

Czy z tego nawyku bierze się jej późniejszy pęd do nauki?

Pierwszą jej ważną i w pełni świadomą lekturą była „Historia żółtej ciżemki" Antoniny Domańskiej. Przypomnijmy: Akcja książki toczy się w Polsce w czasach króla Kazimierza Jagiellończyka. Wawrzuś – główny bohater powieści mieszka na wsi, w pobliżu Krakowa. Ma nieprzeciętne uzdolnienia rzeźbiarskie, ale na co dzień zajmuje się wypasaniem krów. Pewnego dnia – gdy jest zajęty rzeźbieniem – krowy mu uciekają. Boi się wrócić do domu i wtedy staje się świadkiem kradzieży w kościele. Nie wiedząc, co ma robić, bo złodzieje grożą mu śmiercią, przyłącza się do grupy wędrownych cyrkowców. Ostatecznie od nich jednak także ucieka i trafia do Krakowa. Dzięki pomocy pewnego zakonnika dostaje pracę i dach nad głową u Jana Długosza – słynnego kronikarza. Kiedy historyk dowiaduje się, że chłopak ma talent rzeźbiarski, kieruje go do Wita Stwosza, który w tym czasie pracuje nad swoim wielkim ołtarzem. Wtedy niespodziewanie pojawia się Czarny Rafał – złodziej, którego niegdyś Wawrzuś wskazał jako sprawcę kradzieży w kościele. Złoczyńca próbuje spełnić swoją groźbę wypowiedzianą przed laty i chce zabić chłopca. Jednak jego plan spala na panewce i zostaje on schwytany i osądzony. Trafia pod sąd i zostaje ścięty. Wawrzuś jest bezpieczny. Nie obawiając się już niczyjej zemsty, wraca do rodzinnej wsi i odnajduje rodziców. Ci są przeszczęśliwi i dumni z syna, który stał się mężczyzną, zyskał niecodziennych fach i uznanie niezwykłego artysty. Razem z synem jadą do Krakowa, by pokłonić się Witowi Stwoszowi, Janowi Dlugoszowi i wziąć udział w odsłonięciu Ołtarza Mariackiego...

Ale mniejsza o fabułę. Ważniejsza jest tło tej pod wieloma względami archetypicznej opowieści: a więc poszukiwanie samego siebie, wędrówka, nieustanne zmaganie się dobra ze złem, oddanie się pod opiekę Mistrzów, osiągnięcie sukcesu mimo wielu przeciwności losu i triumfalny powrót na łono rodziny. A oprócz tego – całość akcji toczy się w środowisku artystów – najpierw kuglarzy, potem pisarza, następnie rzeźbiarza i jego uczniów. Czy można wyobrazić sobie utwór dla dzieci bardziej w sposób niedostrzegalny i podprogowy przesycony uniwersalnymi prawdami? Prawdami drogowskazami? Czy można sobie wyobrazić bardziej kompletną klasyczną powieść edukacyjną?

– „Historia żółtej ciżemki" to utwór, który w umyśle dziecka spragnionego prawd uniwersalnych może pozostawić pozytywny ślad na całe życie – mówi Janusz Szeluga, psychiatra. – Wcale nie dziwię się, że Elżbieta Dzikowska spośród wielu innych lektur ze swych wczesnych lat zapamiętała właśnie tę. To opowieść, której autorstwa nie powstydziłby się sam Carl Gustav Jung. Jest w niej zejście do piekieł, budowanie tożsamości i finalny wzlot ku światłu, ku słońcu. To wcześniejsza wersja kultowego „Alchemika" Paulo Coelho. Wcześniejsza i... moim zdaniem lepsza!

– Podobno niekiedy jednak trafiona lektura we wczesnym dzieciństwie może stać się podświadomym drogowskazem na całe życie.

– To prawda. Tak rzeczywiście bywa. Ważne jest, by działo się to na poziomie podświadomości.

– Dlaczego?

– Bo wtedy takie oddziaływanie może być bardzo trwałe. W przeciwnym razie – narażone jest na rozpad, na zniszczenie.

– Czy w tej powieści można doszukiwać się źródeł późniejszego zainteresowania się przez Dzikowską sztuką?

– Wydaje się to być prawdopodobne, skoro ona tę książkę tak wyraźnie zapamiętała. Ale prócz sztuki w powieści tej niezwykle ważny jest też motyw drogi, poszukiwań i podążania do przodu mimo wielu napotykanych przeciwności. Także motyw mentora, mędrca, pomocnika. U pani ED, w jej życiu, wszystkie te elementy wystąpiły.

– Szczerze mówią, w mniejszym, czy większym stopniu, dzieje się tak u każdego.

– Ale u niej, jak mi się wydaje, jest to szczególnie wyraźne. Czy Tony Halik nie odegrał w jej życiu roli Wita Stwosza z „Historii żółtej ciżemki"[27]

– To żółte ciżemki? – rzuciłem do Dzikowskiej, gdy po wycieczce do Żerocina znów na chwilę zatrzymaliśmy się w Międzyrzecu i gdy ona z dobrym skutkiem próbowała oczyścić z żółtego piachu swe markowe niebieskie addidasy marki Pirelli.

– Niebieskie – niebieskie, które tylko za chwilę stały się żółte – odpowiedziała przypominając swe niezłomne upodobanie do koloru niebieskiego. – Ale za moment, spokojnie, znów będą niebieskie...

Byliśmy przed międzyrzeckim dworcem, nieopodal miejsca, gdzie przed laty wysługujący się Niemcom szpicle aresztowali ojca Elżbiety Dzikowskiej. Jej dobry humor wskazywał na to, że albo o tym w tamtym momencie zapomniała, albo chciała zapomnieć. Budynek jest odnowiony, jakby wypolerowany, na jednej z jego ścian znajduje się tablica pamiątkowa, a na frontonie duży, okrągły zegar. Krótka wycieczka w jej rodzinne strony właśnie dobiegała końca, choć miałem świadomość, że będą musiały jeszcze nastąpić kolejne.

WZGÓRZE SAN CRISTOBAL I DWORZEC „DESAMPARADOS" (LIMA)

Przed sześcioma tygodniami, znajdowaliśmy się w niemalże bliźniaczym miejscu w Limie – na słynnym dworcu „Desamparados", gdzie niegdyś miała swój początek jedna z najbardziej znanych (a zarazem niezwykłych) linii kolejowych świata. Było to wieczorem, tego samego dnia, w którym odwiedziliśmy ruiny w Huaycán de Cieneguilla i w którym jedliśmy „ceviche" w... (oczywiście!) „cevicherii", gdzie Elżbietę Dzikowską wzięto za... królową!

Najpierw jednak wybraliśmy się na przejażdżkę otwartym od góry, piętrowym autobusem turystycznym, na wzgórze San Cristobal – górę poza rzeką Rimac (od której nazwę wzięła Lima) wyrastającą tuż za centrum miasta. To wzgórze bardzo charakterystyczne: piramidalne, wyniosłe, jakby ograniczające stolicę od północnego zachodu, wyznaczające jej naturalną rubież. Porośnięte jakby mchem albo hubą rozległego i rozpełzającego się na wszystkie strony „pueblo joven", czyli – dosłownie – „młodego osiedla", jeszcze inaczej – slumsu. Slumsu jakże widowiskowego, ba... w swej slumsowej urodzie – przykuwającego uwagę i przepięknego: różnokolorowego, jakby wielotarasowego, przywodzącego na myśl konstrukcje mieszkalne północnoamerykańskich Indian Pueblo, pnącego się tysiącami pokracznych, gigantycznych schodów ku górze, ku niebu, ku stojącemu na szczycie kamiennemu, wielkiemu krzyżowi, wzniesionemu ku czci świętego Krzysztofa. Stąd nazwa całego wzgórza – Cerro San Cristobal. Wzgórze Świętego Krzysztofa.

A więc jedziemy. Siadamy na drugim wyższym, bardzo wietrznym poziomie autobusu i jedziemy. Slumsowe uliczki wzgórza są prawie tak wąskie jak chodniki (z kolei chodników tu nie ma). Autobus ledwo się mieści. Trzeba schylać głowę, żeby nie zawadzić o pajęczynę drutów, oplątujących wszystkie uliczki i przerzuconych między dachami. Te druty są wąsami nadziei. Bo większość z nich to instalacje całkowicie dzikie i nielegalne. Ale ich istnienie uznać trzeba za coś bardzo pozytywnego. Bo obecność tych metalowych wąsów zdradza głód rozwoju tych, którzy te wąsy hodują – ich chęć podążania naprzód i nieokiełznaną wolę rozwoju. Druty więc zamiast drażnić – cieszą. Podpowiadają, że ci, którzy teraz decydują się na oplatanie nimi swych skromnych domostw za lat pięć, a najdalej dziesięć – jak tylko uda im się stąd wyrwać – będą mieszkać już w całkiem innych domach, w całkiem innych dzielnicach i będą starali się być już całkiem innymi ludźmi.

Po kilku chwilach jesteśmy na szczycie. Zwolna

zapada zmierzch. Kamienny krzyż, który stoi na szczycie, wzniesiono na miejscu dawnej inkaskiej „apachety" – pradawnego miejsca kultu. To w tym kraju całkowicie normalne: kościoły w czasach konkwisty i kolonii budowano tu najczęściej na miejscu dawnych indiańskich świątyń, a kapliczki lub przydrożne krzyże (takie, jak ten, który jest przed nami) wznoszono na miejscu dawnych miejsc kultu – „apachet". Niegdyś Inkowie znosili tu kamienie i kwiaty; dziś czyni się tak samo: pod krzyżem setki smukłych gladioli i goździków, świeczek i zniczy.

Ciągłość w nieciągłości i nieciągłość w ciągłości. Historia. Dzieje. Życie.

Największa niespodzianka czeka nas poza kamienną barierką, okalającą szczytowy placyk: jest coraz ciemniej i zewsząd, w dole, rozbłyska Lima. Nie tysiącami, ale milionami świateł. Może dziesiątkami milionów, bo miasto liczy dziesięć milionów mieszkańców. Całą galaktyką. Ale nie to jest zaskoczeniem. Polega ono na tym, że tam, gdzie poprzednio wydawało się, że nic już nie będzie – wszak Lima za wzgórzem w sposób jak najbardziej naturalny miała się kończyć, było cale morze, a właściwie – ocean, właśnie wynurzających się z niebytu świateł. Było tam jakby kolejne wielkie miasto, a może nawet dwa, trzy nowe miasta, bo te dziesięć milionów ludzi musiało się przecież gdzieś pomieścić.

Widok zapierał dech w piersiach. Wszystko wyglądało inaczej niż można było się spodziewać.

Nie lepiej, nie gorzej. Po prostu inaczej.

Znów: jak to w życiu.

Potem, już po zmroku, tym samym autobusem zjechaliśmy w dół – znów ku miastu. Na zamglonym – jak zwykle – limeńskim niebie pojawiły się nieliczne gwiazdy, a my dyskutowaliśmy o pasji: o tym, że życie bez pasji jest nic niewarte; że żywot bez pasji jest czymś takim, jak nocne niebo pozbawione gwiazd. Jak potrawa bez przypraw. Pieczeń bez pieprzu! Lody bez wanilii! Ryba bez – byliśmy przecież w Peru – bez „aji"![28] Że trzeba żyć w sposób choć trochę niezwykły. Że to bardzo ważne, to podstawa . Że bez tego ani rusz...

Potem dojechaliśmy do przystanku końcowego i zmierzając ku hotelowi „España", chcąc nie chcąc, musieliśmy przejść koło dworca „Desamparados" i jego pięknie podświetlonej tarczy wielkiego zegara (jednak zdecydowanie większego niż ten na stacji w Międzyrzecu Podlaskim). Jakiś odblask od jego rozświetlonej tarczy padł na przebiegające dołem tory, a te na krótką chwilę niespodziewanie rozbłysły...

Wtedy Elżbieta powiedziała:

– Kolejowe tory już na zawsze kojarzą mi się z jeszcze jednym wątkiem martyrologicznym.

Martyrologicznym?

Jakim?

Roman Warszewski

---

1 Rozmowa z Ryszardem Gąsiorem i jego żoną w Międzyrzecu Podlaskim 16 lipca 2017 r.
2 Rozmowa z Sabiną Gościcką w Warszawie w dniu 10 listopada 2018 r.
3 Dzikowska, dzieło cyt., s. 14
4 Dzieło cyt., s.13
5 Jak wyżej
6 Jak wyżej
7 Dzieło cyt., s. 13–14
8 Rozmowa z Sabiną Gościcką; jak wyżej.
9 Rozmowa z Albertem Zalewskim w Warszawie w dniu 10 listopada 2018 r.
10 Rozmowa z Sabiną Gościcką; jak wyżej
11 Kowalski Marian, „Wspomnienie o nauczycielu Zygmuncie Górskim", w: „Rocznik Międzyrzecki", t. VII, TPN w Międzyrzecu Podlaskim, Międzyrzec Podlaski 1975, s. 171
12 Rozmowa z Albertem Zalewskim; jak wyżej
13 Kowalski, dzieło cyt., s. 171
14 Geresz Józef, „Międzyrzec Podlaski. Dzieje miasta i okolic", Biała Podlaska 1995, s. 323
15 Rozmowa telefoniczna z Józefem Gereszem w dniu 24 października 2018 r.
16 Kowalski, dzieło cyt., s. 171
17 Jak wyżej
18 Rozmowa z prof. Bogdanem Wojciszke w Sopocie...
19 Dzikowska, dzieło cyt., s 13
20 Jak wyżej
21 List Adama Zalewskiego do Elżbiety Dzikowskiej z dnia 29 sierpnia 2017 r. Archiwum domowe Elżbiety Dzikowskiej.
22 Jak wyżej
23 Archiwum domowe Barbary Dąbrowicz. Na podstawie pracy Andrzeja Pióreckiego „Pióreckich tom II odnaleziony", Kraków 2011. (Na prawach rękopisu.)
24 Jak wyżej
25 Jak wyżej
26 Jak wyżej
27 Rozmowa z drem Januszem Szelugą w Gdyni, w dniu 20 listopada 2018 r.
28 „Aji" – ostra peruwiańska przyprawa ze startej na miazgę papryczki „rocoto".

Maja Wolińska

Zbigniew Kresowaty

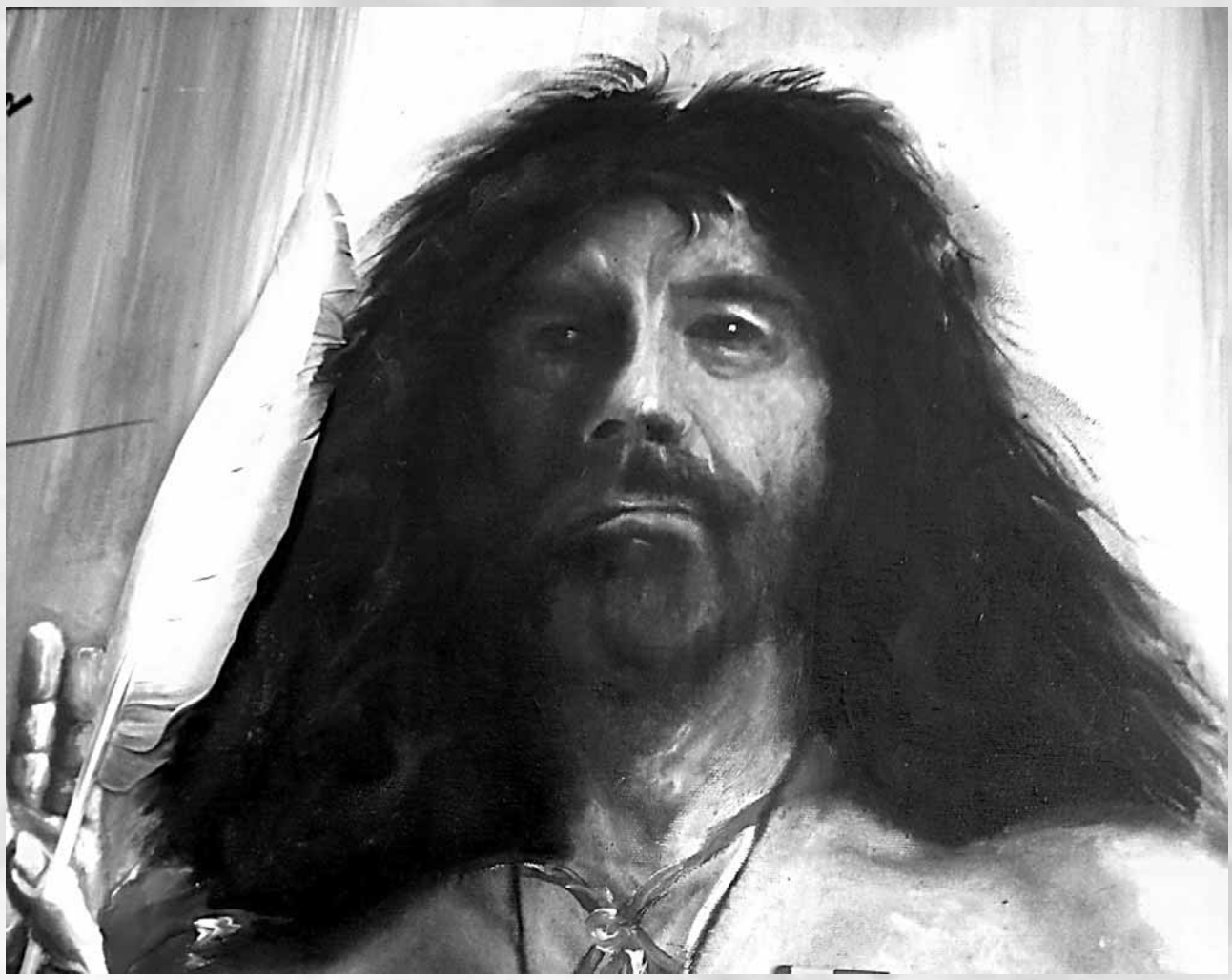

WODA

woda nosi pamięć
połóż się spać z wodą
jak otoczak jej pamięć obejmie
poniesie w zatokę może uwięzi
w piasku kłującym
to tamtędy brzegiem biegł koń
gdy Perseusz pokonał Meduzę
woda nosi do dziś Jego pamięć
a ty młody jesteś w starej pamięci

w wodzie jest nóż
nie podnoś go – to lustro zakręcone
po nim złoty talar i perła i mały wrak
woda nosi zmywa i topi muzykę
fruwającej ryby i Johna Lennona
zbiera pamięć w zawiniątko
to otoczak Który od Myken
wpada w cieśninę

póki co w wodzie jesteś młody
krążysz w starych mitach łowisz
a woda przesłuchuje twarze
wielkich i malućkich zbrodniarzy
woda w Guanta Namo ujawnia
niemożliwe - można się uwolnić
jej pamięcią to cierpienie
namnaża się wie z kim przybrać

TREN DLA PIESKA PRZYDROŻNEGO

Kiedyś dreptał polem za Jankiem Skibą
czasem prowadził go w las ciekawski duch
ganiali za nim hycle i basiory – umykał biały
wtem nagła chwila - szum protektora na szosie
usunął z niego oddech i ... tylko zefirem chwilą
oddychał ten piesek przydrożny
- --
I usiadł na Nim wróbelek płowy
w konwulsjach utopił dziób chciał Go
pod chmurkę kapelusza wziąć choćby pamięć
- jak był zlatywał na „kiedy ranne" do jego
kolorowej miseczki i zaraz wstawała zorza
w każdy dzień tak samo - - - - - - - ale

Przechodził tędy wiosenny człek
spojrzał na Niego jak poeta NIBY
zapisał - „oto pieczęć przydrożna"
łącznik między ziemią a niebem"?
- wtedy płowy wróbelek się otrzepał
uleciał z pieczęci jak wiadomość
a na boku rowu przydrożnego
z otwartymi oczami piesek spał
do dziś nikt nie wie że to Anioł
o psich oczach bo ich nie zamknął

TELEFON NA KTÓRY ZDĄŻYŁEM

Pamięci Janusza Żernickiego

Odwiedziłem poetę w Tężniopolis
był dziś zmęczony - a ja chciałem pytać
szło na deszcz - sążnie jak pokos mgły
słowa ślizgają się a nawet wróżą wiele
jak w zwolnionym filmie witam się
zimna ręka poety ledwie ze snu wiersza
poeta wychylony skrócony o drogę
toczymy dialog o tych co teraz dziko
biegają z centaurami po niebieskiej trawie
trzymam za rękę poetę On nie wyrywa się
jakby za słowa przytrzymuję kciuk
puenta goni puentę pomiędzy palcami

Dość - proszę pana!
– oznajmia wieloletnia Muza poety
– wyrywa mu słuchawkę – urywa głos
- on jest JUŻ – bardzo zmęczony - Zatem
trzeba się śpieszyć – z ukłonem zrywam się
– Janusz szepce przyjdziesz jutro? - - - - - - - - - -
Ładnego ma pan psa panie Januszu – „nie znam Go
uciekłem spod chmury kapelusza innym psim pyskom..."
Akteon nigdy nie znał własnych psów rozszarpały go
bo NIGDY nie wolno podglądać nagich Muz
co zawsze grozi śmiercią – Uścisk dłoni - cieplejsza
czekaj! - po drodze wejdź do knajpy – mówi poeta
tam jest poezja – pójdziesz za nią - będzie robić
z tobą czego nie robiła nigdy.
Ona to będzie robić tak, jak nie robiła nigdy jeszcze
Och - ona to będzie robić tak dobrze – Wiem!,
Aż się wieczność objawi nagle przelotnym deszczem
tężni poczujesz to na wargach pokąsanych

BĘDZIE POEZJA

Jerzemu Szatkowskiemu przyjacielowi
słowiarzowi na katharsis ostatnie

Czy jej pieśń dziś a ongiś porywista
nie płynie jak szalona rzeka między brzegami
i nie sławi miłości - nie opłakuje kniei piękniejszych?
Czy krople na Jego twarzy jak oceany nie pieczętują
głębinnej radości bolesnego spadania w przestrzeń
w pozagrobny zaułek tajemnej przepaści?

Jesteś Teraz zdziczały – „wysoko upadłeś”
biegasz za centaurami za Iwoną – pytasz Nessosa
Długowłosy proroku jesteś jakby na polach Nirwany
mijasz poetów o których więcej już wszystko wiesz

- A czymże byłyby przymierze tamtych poetów
w nas żywych gdyby nad wędrowaniem umiłowanych
dziś dusz nie było szumu smentarza płaczu zgrzytu szyn i zębów
gdyby zabrakło pieśni wyjca w pobliskim lesie Antoniewa?
 i wycia wilka białego w pobliskim polu – Czy za jeden
serdeczny wiersz bajkę odśpiewaną do poduszki swego dziecka
KIEDYŚ z palcem na ustach „uśnij mi uśnij skarbie mój jedyny
– w śnie jak drzewo rośnij” nie odbieramy już w kołysce
zwielokrotnionego bólu radosnego zdążającego w krzyk
własnego losu - w radosną rozłąkę twórczych powitań
w witaniu i pożegnaniu niecodziennego dziania się
potęgi słowa od którego wszystko pochodzi

POETA KAWAFIS WCIĄŻ MÓWI

Z tamtych widm przybywam
Tutaj stanąć chcę jeszcze raz
łudzić słowa toczyć się w miłości
chcę pieścić się z widmami Muz

skoro tylu patrzy
podgląda ciemność nawet Hermes
niech stanę i ja gotów na złoty wiersz
zanim podniesie się słoneczny klerk
świtu -Czy taki jest koniec wojny?
Słyszę jakąś ogromną pieśń coś niesie
słyszę o mężobójcach argejskich
starożytnej Aleksandrii
o której coś już wiem

Królu Pryjamie - wiem dobrze
że nic już nie ofiaruję Nikomu
NIC przy sercu mi także NIE zostało
rzeczy tych co odpłynęli w mroki
za nas za sen w ciepłych niszach
po niewidomym moście cienie
wspomnij tylko Aleksandrię
nadchodzą znów wieści o życiu

A łabędź opływa jezioro
i nic się znów nie dzieje
biały wąż opierzony Helena?
okolicę opływa - będzie wojna?
jeszcze syk po wodzie się niesie

NASI SYNOWIE

przepowiadają pogody i wojny
tulą panny wiosenne nie boją się rodziców
strzygą się na Zero i zlewają się tanimi
zapachami kolońskimi
jak niesforne wygięte kocury
spryskują wszystko co nowe
A miejsca ich spotkań błahe
ale stają ponad poważnymi
sprawami których też
im nie wystarcza
boję się że wezmą wszystko
że jutro to może być moja
koszula albo piękna kochanka
skarbonka rodem cyniczna
jak Pazyfae

POŁUDNIE NA KRESACH

w dniu kiedy odszedł Z. Herbert
byłem w Holi na Podlasiu.

Słucham radia i patrzę w niebo
Anioł Stróż maluje rower na niebiesko
dotykiem błękitnym włosiem maluje trawę
przerzutkę i łańcuch smaruje wolnym ruchem
tak jak smaruje się różaniec palcami spracowanymi
namacalnie i dokładnie przed podróżą jest modlitwa
tak jak namaszcza się zwłoki przed przebraniem
albo tak jak przystępuje do pisania ikony
i oddaniem jej Bogu – Dokładnie tak jak
po zdjęciu z krzyża skazańca robiły kobiety
nagminnie w Jeruzalem - - - - - - - - - - - -

odszedł właśnie poeta bliski gwieździe Hermesa
A na dolnej drodze gromadka dzieci umorusanych
na brązowo nic nie wie i nic ich nie obchodzi
inne na pobliskiej łące i zbierają listki koniczyny
jak to było w Sparcie – czy to dzieci gladiatorów?
zbierają na ofiarę czterolistną koniczynę

- A w nieszpory wszystko jest jeszcze bardziej
nieznane i spadła jaskółka nagle z tytanem w dziobie
UFO okrążyło okolicę krowim plackiem po łące jakby
wyskoczyło spod nieznanego ogona samolotu
który jest szklistym fletem i niesie muzykę Marsjasza
Tym czasem płynie mleko z łaciatego nieba
- -

wewnątrz świątyni Anioł siadł na ołtarzu
i czyta wiersz wędrowca?
– boskie dzieci rozdają chlebki ze złotej tacy
 chowając resztę z winem do tabernakulum

Pod filarem drewnianej świątyni stoi
posiwiały Pan Cogito – jakby cezar który minął
żywych i umarłych pokonał Gilgamesza i Rolanda

Jerzy Grupiński

Portret poety Jerzego Grupińskiego wyk. Zbigniew Ikona - Kresowaty

Aria

Tylko jeden ruch ręki
palca przez ciemność
I światło lampy
- w grudniową ćmę

Na drucie oswojona róża
(papier, folia i kurz) zatknięta
pomiędzy grzbiety książek

Ona tak niewiarygodna
Ona niewierna
Podnosi głowę Rozpala się
rozchyla wargi w mrok

Czarny tren

Pod ciąg wieczorny wronich skrzydeł
wprost pod czerwoną słońca tarczę
za most za łąki na Trynce
gdzie wciąż leży w trawie
moja zagubiona piłka – szmacianka
idzie babka Helena
Mocno trzyma moją małą rękę

Tylko ona zna opowieść
o wronim weselu i pogrzebie
O młodej wdowie O matce trucicielce
ciężko ciągnącej się w końcu szeregu
O! Palcem pokaże dwa konie
czarno w derki okryte
i wroniego księdza i organistę
na czele ptasiego pochodu

Pamięta Helenę
każdy próg i w bruku kamień
Kocie łby żydowskich zaułków
Krótkiej Kościelnej i Krętej
I moja w jej ręce ręka
Wysoko w ciemność znów śpiewa

Malinowa XI 017

Dedykacja

Wiersz – kruchy szept
toczony wiatrem po grudzie
W twoich oczach – wiem
liść jestem zeszłoroczny
Z daleka zda się młody
w jasnych piórach wróbel

Moje imię w twoich ustach
Tamten dzień Daleki ćwierk
I ty która po latach
w wierszu mi szeleścisz i wzdychasz

Malinowa, IV 2018

Do brata

- Jótkowi

Więc aż tutaj do Ciebie
w nowe mury przeniósł się
przeszedł z rynku miasteczka
nad Wartę – Święty Dom
Za torem wychylone z grobów
cmentarne drzewa
I płyną wciąż w zakolach rzeki
do słońca na wznak
ich twarze imiona i opowieści

W Olszynkach muzyka i pierś dziewczęca
czeka jak ręką w ogień
Dach szkoły ojcowski warsztat
Klasztorna sygnaturka – Anioł Pański
Głos w południe jak z pękniętego garnka
Nasz świat cały świat
Czy trzeba czy można więcej?

Dziewczynka ze ściany roczna
nasza stuletnia Mama patrzy
Michał Andrzej i pies z porcelany
Niżej
niewiarygodna i niebezpieczna wielce
rzecz o lataniu na balonach i aeroplanach
nie wiadomo skąd od kogo ta książka
Święty Dom – Twoja pamięć i serce
Jak relikwiarz świeci szkłem
próchno drzazga Krzyża
co postawili go pod Smolarami
w ciemną niemiecką noc
hrabia z Goraju i dziad nasz Józef

Elegia na opuszczenie Doliny Fossylii

W nowym domu na Saalburgstrasse
z której strony masz teraz okna?
Na południe – daleko widzisz?
Śnisz grzbiety Staufów
i niżej wzgórza twej Szwabskiej Jury?

Tam gdzie młody
(a potem wielebny) pastor Edward Mörike
był wikarym – w Owen
u stóp góry – zamczyska Teck
I chodził daleko na zdrowych nogach
po wulkanicznych pagórach
i pisał ogniste wiersze pełne pstrągów
„Hier ist Freude hier ist Lust”
Pamiętasz – i dalej na płaskowyż
krokami Poethema i Hölderlina
do Ochsenwang – gdzie skała poety
Ten kamień podnosi cię
czy spycha?
Kto za ciebie pcha go teraz pod górę?

Tu w kraju Hesji
bielmem zachodzą szyby w oknach
Śpiew muezina szyje powietrze
gęstnieje cień minaretów
Men toczy mętną wodę
nie wiadomo po co i dokąd
Spławia barki olbrzymy – monstra
I rośnie nad miasto
cień od góry Taunus

Urszula M. Benka

KONSTELACJE, KOMETY, METEORYTY[1]

Konstelacje kreślą luźnymi obrazkami sagę polskiej inteligencji – od sprzed I wojny do dzisiaj. Losy będą się przecinać w przestrzeni właściwie niemożebnej, zgniecionej nawet w pamięci pojedynczego świadka – wyłonione ze zgnieceń kubistyczne portrety kaleczą się nawzajem cząstkowością. Wojny są zgnieceniami psychiki. O tej z 1914 powie później Hannah Arendt, że była kulturową katastrofą porównywalną tylko z upadkiem Rzymu – choć go nikt w swoim czasie nie zauważył. Jak końca świata w wierszu Miłosza. Ktoś w *Konstelacjach* rzuca: jemu pierwszą pomnożła przeżyć filozofia; drugą – wiara w ideologię.

Każdą z rodzin *Konstelacji* założył mężczyzna związany z kobietą imieniem Maria: mąż, syn, wnuk, bracia, utracony wcześniej narzeczony, przyjaciółka, ich bliscy. Istne plamki na obrazie impresjonisty. Owszem, w zbliżeniach obiektywu kubizm portretowania wcale nie wyklucza się z tym, co odkrywał Matisse. Matisse destylował kolory. Poprzestał w końcu na trzech: czerwieni, zieleni i niebieskim w swoim *Tańcu*. *Konstelacje* mają czerwień seksu młodości „rozszarpującej", mają zieleń muzyki, wreszcie – niebieski dzieciństwa jako snu. Ten taniec nie dba o myślenie historyków. W progu labiryntu wita nas nieuniknionym *porzućcie nadzieję* autor na wskroś współczesny, daleki od masowych ekstrawertyzmów wiary i bólu. Rudowski platonik. W tym sensie, że myśli dialogiem. Omija tym samym wyniosłe mitologie polskości i sejsmicznie aktywne mitologie humanistyki.

W jego opisie wojny od gniewu i rozpaczy nad utraconym mieniem ważniejsza jest muzyka: każde zgięcie na wygniecionych kartach ma własną muzykę; to ona daje impet wgnieceniom! Nadaje zarazem stan nieważkości. Oto, po upartym szukaniu w kredensie za słoikiem dżemu, za puszką herbaty, po zerkaniu na drogę, targowaniu się o ług, kładzeniu palca na ustach, wlewa się w ucho przejmujący śpiew rosyjskich białogwardzistów o kruku czarnym nad trupem dziewczyny pod lasem. Tym pieśniom za ciasno w gościnnym z konieczności polskim dworku – niektóre wejdą do kanonu kresowian i Pierwszej Brygady, po latach będą odtwarzane mniej lub bardziej bełkotliwie w nocnych Polaków rozmowach, zakrapianych wódką na pohybel komunie – choć odtwarzane też przez Chór Aleksandrowa. Inne zbliżenie: powstaniec warszawski zasłuchany w ulubioną piosenkę Wehrmachtu z ochrypłego patefonu. Znika czad propagandy, natomiast widać, jak się rozszczepiają wrażenia zmysłowe, pamięć, świadomość, percepcja.

Sto lat codzienności polskiej w najjohydniejszym ze stuleci pulsowało od Atlantyku do Kamczatki. Żartowało z Witkacym, Picassem, Dunikowskim, snuło się nad Sekwaną, po Schlangweg nad Neckarem, po rumuńskich Karpatach. Paliło ognisko na hali Pysznej, walczyło o wydawanie Zegadłowicza, o prawa wyborcze kobiet, rej wodziło balom w miasteczku, leżało w wojskowym lazarecie, ginęło w Guernice, ładowało pnie na zlodowaciały statek, wyśmiewało Białoszewskiego. I było serią odruchów samoobronnych. Jak to ujął Jarosław Mikołajewski: „uśpiona czujność i tolerancja dla kretynów to skutek uboczny miłości własnej".

Miłość własna, emblematyczna cecha elit polskich! Tyle, że nie sposób ustalić punktu, od którego wpadamy w letarg, z jakiego budzimy się w nowych warunkach ustrojowych. Okupacje, cóż, są „ustrojem". Nijak ustalić, od jakiego punktu zasobne, czyste, eleganckie warunki pokoju zaczynają miec w sobie coś z patologii. A samorealizacja grupy decydywnej – elity – coś z patologii. Jednak powyższe kwestie Rudowski, zamiast imitować dyskurs „epopei epoki" (wydano *Konstelacje* na stulecie niepodległości), zawiesza. Jego postacie, zawsze będące podświadomym *alter ego*, nie stają po żadnej ze stron. Tu nie należy doszukiwać się realizmu krytycznego, ponieważ mamy przed sobą, tyle że powściągliwszy niż dotąd, oneiron. Lecz finalny mazur w otoczce sztucznych ogni, niby z *Pana Tadeusza*, zostaje „odrzucony" w imię rzeczywistości i ciszy.

Zdania są proste. Prozę Rudowskiego tworzyły wcześniej wysmakowane, wielokrotnie złożone frazy, splątane, oddające przymus wyrzucenia wszelkich możliwych skojarzeń i wzniesienia wszelkich możliwych osłon przed stanięciem z prawdą o sobie oko w oko. Uwagę skupiał nam oddech w nocnym pociągu, oddech przysypiających ze zmęczenia pasażerów furgonetki – sednem było jednocześnie samo w sobie pomieszczenie-macica i sam w sobie ruch przez unieważniony świat, tak, jakby można było wwiercać się w coś, co zrozumiemy po drugiej stronie. Podobne do transu „unieruchomienie a nawet skamienienie" otrzymuje blask z chwilą spotkania kobiety. Spotkanie implikujące seks! Wszystko inne – rodzina, znajomi, praca zawodowa, dawniejsze zauroczenia, to kokon, poza którym znów zalega sfera, przez jaką trzeba się przewiercić, pełna bytów na pograniczu snu i jawy, a panie mają w sobie coś z diabła. Tu zaznaczę, że Ryszard Przybylski analizując Iwaszkiewicza, też powiada: chłonąć życie wiąże się z uznaniem sui generis wyższości kobiety „która jest życiem, trwa jako zwycięska prazasada świata. Nie jest bynajmniej niemoralna, ale nieco ordynarna i całkowicie amoralna. Zasada trwania życia wznosi się bowiem ponad etyką". Rudowski raczej powiedziałby tak jak pisarz ważny dlań, Javier Marias w *Sercu tak białym*: „Czasami odnoszę wrażenie (...) że to, co się zdarza, jest identyczne z tym, co się nie zdarza; to, co odrzucamy lub puszczamy mimo siebie, jest identyczne z tym, co bierzemy i chwytamy; to, czego doświadczamy, identyczne z tym, czego nie próbujemy, a mimo to schodzi nam życie na wybieraniu i odrzucaniu, i dobieraniu, na wykreślaniu linii, która rozdzieliłaby to wszystko co identyczne i uczyniła z naszej historii jedną jedyną historię, którą moglibyśmy pamiętać i opowiadać, od razu albo po jakimś czasie, i tym samym która mogła zostać wymazana lub rozmazana". Tak więc autor pokazuje impulsy. Spragniony wyciszenia chłopak dociera do leśnego zakątka, gdzie dopiero co trwały (nawet mu w głowie nie postała taka myśl – aby to **tutaj**) masowe egzekucje po zlikwidowaniu getta. Widzi, że wszędzie świeżo przekopana darń, że ziemia sie rusza. I on ucieka. Inny chłopiec namiętnie majsterkuje, robi radia, nadajniki. Wynosi części z warsztatu u Niemca, składa je z perfekcyjną starannością, zupełnie jak zgnębieni, niepewni siebie, stawiają pasjansa. Zastępcza koncentracja na problemie po prostu uchwytniejszym. Powtórzę: są to obrazki tasowanej talii. Oznajmiają dolę, wyznaczają drogę ratunku albo zguby. Ratunek sprowadza się do przetrwania i tunelowych fascynacji, chocby gry na trabce. Na głębszym planie coś wykrusza się w psychice, coś przekierowuje na *funkcjonować* zamiast *być*. Coś przekierowuje zmysł sakralny, kultura przepoczwarza się w konsumpcję produktów kulturalnych, fascynacja odmiennym stanowiskiem w ekonomiczne „nie, bo nie". Ocalali myślą poprzez „trzeba" zamiast „pragnę".

Dotąd u Rudowskiego seks bywał wyłącznie kompulsją, tak nieodpartą, że objawiało to jakąś moc pierwotną Erosa. Lecz bez Psyche. Pisarz nie kryje, że chce przyjąć męski punkt widzenia, co rozumiem, że dominujące dzisiaj zapieranie się męskich właściwości, męskich ekspresji, zraża go, jak wszelkie chyba przymilne tchórzostwo. Buduje swoje postaci jako wolne erotycznie, bezproblemowe. Mam chęć spytać, czy nie popełnia anachronizmu, i to anachronizmu, jaki by świadczył o autyzmie wobec *Piekła kobiet, Granicy,* już pomijając *Moralność pani Dulskiej*. By uprzedzić argument, iż bohaterami Rudowskiego są ludzie światli, a nie zastrachane sługi do palenia w piecu, przypomnę o jednej z najgłośniejszych gwiazd światowego kina w tamtych czasach. Córka milionerów Hedy Kiesler (pseudonim Lamarr) po raz pierwszy pokazuje kobiecy orgazm, jak podał ostatnio „Newsweek", „chociaż ekstazę widać jedynie na twarzy aktorki i w ruchu jej rąk (...) gazety wiedeńskie pisały, że cenzorzy chyba film przespali, bo inaczej nie dopuściliby go do dystrybucji, a rodzice aktorki wyszli z kina przed końcem projekcji. (...) W USA obraz został potępiony przy wsparciu prezydenta Roosevelta – dopiero w 1936 pokazano ocenzurowaną wersję z dodanym zdaniem o potajemnym ślubie kochanków". To przecież trwa! Aktor Piotr Adamczyk po roli Karola Wojtyły w filmie Battiato zadeklarował poślubienie partnerki. Dla filozofa kultury może być zresztą intrygująca ta dziura w wyobraźni Rudowskiego; zwłaszcza przy konstrukcji panoramy stulecia, paradoskalnie coraz mniej wyrazistej. Relacje dziadków chłonęło dziecko, relacje rodziców były już na szczękościsku i tu pisarz przekopuje się nie przez przeoczenia, ale przez pola traumy, przez odmowę zwierzeń.

A czym jest kobieta w tej prozie? Żaden z mężczyzn nie wybierał na żonę ukochanej. Ulegał energicznej kobiecie, poddawał się decyzjom krewnych. Zbliżenia intymne małżonków są tedy godziwą powinnością, uczuciem pełnym serdeczności nawet, tylko że tchnie z nich ból, neuroza. Analogicznie w Punkcie obserwacyjnym, gdzie brak Erosa oznacza śmierć lub obłęd bohatera. Ten kocha nie kobietę, ale dom. Być może rozpoznaje „ją" za pośrednictwem książki Mariasa? Powtórzę więc za Mariasem „Nikt z nas nie powinien czuć się urażony tym, że ktoś zadowala się nami tylko z braku tej osoby, która była najlepsza". Z drugiej strony, w Konstelacjach pada urzekające odkrycie młodej dziewczyny, że miłość się odwzajemnia.

Cóż, sens literaturze nadaje pewien brak konsekwencji. Proza ta pokazuje tedy płynność świata i duszy. I, że chociaż podłe postępki mogą czynić przestrzeń toksyczną, to jednak pewna przeraźliwość ma smak. I ona zresztą iskrzy fascynującym Rudowskiego Wrocławiem 1945. Może wśród popiołów ocalały ekspresjonistyczny gmach Poczty, który miał zapoczątkować grupę drapaczy chmur? Mnóstwo mostów? Upiorne kikuty gotyku? Secesja, wszechstylowy niczym nowojorska katedra św. Jana od Apokalipsy gmach Architektury? Może mnóstwo Art Deco, odwzorowującej teogonię? Zawsze Wrocław ma u Rudowskiego magię skarbca-śmietnika. Czymś pokrewnym w przenikaniu się wątków, osobowości, wstrętu i ekstaz, w różnych rozwiązaniach formalnych, nasycił debiutanckie *Stopy Pana Boga*, gdzie bohater stapia się z przestrzenią Tatr w jakąś integralną bryłę, a bryła u niego jest istotą. To może być i kamienica, i stary, pełen tajemnic dom pod miastem, dworek, fabryka broni chemicznej, plebania, zamek, salka koncertowa. Miejce objawia się poprzez pęd. Jako koń biegnący swobodnie – tak się zaczynają *Konstelacje* – najpierw dowiaduję się o nim, że jest objęty udami Marii, a dopiero po chwili – że to zwierzę. Zapewne najtkliwiej, najśmielej kochany z męskich istot w jej życiu. I własnoręcznie zastrzelony.

Rudowskiego samokwestionujące się konstrukcje, głuche obsesje, są bliższe prozie Bataille'a niż świadomym wiwisekcjom. Przy tym mówi muzyką, jeśli odbiorca ją sobie uzmysłwi. Bach, ale też – jak w spuentowaniu noweli *Próba* – „Jan siedział w niewygodnym fotelu i milczał. W końcu przysunął futerał i wyjął trąbkę. Założył tłumik i aksamitnym dźwiękiem Milesa Davisa zaczął grać. Basista wstał i objął pudło kontrabasu. Smętna ballada Horacego Silvera *Peace* popłynęła w smutną przestrzeń pierwszej nocy stanu wojennego." Tak więc chodzi o urzeczenie samą niewiadomą. Naprawdę **nie** wiadomą. Bez zastępowania tego nader kulturalną wiedzą o niewiadomych. W tym względzie pisarz ma lwi pazur.

Urszula M. Benka

1. K. Rudowski, Konstelacje, Wrocław 2018

POEZJA

Jan Stanisław Smalewski

WSPOMNIENIOWO – WIERSZEM

Z Januszem Styczniem rozmowa o dioptriach

1

To jest Benka, Urszula.
- Dla kogo Urszula, dla tego Urszula.
Rozumiem. Miło mi. Jan Stanisław. Benka, przypominam sobie, czytałem pani wiersze. Benka to pseudonim czy drugie imię?
Janie Stanisławie to nazwisko. Dobre nazwisko. Może nie wiesz, myślę, że aktualnie jedna z wybitniejszych poetek w kraju.
Och, pardon, takie fo pa, to przez okulary. Mam zero i pół, a potrzebuję dwie dioptrie.
Tu też ciemno, nie można czytać; ja mam osiem.
Przyniosłem ci tomik, w rewanżu za „Opowiem ci o miłości".
Najnowszy?
Ostatni, z ubiegłego roku.
Chciałbym go zaraz poczytać...
Poczekaj, najpierw dedykacja.

Podobały ci się moje wiersze?
Bardzo. A najbardziej „Ikebana wiersza".
Jeśli się zgodzisz, wydrukujemy w naszym piśmie.
Macie swoje pismo?
Z Urszulą.
To świetnie!
Tylko z honorarium... Rozumiesz?
Nie ma sprawy, przeznaczam je na rozwój waszego wydawnictwa.
To nie o to chodzi, tylko... musisz poczekać.
Nie lubię czekać, załatwione, rezygnuję.
Zgadzasz się Urszula, że wiersz będzie pasował do kompozycji na okładce?

- Ja już muszę iść. Zostawiam panów.
Zabierze pani poezję chwili, szkoda.
- Jeśli o to chodzi, przyniosę ją następnym razem.
Może za dwa tygodnie?
…

Proponuję po małej wódce. Za nowe związki i za przyjaźń.
A do tego śledzika. W oleju czy w śmietanie?
W śmietanie.
Ja wolę w oleju.
O, przybył mój przyjaciel.
Ten sześćdziesięciolatek z plecakiem, w getrach, krótkich spodenkach i w trampkach? Kto to taki?
- Cześć Janusz! Z kim jesteś?
Mój nowy przyjaciel, poeta.
- Cześć, hrabia Czajkowski z Obornik Śląskich.
To jeszcze są tacy?
- Tam tak, bo tam jest specyficzny mikroklimat.
A po co hrabiemu plecak?
- Na latarkę. Robi się ciemno, jak będę wracał, przyświecę sobie.
Hrabia wraca do Obornik pieszo?
- Skądże, rowerem.

3

- Ooo. Witaj Janusz! Witam towarzystwo. Mogę?
A to mój drugi przyjaciel, malarz artysta. Przyjechał z Francji, ma pod Paryżem atelier. Otrzymał je od mera miasta
w nagrodę za wystawę swoich obrazów. Na dodatek z opłatą czynszu i energii.
Pan z awangardy?
Z super awangardy. Jeszcze pięć lat temu był malarzem pokojowym.
A to ciekawe.
Niezwykle interesujące. Bolek Nowicki maluje farbami, wapnem, cementem, a nawet cegłą i betonem..
- A ramy robię z giętych listew, które napinam nieregularnie.
Pan też maluje?
Nie, piszę wiersze.
Bolek Nowicki tłumaczy moje wiersze na francuski.
Super ciekawe. Zamówię raz jeszcze po małej wódce.
- A dla mnie na zakąskę marchewkę.
Jaką marchewkę, panie Bolesławie?
- Tartą, ma się rozumieć. Nie wiecie, że surowa marchewka poprawia wzrok?
Już w dwie godziny po zjedzeniu solidnej porcji marchewki
czytam bez okularów.
A po zjedzeniu śledzia?
- Widzę hrabiego Czajkowskiego na rowerze bez świateł w drodze do Obornik Śląskich.
I przypominam sobie starych przyjaciół.
To chyba po dużej wódce?

Janusz, znasz Salomeę Kapuścińską? Nie czytałem od kilku lat nowych jej wierszy.
Znam doskonale. Jej ojciec był profesorem okulistą, leczył mnie, powstrzymał mi krótkowzroczność.
Ale profesor nie żyje, a Salomea, w rozpaczy po śmierci ojca...
zamknęła się w sobie. Leczyła się już wcześniej, ale teraz...
to w ogóle nie przyjmuje żadnych przyjaciół. Nawet z Ameryki.

Po wypiciu dwóch małych wódek świat kurczy się.
A po wypiciu następnych dwóch, dużych,
w całości mieści się w naszej wyobraźni.
- To genialne, Janie Stanisławie.
To prawdziwe, hrabio.
A ty Janusz co teraz robisz?
Gonię za groszem.
Myślałem, że za sławą. Pytałem nad czym pracujesz?
… Może jeszcze po jednej małej wódce?

Wrocław, Klub Związków Twórczych, 25 listopada 1996

Maja Wolińska

Michał Frąckiewicz

KOMETA

To było kilka dni po Wielkanocy, kiedy nad Workutą wybuchła kometa. To niespodziewane, kosmiczne wydarzenie zapoczątkowało cykl powolnych, lecz głębokich przemian. Choć dla mieszkańców, kontakt z pozaziemskimi obiektami nie był niczym nowym, nigdy nie dotknęło ich tak potężne i budzące trwogę zjawisko. Dotąd były to radzieckie sputniki i chińskie rakiety. To miejsce, odległa władza wybrała sobie bowiem na kosmiczny śmietnik, wrakowisko nieśmiałych prób wzbicia się ponad planetę. Tego dnia kometa wybrała okoliczne lasy na miejsce swojej zadziwiającej i spektakularnej katastrofy.

Pieczorin zdążył tylko podnieść wzrok, by ujrzeć lodową smugę na przyprószonym niebie. Potem huk rozerwał szybę na strzępy, a gazowy podmuch skosił ścianę drzew. Kula purpurowego ognia przeleciała nad tajgą i rozlała się w połyskującą zorzę.

Z podziwem spoglądał w niebo, nie czując drobinek szkła, które potem godzinami wybierali w szpitalu. Narastała w nim jakaś podniosła siła i przekonanie, że jutro nie będzie już takie samo. Igiełki kosmicznego lodu trafiły w serca mieszkańców.

– Wylądował kosmonauta – powiedziała kiedyś matka – widziano go w Sosnogorsku.

Dziś już nie lądowali tu pionierzy kosmosu, ale spadało dużo satelitów telewizyjnych.

Wiatrołomy były jednym z tych miejsc, w których lubił leżeć fragment z orbity. Artyom spędził tu wiele godzin z wykrywaczem metalu, podczas gdy normalni mieszkańcy, raczej się tu nie zapuszczali. W zasadzie był jednym z nich, odróżniało go tylko to, że w wolnych chwilach snuł się po tajdze w poszukiwaniu znalezisk. Nie był jedyny. Zbieraczy kosmicznego gruzu i orbitalnego szrotu było więcej. Jedni znajdowali kilka cennych fragmentów w ciągu wielu lat, inni wzbogacili się i stawali lokalną elitą.

Rzeczywiście panowało tam jakieś napięcie. Jakby przelot komety naelektryzował to miejsce. Ciemna ziemia, wystająca spod uschłych pni, wyglądała jak zwęglona. Natura nie chciała tu wzrastać, trzymała się ściany lasu, szerokim łukiem obrębiającego polanę.

Wydawało mu się, że zobaczył coś na jej skraju, jakby trójkąt odcinający się barwą od wyjałowionego otoczenia. Uwagę odciągnął pisk wykrywacza metalu. To był niezły, choć wysłużony model. Dzisiejsza elita miasta Worgaszor, czyli ci, którzy znaleźli drogocenne minerały z komety, sprzedawała swój sprzęt, tym którzy dalej szukali swojego szczęścia. Można powiedzieć, że kometa podzieliła ludzi na tych, którzy się dorobili i tych, którzy spoglądali na nich z zawiścią. Mawiano, że jej kryształki przyniosły ludziom zazdrość i poczucie niesprawiedliwości. To nie znaczy, że nie znali ich wcześniej, ale upadek komety, czy też raczej meteoroidu, spotęgował je do histerycznego wymiaru. Nawiedziła okolicę niczym pozaukładowa planeta Nemezis.

Idąc śladem dźwięku, zbliżył się do trójkąta o jakieś dwieście metrów. Stąd mógł już dostrzec ruch w jego pobliżu. Poczuł to dziwne wrażenie nierealności, płaskości świata, które towarzyszyło mu czasem i dodatkowo przerażało, gdy natłok myśli i lęków zmniejszał rzeczywistość do ciasnej bańki.

Zły na siebie, że zbliżył się do skraju polany, chciał zawrócić, ale wtedy rozpoznał w trójkącie zwykły namiot. Po kilkuset krokach dostrzegł człowieka siedzącego nad kuchenką gazową. Gdy był już całkiem blisko, zobaczył wykrywacz metali, grube skóry reniferów i strzelbę. Stary wędrowiec pokazał mu, że może podejść. Z kilku metrów, rozpoznał jego ogorzałą twarz, obrębioną siwymi włosami. Pojawiał się czasami w mieście, przychodził z innego miejsca nad rzeką Pieczorą.

Stary był ufny, podał Artyomowi butelkę wody i wrócił do solianki dochodzącej na tefalu.

– Jakieś znaleziska? – zapytał Artyom, nie oczekując szczerej odpowiedzi. Orbitalne artefakty były tak rzadkie, że złomiarze nie dzielili się wiedzą, ani nie współpracowali ze sobą, pamiętając o niebezpieczeństwie ze strony swoich towarzyszy. Dlatego woleli rozmawiać o rzeczach ogólnych, na przykład o kosmogonicznych mitach minionej epoki podboju kosmosu. Tutejsi stalkerzy przechowywali w pamięci zapomniane legendy zimnej wojny, karmili się duchem Gagarina i Leonowa. Stożkowy cień rakiet z Bajkonuru padał na zapomniane połacie tajgi.

– Traktor, parę śmieci, puszki na skup. Oto co znalazłem. – Westchnął stary.

– Podobno widziano, jak ludzie ciągną w stronę Uralu, mówią, że znaleźli Progres.

– Statek zaopatrzeniowy Progres spadł na wschód od Uralu, każdy o tym wie. Taki komunikat wydała sama władza.

– Nie wierzę we wszystko co mówi władza. Tak samo było z satelitą komunikacyjnym Meridian. Miał spaść za górami, a chłopak z Worgaszoru znalazł go dwa dni drogi stąd. Okradli go w mieście, owszem, ale część schował. Myślisz, że oni chcą, żebyśmy coś znaleźli? Wiesz, jak traktują złapanych złomiarzy. Wyrok za szpiegostwo i kierunek Kołyma.

– Wiem o tym lepiej, niż ci się wydaje. – Podniósł wzrok stary, a w jego oku błysnęło jakieś odległe wspomnienie. Zadrżała mu szczęka. Spojrzał w stronę lasu. Ciemna zieleń, nieprzenikniona i niepociągająca – taki kolor miała republika Komi, leżąca na północ od czegokolwiek.

– Dlaczego sam nie pójdziesz sprawdzić, gdzie spadł Progres? Widzę cię drugi dzień jak chodzisz po wiatrołomach, kręcisz się bez celu, bez systematyczności. Po co szukasz w miejscu, w którym już nic nie ma?

– Widziałem wyraźnie kometę, gdy spadała. Myślę, że jej część przeleciała tędy, spaliła las i wpadła do jeziora.

Stary Chrunow uśmiechnął się gorzko jak profesor nad buńczuczną, choć nietrafioną odpowiedzią studenta.

– Kometa, nadal jej szukacie?

– Tamci ją znaleźli.

– No znaleźli. Na zgubę miasta. Wiesz, spotkałem kogoś, kto tak jak ty wierzy w legendy. Jego dodatkowo jest na tyle głupia, że początkowo uznałem go za idiotę.

– Kto to? – zapytał Artyom, na dobre rozsiadając się przy namiocie starego.

– Wpadłem na niego kilka dni temu, w nocy na przedmieściach Worgaszoru. Szedł sam po zmroku przez tajgę, postrzelony przez myśliwych. Napadli go, gdy wracał z łupem. Nic ze stratosfery, raczej zabrane z fabryki. Był śmiertelnie blady i zmęczony, ale nie widziałem w nim cienia strachu. Potrafił poruszać się bezbłędnie, klucząc i myląc w nocy pościg. Zapytałem się jak to możliwe, a on odparł, że był kiedyś oblatywaczem myśliwców i zna się na kierunkach. Był spokojny, ale biła od niego jakaś charyzma, jakiej nie widziałem w swoim życiu. Pojechałem z nim do przychodni i zaczęliśmy rozmawiać. Zapłacił mi za podwózkę, zauważyłem, że skądś ma trochę rubli. Opowiedział mi, że w młodości dużo jeździł, studiował i został pilotem migów. Potem coś się stało, musiał wyjechać i wrócił tutaj. Wtedy, jedyny raz, gdy o tym opowiadał, widziałem u niego emocje. Wydawał się trochę w swoim świecie, jakby po latach walki pogodził się ze swoim przeznaczeniem. Wypytałem go o poszukiwania. Opowiedział mi trochę o swojej przeszłości. Gdy pojawiła się kometa, znajomość trajektorii i geometrii, pozwoliła mu obliczyć tor jej lotu. Ruszył jej śladem i znalazł odłamki. Dużą część udało mu się wywieść, ale roztrwonił majątek, pozakładał jakieś firmy, zajmował się czymś i porzucał przed osiągnięciem celu. Twierdził, że u niego to rodzinne od czasów carskich. Chwalił się, że jego przodkowie za cara należeli do wyższej rangi urzędników. Mówił o tym, jakby to miało nadal znaczenie. W każdym razie, w tym czasie jak go nie było, wiadomo co się stało, ci co zarobili na odłamkach, wykupili władzę i wszystko wywrócili do góry nogami. Po powrocie postanowił szukać kolejnych odłamków i podpadł mafii. Poszło też o kobietę, dokładnie córkę jednego z nowych oligarchów, radnego Kropotkina. Zostawił ją. To Kropotkinom się nie spodobało. W każdym razie musiał zniknąć z miasta. Teraz wszyscy go szukają. Kropotkin i jego ludzie i wszyscy, którzy myślą, że wie, gdzie jest reszta komety. A on ucieka.

– Jak się nazywa ten człowiek?

– Pieczorin, nazywa się Pieczorin.

Głód zapędził białego lisa daleko od schronienia. Utykał na skaleczoną przez wilka nogę. Polowania nie przyniosły dziś żadnego wartościowego pokarmu. Zamiast wężami i myszami, żywił się teraz robakami. Zwierzę jednak nie miało zamiaru się poddać. Węsząc pomiędzy konarami drzew, nagle przystawało, kręciło nerwowo białą szyją i wyłapywało leśne echo spiczastymi uszami.

Pomiędzy wystrzeliwującymi wysoko w górę sosnami, unosiły się wieczorne kłęby mgieł, tłumiące odległy stukot dzięcioła. Lis zatrzymał się na chwilę w miejscu, gdzie leżały powalone przez wiatr drzewa o pordzewiałych igłach. Dalej rozpościerało się zdradliwe grzęzawisko, pułapka ukryta pod rozłożystym dywanem łopuchów. Za mokradłem siwiała, pochłaniająca światło głębia trudno dostępnego ostępu.

Lis nie zważając na ranę, szybko zmierzał w kierunku dwóch dominujących nad okolicą kominów. Był już tam kiedyś. Swoje schronienie miały tam różne leśne istoty.

Gdy zbliżył się na odległość kilku skoków, wyczuł czyjąś obecność. Nie było to nawoływanie siedzącego na gałęzi lelka. Coś warczało w półmroku. Ciszę zakłóciły głosy, od których natura zdążyła się odzwyczaić. Okrzyki, szczęk rygla, łomot wyginającej się blachy, skrzyp zawiasów wdarły się w krajobraz. Warczenie ożywiło się, a żółte snopy reflektorów omiotły okolicę.

Lis, który w swym długim życiu wywinął się z niejednej zasadzki, zbliżył się do siatki, szukając znanego przejścia. Ledwo widoczna sylwetka człowieka stała przed wejściem. Jarzący się w półmroku żar papierosa wędrował co chwilę powolnym ruchem do góry. Gdy siatka zaszeleściła, człowiek odwrócił się gwałtownie. Serce zabiło mu mocno, gdy w ciemności ujrzał dwa czerwone punkciki oczu i nastroszony grzbiet. Po sekundzie intruz z lasu zniknął za budynkiem.

Chwila dekoncentracji została wykorzystana. Drzwi furgonetki gwałtownie się otworzyły i wypadł z nich stary Chrunow. Pomimo tego, że miał skrępowane ręce, udało mu się dźwignąć na nogi. Zaczął biec, najszybciej jak tylko potrafił. Palacz nie zorientował się od razu, co się stało. Nim obszedł pojazd i zobaczył, że w środku nikogo nie ma, zbieg był już kilkadziesiąt metrów dalej. Musiał być dobrym sprinterem. Strażnik natychmiast podniósł wrzawę, a z hali wypadł kilkuosobowy pościg.

Pogoń rozdzieliła się, mając zamiar zamknąć go w pułapce. Chrunow wiedział że słabnie i dotarło do niego, że nie dotrze do ogrodzenia po drugiej stronie zakładów. Musiał się ukryć.

Dopadł do uchylonych drzwi i wcisnął się do środka. Czuł, jakby serce miało mu zaraz wyskoczyć z klatki. Niskim korytarzem przeszedł obok młynów celulozowych i obok kadzi, w których kiedyś gęstniała masa zawiesiny, aż wreszcie przedostał się do ciemnego pomieszczenia, którego środkiem biegła taśma. Było tu ciasno z powodu licznych urządzeń, aparatur i zbiorników.

Za pomocą ułamanego ostrza krajarki, udało mu się przeciąć linkę i oswobodzić związane na plecach ręce. Chwila euforii trwała krótko, gdyż szybko usłyszał kroki. W ostatniej chwili przykucnął za cylindrem.

– Jest gdzieś tutaj.

– Zawołam resztę.

– Nie! Czekaj.

– No gdzie jesteś?

– No wyłaź!

Chrunow nie miał chwili do stracenia. Tamci zbliżali się szybko. Musiał wycofywać się wzdłuż taśmy, schodząc im z pola widzenia. W ostatniej chwili wślizgnął się pod nawijarkę, lecz był to błąd. Jego kryjówka była potrzaskiem. Dalsza część hali była odcięta przez wielką prasę. Okrążali go. Zbieg dostrzegł niskie wejście w ścianie naprzeciwko. To była jego jedyna szansa. Rzucił się tamtędy i jakimś cudem go nie zauważyli. Podczas gdy błądzili po omacku, on labiryntem ciemnych piwnic dotarł do studzienki. Wydostał się na wolność.

Za lasem stały epokowe gmachy, petersburski XIX wiek pośrodku wychłodzonej tundry a ponad tym ciemnym krajpbrazem, prześwietlona błona nieba. Miejsce to nosiło nazwę Prommyslenyi, choć mieszkańcy Worgaszoru nazywali je po prostu opuszczonym miastem. Po katastrofie w kopalni stało się domem dla chwastów i dzikich zwierząt. Swoje kryjówki mieli tu też poszukiwacze satelit i zwykli szabrownicy.

Złapał autobus i błotnistą drogą pojechał do centrum Worgaszoru. Tu, na placu między blokami odbywał się niedzielny targ. W tłumie mignęła mu znajoma twarz. Nie chciał go spotkać, ale Artyom nie dał się zignorować.

– Komu powiedziałeś o Pieczorinie? – rzucił na spotkanie Chrunow.

– Nikomu, Nastii, ale ona nie powiedziała.

– Tak? Masz pewność?– – zmienił ton na szept stary. Od czasu, gdy poznali się na skraju polanki, Chrunow zrobił się nerwowy. Mimo to Artyom ucieszył się na tego widok. Szczerze powiedziawszy, rozpytywał w mieście, gdzie może go znaleźć.

Przeszli za blaszany warzywniak, gdzie stary mógł opowiedzieć, co go spotkało.

– Ludzie radnego Kropotkina i związani z nim mafiozi od komety wiedzieli, że poznałem Pieczorina i dobrze orientuje się w terenie. Kazali mi go szukać.

– No to go poszukajmy? – zaproponował Artyom.

– Ty tak na poważnie?

– Całkowicie na poważnie.

Po spotkaniu Chrunowa, myśli o odnalezieniu Pieczorina i jego komety, całkiem pochłonęły Artyoma. cd. str.34

cd. ze str.33

Tajemnica stojąca za jego osobą była równie magnetyzująca co wizja nagłego bogactwa. W wyobraźni wydał już wszystkie pieniądze, które uzyska z komety i innych znalezisk.

Następnego dnia po pracy pojechał spotkać się z Chrunowem, by obmyślić plan poszukiwań. Autobus przemierzał osiedla niskich bloków, posklejanych z nagiej, wielkiej płyty i zanurkował w główną ulicę kamienic z fasadami z małych płytek. Mijał swój dobrze znany świat, który z czasem stawał się dziwnie obcy. Żużel, chłodna wilgoć i niedopasowane kolaże budynków, pustostany, trakcje prowadzące przez ugory ku fabrykom, obskurnie przytulne mieszkania, futra i płaszcza schnące w wyłożonych boazerią przedpokojach, obszerne place z pomnikami, otoczone przysadzistym socrealizmem. Tutaj się wychował. Myśl o tym, że ma tu spędzić resztę życia przytłaczała go każdego dnia. Chciałby stąd uciec jak Pieczorin.

Zapadał już w drzemkę, gdy obudziły go drzwi autobusu. Wyleciał na zewnątrz w ostatniej chwili. Pod adresem Warłamowa 5, miał się spotkać z Chrunowem. Artyom poznał tam gospodarza, Zaikina, nauczyciela geografii w worgaszorskiej podstawówce. Starszy od niego, ale młodzy od Chrunowa, w typie akademickim, wątłej budowy, łysiejący i wiecznie nieogolony.

– Spóźniłeś się – zarzucił mu stary, dając do zrozumienia, że traktują plany wyprawy całkiem na serio.

– Zatrzymali mnie w pracy – odparł Artyom zdejmując obszyte kożuchem palto. W pokoju pachniało jedzeniem, ktoś krzątał się w kuchni.

– Pod twoją nieobecność ustaliliśmy azymut na Instytut Kosmonautyki.

– To daleko, więc pojedziemy tam moją ładą – zaproponował dumnie geograf.

– Pieczorin pragnął tam pojechać. Pośród niewielu zainteresowań, które mu zostały, zanim zwątpił we wszystko, było niemal obsesyjne poszukiwanie śladów programu kosmicznego. To swoją drogą całkiem pragmatyczne zainteresowanie dla kogoś, kto handluje kosmicznym złomem.

– Skąd pewność, że tam jest?

– Przez Łajkę. Wierzył, że władze ukrywają różne rzeczy.

– Obchodził go lot pierwszego psa w kosmosie?

– Mówiłem ci, że wierzył w durne legendy.

– Wydaje mi się – wtrącił geograf – że wasz Pieczorin ma wybiórczy stosunek do wiedzy, a może tylko ostentacyjnie pozuje na ignoranta. Łajkta to jakaś jego fanaberia, podobnie jak córka Kropotkina czy te jego firmy i podróże. Ten wasz Pieczorin w ogóle nie wydaje mi się charyzmatyczny, raczej zwykły z niego błazen.

Gdy stary i geograf zmienili temat, Artyom sprawdził Kropotkinę w sieci. Ściągnięte policzki, kości policzkowe wystające spod prostych włosów koloru zboża. W tle Saint Tropez i Chorwacja, ale i Worgaszor i tajga. Zbyt wycofana i zamyślona jak na córkę nowobogackiego oligarchy. Oczywiście ani śladu Pieczorin.

– Ustalmy, w co musimy się zaopatrzyć – zaproponował geograf, widząc, że Artyom wyłączył się z ich pełnej żartów rozmowy o lokalnych układach.

– A skąd weźmiemy pieniądze? – zapytał chytrze Artyom, pochylając się na stołem.

– Już je mamy – powiedział stary i pokazał plik banknotów.

– A jednak cię dorwali?

– Sam do nich wróciłem i powiedziałem, że się namyśliłem – odparł zadowolony Chrunow.

– Bierzemy ruble od Kropotkinów, żeby zorganizować wyprawę po kometę? A może naprawdę chcecie im sprzedać Pieczorina?

– Prędzej przekonać by wrócił. Tam w dziczy jest sam na sam ze swoimi demonami – odparł Chrunow, a geograf, już nieco wstawiony, pokiwał głową z uznaniem. Wypili kieliszek za powodzenie eskapady. Żona Zaikina właśnie przyniosła kolację. Artyom zjadł, podziękował i pożegnawszy się, wyszedł w zimną, syberyjską noc.

Perlisty Bentley, jeżdżący koleinami Worgaszoru, wyglądał jak złoty samorodek pośród kamyków, ale Kropotkinowi właśnie o to chodziło. Na ulicach Moskwy, może obecność tak drogiego auta nie szokowała, była po prostu wyrazem wyższości, ale tutaj był to rodzaj gestu władzy. Tak jak carski namiestnik chodzący w drogich szatach pośród pospólstwa. Z tą różnicą, że Kropotkin chodził w Emporio Armanii i Bossie sprowadzanym z chińskiego Aliexpress. No i nie musiał nikogo słuchać.

Kropotkin opadł na głęboką kanapę z czarnej skóry i zapuścił MTV na wielkim ekranie. Grubą ręką szukał pilota do obsługi nowoczesnej willi. Pomyślał, że każe sobie zainstalować obsługę głosową. Ten Gruzin, który zaopatrywał urząd miasta miał chyba odpowiednią firmę.

Poza tym było mu gorąco na samą myśl o Pieczorinie. Nastya podniosła mu ciśnienie, ale mógł zrozumieć córkę. Też nie lubiła, gdy ktoś zaszedł jej za skórę, to było u nich rodzinne. Osobiście nie miał nic do tego młodego człowieka, znali się przecież z czasów, gdy chodzili po lasach szukać kosmicznych skarbów. Pieczorin zachowywał się jakby sam spadł z kosmosu, a jednak wzbudzał szacunek. Podpadł mu jednak i to bardzo. Nie chodziło nawet o to, że zabrał coś, co należało do niego. Według ustawy, którą sam przeforsował w samorządzie, wszystkie znaleziska powinny trafić do niego. Chodziło raczej o sam fakt, że mu się sprzeciwił. Kropotkinowi wydawało się, że wszystkich ma już ustawionych. Z silnymi trzyma sztamę, słabszych bierze pod siebie. A tutaj jakiś Pieczorin, biedak w porównaniu z miejscową oligarchią, zabiera sobie kawałek komety, chodzi po całej Republice Komi i grabi co tylko mu się podoba. Co z tego, że bywał w świecie, że go ludzie lubią, że lgną do niego, że wie więcej od innych. Tym gorzej dla niego i dla Kropotkina.

Mimo to pozytywnie zapamiętał Pieczorina. Poznał go, gdy wyleciał z bazy lotniczej i przerzucił się na zbieranie złomu. Razem wybrali się kiedyś po resztki indyjskiej satelity, którego wyśledził ktoś w sieci. Haker określił trajektorię ruchu z dużą dozą dokładności. Pojechali tam półciężarówką, ale resztę drogi musieli przejść pieszo. Wtedy jeszcze snuło się tu dużo patroli. Wojskowi sami szukali, ale dzięki zmysłom Pieczorina ubiegli żołnierzy.

On był naprawdę sprytny. Skombinował skądś czujniki pola magnetycznego i jakoś podkręcił ich moc. Szli z odkurzaczami nie przy ziemi, ale wyciągniętymi na wprost, odbierając sygnał z daleka. Ktoś nauczył ich wtedy jak wykiwać wojskowe radiostacje, ale Pieczorin doprowadził to do perfekcji. Kropotkin pamiętał go, jak stał ze swoim kalkulatorem i robił obliczenia, czasami skrobnął coś na kartce. Nie wiedzieli dokładnie co robi, ale ważne, że rzadko się mylił.

A potem do Kropotkina uśmiechnęło się szczęście. Gdy spadła kometa wszyscy się rzucili by szukać jej części. Pieczorin coś tam wtedy znalazł, ale niewiele. Zarobił na tyle, by stąd wyjechać. Kropotkin za to wyciągnął z bagna olbrzymią grudę. Musieli w obstawie ciągnąć ją w wielkim pośpiechu za kombajnem. Triumfalnie wjechali do miasta z kawałkiem skały. Potem poszli po rozum do głowy i ją ukryli. Część sprzedali naukowcom, część przemysłowcom, kolekcjonerom, jubilerom i wszystkim zainteresowanym, którzy zgłosili się przez sieć.

Kiedy Kropotnik pomnażał swoje bogactwo i władzę, Pieczorin tracił majątek za granicą. Gdy wrócił, znów zabrał się za szukanie komety. Mówili mu, żeby odpuścił, że już wszystko wybrane, że jeśli chce to może pracować dla oligarchów, ale uparł się, że zrobi to sam, odkuje się. I na tym tle się poróżnili.

Kropotkin nalał sobie sporą porcję burbonu. Musiał dbać o rodzinę, o interesy i o poważanie. Ludzie mogą zacząć mówić, jeśli nie usadzi na miejscu tego Pieczorina. Wziął do ręki komórkę i wybrał numer do swojego zastępcy z urzędu. Niech pilnują tego Chrunowa – stary na pewno wie gdzie schował się Pieczorin.

Poszarpane krawędzie gór rysowały ostrą linię, biegnącą ponad czarną i ruchliwą ścianą lasu. Jego strzeliste filary, ciężko pochylały się w stronę skamieniałej od mrozu ziemii, a cichy świst, nieskończenie narastał do groźnego szumu. Wydawało się, że zaraz pękną, ale wtedy prostowały się, a tajgę wypełniał moment kruchej ciszy.

Jechali przesiekami przez krajobraz bezwzględnie surowy i zapierający dech swoją majestatyczną prostotą. Artyomowi wydawało się, że mógłby tak jechać bez końca, pochłonięty błogostanem bezmyślności, w pogoni za czymś kompletnie iluzorycznym, niemożliwym do osiągnięcia, przez co wolnym od trosk i porażek. Ta niemająca końca podróż byłaby zbawieniem od codzienności pełnej drobnych upokorzeń. Na tych bezdrożach nie było nikogo z kim można by się porównywać, niczego co przypominałoby, że urodziłeś się po niewłaściwej stronie oceanu, że jesteś zbędną duszą na rewersie świata.

Gdzieś w stratosferze krążyły tysiące satelit, a czasami któraś z nich odłączała się od roju i w krótkim rozbłysku opadała na tą uśpioną krainę. To była jedyna pewna rzecz.

– To prawdziwe błogosławieństwo, że ktoś u władzy zdecydował, że nasza Syberia będzie pobojowiskiem internetowej cywilizacji – powiedział z entuzjamem geograf.

– A jakbyście znaleźli tę kometę albo cały sputnik, stację Mir czy cokolwiek czego szuka Pieczorin, to co byście sobie kupili? – zapytał Artyom.

– Kupiłbym mieszkanie w Moskwie, wyniósłbym się stąd z rodziną, założył tam szkołę, żył jak człowiek – powiedział geograf.

– Ja bym pospłacał długi, naprawił wszystko, co udało mi się zepsuć, kupiłbym sobie czyste sumienie – odparł Chrunow.

Artyoma się nie zapytali, może i lepiej, bo szczerze nie wiedział do końca co by zrobił. Chciałby stąd wyjeżdżać, ale miał tu swoich rodziców, Nastię i swój świat. Musiałby uciec przed ludźmi Kropotkina lub może dołączyć do lokalnej elity, co wcale go nie pociągało. Teraz nie warto było jednak o tym mysleć. Najlepszym wyjście było skupić się na obecnej chwili. Sama mglista zapowiedź przyszłości cieszyła go bardziej niż jej spełnienie.

Rozmawiali też o Pieczorinie. Podobno wielu spekulowało na temat nagłego końca jego kariery oblatywacza migów. Mówili o nim, że nie wykonał rozkazu zestrzelenia uciekającego za żelazną kurtynę samolotu, inni że nie znosił wojskowej dyscypliny albo, że po prostu szwankował mu wzrok. Mówili, że ktoś zazdrosny o jego awans, zmusił lekarza, by wydał negatywne wyniki badań. Podobno oślepił go jakiś nagły rozbłysk, gdy szybował na granicy stratosfery i wypłaszczyło mu EKG wysoko nad Leningradem. Odtąd miał miewać dziwne powidoki i przypisywał temu wydarzeniu jakąś mistyczną moc. Mówiono, że był w Ziemii Świętej na pielgrzymce, którą starał się wskrzesić zapłon wiary, a inni twierdzili, że założył tam firmę. Nie chodziło jednak o dewocjonalia, ale o syntetyczny olej do silników wysokoprężnych. Pieczorin zawsze chciał podbijać niebo.

Krążyło jeszcze więcej absurdalnych opowieści. Większość była mistyfikacją, choć nie były pijacką konfabulacją samego Pieczorina. Wszyscy, którzy go znali, byli zgodni, że jest on absolutnym abstynentem, bowiem szczerze boi się utraty kontroli nad swoim życiem.

Popołudnie minęło im na usuwaniu złamanego drzewa, które zatarasowało szlak. Potem dotarli do rumowiska, które w nieokreślonej przeszłości osunęło się ciemnymi skałami, rozsypującymi się w gruz barwy pordzewiałego żelaza. Poprzez wertepy dojechali do asfaltowej drogi, wiodącej ku Instytutowi Kosmonautyki.

Stał po środku lasu, jak wyraz absurdu, jakby postawiono go tam tylko po to by zapozował do propagandowej pocztówki. Drzewa podchodziły pod same ściany i wejście, zasypane warstwą igliwia. Czysty zapach żywicy wypełniał hol, ale sprzątaczka odkurzała chromowany pomnik, przedstawiający trajektorie orbitujących sputników.

– Panowie w jakiej sprawie? Nie potrzebujemy nikogo do pracy, ile razy trzeba mówić? – powitała ich recepcjonistka.

– My nie do pracy.

Skończyła zakładać klipsy i spojrzała na nich z ledwo skrywanym rozbawieniem.

– Panowie też szukacie psa Łajki?

Chrunow przysunął się bliżej.

– Był tu przed nami?

– Niby kto taki?

– Wysoki, po trzydziestce, nazywał się Pieczorin.

– Nie udzielamy informacji o naszych czytelnikach. Jakieś legitymacje macie? Nie wyglądacie na gości z ministerstwa.

Zapłacimy – rzucił geograf.

Kobieta ściszyła głos i zaprosiła ich do korytarza wyłożonego prostokątnymi płytkami z piaskowca. Słońce nadawało im pustynny odcień, ciekawie korespondujący z północną surowością krajobrazu za oknem. Zatrzymali się przy gablotach ze zdjęciami kosmonautów. Na drzwiach była plakietka – pracownia mikrofisz. Gdzieś w oddali zaskrzypiały drzwi. Trwała praca nad utrwalaniem przeszłości, jakby starano się postawić tamę prądowi, spychającemu złotą erę podboju kosmosu w czas mitów. Konserwowano pamięć, żeby pryszli pionierzy mogli wskoczyć w skafandry dawnych kosmonatów, wyjąć z szafy ich mapy i nadać znaczenie plakatom z rakietami mknącymi ku innym planetom.

Recepcjonistka schowała ruble do portmonetki.

– Był tu ten Pieczorin. Siedział tu kilka dni, spał nie wiadomo gdzie, przychodził tu rano i wypożyczał stos książek. Składał rewersy na następny dzień i czytał. Nie robił notatek. Szukał informacji o lądowaniach sputników i o Sojuz 2. Wszyscy bali mu się przeszkodzić, choć był uprzejmy i inteligenty. Miał dużą wiedzę, mówił, że latał na migach, studiował daleko, chyba w Niżnym Nowogrodzie.

– Mówił, gdzie jedzie?

– Chcecie mu coś zrobić, okradł was?

– Nie, powiedzmy, że chcemy go spotkać, szukamy tego samego co on.

– Ale Sputnik 2 nie wylądował więc skąd to wszystko, ten pomysł?

– Nie chodzi nam o sputnik.

– No dobrze, Pieczorin pojechał w stronę gór, chyba do Beloyrarska. Od drogi odbija tam szlak, pokażę wam na mapie.

Po tym, jak opuścili instytut, pogoda zaczęła się pogarszać. Pieczorin był zapewne bez samochodu i dopiero wtedy uświadomili sobie, na co ten człowiek się porywa. Całą noc rzęsiście lało, a okoliczne polany zmieniły się w wielkie kałuże. Nad ranem, we mgle dojechali do miejsca, w którym zaczynało się trzęsawisko. Poszukiwacze byli przyzwyczajeni do czołgania się w brudzie i wędrowania w mrozie, ale jedynie szaleniec mógłby zapuszczać się w te bagna. Jeśli jednak dro-

Maja Wolińska

ga była kilka dni temu przejezdna, Pieczorin mógł być nadal przed nimi.

Postanowili ominąć jeziora. W pewnym momencie samochód ugrzązł w błocie. Geograf wysiadł z liną. Nagle krzyknął i zapadł się w czarnej mazi po pas. Chrunow chwycił go niezdarnie za rękaw kurtki, a Artyom wgramolił się na dach. Geograf ugrzązł na dobre i tak wołał o pomoc, że Artyom aż miał ochotę się roześmiać.

Gęste błoto zaczęło wypływać spod kół pojazdu. Artyom mało sam nie wleciał w bagno, próbując chwycić geografa.

– Ruszaj! – krzyknął. Chrunow wrzucił wsteczny i wcisnął gaz. Koła zabuksowały, Ładą rzuciło na wszystkie strony, aż w końcu ruszyła, wyciągając nieszczęśnika z mazi.

Potem umorusani odpoczywali po przygodzie, która ostudziła ich zapał. Postanowili objechać rozlewiska, ale nie znaleźli bezpiecznego szlaku. Gdy słońce schowało się za szpiczastą zasłoną sosen, zdecydowali się zawrócić.

Ził Śrubołaz był maszyną z koszmarnego snu. Artyom pamiętał stare filmy ze świetlicy, w których niezgrabna amfibia, mająca w miejscu kół dwie makabryczne śruby, skosem pokonywała bagnistą tajgę, przy wtórze wibrującego ksylofonu. Monotonny głos lektora i spowalniająca taśma, zdawały się przygotowywać młodego widza na postnuklearną przyszłość. I teraz, patrząc na wyludniony Worgaszor, można było pomyśleć, że zawarta w filmie zapowiedź ziściła się. Pozostała jakaś topniejąca kultura, zamieszkująca bloki dawnej cywilizacji, których osiągnięć nie potrafiła już odtworzyć. Uprawiający kult cargo, spoglądali ze skraju drogi w niebo, czy nie spadną z niego komety lub pojazdy stworzone rękoma przodków. Resztki surowców wymieniali na dobra rozrywkowe sąsiednich kultur. Jedynie zamiast opadu radioaktywne padał dziś gęsty śnieg. Z tego można było się cieszyć, że nie zrealizowała się do końca rzeczywistość przygotowana przez konstruktorów Ziła.

Stary wypił już drugą butelkę ze strażnikami. Rozmowa zaczęła się kleić, a potem nagle siadła. Jeden z ochroniarzy zrobił się jakiś podejrzliwy, ale wyszedł po ogórki. Drugi przysnął na stole. Chrunowowi rozmazywał się obraz, ale starał się skupić na trzecim kluczu po prawej. Na jego wielką prośbę, pokazali mu wcześniej jak działa Ził. Skąd wiedział, że go mieli? Znał okolice i wszystkie placówki jak własną kieszeń, kiedyś był wojskowym.

W pewnym momencie po prostu wstał, mało nie potykając się o własne nogi, obszedł kompana od wódki i chwycił kluczyk. Czy to ten – myślał, kiedy pozostali dwaj członkowie wyprawy marzli schowani za samochodem. Na życzenie geografa, wcześniej zdjęli tablice rejestracyjne jego Łady, która udawała zepsutą. Natomiast Chrunow udawał urzędnika poczty. Nikt nie odmówiłby pomocy w tak mroźną noc.

Artyom trząsł się z zimna, ale to geograf całkiem zbladł. Trącił go łokciem, żeby sprawdzić czy nie zasypia. Gdzie ten przeklęty Chrunow – wysyczał zza szczękających zębów. Odpowiedź przyszła wyraźniej niż się spodziewał.

Snop światła pojawił się na parkingu pełnym kamazów bez kół, ciągników bez osi, zdekompletowanych maszyn górniczych. Znalazło się nawet miejsce dla An–12, przewróconego na skrzydło. Wtedy coś w ciemności metalicznie zachrzęściło, pojawił się ogłuszający łoskot, jak rozpędzony czołg, nadciągający wraz z oślepiającym reflektorem. Pijani strażnicy, wyglądający jak dezerterzy, wybiegli z bronią. Śruba mieliła karoserię wraków, przebiła się przez ogrodzenie i wpadła do dołu. Na zważając na kierunek, wyskoczyła z niego nienaturalnie i zatrzymała się o włos od Łady geografa.

Maruderzy z parkingu zaczęli strzelać, gdy zdążyli już zniknąć we włazie. Krusząc zmarzlinę pojechali w stronę tajgi.

Gdy poranne mgły się rozstąpiły, zobaczyli dwie niemal nierealne rzeczy. Za drzewami, wyłaniał się jakiś oszroniony, kopulasty relikt, pamiętający leninowskie czasy osadnictwa w kraju Komi. Wzniesiony rękoma więźniów Gułagu obiekt, przechylony na bok schron z betonową czaszą, zdobiła wyblakła czerwona gwiazda. Wybrzeżem trzęsawiska, mijali kopułę milczący łowcy reniferów, ciągnąc za sobą sanie. Zdawało się, że przeźrocza czasu nałożyły się na siebie w tym przejściu nocy w dzień. Potem łowcy przeszli, a mgła zakryła leninowski gmach.

Zapuścili śruby i potoczyli się dalej w stronę odciętej miejscowości Beloyarsk, zastanawiając się, czego Pieczorin szuka u bram Uralu.

– Czego taki Pieczorin mógłby więcej chcieć? Mógł ułożyć się z Kropotkinem, pracować dla nowej władzy, żyć na poziomie jak oni. – Obstawał przy swoim geograf.

– A co to za życie? Co mu z tych pieniędzy jak nadal miałby Worgaszor, nadal to samo, tylko oglądane pod innym kątem?

– A jaki można mieć lepszy kąt? Spokój, nikt ci na głowę nie wejdzie. Słuchasz Kropotkina, a nie swoje szefa, dyrektora czy kogokolwiek innego. Co za różnica?

– Może on nie chce słuchać właśnie nikogo? Może go razi taki Kropotkin, który dorobił się fuksem na kawałku skały i pomiata ludźmi – odparł Artyom.

– Przypominasz mi naszego oblatywacza, ale jeszcze początkującego. Uważaj, żebyś nie stał się taki jak on – powiedział Chrunow.

Według mapy, po południu zbliżyli się do Beloyarska. Przekrzywiony znak drogowy upewnił ich, że podtopione koryto jest szlakiem do miejscowości. Nie minęła godzina, a zauważyli pierwsze oznaki życia. Była to rozbita łódź motorowa, zaklinowana między sosnami.

Tam, na tej łódce, zobaczyli go pierwszy i ostatni raz. Każdy zapamiętał tę chwilę inaczej. Artyom właśnie wyszedł na maskę amfibii, gdzie urządzili piknik nad małym ogniskiem. Wtedy na motorówce coś się niezgrabnie poruszyło. Odziany w narzuty z wielu koców, wyglądał jak jakiś prehistoryczny nomada w niedźwiedzich skórach. Umorusana twarz i zgrabiałe ręce nie upodabniały go do charyzmatycznego człowieka, o którym opowiadał stary Chrunow. Jednak może coś w spojrzeniu, równie przepełnionym strachem, co bystrym, przyciągało niczym błysk cywilizacji w dzikich ostępach.

– Pieczorin! – chciał krzyknąć stary, ale głos ugrzązł mu w gardle.

– Ma coś w worku. – Ruszył geograf, już pewny zdobyczy. Wtedy Pieczorin wyjął śrutówkę i strzelił w ścianę amfibii. Uciekli w panice, ładując się przez właz. Chrunow zaczął obracać śrubę w stronę łódki. Zanim dojechali do miejsca, gdzie widzieli Pieczorina i odważyli się wyjść, tamten gdzieś zniknął.

Zaczęli przeszukiwać rzeczy, który porzucił. Artyom znalazł w schowku torbę. Był w niej zeszyt w kratkę, którego kilka pierwszych stron zapisano staranną kursywą. Oprócz listu był tam też jakiś ciężki przedmiot owinięty w gazetę Artyom rozłożył ją i wziął do ręki zimny kawałek czarnej skały. Usłyszał za lecami głos geografa – Artyom jest tam coś jeszcze?

List odważył się przeczytać, gdy wszystko się skończyło. Jakiż zawód przeżył Artyom. Myśl Pieczorina wydała mu się pretensjonalną i nieumiejętnie wystylizowaną próbką autokreacji.

– Tak często naświetlałem wspomnienia ostatnich lat, że wydają mi się już wyblakłe. Oglądam je pod szkłem powiększającym z bezpiecznej odległości. Ma to i swoje ujemne strony, bowiem znieczuliłem się nie tylko na obecność moich lęków, ale i na wszelkie dobre bodźce, a nawet na zwykłe przyjemności tego okresu. To był długotrwały proces, w którego trakcie wytracałem paliwo entuzjazmu. Szukałem więc coraz to bogatszych jego źródeł. Przez pewien moment przybrało to znamiona uzależnienia. Dojście do tych wniosków ucieszyło mnie, nie opuszcza mnie przynajmniej umiejętność dedukcji. Znajomość własnych możliwości, zawsze mnie budowała, choć świadomość zmarnowania swoich talentów czasem spychała w ciemność.

Wkroczyłem w to nowe życie, przeżywszy je już w myśli i na koniec ogarnęła mnie nuda, podobna do tej, którą odczuwa ktoś, kto czyta kopię dawno znanej książki. Ocean paraliżującej nudy, pierwiastkującej się do niewyobrażalnej potęgi. Każda próba wyrwania się z niej, powodowała kolejne jej pomnożenie. Wszechświat wiecznej nudy. Im mniej się ruszasz, a tu w Worgaszorze, jest to jak najbardziej możliwe, tym mniej odczuwasz jej ciężar. Wśród ludzi, znajomych i obcych, w chaosie miast, jej ciśnienie jeszcze bardziej krępuje.

Odnalezienie komety przyniosło mi wiele możliwości, ale i nieszczęść. Wszystko co potem się stało, ta niekończąca się ucieczka, której przecież nie chciałem, o czym wiedzą moi bliscy, lata zmarnowane na nieudolnych próbach zbudowania czegoś wielkiego, na co nie miałem ochoty, o czym wiem tylko ja, pojawienie się ludzi Kropotkina, z którymi nigdy nie chciałem mieć do czynienia, miało swój początek tego dnia, kiedy na wybrzeżu jeziora znalazłem tę ciężką skałę.

Jedynym wyjściem jest dla mnie ucieczka w tajgę. Może nie ostateczna, ale odrzucenie myśli o tym co potem, pozwoli mi się roztopić w tej nudzie, która została mi po moich jałowych poszukiwaniach. Chcę zacząć czerpać z niej przyjemność. Chcę być czystym działaniem, a podążanie za czymś zupełnie nierealnym, za Łajką, Sputnikiem 2 i satelitami, o których nikt nie słyszał, będzie moim jedynym zajęciem. W tym mam nadzieję odnaleźć spokój.

– Trajektoria prawidłowa. Rakieta nośna nie odczepiła się. Gwałtowny wzrost temperatury w kapsule. Telemetria nadaje.

Wprost z moskiewskiej ulicy trafiła na sterylne salony Instytutu Medycyny Lotniczej. Miesiące treningów, zabaw, badań reakcji, dziesiątki obserwatorów i niepewność, którego psa wybrać. Miała lecieć Muszka, ale wybrano Łajkę. Nie miała najlepszych wyników, wygrał spokój, wrażenie, że jest zupełnie nieświadoma swojego losu.

– 1…2…3. – odliczano, gdy Sputnik 2 wzbijał się w kłębach dymu ponad Bajkonur. Po czterech okrążeniach poziom stresu w końcu osiągnął krytyczne maksimum. Po dniach samotnego dryfu ogłoszono sukces. Gdy personel świętował, Sputnik 2 zrobił przedwczesny przechył.

Opadał swobodnie, poddając się ciążeniu, jakby było już i tak po wszystkim. Kapsuła weszła w atmosferę w promienistym rozbłysku, osmolona wypadła ze stratosfery w chmury. Ktoś w kontroli lotów zauważył, że niechciany już statek spadł z orbity i zmierza lotem koszącym nad Syberię. Przejęto ster i wyrównano lot. Zbyt późno by kontrolować to nieplanowane lądowanie.

Gdzieś nad bezkresnym krajem Komi, Sputnik 2 zniknął z radarów. Ostatnią komendą było otwarcie pozostawionego na wszelki wypadek spadochronu. Oficjalnie, sputnik spłonął w atmosferze rok później.

– Coś tu jest – krzyknął mężczyzna, otwierając pogięty właz sputnika – to pies, żyje! Grisza przynieś wody!

Michał Frąckiewicz

Gabriel Berger

PROTESTUJĘ, WIĘC JESTEM
(FRAGMENTY)

POLAK MAŁY

„Gdy was ktoś spyta, kim jesteście, mówcie zawsze, że Polakami, zrozumiano?", przykazywał nam ojciec. Lecz z początku nic nie rozumieliśmy. Co to znaczy: „Jestem Polakiem"?

Między sobą i z rodzicami mówiliśmy po francusku. Ale w kręgu swych przyjaciół i znajomych nasi rodzice posługiwali się niezrozumiałym, tajemniczym językiem – jidysz. Dzieci w domu i pobliskim parku mówiły jeszcze inaczej: po polsku. Ojciec nakazał nam natychmiast mówić po polsku. „Macie mówić po polsku tak dobrze, żeby nikt nie mógł się domyślić, że nie urodziliście się w Polsce. Zrozumiano?"

Dwa razy w tygodniu po południu przychodziła nauczycielka i dawała Rosette i mojej starszej siostrze przyrodniej lekcje polskiego. Obie starsze dziewczynki czytały krótkie opowiadania, wiersze i pieśni z przedwojennej książki dziecięcej. Rosa i ja jeszcze nie chodziliśmy do szkoły. Lecz śpiewaliśmy dziecięce piosenki wraz z nimi. Nauczycielka wciąż recytowała nam patriotyczny wiersz:

Kto ty jesteś? - Polak mały.
Jaki znak twój? – Orzeł biały.

A przecież dobrze wiedzieliśmy, co znaczy być Polakiem. To znaczy, w każdej sytuacji walczyć z Niemcami o Polskę. Zamierzałem z Jankiem i Włodkiem w ruinach bawić się w partyzantów i nie wątpiłem, że będę dobrym Polakiem.

Podczas gdy Rosette i Frida chodziły do szkoły, my z Rosą odwiedzaliśmy żydowski ogródek dziecięcy. Tu dzieci między sobą rozmawiały po polsku, tak samo jak w ogródku dziecięcym po drugiej stronie płotu, który dzielił plac dokładnie pośrodku. Dzieci z obu stron płotu piekły w swych piaskownicach ciastka. Po obu stronach śpiewały czasami te same piosenki. I z ciekawością obserwowały się wzajemnie przez przez drucianą siatkę. Lecz pewnego dnia z drugiej strony nadleciały kamienie. „Żydzi, Żydzi", krzyczały dzieci stamtąd, „parszywi Żydzi". Dzieci z tej strony przerażone uciekły z placu.

„Tato", spytałem w domu. „Co to znaczy, parszywi Żydzi? Czy Żyd jest złem?". Ojciec spojrzał zza biurka. Zdjął okulary. Z zatroskaniem zmarszczył czoło. „Skąd ci się wzięło takie pytanie?". Kartkował gruby słownik polsko-francuski, by odszukać w nim słowo „parszywy". Następnie mruczał: „chory na świerzb, niegodny, zły, podły, nędzny". Jego twarz pociemniała: „Parszywi Żydzi. Znów się zaczyna". „Dzieci z drugiej strony tak na nas wołały. Rzucały w nas kamieniami". „To są złe dzieci. Nic sobie z tego nie rób". Spojrzał na mnie bezradnie, poszukiwał właściwych słów. „Właściwie one nie są wcale złe", poprawił się. „Nie ma złych dzieci", rzekł do mnie, pięciolatka, jak do dorosłego. „Są tylko źli rodzice. Dzieci paplą o tym, co usłyszały w domu od swoich rodziców. Zwróć na to uwagę, synu. Wszyscy ludzie, także dzieci, są równi. Jedni mówią po francusku, inni po polsku lub po rosyjsku. Jedni są blondynami, inni brunetami, mają jasną albo ciemną skórę, niebieskie lub brązowe oczy. A wszędzie są dobrzy i źli ludzie".

„Tato, powiedziałeś przecież, że jesteśmy Polakami". „Tak, jesteśmy Polakami". „Dlaczego jesteśmy Polakami?". „Ponieważ oboje twoi rodzice pochodzą z Polski. Ja się urodziłem w Polsce, w Warszawie, a twoja mama w Sandomierzu. Poza tym to nie odgrywa żadnej roli, gdzie się człowiek urodził. Żyjemy teraz w Polsce, jesteśmy więc Polakami. Ale zapamiętaj: to wszystko jedno czy się jest Polakiem, czy Niemcem. Najważniejsze, by być dobrym człowiekiem". „Ale Niemcy są przecież złymi ludźmi". „Z tymi Niemcami to nie takie proste. Jest wśród nich wielu ludzi złych, morderców, przestępców. Hitler i Goebbels byli Niemcami i największymi przestępcami wszechczasów. Lecz są wśród Niemców również ludzie dobrzy. Einstein jest Niemcem i dobrym człowiekiem. Również Karol Marks, Goethe, Heine czy Beethoven byli Niemcami, a przecież bardzo dobrymi ludźmi. Zrozumiesz to, gdy dorośniesz".

„A co to jest – Żyd?". „Wiesz, synu, zadajesz mi dziś bardzo trudne pytania. Jesteś jeszcze za mały, by to wszystko pojąć. Ale spróbuję ci to wyjaśnić. Żydzi to ludzie, którzy przybyli przed wielu, wielu laty z daleka, z Palestyny. Nasi przodkowie też przyszli stamtąd. Tak więc jesteśmy Żydami. Ale jesteśmy jednocześnie dobrymi Polakami. Jeśli człowiek nie jest złodziejem, mordercą i kapitalistą, jest dobrym człowiekiem. Przy tym nie ma znaczenia, skąd jego pradziad kiedyś przybył".

„A dlaczego dzieci nie lubią Żydów?". „Te dzieci nie wiedzą, kim są Żydzi. Rodzice im powiedzieli, że Żydzi są złymi ludźmi. Ale ludzie, który tak uważają, są głupi. Mówią, że Żydzi sprowadzili zło na świat, do tego byli kapitalistami. Żydzi są takimi ludźmi, jak wszyscy. Naprawdę źli są tylko kapitaliści, wszystko jedno czy to są Niemcy, czy Francuzi. Kapitaliści są ludźmi, którzy są bogaci, ponieważ oszukują i okradają innych".

Teraz wiedziałem, dlaczego źli byli kapitaliści, czym jednak byli Żydzi nie wiedziałem nadal. I mimo najlepszych chęci nie mogłem sobie wyobrazić tego dalekiego kraju, Palestyny, z której przybyli moi przodkowie. Może byłem Żydem dlatego, że moi rodzice ze sobą tak komicznie rozmawiali? Lub może dlatego, że czasami jedli w domu macę? Pytanie „dlaczego jestem Polakiem" znalazło w międzyczasie wyjaśnienie: żyję w Polsce i moi rodzice stąd pochodzą. Ale dlaczego byłem Żydem?

Rozwiązanie tego problemu poważnie się przybliżyło parę lat później. Spędzałem wtedy wakacje z rówieśnikami w obozie dziecięcym w malowniczej miejscowości Cieplice (po niemiecku Tepliz) w polskich Górach Stołowych. Dzieci zostały umieszczone w starej niemieckiej willi z pruskiego muru, o pełnych zakamarków korytarzach i z kręconymi schodami niczym baśniowy zamek. W sieni przy wejściu wisiał wielki mosiężny dzwon, którego jasny dźwięk codziennie budził dzieci i zwoływał je do posiłków, a ku mojemu przerażeniu także do modlitwy w kaplicy. W sypialni z półokrągłymi oknami i ozdobionym sztukaterią sufitem stało sześć biało powleczonych pojedynczych łóżek oraz sześć wąskich szafek. Pachniało absolutną czystością. Nad drzwiami wisiał krzyż.

Opiekunkami były siostry obrządku katolickiego. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" witały dzieci siostry przechodząc obok, na co odpowiadały uroczyście „na wieki wieków amen". Te reguły gry były mi całkowicie obce, podobnie jak modlitwa przed snem i przed posiłkiem, nie mówiąc już o klęczeniu w kaplicy. Nigdy w życiu nie miałem jeszcze do czynienia z modlitwą. Nigdy jeszcze nie wstąpiłem do kościoła, nie znałem nawet wtedy imienia Jezusa Chrystusa. Podczas gdy inne dzieci klęczały w ławkach, ja stałem zawstydzony przy wejściu do kaplicy. Pełne grozy olejne obrazy na ścianach kaplicy pokazywały stacje męki Jezusa Chrystusa aż po jego ukrzyżowanie. „To byli Żydzi", szepnął ktoś a dzieci patrzyły na mnie ze złością. Strach dławił mi gardło.

Raz tylko wcześniej, jako czterolatek, zetknąłem się z religią. To było krótko przed naszym przybyciem do Polski, w dobrych, dawnych czasach, gdy mogliśmy jeszcze sobie pozwolić na pomoc domową. Kasia, tak nazywała się ta młoda kobieta, wpadła na pomysł, by pod nieobecność matki zaprowadzić nas czworo do kościoła. Zwabiła nas obietnicą, że po naszym powrocie z kościoła będziemy mogli posmakować zrobionych przez Dorę konfitur. Mnie tym całkowicie przekonała, może też Rosę i Friedę, ale już nie siedmioletnią rezolutną Rosettę, która podczas wojny przez dwa lata ukryta była przed Niemcami w pewnym południowofrancuskim klasztorze. Tam musiała się modlić i być posłuszną aż do przesytu. Nikt nie mógłby jej znów zmusić do modlitwy. Jako znak swego protestu nie namyślając się długo ściągnęła mi spodnie, by pokazać zmieszanej Kasi moją nagą pupę. Stałem tak na pół obnażony przed Kasią i nie wiedziałem czy mam beczeć, czy się śmiać. Dla Kasi była to zaś jasna sytuacja: w tym domu straszy Antychryst. Uciekła. Przed drzwiami wejściowymi jeszcze raz się przeżegnała i obejrzała lękliwie na schody, by się upewnić, czy rzeczywiście nie utyka za nią diabeł.

Ze wstydliwą ciekawością patrzyłem na moich towarzyszy, jak szepczą ze złożonymi przed sobą dłońmi w jadalni lub sypialni albo klękają w skupieniu przed ołtarzem małej kaplicy. Pewnego wieczora nic nie przeczuwając położyłem się do łóżka. Moich pięciu współmieszkańców klęczało jak zwykle ze złożonymi do wieczornej modlitwy dłońmi przed swymi łóżkami. Potem i oni się położyli. Mająca służbę siostra zgasiła światło. Akurat zasypiałem, gdy sfora dzieci napadła na mnie z rykiem „Żyd, Żyd", zarzuciła mi kołdrę na głowę. Ze wszystkich stron spadały na mnie razy, z impetem tłumionym przez obie kołdry. „Zostawcie mnie, zostawcie", krzyczałem, duszony pod obiema kołdrami przez wściekłość i strach. „Żyd, Żyd", skandowali moi towarzysze zabaw. Po paru minutach strach się skończył. Zwabiona hałasem pospiesznie przybiegła mająca służbę zakonnica. Wszyscy się rozpierzchli i wskoczyli do swoich łóżek. Otworzyła drzwi i ujrzała sześciu grzecznie drzemiących chłopców. Powstrzymywałem szloch i lęk przed nowym napadem. Nigdy nie będę się modlił, przysięgałem wtedy, nawet jeśli mnie pobiją śmiertelnie. I gdy kiedyś byłem sam w sypialni, z wściekłością rzuciłem poduszką w krzyż. Co ja mam z tym wspólnego, że on kiedyś został ukrzyżowany?

Od tego czasu byłem całkowicie pewny, czym był Żyd: to był człowiek, który nie modlił się przed posiłkami i przed pójściem spać.

ODWILŻ

Właściwie dramat rozpoczął się w Moskwie, gdzie Chruszczow nagle strącił Stalina z komunistycznego nieba. Jego wynurzenia uczyniły z boga przestępcę. W Sowietach były one tajemnicą, w Polsce kursowały w ogromnym nakładzie. Paraliżująca zgroza opanowała naszą rodzinę. Drżącymi rękoma zdjął mój ojciec ze ściany portret Stalina i przeniósł jego dzieła z regału do piwnicy. Lecz przypadek Stalina ani na moment nie poddał w wątpliwość słuszność idei komunistycznych. Idee były czyste, nie mogły zostać splamione przez odrażającą rzeczywistość.

Wydarzenia następowały po sobie błyskawicznie. Rosette pojechała w końcu czerwca na obóz wakacyjny nad Bałtyk. Pociąg został zatrzymany w Poznaniu na bocznicy. W oddali rozlegały się strzały. Wzburzały dzieciom krew w żyłach. Policja rozliczała się w Poznaniu ze strajkującymi robotnikami zakładów Cegielskiego. Kontrrewolucja została pokonana, lecz kierownictwo partyjne w Warszawie przetrwało to zwycięstwo ledwie kilka miesięcy. Niesiony entuzjazmem tłumu ster partii objął narodowy komunista Gomułka, świeżo wypuszczony z więzienia. W ironicznej aluzji do przewrotu Lenina w roku 1917 mówiło się w Polsce o rewolucji październikowej, która właśnie powinna wyprzeć w 1956 roku wpływ Związku Sowieckiego na polską codzienność.

Białe koszule i czerwone chusty, które jako dzieci na specjalne okazje zakładaliśmy, zostały usunięte. Teraz stały się modne stalowoszare mundury i pionierzy na nowo stali się harcerzami. Pobladłem z zazdrości na widok kolorowych chust, sznurów, szerokich skórzanych pasów, czterokątnej czapki „rogatywki" i gwizdka ozdabiających paramilitarny ubiór. „Tato, mogę również mieć taki mundur", dopraszałem się. „Dla tego reakcyjnego munduru nie ma w moim domu miejsca, zrozumiano?", wrzeszczał ojciec. „Pół pensji kosztowałby mnie ten chrześcijańsko-nacjonalistyczny wybryk. Wybij to sobie z głowy".

Pewnego dnia pojawił się w szkole ksiądz w czarnej sutannie. Dla żydowskich uczniów był to szok. Czego właściwie szuka on u nas? Mówiono teraz wszędzie o demokracji: w radio, w gazetach, na plakatach. A demokracja znaczyła u nas, że żydowskiej większości uczniów narzuca się zajęcia katolickie. Narzucono je w szkole od razu, oczywiście dobrowolne.

Dla niewierzących była to wolna godzina, mogli na placu grać w piłkę. Mimo to nastrój wśród nas był przygnębiający. Staliśmy się teraz w naszej szkole innymi, wykluczonymi.

Jednak czasami również niektórzy spośród nas, żydowskich dzieci, pozostawali w klasie z ciekawości zajęć dotyczących Biblii. Gruby Freiereich mógł imponować księdzu świeżo wyuczonym hebrajskim, językiem Pisma Świętego. Dla obecnych niewierzących ksiądz czynił przekonywującym istnienie Boga za sprawą prostej obserwacji. Gdy spojrzy się na otwarte gniazdko elektryczne, mówił, można zobaczyć tylko dwa druciki. Gdy się ich dotknie, czuje się uderzenie prądu. To pokazuje, że istnieje coś niewidzialnego, czego człowiek swymi pięcioma zmysłami nie może pojąć. Tak też jest z Bogiem.

Chrześcijańscy uczniowie zebrali pieniądze na krzyż. Był teraz umocowany na ścianie w naszej klasie za pulpitem nauczycielskim pod białym polskim orłem, w miejscu, gdzie niedawno zawieszony był portret Stalina. Pozostała po nim biała plama, która się wyraźnie wyróżniała na przybrudzonej ścianie. Dokładnie na jej środku wisiał Jezus na krzyżu.

Wcześniej wszystkie dzieci lubiły szkołę, niezależnie od tego czy były dobrymi, czy złymi uczniami, chrześcijanami czy Żydami. W tych złych czasach była ona oazą tolerancji. Była pierwszą po wojnie wolną od religii szkołą we Wrocławiu. Dlatego też nasz ojciec wyszukał ją dla swoich dzieci. Później wszystkie szkoły w Polsce stały się ateistyczne. I teraz znów przyszli księża. Czas się cofnął. Mój ojciec mówił o nawrocie reakcji.

Lecz w polskiej prasie powiało świeżym powietrzem. Ojciec z entuzjazmem czytał tygodnik „Po prostu" (po prostu zaczytywał), który nie uznawał żadnych tabu. Bez ubarwień krytykował on samowolę i brutalność Urzędu Bezpieczeństwa, nadużycia władzy i korupcję funkcjonariuszy, brak odpowiedzialności i bałagan w gospodarce, dyskryminację mniejszości narodowych, tym samym wszystko, co Polskę dzieliło od socjalizmu. Ojciec czuł się wreszcie poinformowany. Czasami jednak ci młodzi intelektualiści poważnie mijali się z celem. Tak więc dopominali się w „Po prostu" oficjalnego zezwolenia dla burdeli, a akurat podczas wojny Izraela z jego sąsiadami zaczęli bębnić o kibucach jako udanym eksperymencie socjalistycznym. Dusza mego ojca była rozdwojona. Gdyż z jednej strony ostro potępiał syjonistyczną awanturę, która uczyniła z Izraela wspólnika takich państw imperialistycznych jak Anglia, Francja czy USA, z drugiej bardzo cenił pozytywne początki kibuców. Odczuwał pokrewieństwo duchowe idei kibuców z ideami komunizmu a mimo to bardzo potępiał je jako cementowanie egoizmu grupowego. To był stary, dawno odłożony ad acta spór z okresu przedhitlerowskiego między internacjonalistycznie nastawionym komunistą Leonem Bergerem a jego zorientowanym syjonistycznie młodszym bratem Ephraimem, którego zamiarom musiał się w Polsce ciągle przeciwstawiać. W 1937 dwudziestoletni Ephraim zdołał z Jugend-Alia wywędrować do Palestyny, dzięki czemu oszczędzony mu został straszny los pozostałych członków rodziny jak zające uciekających przed nazistami przez Belgię i Francję. Tym samym należał do pionierów powstałego w 1948 roku państwa Izrael.

SAMOTNY BOHATER

Mój ojciec uważał, że Żydzi w Polsce utracili rozum. Izrael prowadził przecież wojnę z arabskimi sąsiadami. I jakby tego nie było dosyć w wojnie sueskiej związał się z Anglią i Francją. Kibuce to, bądź kibuce tamto. Izrael był i pozostawał ekspozyturą imperializmu na Bliskim Wschodzie, któremu każdego dnia zagrażała eksplozja. I akurat tam pchali się polscy Żydzi. Tysiące wystawały przed ambasadą Izraela w Warszawie. Ona była bramą do raju. Nie było sensu wstępować do tego żydowskiego klubu. On stał się teraz filią Izraela. Dość, że się coś takiego tolerowało w ludowodemokratycznej Polsce. Jednocześnie Polacy uprawiają prawdziwy kult Piłsudskiego, wynoszą podłego faszystowskiego dyktatora do rangi proroka tylko dlatego, że po pierwszej wojnie światowej wzmocnił gnaty ich „narodowej niezależności"! Grób Piłsudskiego w Krakowie zwabia setki tysięcy pielgrzymów z całej Polski. Jego fotografie szpecą mieszkania i urzędy. To, co mój ojciec zdawał się obserwować w Polsce, było przeobrażeniem się homo sapiens z powrotem w małpę, która swą zgraję zwołuje i broni przed innymi. Niebawem, jeśli tak dalej pójdzie, będą zarówno Polacy jak Żydzi żyć na drzewach i wzajemnie obrzucać się orzechami.

Gdy jawni demonstranci we Wrocławiu zmienili nazwę ulicy Stalina na Jedności Narodowej, miał ojciec dla tego pewne zrozumienie, choć słowo „narodowy" przyprawiało go o lekkie nudności. Potem jednak wrzeszczeli „Rokossowski do domu", tym samym wzywali polskiego ministra obrony, wcześniejszego sowieckiego generała i wyzwoliciela Polski podczas drugiej wojny światowej, do powrotu do Związku Sowieckiego. Gdy rzeczywiście odszedł, mój ojciec ujrzał w tym ukłon partii i państwa przed kontrrewolucyjnym motłochem. W końcu na polskich ulicach rozległo się wezwanie „Żydzi do Palestyny". To był znak alarmowy, jednak mój ojciec nie czuł się wyzwany przez ten wrzask tłuszczy.

Również sąsiad z góry, świeżo zwolniony oficer bezpieczeństwa, nie mógł załamać mego ojca. Poniżej wyciągu swego pieca nie namyślając się zamurował komin, by zagazować komunistyczną wylęgarnię Żydów na dole, która przecież rządziła Polską i była winna krzywd ciężko pracujących ludzi. Jego narodowa akcja powstańcza niemal zakończyła się sukcesem. Czarne chmury dymu wypełniły nasze mieszkanie. Bliscy uduszenia otworzyliśmy nocą wszystkie okna jak ryby na lądzie łapaliśmy tlen. Policja zatrzymała złoczyńcę. Lecz już następnego dnia pokazał w domu swój ckliwy uśmiech zwycięstwa. Oddał się służbie wiary chrześcijańskiej. Z podniesioną głową paradował w niedzielne poranki w kościele z żoną i dwojgiem dzieci.

Lecz nasz ojciec nie pozwolił sobie przez tę garść chuligaństwa odczuć załamania budowy socjalizmu. Mogliby również wszyscy Żydzi ogarnięci paniką uciec do Izraela, on by pozostał. Ta histeria nie miała dostępu do naszych drzwi. Okazję do kłótni małżeńskiej, która doprowadziła do spania w osobnych łóżkach i do poważnych planów rozwodowych, stworzyła Dora mówiąc, że chciałaby ze swą córką Rosą wywędrować do Izraela. Złożyła już odpowiednie wnioski w izraelskim konsulacie i u polskich władz. To akurat jeszcze się ojcu podobało. Teraz miał syjonistycznego bazyliszka u siebie w domu! Ale czego właściwie mógł od Dory oczekiwać? Była przecież prostą kobietą z prowincji, z niewielkim wykształceniem. Przeżycia wojenne pozbawiły ją resztek poczucia stabilności psychicznej. Była godną pożałowania ofiarą nazistowskiej pogoni i mieszczańskich przywilejów. Ale czy dlatego mógł jej pobłażać, żeby ofiarami w końcu stały się dzieci?

Codziennie z pracy i do wieczornych godzin trwających zebrań partyjnych przychodził do domu wycieńczony. Walczył o przetrwanie rewolucji, która również była jego dziełem. Ideologiczna czujność była teraz tym bardziej aktualna, iż również w jego miejscu pracy reakcja bezczelnie podnosiła głowę. To nie były już jedynie ciche sabotaże bumelantów, złodziei i spekulantów. „Przed wojną powodziło się nam lepiej", judzili całkiem szczerze robotnicy i urzędnicy. „By rzeczywiście uruchomić produkcję potrzebujemy samorządów robotniczych jak w Jugosławii i kapitalistycznych menedżerów jak we Francji albo w Ameryce", rozzuchwalił się jeden z „towarzyszy" w czasie zebrania partyjnego. Huczne oklaski przerwały potok jego mowy. Tych prowokacji mój ojciec nie mógł pozostawić bez odpowiedzi. „Towarzysze", rozpoczął swą ideologiczną lekcję. „Nie pozwólcie się porwać przez wir pięknie brzmiącej demagogii, której ostatecznym celem jest zniszczenie naszego dzieła i przywrócenie kapitalistycznej własności środków produkcji". „Przestać, przestać", wydzierał się ciągle mocniejszy chór. Sporadycznie rozlegały się okrzyki: „Ruski pachołek", „Żyd". Mój ojciec podejmował jeszcze rozpaczliwe próby dojścia do głosu. Lecz jego wzywający głos ginął w tumulcie ludzi, którzy się tak jak on nazywali towarzyszami.

„Brawo", wyszeptał mu w drodze do domu w ciemnej uliczce jego przyjaciel Włodek Karpiński. Lecz również on okazał się teraz drobnym tchórzem. Komu mógł mój ojciec zaufać? „Czemu milczałeś?", spytał pełnym wyrzutu głosem. „Nie jesteś przecież żonaty, nie narażasz żony ani dzieci". „Ach, wiesz", odpowiedział Włodek Karpiński, „ja cię podziwiam. Jesteś bohaterem. Ale nie masz prawa wymagać od innych, by byli bohaterami. To każdy musi sam z siebie uczynić. Jestem bardziej niż ty Polakiem. Mnie nie ciągnie do Izraela". „Myślisz może, że mnie ciągnie do Izraela?", odparł mój ojciec. „Ja nienawidzę syjonizmu. Moje miejsce jest tutaj". „Obawiam się", powiedział ze smutkiem Karpiński, „że nie pozostaniesz długo na tym miejscu".

W polskich wielkich zakładach brutalnie zaprowadzano porządek. Robotnicy dosłownie pojmowali propagandowe slogany i rzeczywiście poczuli się panami swych zakładów. Słuchali ich teraz kierownicy i dyrektorzy. Jeśli nie, byli wywożeni na taczkach z terenów fabryk, wśród potężnego śmiechu załóg. Mój ojciec nie wątpił, że ta anarchia była sterowana przez kapitalistyczny Zachód, by zrujnować socjalizm. Kraj biedniał z każdą chwilą. Zamiast pracować robotnicy demonstrowali. I codziennie na wiecach coraz głośniej krzyczeli, żądając, podżegani przez prowokatorów, nowych ofiar.

„Koledzy", wzywał człowiek w niebieskim kombinezonie robotniczym. „Kiedy wreszcie uwolnimy się od dławiących nam gardła łap biurokraty Leona Bergera? To on był tym, który podnosił nam normy. Stalinowscy funkcjonariusze za marne grosze wysysali naszą krew. A on, Leon Berger, nadgorliwie ich w tym wspomagał. On stał się tak bezczelny, że polskich robotników nazywał leniami i złodziejami. Trzeba wreszcie skończyć z tym, żeby agenci obcych mocarstw próbowali nas, Polaków pouczać, jak powinniśmy pracować dla siebie. Nie wstydźmy się spytać otwarcie: Lejbuszu Berger, gdzie są wasi mocodawcy? W Moskwie czy w Tel Awiwie?". Ta mowa została przerwana frenetycznymi brawami audytorium. Wszystkie spojrzenia skierowały się na mojego ojca, którego twarz poczerwieniała z wściekłości i wstydu, by za chwilę stać się kredowoblada. Odczuł gwałtowne ukłucie w sercu i zebrał wszystkie siły, by nie okazać temu zbiorowisku bandytów i wrogów socjalizmu swej słabości. „Nikczemność", zawołał, lecz jego oburzony krzyk zagłuszony został przez głośny rechot. Nikt go nie słuchał. Stojący obok niego Włodek Karpiński zawstydzony wpatrywał się w ziemię. Ten atak sięgnął mego ojca całkiem nieprzygotowanego i w sposób, który go, zazwyczaj nie mającego kłopotów ze słowami, zmusił do milczenia.

„Syjoniści do Palestyny", krzyknął ktoś histerycznym głosem i zgromadzony tłum podjął ten slogan, by go wzmocnić setkami męskich głosów wciąż groźniej skandujących: „Sy-jo-niś-ci do Pa-les ty-ny". „Uciekaj", szepnął Włodek Karpiński do mego ojca. „Uciekaj zanim będzie za późno". Na drżących nogach Leon Berger przepychał się bezsilnie w tłumie do wyjścia ze stołówki. Tu i tam był uderzany i popychany. Ktoś krzyknął „dajcie mu iść". Przed moim ojcem otworzyła się uliczka. Lecz jeszcze nim dotarł do drzwi tłum zaśpiewał polski hymn narodowy: „Jeszcze Polska nie zginęła".

Następnego dnia mój ojciec został wezwany przez kierownika kadr. Wręczył mu on zwolnienie ze stanowiska głównego buchaltera. „Pracy jest u nas dość", powiedział kierownik dobrotliwie. Może pan objąć stanowisko magazyniera. Tu mógłby otrzymać ledwie połowę swego dotychczasowego, i tak bardzo skromnego, wynagrodzenia.

Poszukując pomocy rozmawiał z dyrektorem odlewni. Tan zaśmiał się triumfalnie zza swego biurka: „To pan powiadomił Trybunę Ludu, że wykorzystywałem służbowy samochód do prywatnych celów". Na co mój ojciec odparł: „Teraz widzę, jaka szkoda. Poza tym oczywiście również o tym powiadomię".

Po raz pierwszy czuł się w Polsce jak obcy, nieproszony. Przegrał tu swą walkę o lepszy świat. Za jego idealizm odpłacono mu szyderstwem, a za sprawą jego niezaradności rodzina cierpiała gorzką nędzę. Lecz mimo wszystko. Nigdy by się tak nie poniżył, by wyjechać do Izraela lub jakiegoś innego kraju kapitalistycznego wyzysku.

Mój ojciec przypomniał sobie młodzieńcze marzenie, żydowską republikę sowiecką Birobidżan. Nad daleki Amur, przy granicy z Chinami, przybył jako żydowski komunista wraz z równymi sobie, wolny od prześladowań, by wnieść swój wkład w budowę społeczeństwa komunistycznego. Napisał list do sowieckiej ambasady w Warszawie:

„Drodzy Towarzysze Sowieccy,

Zwracam się do Was jako komunista, który od młodości ciałem i duszą związany jest z ideą bolszewicką, która od 1917 roku jest realizowana z przewyższającym wszystko sukcesem w Związku Sowieckim.

Od 1928 roku w Berlinie jako instruktor Komunistycznej Partii Niemiec brałem aktywny udział w walce klasowej o sowiecką republikę Niemiec. W Czerwonej Pomocy zabiegałem o solidarność z zagrożonym przez światowy imperializm krajem sowieckim. Po objęciu władzy przez Hitlera w roku 1933 musiałem jako komunista i z powodu mego żydowskiego pochodzenia opuścić Niemcy.

Po latach ucieczki przed niemieckimi faszystami i komunistycznej podziemnej walce we Francji w 1948 roku przybyłem do Polski jako ochotnik, by wszystkimi pozostającymi w mojej dyspozycji siłami pomóc budować humanistyczny porządek, jaki już powstał w Związku Sowieckim jako wzór dla całego świata.

Niestety w Polsce podniosła dziś bezczelny łeb kontrrewolucja i uniemożliwiła mi, jako szczeremu komuniście, nadal żyć tutaj.

W tym ciężkim położeniu nic nie jest mi bliższe, niż Was, drodzy towarzysze prosić o to, by mi i mojej rodzinie umożliwić przyjazd do Związku Sowieckiego, by móc dalej pracować w żydowskiej republice sowieckiej nad dziełem mego życia, budową komunistycznego społeczeństwa…"

cd. str.38

cd. ze str.37

Lecz sowieccy towarzysze grubo rozczarowali swego wiernego współbojownika Leona Bergera. Okryli go milczeniem. Jednak żaden przypadkowy cios nie mógł go zawrócić z właściwej drogi. Choć kontrrewolucja na Węgrzech i w Polsce mogła z pewnymi sukcesami podkopać socjalistyczne stosunki, to przecież w pozostałych krajach ludowodemokratycznego obozu pozostawały one stabilne. Był do rozważenia jeszcze jeden wybór.

Mój ojciec często rozkoszował się wspomnieniami heroicznych walk przeciw kapitalizmowi w Niemczech. „Bracia, ku słońcu, wolności, bracia do światła wzwyż", miał w zwyczaju śpiewać swym barytonem każdej niedzieli w łazience, dla jej doskonałej akustyki. Śpiewał to, jak wiele innych komunistycznych pieśni bojowych, po niemiecku. To był wtedy, w Berlinie Republiki Weimarskiej, najpiękniejszy czas jego życia, wypełniony euforią udziału w bliskim zwycięstwie ruchu komunistycznego. Tylko przez zdradę socjaldemokratów, którzy wyłamali się z lewicowego frontu ludowego, musieli ustąpić przed nazistami. Lecz historyczna prawidłowość ze swą koniecznością postawiła na swoim. Przynajmniej w Niemczech Wschodnich byli towarzysze z KPD objęli władzę. I tam, w odróżnieniu od polskich komunistów, bez problemów panowali. Pod ich kierownictwem osiągnięte zostały w NRD na obszarach gospodarczych i społecznych sukcesy, które można było pokazać. Tam zostanie on z pewnością jako były niemiecki komunista chętnie przyjęty. Napisał list do Berlina wschodniego, do Komitetu Centralnego SED:

„Drogi towarzyszu Walterze Ulbrichcie,

Jako dawny towarzysz walki w Berlinie przed 1933 rokiem zwracam się szukając pomocy do Ciebie, gdyż kontrrewolucyjna sytuacja w Polsce uniemożliwia mi pobyt w tym kraju..."

Towarzysze w Berlinie wschodnim wysłuchali jego skargi. Mieli zrozumienie dla trudności swego wyznawcy w sąsiedniej Polsce, która została porażona przez bazyliszka mieszczańskiego rewizjonizmu. Już niebawem zjawił się u Leona Bergera poseł ambasady NRD w Warszawie. Wyjazd do NRD był już tylko kwestią załatwienia formalności. By sensownie wykorzystać czas pozostawania w Polsce rozpoczął ojciec wpajanie dzieciom niemieckiego.

Lecz perspektywa niedługiej już konieczności przesiedlenia się do niemieckiego kraju wrogów nie chciała pomieścić się w głowach dzieci. Była dla nas bardzo smutna.

OSTATECZNE ROZWIĄZANIE GOMUŁKI

Tak bardzo pożądałem, by być wolnym od NRDowskich kajdan, polskiego obywatelstwa. Wreszcie jednak zobaczyłem tych, wolnych jak ptaki, których w 1968 obywatelstwa polskiego pozbawiono. Przy okienku berlińskiego Ostbahnhof pomogłem młodemu Polakowi, który miał trudności językowe, przy kupowaniu biletu do Kopenhagi i towarzyszyłem mu na peronie. Spytałem go czy jedzie do Danii z wizytą. „Nie", odparł, „wyjeżdżam na zawsze, jak wszyscy, którzy tu stoją na peronie". To było kilkuset spośród około pięćdziesięciu tysięcy Żydów, którzy wówczas opuścili Polskę. Cały berliński Ostbahnhof roił się od przejezdnych. Wszędzie wokół słychać było język polski.

Od władz polskich otrzymali „dokumenty podróży", które upoważniały do jednokrotnego przekroczenia granicy, z wewnętrzną adnotacją „powrót niepożądany". Przybyli pociągiem z Warszawy, rodziny z mnóstwem bagażu i czekali na nocny pociąg do Kopenhagi. Sądząc po ich ubraniach, nie należeli w Polsce do biedaków. Dorośli wśród nich mieli gładkie twarze i zadbane ręce intelektualistów. Mogli być z zawodu lekarzami, nauczycielami, docentami uniwersyteckimi, funkcjonariuszami gospodarczymi lub oficerami. Przypuszczalnie należeli w Polsce do uprzywilejowanych. Lecz przywileje mają nie tylko dobre strony, ich zacienioną stroną jest zawiść. Lecz zawiść jest źródłem ślepej nienawiści, która nie pozwala odróżniać dobra od zła, która prowadzi do radykalnych rozwiązań, do rozwiązań ostatecznych. A te uderzają czasami najpierw tych, którzy od urodzenia przez otoczenie przygotowują się do ról, których odgrywanie przećwiczyły pokolenia ich przodków, ról ofiar.

Mój szkolny przyjaciel z Wrocławia, artysta fotograf Jurek, donosił mi wówczas, że niektórzy spośród jego znajomych wyjechali do Danii lub Szwecji. Tam znów otwarcie upowszechniali wiedzę, że w Polsce jest głupi antysemityzm. Tylko dlatego rozpowszechniali jakoby te oszczerstwa, by być uznani za politycznych uciekinierów i azylantów, także dla lepszego wsparcia finansowego. W niektórych wypadkach mogło tak być. Lecz coś innego relacjonowała Sasza, żyjąca w Polsce Rosjanka, która w 1969 roku poślubiła mego ojca. Tam w 1968 nosiła jeszcze nazwisko swego poprzedniego męża Levi i gdy stała na poczcie, została spytana przez urzędnika ze słodkim uśmiechem: „Pani Levi, kiedy wyjedzie pani do Palestyny?". A jej żydowska koleżanka, podobnie jak Sasza nauczycielka rosyjskiego, została zmuszona do rezygnacji z pracy.

Państwo polskie, które po wojnie sześciodniowej w Izraelu i rewolcie studenckiej w Warszawie wyreżyserowało ostateczne rozwiązanie „kwestii syjonistycznej", nie splamiło się przy tym krwią swych ofiar. Wydalenie z pracy i bilet w jedną stronę do Kopenhagi lub Sztokholmu, „powrót niepożądany", to bez wątpienia rozwiązanie bardziej eleganckie.

W rozmowie o Polsce z moim prawomyślnym kolegą z pracy Rudim powiedziałem jesienią 1969, że Gomułka przed rokiem uratował swą głowę, ponieważ wówczas jeszcze wśród domniemanych antypolskich „syjonistów' mógł znaleźć właściwych winnych studenckich niepokojów. Po wypędzeniach w roku 1968 niebawem nadeszła dlań godzina prawdy, gdyż ten wygodny kozioł ofiarny nie przydał się w Polsce na nic więcej. Rudi oburzył się na taką otwartą zniewagę sekretarza zaprzyjaźnionego państwa socjalistycznego. Lecz już w grudniu 1970 doszło do tego, że po strajkach robotników na wybrzeżu Gomułka musiał odejść. Akcja antysyjonistyczna trwała dwa i pół roku. Jednocześnie zakończyła tysiącletnią historię Żydów w Polsce. Spośród ponad trzech milionów polskich Żydów przed wojną przetrwało w ich kraju tylko około czterech tysięcy, dla wielu Polaków o wiele za dużo.

Podczas wycieczki po Polsce w roku 1971 szukałem na warszawskiej Starówce wraz z moim przyjacielem Gernotem żydowskiej restauracji. Znałem ją z lat sześćdziesiątych i pamiętałem, że podawano tam koszerne potrawy. Spytałem starszego człowieka na ulicy o ten lokal. „Pan ma na myśli Samsona?". Znaleźliśmy tą restaurację przy wąskiej, malowniczej uliczce staromiejskiej. W oknie wystawowym, gdzie przed laty były polecane tylko żydowskie potrawy, stała tablica ze skromnym napisem kredą „Specjalność zakładu – karp w galarecie". Każdy Polak wie, że chodzi o „karpia po żydowsku", potrawę, którą często można odnaleźć w zestawie wigilijnych potraw polskich katolików. Tutaj nazwano to wstydliwie „karp w galarecie'. Weszliśmy do lokalu. Zamówiłem u kelnerki dwa karpie w galarecie, na co mi odpowiedziała, że nie może w ogóle zaproponować nic do jedzenia, gdyż kucharz przed rokiem opuścił kraj. Tak czas przyspieszył: przed wojną mieszkało w Warszawie kilkaset tysięcy Żydów, a obecnie nie można tu znaleźć jednego żydowskiego kucharza. A jeszcze przed trzema laty mogli być Żydzi w Polsce tak mocni, że ich syjonistyczni przywódcy mogli doprowadzić do obalenia szyldu państwa socjalistycznego. Lecz gdy propagandzie wystarczy dwa i pół miliona Żydów w Izraelu, by zagrozić całemu światu, jakże można dowierzać wspólnej drodze z choć jednym Żydem w Polsce? Oni muszą odejść z Polski, do Izraela lub gdziekolwiek, ale odejść.

Lecz z ręką na sercu, głęboko zazdrościłem mym polsko-żydowskim ziomkom. Zostali z Polski wypędzeni na Zachód, podczas gdy ja w NRD nie miałem niemal żadnych szans, by kiedykolwiek ten Zachód ujrzeć. Czyj los był gorszy?

Gabriel Berger

GABRIEL BERGER, ur. 1944 we Francji, w latach 1948-1957 we Wrocławiu, następnie w NRD, w 1967 ukończył fizykę w Dreźnie. W latach 1976-77 więzień polityczny w Dreźnie i Cottbus, wydalony do Niemiec Zachodnich. Od 1984 utrzymuje się z pracy dziennikarskiej i pisarskiej. Po polsku wydał, własnym nakładem książkę „Moja prywatna wojna z NRD" (2016, niemiecki przekład 2019). Książka „Ich protestiere also bin ich" („Protestuję, więc jestem") ukazała się w roku 2008.

Maja Wolińska

Vladimir Stockman

przełożył Maciej Froński

* * *

В молчании натянутой струны
Таятся звуки, словно пчелы в улье.
Они неразличимы, неслышны,
Но лишь дотронься — выстрелят, как пули,

Разбив стекло кромешной тишины
На миллиард пронзительных осколков.
В них все — и свист ветров, и шум волны,
И треск огня, и вой степного волка...

Так оживает мертвый инструмент,
Разбуженный искусною рукою.
А нужно лишь немногое — суметь
Из хаоса гармонию извлечь,
В безмолвии немом предвидеть речь,
Во мраке — свет, движение — в покое.

1991.07

* * *

Milczenie struny napiętej do granic
Pełne jest dźwięków, jak pszczół pełen ul,
W ciszy rozróżnić ich się nie da za nic,
Lecz dotknij, strzelą niby seria kul.

Szybę bezgłosu nieprzeniknionego
Na sto odłamków rozbiłem i drzazg;
Było w nich wycie wilka stepowego,
Świst wiatru, fali szum i ognia trzask.

Tak życie w martwy instrument powraca,
Zbudzony kunsztem ćwiczonych rąk dwóch;
A przecież nie jest to szczególna praca –
Czuć, że w chaosie harmonia się chowa
I że w milczeniu zawiera się mowa,
W ciemności – światło, a w spokoju – ruch.

LIPIEC 1991

Песня путника

Я возвращаюсь туда, где меня уж не ждут.
Гости устали стоять у порога,
Хозяева пьют помутневший уют,
А у меня под ногами дорога.

Кем бы я ни был — был я не тем,
С кем бы я ни был — был я не с теми.
Я просто учился дышать в пустоте
И видеть там, где кромешная темень.

И вот возвращаюсь. Мне просто смешно
Видеть забывших дорогу обратно.
Если стена — в ней должно быть окно,
Если есть смысл, то должно быть понятно.

Боль — не причина уходить навсегда.
Страх — не причина стоять на месте.
Я возвращаюсь. Не знаю куда,
Но я возвращаюсь. Об этом и песня.

1989.11.07

Pieśń wędrowca

Wracam, gdzie na mnie nie czeka już nikt.
Goście zmęczyli się staniem za progiem,
Państwo zaś sobie zapewnili wikt,
A ja? A ja mam pod nogami drogę.

Kimkolwiek byłbym – tobym nie był tym,
Z kimkolwiek byłbym – toby był on znikąd.
Już w oddychaniu w próżni wiodę prym,
Widzę w ciemnościach choćby oko wykol.

I oto wracam i śmiać mi się chce,
Gdy widzę takich, co tego nie mogą.
W murze jest zawsze brama, czasem dwie,
Sens idzie w parze z wiodącą doń drogą.

Ból to nie powód, by teraz iść wspak.
Strach to nie powód, by na miejscu zostać.
Wracam. Nie powiem dokąd, ale tak,
Wracam. I o tym jest ta moja piosnka.

7 LISTOPADA 1989 ROKU

Суровые будни творческих союзов

Исключили Непрухина из графоманов,
В душу плюнули, чуть ли не пнули ногой...
Вот бредет он и бредит сквозь дымку тумана,
Безбилетный , бездарный, босой и нагой.

А ведь он графоманил усердно, на совесть,
Что ж такого он сделал, нарушив устав?
Может быть написал гениальную повесть?
Нет, он членские взносы платить перестал.

2011.01.03

Surowe reguły w związkach literatów

Z koła grafomanów Klopsiewicz wylany,
W duszę mu napluto, prawie poczuł kop,
Bredzi, błądzi mając dokoła tumany,
Bez legitymacji cóż ma począć chłop?

A przecież rzetelny był z niego grafoman,
Czym więc podpadł? Czemu przeżywamy szok?
Genialny napisał może Bildungsroman?
Nie, składek nie płacił przez okrągły rok.

3.1.2011

ESEJ

Andrzej Katzenmark

NASKALNA DEKADENCJA

I

Każda rzeka ma swe źródła. Można się spierać o tę lub inną odnogę jako ważniejszą od pozostałych, Nil Biały czy Błękitny, Wisełka Czarna czy Biała. Wielkie rzeki mogą toczyć w ludzkiej wyobraźni geograficzno-hydrologiczny spór i odwoływać się bezpośrednio i poprzez mapy do kształtu i przebiegu swoich wodnych szlaków. Jednakże człowiek, świadom jałowości problemu winien zaniechać stawiania na ostrzu noża kwestii owej hydrogenezy, mimo iż palcem wskazać i zmierzyć łatwo bieg tych wód. Źródła bowiem istnieją; nie przynależą tylko do świata myśli czy wspomnień, czy wyobrażeń. Rzeki płyną nieodmiennie od swych początków do morza, zawsze z góry na dół, co naturalne dla ziemskiej inercji. I prawdę powiedziawszy, mało istotne dla żywota tych rzek wydaje się przeprowadzenie dowodu, która z odnóg stanowi właściwe lub ważniejsze (dłuższe) źródło rzeki.

Tylko człowiek docieka tego, co niezgłębione lub niezmierzone. Stara się opleść myślą wszelkie nieograniczenie, opleść strukturą, wbić swoje pazury w dwa przeciwległe brzegi istnienia, by rzec: rozumem można ogarnąć nawet nieskończoność. A jeśli brak na jego drodze nieograniczoności, gotów jest wniknąć w głąb skończoności, by stwierdzić, iż również ona w swoim wnętrzu jest nieskończona. I znów przystępuje do dzieła oplatania, otaczania i rozbijania tego, co niepodzielne. To człowiek, co wykazali pitagorejczycy, usiłuje jednocześnie pochwycić początek i koniec, źródło i ujście, aby miara całości stała się facsimile infinitatis. Lecz oto okazuje się, że homo sapiens zbyt krótkie ma ramiona. Nie bacząc bowiem na niego, płyną sobie wielkie rzeki, chluszcząc i pluskając na jego zamiary. Człowiek zaś sam sobie stwarza problematyczne zadania. I sam ku swej chwale je rozwiązuje, raz tak, raz inaczej, raz lepiej, raz gorzej.

Pierwsza była myśl. Rozkwitła w człowieku świadomością jej ulegania. Istniała znacznie wcześniej, ale nie odbijała światła, była bezrefleksyjna. To ona kazała człowiekowi namalować brunatno-czerwonoczarne sylwetki zwierząt na ścianach jaskiń w Altamirze i Lasceux. Przez kilka tysięcy lat artyści franko-kantabryjskiej bohemy zapełnili wapienne groty setkami malowideł. Nie wypowiedziano wówczas jeszcze ani jednego słowa. Malarstwo nie wymaga werbalnej komunikacji. Potrzebuje skupienia. Dążące do uporządkowania idei myśli nakłoniły dłoń malarza do podjęcia artystycznego wysiłku. Powstały dzieła sztuki, których celu nie rozumiała większość myśliwych, mieszkańców jaskiń. Choć nie rozumieli, lubili na nie patrzeć. Rozpiętość czasu epoki tworzenia malowideł była wielekroć większa niż czas objęty źródłami pisanymi.

Mijał kolejny tysiąc lat, dziesiąty lub dwudziesty. Któż je zliczy? I jakie miałoby to znaczenie? Nie zmieniały się ramy obrazów. Wciąż były nimi skalne ściany franko-kantabryjskich jaskiń. Motywy i forma zaczęły się powtarzać. Aż wreszcie jęły rozbrzmiewać skostniałą scholastyką po ścianach grot. Światła ognisk rzucały iskry w ślepe zaułki dekadencji, budząc ekspresję myślenia. Zwierzęta, ich znakomicie zarysowany kształt i ruch, nie wystarczały już, by kontynuować ludzką pasję obserwacji i panować nad wybuchami wyobraźni. Nie wystarczały już ani skalna powierzchnia, ani barwniki: ochra, węgiel czy wapień, ani myśliwskie tematy. Właściwie przestały być one istotą niejasno przeczuwanej sztuki. Nie o materię chodziło, lecz o sposób i siłę wyrazu.

Rzecz szła więc o imponderabilia, o zaznaczenie siebie, o odnalezienie swojej tożsamości. Skoro nie starczały naskalne obrazki, piętrzone przez setki lat galopujące kopyta i pęciny, splątane poroża, rozwiane grzywy… Mieszkaniec Lasceux nie wiedział, czego szuka. Świadomość myślenia nie rysowała przed nim uwikłania w sztukę. Odczuwał pewien brak, lecz nie potrafił wypełnić go treścią. Kontynuator sztuki swoich przodków, malarz owych turów, reniferów i koni sprzed kilkudziesięciu tysięcy lat podniósł głos przeciw dekadenckiej kontynuacji sztuki. Coś musiał zmienić, lecz nie potrafił rodzajowo i formalnie rozszerzyć swego myślenia.

„Może trudność tego uczucia [piękna] polega głównie na tym, że uważa się piękności przyrody za poprzedzające piękności sztuki"[1], a zatem i trudności przejścia dalej rysowałyby się o wiele jaśniej, choć równie mało wyraziście. Piękno więc otoczone byłoby nadal aurą tajemnicy, lecz w ten sposób przyroda pozostawałaby swoistym, samorodnym artystą. Bergson rozważa, nie narzucając ostatecznego rozwikłania problemu. Dopuszcza również inną interpretację sztuki, również tej najdawniejszej: „celem sztuki jest uśpienie pewnych czynnych, a raczej odpornych potęg naszej osobowości, a przez to wprowadzenie nas w stan pewnej powolności, w której urzeczywistniamy myśl nam poddaną i sympatyzujemy z wyrażonym uczuciem". Dodajmy za cytowanym zwolennikiem élan vital, iż „wydaje nam się z prawami zdrowej metody rozważać piękno najpierw w dziełach […] a następnie […] przejść od sztuki do przyrody"[2].

„Człowiek jest zawsze skłonny uważać mały krąg, w którym żyje, za centrum świata, ze swego zaś prywatnego życia czynić kryterium wszechświata"[3]. Cassirer nazywa tę skłonność małostkowym i zaściankowym sposobem myślenia. Homo sapiens pingens z czasów cofającego się lodowca odważył się wyjść poza swój mały krąg, poza sztywne, skalne ramy sztuki. Tylko poprzez mowę mógł przeciwstawić się innemu niebezpieczeństwu, trwającemu w jego malarstwie glacjałowi dekadencji.

To w tych okolicznościach homo sapiens przemówił awangardowo we własnym i od razu powszechnym języku, dając wyraz nagromadzonym w swym wnętrzu uczuciom i liryce, dwojącej się w nim opowieści, tej obrazowanej w myślach i tej malowanej na skalnym blejtramie. Sformułował zdanie, które od razu miało sens i znaczenie. Wydobył je ze swego umysłu i z dostrzeżonego i pojętego nagle czasu i przestrzeni, które znajdowały się poza nim. Uświadomił sobie wielkość tego, co nie było nim i czego w żaden sposób nie potrafił objąć. Dojrzał pojedyncze przedmioty i siebie jakże różnego od świata. Sięgnął do dźwiękowych eksperymentów, które słyszał za młodu i obecnie, oraz do tego, co słyszeli jego rodziciele i dziadkowie, a także do tego, co wymrukiwali ci współplemieńcy, którym nieobca była awangarda i poszukiwanie nowych form wyrazu. Zebrał te szczątkowe znaki mowy i rzekł do jaskiniowych obrazów i tych, którym już się opatrzyły, iż wyjść z siebie, nie znaczy oglądać czy malować, ale wypowiedzieć siebie.

II

Bezsens mówienia

Po co mówić, co to za głupia nowinka, ta mowa, z miną szczerego wstrętu obrazowali swe uczucia paleolityczni myśliwi. Po co to wykrzywiać gębę, nie po to żeby coś wyrazić, ale wydać do niczego niepodobne dźwięki. Za dużo czasu mają ci gadacze. Niech pochwycą oszczepy i czasu nie mitrężą na te hałaśliwe bzdury. Jak się ktoś nudzi, niech łupie kamień. Groty i pięściaki zawsze się przydadzą. Gadanie, wydobywanie z gardła owych szmerów i charkotów oraz przeciągłych jęków, niczego dobrego nie przyniesie. Jaki z tego zysk dla myślistwa, dla plemienia, dla rodziny? Takie myśli zajmowały konserwatywną większość naszych przodków. Mowa wydawała im się do niczego niepotrzebna.

Czymże więc był językowy pierwszy krok dla postępowego człowieka z Cro-Magnon zwanego homo sapiens fossilis, człowiekiem rozumnym kopalnym? Z pewnością naruszał to, co fizycy zwykli określać jako constans, coś nie tylko stałego, ale też bezpiecznego i zapewniającego niezmienność hierarchii. To była ingerencja w status quo plemiennej struktury. To żaden postęp, strojono nienawistne miny, bo przeczuwano olbrzymie zmiany w społecznym układzie. Wszak postęp, jak dotąd, należał do sfery materialno-technicznej, takiej jak obróbka kamienia, ostrzenie oszczepów, garbowanie skór, rozpalanie ogniska, budowanie schronienia przed zimnem i deszczem czy ewentualnie metody osaczania zwierzyny. Po co do tego mowa? Toż to mieszanie językiem powietrza. Homo sapiens nie odczuwał żadnej potrzeby, tym bardziej konieczności, żeby poznawać nowe, poznawać mowę. A komunikacja? Ktoś kogoś szturchnął, popchnął, uderzył albo, co rzadsze, przytulił, objął, klepnął po plecach lub po tyłku, w zależności od intencji; wskazał palcem; wzdrygnął ramionami; wytarzał się w popiele; przyoblekł twarz w mimikę przerażenia lub agresji. Przez olbrzymie połacie przeszłości gestykulacja, mimika i pomruki w zupełności starczały. Po diabła komuś język?

Przede wszystkim starszyzna uważała mowę za coś bezludnego, bezosobowego, bezplemiennego i obrazoburczego. Do tej pory homines sapientes nie znali jej, wszak nieznajomość czegokolwiek znakomicie podkreśla wystarczalność aktualnej wiedzy i sposobów działania oraz wykazuje bezsens dalszych poszukiwań. Tak twierdzą zazwyczaj konserwatyści. Nie szukajmy, utrwalajmy. Polowania na dzikiego zwierza odbywały się bez przeszkód: nagonka, dół, oszczepy, strzała posłana za szybkim zwierzem lub ptakiem. Każdy wiedział, co ma robić. Zwierzyny, co prawda, ubywało wraz z ustępującym na północ zlodowaceniem. Ale polowania trwały. Ludzie w jaskiniach nie cierpieli głodu. A jak zaczną głodować, żaden wynalazek w niczym im nie pomoże, a tym bardziej taki, który jest hałaśliwym rozdzieraniem powietrza. Ze swoich jaskiń szybciej ruszą na północ, za umykającym lodowcem, niż podejmą wysiłek jakichś awangardowych wyzwań. Mowa – jej zaczątki słyszane były tu i ówdzie – nie mogła w świadomości człowieka z Cro-Magnon (wspomnianego już homo sapiens fossilis) odegrać roli, jaką odegrało wśród mówiących wymyślone znacznie później pismo. Nie zdarzył się w związku z tą nowiną żaden cud. Nie zamajaczył na horyzoncie życia żaden jakościowy ani ilościowy blask nadziei: będzie lepiej lub będzie więcej. Nawet mglista świadomość własnej istności i własnego świata nie mobilizowała człowieka do kroku w stronę mówienia. Ludzie porozumiewali się i działali z wystarczającą sprawnością i dokładnością bez języka. Niełatwo to, co nieznane, objąć świadomością pozytywnych skutków. Po prostu mowa w paleolitycznej epoce wydawała się zbędnym balastem na okręcie ludzkiej egzystencji.

Postęp nie dokonuje się w świecie zewnętrznym, lecz w myśleniu. Jak powiada Habermas, nie jest tak, że „stopień racjonalności obrazów świata zmieniał się wraz ze stopniem kognitywnego rozwoju jednostek"[4]. Nie istnieje zatem prelogiczny szczebel poznania i działania. Homo sapiens z paleolitu i jego potomkowie myśleli równie nieskładnie jak my teraz, a prawa logiki są ponadludzkie i przenikają wszechświat. Myślenie atoli nie zasadza się tylko na logice, nie przynależy wyłącznie do świata, jest ponadto obliczem całego wnętrza człowieka, który umyka od zdroworozsądkowych rozstrzygnięć, ulega uczuciom, presji rozmaitych idei, interesom grup społecznych, marzeniom i zachciankom. To nie rozsądek pchnął ludzi do wynalezienia (odkrycia) mowy, lecz szaleństwo. To nie zdrowy rozsądek zmienia obraz świata, lecz awangardowe, niezachowawcze myślenie i działanie. To one rozszerzają obraz świata, nim znajdą się konstruktorzy, którzy pojmą znaczenie wynalazku (odkrycia) i dołączą nowe jego fragmenty w języku logiki.

Człowiek niemówiący był już homo sapiens. Nie władał jeszcze żadnym językiem. Jedynie natura podpowiadała mu jakieś mimiczne grymasy i nieartykułowane krzyki. Powtórzmy za Foucaultem: był to skutek i następstwo naszej zwierzęcości[5]. Ich sens wydaje się być zbliżony do odczytywania gestów pawianów czy lam, lemurów czy pand. Dźwięczy w wydawaniu tych pomruków i pisków sensualne bogactwo i mentalne zamknięcie, czyli zewnętrzny słowny analfabetyzm.

A zatem mowa drżała już w ludzkiej krtani, ale nie potrafiła wychynąć na zewnątrz, by odnaleźć całkowicie nowy sposób na rozszerzenie ram obrazu świata. Człowiek utknął w sobie. Plemię, rodzina i polowania nie wszystkim wystarczały. Jedynie malarstwo potrafiło wyrwać admiratorów z ich introwersji na przeciąg spojrzenia. Brakowało jednak tej dziedzinie sztuki zmienności i możliwości uchwycenia życia w jego płynnej istocie. Wielu marzyło niewyraźnie, żeby wyjść z siebie, wybuchnąć sobą, powiedzieć: to Ja!, to ja ponad sobą samym!. Czyny waleczne i miłość wśród jęków i milczenia to było za mało. Wykrzykiwali coś bez ładu i składu, ale podobnie krzyczeli też neardeltalczycy, z których naigrywali się homines sapientes, nie rozumiejąc dokładnie źródła swego śmiechu. Nie potrafili bowiem poddać świadomej refleksji okazywania swoich zachowań: uwielbienia, podziwu, czy wstrętu, nienawiści, w tym wesołkowatego zarykiwania się na widok krewnych, które przynosiło nie tylko współplemienną ulgę, lecz także osobistą satysfakcję, niezrozumiałe poczucie znaczenia lub wyższości, a potem także sposobność do nękania i walki.

Większość nie myślała o poprawieniu własnej kondycji. Mieli wszystko, co trzeba. Mięso chłodziło się w głębi groty. Narzędzia sterczały w jej przedsionku. Myśliwi nie chodzili głodni. Malarstwo nudziło ich. Jeść i kobietę posiąść bez nadmiernych przeszkód – to

była ich codzienna ochota. Zazwyczaj byli krzepcy, toteż buńczucznie wywijali włóczniami: nie będzie nikt czasu marnotrawił w naszych jaskiniach! Próbowali nadawać ton plemiennym przedsięwzięciom. Jutro polowanie. Pojutrze czyszczenie skór. Przyuczali karceniem opornych lub niepojmujących ich wymagań. Nie niepokoiła ich niemożność wyrażania swoich myśli. Przeto nie usiłowali ani poszukiwać, ani przenikać zamiarów tych, którzy bardziej refleksyjnie nastrajali się do tajemnic świata.

Pewnego dnia owe osiłki natknęły się na opozycję do swego autorytarnego konserwatyzmu – głośny i mimiczny sprzeciw w postaci buntowniczych tonów wolności i nieuświadomionej wewnętrznie awangardy. Uważamy inaczej, widzimy świat inaczej, obrazami przemawiały ich myśli. Nie tylko szczupłoręka malarska mniejszość stanowiła tę mniejszość. Do lokucyjnej rewolucji dołączyła większość ludzi młodych. Stanowili połowę paleolitycznej populacji. Dla powodzenia bowiem tej półmrocznej insurekcji nie starczyłoby kilku entuzjastów, choć to oni poprowadzili młodych do intelektualnego przewrotu. Prapoczątek zerwania z milczeniem rozkwitł w róży akustycznych pierwocin języka. Nie było jeszcze mowy, ale każdy młody słyszał już jej echo, a ci, którzy próbowali pierwszych zdań, pokrzykiwali radośnie, bo sami dostrzegali i czuli rozszerzanie się wszechświata. Nie kosmos atoli się rozszerzał, lecz świadomość jego istnienia i własnej tu obecności.

Oddajmy cześć tym bohaterom, nieznanym antenatom, którzy jak Einstein powiedli myśl naszą dalej, szerzej i głębiej. Nie wiemy o nich niczego. Ani Humboldt, ani nasz Malinowski, ani filozofowie, ani lingwiści nie wywiodą z samej mowy jej początku. Ale ktoś rozpoczął mówienie. Wypowiedział pierwsze zdanie. I należy mu się pomnik bardziej niż jakiemukolwiek politykowi. Czy jest gdzieś na świecie pomnik twórcy języka? Może święty Cyryl, gdyby żył, wzniósłby ten pomnik. Myślał jednak tylko o Bogu. Wybacz, czytelniku, ten powrót do owych fraz „powinien" lub „musi". Jak jednak budować pomnik komuś zasłużonemu bez tych moralizujących pouczeń.

„Możliwe wydaje się przezwyciężenie języka – życie nie potrzebujące języka, w którym język byłby odstępstwem"[6]. Tak dziać się ongiś musiało. Nowinki językowe męczyły starszych, ciekawiły młodszych. Nie przynosiły żadnych wymiernych korzyści. Za pustą rozrywkę uważała ją plemienna starszyzna. Człowiek, bystry obserwator przyrody, zazdrościł ptakom ich zdolności latania, rybom – pływania pod wodą, a dżdżownicom i kretom – umiejętności penetrowania ziemi. Nikt nie był w stanie przewidzieć, iż w osiągnięciu tych umiejętności będzie współuczestniczyć język. Ignorancja i brak zaufania, niepierwsze zapewne i nieostatnie z pewnością w człowieczych perypetiach.

Demokryt twierdził, iż progiem ludzkiej mowy były emocje. To one wydały na świat pierwsze sensowne dźwięki. Stąd teoria okrzyków znalazła wielu amatorów. Jest przekonująca, jeśli idzie o czas i zwyczajowe jego pojmowanie. Czas płynie. To nie człowiek myśli i próbuje, lecz czas poddaje go stopniowym naciskom. Z owego temporalnego prymatu wynikają liczne teorie powstania języka. Nikt nie dostrzega pierwszego piewcy, bo nie można go uobecnić w owalu historycznego konterfektu.

Walczono o życie, o przetrwanie. Homo sapiens, nieświadomy jeszcze znaczenia owego łacińskiego adiectivum, szukał sposobów na przetrwanie. Tylko nieliczni zastanawiali się nad egzystencjalną odmianą w ich postrzeganiu świata. Co znaczy to nasze malowanie, zastanawiali się niekiedy. Zwierzęta jak żywe pędzą po ścianach jaskini. I nie sposób ich zatrzymać. I to jest piękne. Jak podzielić się pięknem? Na tym właśnie polega trudność rozważania początków ludzkiej mowy. Musiało nastąpić przesilenie, moment, w którym zdolna młodzież przemówiła. Pytanie, po co, wydaje się błędnym, bo zakłada interesowną treść odpowiedzi. Każda rewolucja, nawet ta największa, językowa, nie kierowała się pragmatyką, lecz ideą. Pragmatyczni byli dopiero jej czciciele.

Bez mowy nie byłoby wspólnoty ludzkiej, twierdzi Cassirer. Lecz nie wiem, czy ma rację. Przez tyle lat homines żyli w mniej lub bardziej zgodnych skupiskach, nie rozmawiając, że ów nagły zwrot w stronę głośnego i sensownego wypowiadania się nie mógł przesądzić o społecznym zaangażowaniu ludzi. Cassirer przepowiada ex post. Nie jest bowiem w stanie wysnuć posybilistycznej nici z egzystencjalnej kądzieli milczenia. Nikt nie wie, jak bez języka potoczyłyby się społeczne losy człowieka. Język stanowił dla intelektu nie lada przeszkodę. Sposób obrazowania rzeczywistości zmienił się diametralnie, z łatwiejszego na trudniejszy, z jednostkowego na ogólny. Mało kto z upodobaniem kąpie się nieznanym źródle.

W sposób jasny i jednoznaczny rozstrzyga ten zwrotny moment w egzystencji człowieka Wittgenstein[7], twierdząc, że wyjaśnienia estetyczne nie podlegają sprawdzianom eksperymentalnym. Gdyby uznać dźwięki mowy za materię estetyczną, jak w malarstwie paleolitycznym – farby, skałę i pędzel, zaiste nie sposób ani przez eksperyment, ani przez śledzenie ludzkiej mowy w historycznym jej rozwoju, powrócić do czasu narodzin języka. Jednakże „prawda piękna nie polega na teoretycznym opisie czy wyjaśnieniu rzeczy; polega raczej na *sympatycznym widzeniu* rzeczy"[8]. To subtelna sugestia, iż o zerwaniu z milczeniem mogły zadecydować względy estetyczne, nie tyle jednak dźwięczność wypowiadanych słów, ile ich emocjonalna nośność.

Także Schiller[9] upatruje źródeł ludzkiego nastawienia wobec tego, co zewnętrzne, w kontemplacji i refleksji estetycznej. Niewątpliwie tkwiła w głębi człowieka z Altamiry niewypowiedziana chęć emanacji własnych doznań. Szczęśliwie ugasił pożar swojego wnętrza malarskim użyciem ochry i węgla, materiałów, które myśl i dłoń przyoblekła w kształt. Estetyka jako geneza sztuki mówienia wydaje się dość przekonująca, skoro przyczyny materialistyczno-pragmatyczne, nawet jeśli oceniamy je jako sensowne, nie mogły być świadomym siebie intelektualnym światłem. Człowiek mógł bawić się dźwiękami mowy, ale nie potrafił przewidzieć ich mocy sprawczej. Dopiero język dał mu do sposobność wyrażania siebie. Kant[10] przypisuje świadomości to, że rozum ma siłę zdolną przełamywać granice tkwiącej w człowieku zwierzęcości, możliwość oderwania się od popędów naturalnych. Zaiste mogła zajaśnieć nad malarzem epoki kamiennej gwiazda zaranna ejdetycznej refleksji, rozświetlając odwieczny mrok wszechświata, rzucając snop światła w epistemologiczne korytarze ludzkiej świadomości. Lecz absorpcja promieni tej gwiazdy była możliwa tylko dzięki estetycznym tęsknotom człowieka.

Andrzej Katzenmark

1 Henri Bergson, O bezpośrednich danych świadomości, Wyd. Vis-ŕ-vis, Kraków, s. 23.
2 Henri Bergson, ibidem.
3 Ernst Cassirer, Esej o człowieku, Wyd. Czytelnik, Warszawa 1998, s. 54.
4 Jűrgen Habermas, Teoria działania komunikacyjnego, PWN, Warszawa 1999, tom I, s. 93.
5 Michel Foucault, Słowa i rzeczy. Archeologia nauk humanistycznych, Wyd. Słowo/ Obraz Terytoria, Gdańsk 2006, s. 104.
6 Karl Jaspers, op. cit. s. 222/223.
7 Ludwig Wittgenstein, Wykłady I rozmowy o estetyce, psychologii i wierze religijnej, przeł. P. Graff, M. Szczubiałka, A. Wierzbicka, Wyd. KR, Warszawa 2002.
8 Ernst Cassirer, op. cit., s. 277.
9 Fryderyk Schiller, Listy o estetycznym wychowaniu człowieka, Wydawnictwo Czytelnik, Warszawa 1972, List XXV.
10 Immanuel Kant, Przypuszczalny początek ludzkiej historii, Wyd. Comer, Toruń 1995, s.21.

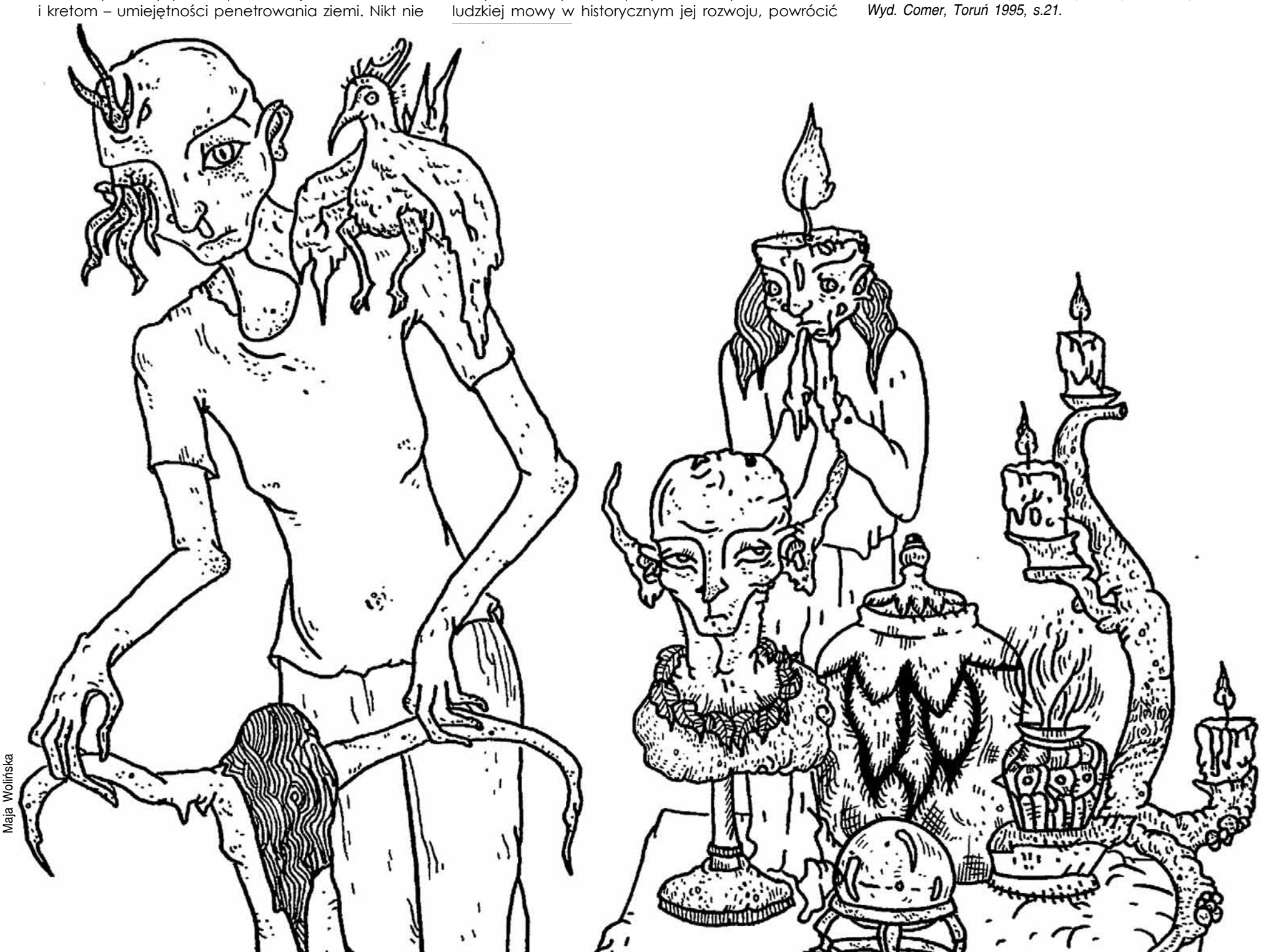

Maja Wolińska

Aleksander Pietraszunas

wspólny mianownik

wciąż próbuję choć
podchodzą mi do gardła chcę
pochylić się nad tłumem
i doświadczyć

w jasnym świetle

w ciepłym dniu w różowym
punkcie w cmoknięciu

pas startowy bo tam
wyruszam z ciebie do stron
co jak przypuszczasz
śpią płycej niż się zdaje

(nie wypuszczasz
na głodnego byłaś
świadkiem wiesz że
umiem i przytaczasz
te obrazy)

ruszam
i po chwili widzę
z boku

niemożliwe
jestem nimi

mam tę małpiość

w jakiejś tafli
sam lituję się
nad sobą

skutki uboczne

jeszcze schodzę
świeżo po gwiazdach a już
jest gapowicz jest mrowienie
jest narośl na flaku

i jazda

welkam hołm studiuję
kształt intruza trącam guz

nie stąd

w ćwiartce
go zanurzam wiem co
zrobić bo nie pierwszy
raz się zmagam bo raz

któryś mi pomoże
w przenoszeniu
w czasie bania

więc odraczam
więc pompuję
do nowego
napisania

Norbert Pilarz

BEZ ZMIAN

W barze było głośno i tłoczno. Głosy należące do ludzi prowadzących w podnieceniu swoje dynamiczne rozmowy – zlewały się w jeden bezosobowy gwar, w którym nik-nęła płynąca (czy też raczej zgrzytająca) zza potężnego, drewnianego baru muzyka będąca kolejną małą cegiełką ogólnego jazgotu, wchłaniającego charakterystykę jej wykonawcy, rytm, czy w szczególności słowa. Osoby zgromadzone przy stolikach gestykulowały, mrużyły oczy, patrzyły ze zdziwieniem, zanosiły się przesadnym śmiechem, udawały, że słuchają, mówiły znad wyraz dużym przekonaniem, piły piwo (rzadziej coś innego), spoglądały w pustkę szklanki, przysypiały. Większość zdawała dobrze się bawić (albo przynajmniej robili to do niedawna), a niektórzy sprawiali wrażenie, jak gdyby (z braku lepszej alternatywy) chcieli przekonać samych siebie, że to, co robią teraz, jest tym, co rzeczywiście chcą robić. Wszyscy byli wręcz ści-śnięci w dosyć małym pomieszczeniu, w którym została umieszczona jak największa możliwa ilość okrągłych stołów, prostokątnych stołów, drewnianych krzeseł oraz czerwonych kanap, których tapicerki w wyniku przetarcia odsłaniały swoją biel i nieprzyjemne, postrzępione włókna wyrażające w niemy sposób ilość tyłków, które siadały na niegdysiejszej krwistości sztucznej skóry. W powietrzu unosił się gryzący w oczy zapach wypalanych na zewnątrz papierosów, których dym wracał do stolika razem ze swoim właścicielem niczym pies na smyczy, aby następnie rozpłynąć się w zastanej mieszaninie powstałej z różnych marek tworzących razem niby – mgłę wzmacniającą jaskrawość pomarańczowych żaró-wek, dzięki którym panował wokół przyjemny półmrok.

W tej (opisanej po krótce) scenerii, przy jednym z okrągłych stolików z drewnianymi krzesłami, ustawionym w rogu, na prawo od wejścia – siedział K., M. i A. prowadząc rozmowę:

A: Wiecie co? Ja nigdy nie pamiętam zakończenia „Pulp Fiction". Dziwna sprawa…

K: I co z tego?

A: Po prostu oglądałem dużo razy, a i taknic.

K: Ile razy?

A: Dużo… nie wiem… na pewno parę razy, a nie pamiętam zakończenia. Tylko ja-kieś sceny, wątki, jakieś obrazy. Początek pamiętam. Ale końca – ani trochę.

M: Ja wiem.

A: Jak?

M: Myślisz, że powiem? Wiem, że cię to teraz ciekawi, więc nie.

A: A spierdalaj… A ty wiesz?

K: Nie, pustka. Ja nawet nie wiem, czy Mia pojawiała się po tej scenie z zastrzykiem.

A: Była. Na pewno. Jak Vincent przyszedł do Marsellusa. Od razu po tym.

K: To wiem. Chodzi mi o to, czy jeszcze później.

A: No to… nie wiem, nie mam pojęcia… Nic nie pamiętam. Jakbym miał siedemdzie-siąt lat.

M: Każdy tak ma. Ja przykładowo nie pamiętam niczego, co się działo w środku „Między słowami". Początek znam, koniec też. Wszystko, co pośrodku - jakbym nie oglądał.

A: A wiecie, że Scarlett miała wtedy dziewiętnaście lat?

M: Naprawdę?

A: Jest rocznik osiemdziesiąty czwarty chyba.

M: Przecież… kurwa, tak nie wyglądają dziewiętnastolatki…

A: Jakby miała trzydzieści. Całe życie. Przed trzydziestką i po trzydziestce – tak sa-mo.

M: Ale w dobrym sensie tak samo.

A: A nawet w…

K: Śledziliście kiedyś kobietę?

(parę sekund ciszy)

M: Że co?

K: Czy śledziliście kiedyś kobietę?

M: W jakim sensie?

K: W jakim sensie? O co ty, kurwa, pytasz? W jakim sensie? A jakie by miały być sensy? Pytam się, czy szedłeś za kobietą tak, żeby ona cię nie widziała, a ty ją do-skonale.

M: Nie… Skąd w ogóle?... Dlaczego pytasz? O co ci chodzi?

K: Przepraszam, ale zaczęliście już przynudzać. Tak rzadko się widzimy, więc nie chcę rozmawiać tylko o filmach, życiu codziennym i innych głupotach. Chcę w koń-cu czegoś ciekawego. A więc jak – śledziłeś?

M: Przecież mówię, że nie… dlaczego bym miał?

K: Nie wierzę.

M: Dlaczego? Bo nie jestem niezrównoważony i niebezpieczny?

K: Bo każdy to robił. Jeżeli któryś mężczyzna nigdy nie śledził kobiety, niech pierw-szy rzuci kamieniem!

M: Mogę rzucić. Nie śledziłem.

K: Ale nie rzucasz.

M: A ty śledziłeś?

K: Dlaczego pytasz? Wiadomo, że tak.

M: W jakim celu? Kogo?

K: Wiele śledziłem. Można powiedzieć, że parę miesięcznie, niekiedy zdarza się, że kilka w tygodniu. Wczoraj nawet. Jechałem autobusem. Zobaczyłem taką jedną. Była ładna, ale nie jakoś szczególnie. Jakby ktoś bez wyobraźni opisywał, to powiedziałby – zwykła. Zwykła w szarym płaszczu. Patrzyłem się na jej twarz, kiedy wyglądała za okno. Była bardzo spokojna, ale też czujna. Obserwatorka zdaje się. Albo myśliciel-ka. Poczułem, że może być odpowiednia. Nagle wstała i podeszła do drzwi. To było parę przystanków przed moim. Wtedy szybka decyzja – zostać czy iść. Oczywiście, że iść! Kiedy drzwi się otworzyły, wyszedłem za nią. Szła powoli po pustym chodniku. Więc ja szedłem jeszcze wolniej zachowując odpowiedni dystans, udając wpa-trzonego w telefon. Szliśmy jakąś minutę wzdłuż osiedli. Zdawało mi się, że mnie jeszcze nie zauważyła. Nie obracała głowy. Zresztą był dzień. W dzień nikt nie jest wyczulony na takie sprawy. Nawet kiedy wszędzie jest pusto. Za to w nocy! W nocy jest dużo trudniej. Parę razy zaczęły przede mną uciekać… ale… ale to już inne hi-storie. Ta nie uciekała. Szła powoli, kierując się wprost na kilka stojących obok sie-bie, średniej jakości bloków. Weszła do jednego z nich przez wcześniej otwarte drzwi. Wtedy skręciłem w lewo, jakbym chciał tam iść od początku. Zaczaiłem się za rogiem. Chciałem się upewnić. Mogła mnie zauważyć i wejść do pierwszej otwartej klatki, aby schronić się i przeczekać, a mogło to być równie dobrze jej miejsce za-mieszkania. Stałem przez piętnaście minut. Nie wy-szła, więc ja też wróciłem do domu. Koniec.

(cisza)

M: Po co?... Po co ty to robisz?! Czy ty masz jakieś problemy?! Przecież brzmisz jak jakiś jebany psychopata…

K: A ty nie śledziłeś nigdy W.?

M: Nie! Dlaczego miałbym ją śledzić?

K: W celu, w jakim robi się wszystko – po prostu.

M: A może jeszcze powiesz, że ty śledziłeś P.?

K: Tak.

M: Dlaczego?

K: Zadajesz pytania, jak trzylatek… Myślałem, że już nie będę musiał mówić, ale powiem… po prostu. Nie po to, żeby odkryć jakiegoś kochanka, zobaczyć czy mnie nie okłamuje, czy nie ma drugiego życia. To mnie nie obchodziło. I tak wiedziałem, że niedługo mnie zostawi. Śledziłem, bo mnie nie widziała. Za to ja widziałem, jak ona wygląda, gdy mnie nie widzi. Gdy myśli, że mnie nie ma. Widziałem każdy jej krok. A ona nie miała pojęcia, że cokolwiek, co robi, jest rejestrowane. Byłem wtedy ponad nią. I to sprawiało mi przyjemność. Nie rezultat, nie wyniki. Samo śledzenie.

M: Jesteś pojebany!

K: Może… ale przynajmniej szczery. W przeciwieństwie do ciebie…

M: Ale ja naprawdę…

K: Wiem, wiem… Ale i tak ci nie wierzę. Na pewno śledziłeś. Nie wiem, czy W., czy jakąś po niej, czy przed. Obcej może nie... Ale kogoś śledziłeś. Wiem to.

M: Chyba zaraz stąd wyjdę…

K: Droga wolna. Może ktoś ci się trafi…

(cisza)

K: A ty, dlaczego się nie odzywasz?

A: Ja… ja nie mam nic…

K: Ty mogłeś nie śledzić. Tobie uwierzę. Jesteś… mogłeś nie śledzić. Ale on…

A. wracał autobusem do domu. Pożegnali się w parę chwil po wcześniej przytoczonej rozmowie. Nie mogli już wrócić do „normalnej" konwersacji. Wszystkie słowa i te-maty traciły swoje znaczenie oraz możliwość rozwoju w aurze tego, co zostało po-wiedziane wcześniej (K. parę razy spróbował jeszcze coś powiedzieć – „Każdy po-pełnia głupie błędy w takich sytuacjach. Kobiety udają, że rozmawiają przez telefon chociaż widać, że nie, a mężczyźni niekiedy nie widzą, że już dawno temu zostali zauważeni." – ale M. starał się

go powtrzymać przed zbytnim rozwijaniem tematu). Zauważając to, wyszli z baru, aby rozejść się – każdy w inną stronę.

Po głowie A. wciąż krążyły wspomnienia słów K.. Czuł się jakoś dziwnie nieswojo, odkąd usłyszał te historie. Jednocześnie był zaintrygowany, ale też lekko zaniepoko-jony i pobudzony w sposób mu wcześniej nieznany. Wszystkie te uczucia, których nie gościł nigdy u siebie w takiej kombinacji, natężeniu oraz swoistej obcości – skła-dały się w dziwne podniecenie (odczuwane w postaci ściskania w brzuchu i małych zawrotów głowy (potęgowanych przez alkohol)), którego dokładnej przyczyny nie mógł zdefiniować. Domyślał się jedynie sposobu na ujście napięcia. Odsuwał jednak tę możliwość, starając się zatopić ją gdzieś na dnie swoich skrytych pragnień niewymagających rzeczywistego spełnienia.

Zaczął rozglądać się po autobusie. Pasażerów nie było już wielu. Im dalej od cen-trum, tym mniej pozostało osób czekających w smutnym otępieniu i półśnie na to, aż drzwi otworzą się na przystanku najbliższym ich mieszkaniu. Większość z tych, któ-rzy pozostali wyglądała za okna na mijane latarnie rozświetlające chodniki rozmy-tym światłem, jak gdyby zużytym i zniechęconym wieczną oraz monotonną służbą. Część z podróżnych krążyła myślami po grząskich i zmiennych terenach nie zwraca-jąc uwagi na te wszystkie obrazy, które były tylko pretekstem, aby nie wyglądać zbyt głupio, wpatrując się w jedną z żółtych poręczy lub tył głowy jakiejś obcej osoby. Twarze innych oświetlone były ostrym, białym światłem telefonów, będących jedyną rzeczą mogącą oderwać ich od tej obezwładniającej autobusowej nudy, gęstniejącej jak gdyby w celu zatrzymania czasu.

Stała naprzeciwko niego, twarzą skierowaną do drzwi. Jej blade od zimna palce oka-lały poręcz zostawiając przestrzeń między ciałem a żółcią, co powodowało, że lekko przechylała się na boki podczas gwałtowniejszych manewrów wykonywanych przez kierowcę. Jej wzrok skierowany był wprost przed siebie, a więc oznaczała to, że ob-serwuje samą siebie. Jej twarz odbijała się w zaparowanym oknie niby równoległym, na wpół realnym świecie. Patrzyła sobie prosto w oczy z dziwną melancholią, której źródło było, być może, nieznane samej jej właścicielce. Zdawało mu się, że odnajdu-je w jej spojrzeniu oznakę wyższości, a może nawet pogardę. Była to jednak jedynie niteczka mogąca być równie dobrze złudzeniem. Co jakiś czas pochylała głowę lekko na prawo, jakby chcąc przyjrzeć się sobie z innego kąta. Robiła to bardzo wolno; ze spokojem, a nawet z absurdalnym namaszczeniem zdradzającym coś na wzór samo-uwielbienia.

Było w tym wszystkim coś niespotykanego. Mogła być jedną z tych osób, które z po-zoru się nie wyróżniają, ale to właśnie ich przeciętność - paradoksalnie - sprawia, że stają się kimś wyjątkowym.

Wtedy to poczuł. To uczucie z granicy zauroczenia, pragnienia i niezdrowej cieka-wości. Nie rozumiał dokładnie, czym to było, ale wiedział, że prawdopodobnie o tym mówił K., kiedy opowiadał o spotkaniu dziewczyny w szarym płaszczu.

Jego serce zaczęło bić szybciej, a strużka potu spłynęła po pulsującej skórze na skroni. Czuł jakby jej obecność roztaczała wokół siebie jakąś niepokojącą aurę, któ-ra przyciągała go i niewoliła coraz bardziej. Patrzył na jej twarz, zaczynając rozu-mieć, że niedługo już się nie oderwie. Że pójdzie za nią, nie zważając na nic. Jakby to był jego obowiązek, jakiś wyższy nakaz. Nie wiedział, czego boi się bardziej – tego, że rzeczywiście zacznie za nią iść, czy tego, że przestraszy się i tego nie zrobi. Zda-wał sobie jedocześnie sprawę z pozornej jałowości swojego przyszłego działania. Nic nie uczyni, do niczego go to nie przybliży, nic nie osiągnie. Ale przecież nie chciał. Pragnął jedynie poznać jej kroki, spróbować oszukać czas, wtopić się w noc, wyob-razić sobie ją, stworzyć ją, być kimś, kogo nie ma, stać się obcym oglądającym nie-istniejące – zapragnął na chwilę nad nią zapanować.

Autobus zatrzymał się na jego przystanku. To była decydująca chwila. Nie mógł wyjść, nie chciał. Jednocześnie coś w jego wnętrzu (coś na wzór kuli wstrząsanej od wewnętrznych wybuchów paniki) podpowiadało mu, że to najlepsze wyjście, jedyne racjonalne. Bo kim się stanie, jeżeli zostanie? Czy będzie nadal taki sam? Czy jeśli za nią wyjdzie, to nie zmieni się już na zawsze? Nie stanie się kimś, kogo chwilę wcze-śniej by się brzydził?

Sygnał dźwiękowy ostrzegł pasażerów, po czym drzwi się zamknęły.

Twarz dziewczyny wróciła na miejsce, aby być dalej obserwowaną przez dwie pary oczu. Przez chwilę zdawało mu się, że spojrzała lekko w prawo, aby skrzyżować z nim wzrok, dlatego szybko opuścił głowę wlepiając oczy w podłogę udając kogoś niezainteresowanego. Czyż nie powinien teraz zrezygnować? W końcu go widziała, a to poważnie utrudni jego działanie. Jednak, gdy spojrzał po chwili po raz kolejny – kobieta nie zajmowała się już oczami nieznajomego, a swoimi własnymi, więc może nie zwróciła przesadnej uwagi na tę chwilę, tak dla niego przerażającą.

Wtedy poczuł chłodny wiatr, uderzający go w twarz, a dziewczyna wyruszyła pew-nym krokiem w mrok. W głowie A. zawirowało. Jego oddech przyspieszył, co powo-dowało jeszcze większe zamieszanie w czaszce. Nie mógł zmusić się do postawienia kroków, przez uciskające go zdenerwowanie. Miał wrażenie, jakby czas właśnie się zatrzymał, nie pozwalając mu wykroczyć poza swoje ściany, ale jednocześnie był świadomy jego rzeczywistego upływu, który powodował zbliżające się zamknięcie drzwi, czego perspektywa ściskała go za szyję. Po paru sekundach znalazł w sobie odwagę aby - wyrzucając z głowy wszystkie myśli temu przeciwne – ruszyć w noc wyglądając tyłu głowy tak przez niego zapamiętanej.

Nie mógł uwierzyć w to, co robi. Ta dziwna perwersja, której właśnie się dopuszczał, była czymś nigdy przez niego nieuwolnionym, ale (teraz już) wiedział o, zdawało mu się, zbawczym charakterze wcielonej w życie fantazji działającej leczniczo, oczysz-czając go z frustracji, pretensji oraz trosk. Był całkowicie pochłonięty chwilą obecną. Jego głowy nie zaprzątała ani jedna myśl niezwiązana z tym, co właśnie robił, a ciało jak gdyby samo poruszało się, niby zaprogramowane, aby z determinacją oraz wy-trwałością wykonywać obecne zadanie. Świat stał się w tamtej chwili tak mały i pro-sty. Czuł jedynie ostre, mroźne

cd. str.44

Maja Wolińska

cd. ze str.43

powietrze przenikające skórę na jego twarzy. Był tylko on, ona i cały ten dystans, który dzielił ich i miał dzielić do końca.

Szybko zlokalizował sylwetkę, której wypatrywał od razu po opuszczeniu pojazdu. Przechodziła przez znajdujący się zaraz za przystankiem parking sporego marketu, za którym ustawione były bloki mieszkalne rozciągające się, jakby w nieskończo-ność.

Paroma szybkimi krokami przeszedł wzdłuż chodnika i małego trawnika, żeby zna-leźć się w bezpiecznej, parumetrowej odległości od dziewczyny.

Na parkingu byli tylko oni. Tak duża przestrzeń, niebędąca ani trochę zapełniona – jedyni na całej mapie; dwa punkciki, przemieszczające się w niewielkiej odległości od siebie. Był pewny, że niedługo go zauważy. W żołądku odczuwał coraz mocniej-szy ścisk i lekkie łaskotanie, powodujące mdłości, niepozwalające skupić się na tak ważnym zadaniu.

Dziewczyna zbliżała się do chodnika, nie odwracając do tej pory głowy ani razu. Możliwe, że jeszcze go nie zauważyła. Wyciągnął telefon (o czym mówił K. w swojej historii) i udając, że właśnie do kogoś pisze lub coś przegląda – szedł dalej, czując, że wzbudza mniejsze podejrzenia.

Wtedy – w parę kroków przed wejściem na chodnik – zobaczył jej twarz po raz pierwszy od wyjścia z autobusu. Lekko obróciła głowę, przez ułamek sekundy krzy-żując z nim wzrok (akurat zerknął na nią znad telefonu, aby ją zlokalizować), aby następnie skierować swoją uwagę na obszar rozciągający się przed nią.

Prawie zrezygnował. Gdy zobaczył, że się odwraca poczuł nagły strach, zmieszany ze wstydem i uczuciem przegranej. Ale może nie było tak źle? Może to nie był koniec? Może nie wzbudził w niej niepokoju? W końcu jej ruchy były tak spokojne i wolne, że nie mogła być niczym przerażona. Musiał iść dalej.

Lekko przyspieszył swój krok, aby znaleźć się w odległości czterech metrów, w mo-mencie, gdy stąpali po chodniku, idąc ścieżką w głąb szarego lasu. Jej kroki w dal-szym ciągu nie przejawiały oznak strachu związanego z zauważeniem skradającej się za nią osoby. Upewniło go to w przekonaniu, że nie został jeszcze zauważony. Ta świadomość rozlała się po nim w postaci ciepłej fali dodającej jasności umysłu oraz niespodziewanie dużej (jak na A.) pewności siebie, jakby właśnie zażył narkotyk, który po zmieszaniu z krwią dostawał się stopniowo do każdej z żył, rozciągających się w najodleglejszych częściach ciała.

Postanowił więc przybliżyć się jeszcze trochę. Jeszcze pół metra, nawet metr. Szedł coraz szybciej, widząc coraz wyraźniej kołyszące się w ciemności włosy, pozbawio-ne swojego błysku, objawiającego się dopiero w mocniejszym świetle latarni podczas przechodzenia pod którąś z nich.

Nagle odwróciła się po raz drugi. W tej sekundzie jej oczy były większe, a wyraz twarzy zdradzał zaniepokojenie i dyskomfort. Wiedziała, że coś jest nie tak. Zaczy-nała odczuwać jego obecność, bliskość. Prawdopodobnie od tej chwili każdy jego krok, każde otarcie podeszwy buta o chodnik – było czymś przytłaczająco głośnym w jej głowie, gdzie nabierało ogromnego znaczenia wywołującego coraz bardziej rozdzierający strach, zmieszany z niepewnością i rozsądkiem podpowiadającym, że to tylko ona wyolbrzymia bezznaczeniowości, dodając im mroczniejszą stronę, któ-rej nigdy nie posiadały.

Tym razem on się nie przestraszył. Nie odwrócił też wzroku. Co więcej – spojrzał jej prosto w oczy, jak gdyby chciał jej powiedzieć, że to nie pomyłka. Że jej obawy są słuszne. Ktoś ją śledzi.

Zaczynał powoli czuć jej posiadanie. Strach, który zaczynała przed nim odczuwać - karmił go. Myślał, że spowoduje to u niego samo wstręt – jednak było odwrotnie. Im bardziej przyspieszała krok, chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu – tym odczuwał większą moc; większe znaczenie siebie względem niej. Była od niego zależna i po-konana. Uświadomił sobie, że tego szukał całe życie, tego pragnął, nie wiedząc o tym.

Wkoło była tylko cisza. Noc w swojej najlepszej fazie. Kompletnie głucha. Zapadnię-ta w samej sobie. Słychać było jedynie samochody poruszające się gdzieś w oddali, turkotanie owadów zgromadzonych w trawach oraz rozmowy prowadzone nie wia-domo gdzie, nie wiadomo po co – jedynie wiadomo, że daleko. Za daleko, żeby do-kładnie usłyszeć.

Zdawało się, że zaraz zacznie biec. Jej kolejne kroki były na tyle szybsze od po-przednich, że zaczynały powodować coraz mocniejsze wahadłowe ruchy jej rąk. Był już naprawdę blisko niej. Skrócił dystans o kolejny metr. Znajdował się o niecałe dwa metry od twarzy, tak dawno przez niego niewidzianej. Zamykał ją. Zabierał jej przestrzeń, powietrze, mieszał jej w głowie, gdzie prawdopodobnie panowała teraz wielka wichura, rozrzucająca na wszystkie strony fragmenty myśli, mogących jej pomóc w jakikolwiek sposób.

Odwróciła się po raz trzeci. O ile ten ruch można tak nazwać. Jej głowa jedynie okrę-ciła się w prawo pozwalając mu podziwiać przez chwilę profil jej twarzy, który zami-gotał odbijając światła lamp oraz jeszcze oświetlonych mieszkań. W tym ruchu było tyle nerwowości, której nie było w niej do tej pory ani kropli, a tymczasem zaczynała się już wylewać, pozwalając mu myśleć, że oficjalnie wygrał. Była rozszarpana. Za-czynała się rozpadać tracąc całą charakteryzującą ją racjonalność oraz obojętność względem całego świata, który jakby nie robił na niej w żadnej rozciągłości wrażenia. Teraz była jak naczynie uderzane młotkiem. Tłukła się na małe kawałeczki, pokazu-jące jak naprawdę jest krucha. Jak mało trzeba, żeby nie zostało w drugim człowieku nic integralnego; tylko proch i chaos. Dokonał, czego chciał.

Nagle zatrzymała się, a on zrobił dokładnie to samo, w praktycznie tym samym mo-mencie, wiedząc jakie konsekwencje będzie miało to działanie (a właściwie jego za-niechanie).

Stała w bezruchu przez parę sekund, słysząc jak jego kroki urywają się pozwalając nocy grać jeszcze głośniej. Wszystko stało się wtedy jasne. Wiedziała, że jej podej-rzenia nie były bezzasadne. Mimo to, w jej głowie prawdopodobnie zaczynało się teraz największe zamieszanie. Traciła resztki tego, czego do tej pory nie zabrał A.; słyszała tylko szum, z którego nie mogła wyciągnąć niczego konstruktywnego, co zatopione było gdzieś w falach złożonych z niepewności i przeczuć.

Nagle ruszyła. Odwróciła się w lewo, zaczynając biec, kierując się prosto w grubą na parę metrów przerwę między dwoma budynkami (która to droga była zapewne skró-tem do jej własnego mieszkania). Po chwili od rozpoczęcia przez nią ucieczki – jego nogi instynktownie rzuciły się w pogoń za oddalającym się celem. Pragnął ją dostać, nie chciał kończyć tego w tej chwili. Czuł, że jest szybszy. Zbliżał się, jednocześnie mając świadomość tego, że ona jest coraz słabsza, a on nabiera siły, im bliżej niej się znajdował. Wyraźniej słyszał jej oddech przerywany świstami histerii – sprawiało to, iż jego nogi niosły go same ku tej dziwnej chęci ogarniającej go, odkąd ją zobaczył, a skracając dystans mocniejsze stawało się również mrowienie w brzuchu, towarzyszą-ce mu od momentu rozmowy w barze.

Mógł ją teraz dosięgnąć. Gdyby wyciągnął ręce, jego dłonie dotknęłyby przyjemnego materiału płaszcza lub bladej skóry dłoni. Był już tak blisko. Czuł, jakby jego umysł uwolnił się spod wszystkich więzów, ograniczających go codziennie. Myśli strzelały w każdą stronę, rozbijając się na małe ogniki, z których każdy, nawet najmniejszy, był dla niego dostrzegalną, zrozumiałą, oraz zupełnie oczywistą jasnością, jak dla człowieka, którego twarz została owiana chłodnym wietrzykiem po wyjściu z dusz-nego pomieszczenia.

Gdzieś w połowie drogi między budynkami jego ręce oplotły ją w pasie. Przycisnął dziewczynę do siebie. Jej oddech wciąż świszczał, jak gdyby chciała krzyczeć, a ta fala opresyjnego wrzasku niespodziewanie natrafiłaby na jakąś zaporę nie do przej-ścia, zatrzymującą ją milimetr od ujścia. Milczała wciąż sparaliżowana, kopiąc go i wymachując rękoma, gdy szarpał ją, starając nie przewrócić się do tyłu.

Nagle rzucił nią w ścianę jednego z budynków, od której odbiła się, lądując na ziemi, twarzą do gruntu. On również upadł przewrócony własnym ruchem, którym jak gdy-by „odepchnął" samego siebie.

Zaczęła czołgać się po ziemi, dławiąc się własnymi łzami, śliną i słowami wciąż nie-mogącymi wejść do świata zewnętrznego, aby spróbować umożliwić zwrócenie czy-jejkolwiek uwagi.

Kiedy się otrząsnął, schwycił leżący na ziemi - w odległości pół metra od niego - ka-mień wielkości zaciśniętej pięści (cały czas zachowując tą czystość umysły pozwala-jącą mu żyć jedynie „tu i teraz"), po czym wstał i zbliżywszy się (w pozycji pół – zgiętej) do dziewczyny, uklęknął przy niej, aby jednym, mocnym zamachem uderzyć kamieniem w tył jej głowy.

Ciałem wstrząsnęło raz niby rażona piorunem. Płacz ustał. To było wszystko.

Wstał przyglądając się martwemu ciału, leżącemu w puchu nocy, zlepionej z ciszy oblanej uspokajającym nieistnieniem.

A więc to tyle? Tylko tyle?

Przyglądał się obrazowi, który właśnie namalował. Żałował, że to koniec, że moment okazał się tak kruchy.

To było wszystko, a on nie czuł nic. Nie zmienił się.

Norbert Pilarz

Marek Jagliński

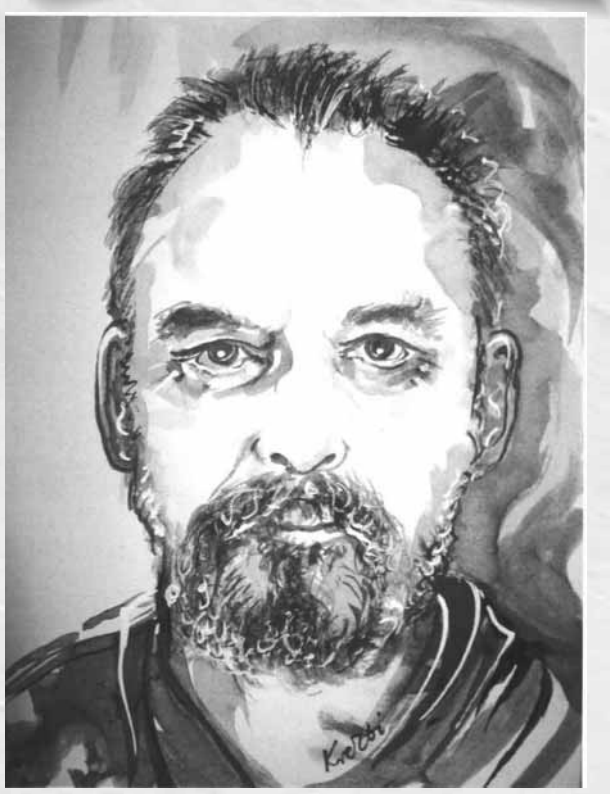

„Metafizyka CCXC"

Żeglujesz
od myśli do myśli
po oceanach pamięci

Twój Odyseusz
szuka w wodzie
wspomnienia
zaginionego słowa

Podróżuje wiecznością
kropla po kropli
sumienia Itaki

Na brzegu
światła

Na progu
czasu

W snach
Penelopy

„Metafizyka CCXCI"

Pod palcami
światła
melodia przestrzeni

Struny nieba
rozbrzmiewają
nutami wieczności

Obolem przeznaczenia
pod językiem
powietrza

w języku
nienarodzonych proroków

w duszy Charona
co płynie Styksem
przez pamięć

Jerzy Lengauer

GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

Dopiero po kliknięciu w ikonkę „Gustaw Herling-Grudziński" na stronie MBP w Kętrzynie zobaczyłem, kto będzie prowadził wykład z okazji setnej rocznicy urodzin pisarza. Profesor Sławomir Buryła… Nazwisko jakby znane. Najpierw spojrzałem na półki z literaturą Holokaustu. Potem zajrzałem do jednego z egzemplarzy „Zagłady Żydów". Nie widać. Zamiast wpisać nazwisko Profesora w wyszukiwarce, szedłem dalej i wystukałem „ŻiH". Wszystkie zakładki bez jego nazwiska. Nawet rada programowa. Poddałem się i niezawodna wyszukiwarka poinformowała, że prof. Buryła pracuje w Instytucie Filologii Polskiej UWM, był w radzie programowej ŻiH i jest tamże w radzie naukowej.

To obrazy przepyszne intelektualnie, akademicko! Mężczyzna w garniturze, kołnierzyk koszuli rozpięty pod szyją, przez ramię przewieszona nieco wypchana torba. Akademik i naukowiec Sławomir Buryła wszedł szybkim krokiem na pierwsze piętro kętrzyńskiej Loży. Krótki anons dyrektora Witolda Gagackiego. Ostatni słuchacze przechodzą między bardzo wąsko ustawionymi krzesłami. Tłum licealnych drugoklasistów. Trochę osób dorosłych. Poznaję tych, którzy nie są nauczycielami. Wolny zawód albo wolny od pracy dzień pozwala im na wysłuchanie wykładu, który rozpoczyna się o jedenastej. Siadam, wyjmuję aparat fotograficzny i słucham. Prof. Buryła nie zawodzi mojego pierwszego wrażenia i zdaje się czuć jak w wykładowej sali uniwersyteckiej. Prawie odczuwa się, jakby z wysokości akademickiej katedry swoimi słowami wyświetlał obrazy z życia Herlinga-Grudzińskiego i stron „Innego świata". W jego dłoniach pojawiają się kolejne książki. Kilkakrotnie trzyma i podnosi do góry tę najważniejszą dzisiaj. Inne są czymś w rodzaju przypisów do biografii pisarza. Profesor opowiada o „Dzienniku roku zarazy" Daniela Defoe, jakie znaczenie miał on dla decyzji o rozpoczęciu pisania „Innego świata". Pojawia się Fiodor Dostojewski. Czy rzecz we „Wspomnieniach z domu umarłych"? W podobnym tonie mówi o Warłamie Szałamowie. Nie wspomina o „Opowiadaniach kołymskich". Poświęca jednak czas samemu pisarzowi i katorżnikowi. Z podziwem i straszliwym przygnębieniem mówi o jego dwudziestopięcioletnim wyroku katorgi na północy Syberii. Wchodzi w porównanie dramatów więźniów: Herlinga i Szałamowa. Gestykulując, podnosząc głos, to go zawieszając, opierając z rezygnacją ręce na blacie biurka mówi o Jercewie i Kołymie, dając do zrozumienia, co znaczy w północnej Rosji odległość pięciu tysięcy kilometrów dzieląca oba łagry, obu pisarzy… Nie młodość Herlinga-Grudzińskiego jest teraz i tutaj ważna, nie jego żydowskie pochodzenie, ale rok 1940, który kieruje go najpierw do obozów komunistycznych, następnie dzięki układowi Sikorski-Majski przez Bliski Wschód do Włoch i Francji. Następuje przypis skierowany do młodzieży: czy wiedzą, że pisarz walczył pod Monte Cassino i otrzymał Order Virtuti Militari? Pojawiają się w tych momentach opowieści dygresje na temat wyjazdów Profesora. Zahacza o Izrael, Serbię. Wspomina o Węgrzech i Turcji. Czasami wykład przeradza się z literackiego i historycznego we współczesny, społeczno-polityczny.

Prof. Buryła jedynie wspomina o pierwszej żonie pisarza, która popełniła samobójstwo. Więcej miejsca poświęca drugiej. Chociaż nie, to jej ojciec jest ważny. Jaka to znacząca postać dla Włochów!. Od spraw rodzinnych Herlinga-Grudzińskiego Profesor przechodzi po raz kolejny w inne obszary. Znowu „Inny świat" w górze. Jakby chciał, żeby licealiści zapamiętali tytuł i okładkę na zawsze. O ton ciszej mówi, gdy wyjaśnia rolę Alberta Camus. Następnym w kolejce jest Bertrand Russel, wielki matematyk i moralista. Jego nazwisko jest dla Buryły okazją do dygresji na temat komunizmu i lewicy w powojennej Europie. Mówi o zdziwieniu, niewierze, traktowaniu Herlinga-Grudzińskiego jako dziwaka, który może i nieco prawdy napisał, ale mocno fantazjuje w tekście. Dla współczesnych to, co dzieje się w jego książce, jest innym światem. Światem przeinaczonym, krainą fantazji, zmyśleń, rojeń. Pisarz, ochrzciwszy się w wieku dwudziestu pięciu lat, obraca się w świeckich kręgach katolickich. Stojący w ideologicznej opozycji Russel jest jednym z niewielu, którzy zwracają się ku Herlingowi z poważnym zainteresowaniem. Russel pisze wstęp do pierwszego angielskiego wydania książki. O problemach z poważnym traktowaniem wspomnień z łagrów świadczą choćby kłopoty z tłumaczeniem i wydaniem po francusku i włosku.

Za chwilę poważna intonacja sięgnie zenitu. Profesor mówi o głodzie. Ten wyraz jest tytułem pierwszego rozdziału części drugiej „Innego świata". To słowo prawie rzuca w publiczność. Głód równa się poniżeniu, donoszeniu, porzuceniu wszelkich moralnych zasad, etycznych reguł. To śmierć i uprzedmiotowienie. Czy prelegent uzmysłowi licealnej publiczności, jaki to dramat? I jakie mają szczęście, że urodzili się w dwudziestym pierwszym wieku w Europie? Czy wzruszy serca, opowiadając o spotkaniu Herlinga-Grudzińskiego ze współwięźniem, który za lżejszą pracę (skierowany był do wyrębu lasu w śniegu i mrozie) fałszywie doniósł na innych skazańców? I w tym momencie znowu dygresja, przypis. Tym razem dłuższa. O Bogu chrześcijańskim i Bogu żydowskim. O wybaczaniu przez człowieka i przez Boga. O spotkaniu dwóch religii na cmentarzu katorżników. Mnie przypomina się lektura książek Jeana Amery'ego i Primo Leviego. Gdy Buryła zaczyna mówić o dyktaturze, autorytaryzmie obozowego maskulinizmu i patriarchatu w najgorszym, zwyrodniałym znaczeniu, za Primo Levim przypomina mi się słowo „muzułman". Gdy wydaje się, że głód jest gorszy od pracy, od śmierci, od poniżenia, od donoszenia, Profesor ten dramat zastępuje jeszcze większym: uprzedmiotowieniem kobiet. I nie mówi o domach publicznych w hitlerowskich obozach, lecz o sprowadzeniu kobiet do przedmiotu, do towaru wymiennego za to, co w kieszeniach więźniów. Za papierosy, za chleb. Kobieta jest biletem na przeżycie kolejnego dnia, może tylko ranka, popołudnia, wieczoru. Zapamiętajcie! zdaje się wołać do młodzieży.

Wraca w opowieści Buryły Bóg, czy raczej pytanie o jego istnienie. Tutaj stawia po przeciwnej stronie Tadeusza Borowskiego. Pisarza, który zdecydował, że niemieckie lagry są dowodem na brak Boga. Herlingowi-Grudzińskiemu Bóg dał doświadczenie łagrów, zatem jego istnienie jest niepodważalne. To może być kolejnym tytułem rozdziału wykładu Profesora. Powód do notatki, może kilku kliknięć w smartfonie. Lecz nie widzę w nastoletnich dłoniach notesów, zeszytów, długopisów, wiecznych piór. Komuś spada telefon komórkowy na podłogę. Buryła i dyrektor Gagacki zerkają w tamtą stronę. Podobnych spojrzeń jest w trakcie wykładu więcej. Od strony publiczności to godzina szmerów, czasami głośniejszych, częściej cichszych. Czy to znaczy, że zachowanie młodzieży co jakiś czas warunkowane jest zmianą tembru głosu wykładowcy? Może jednak podkreślenia słów Profesora wzbudzają zainteresowanie, na chwilę powodują skupienie? Czy owe hasła, tytuły, przypisy i dygresje w żywiołowej przecież opowieści o Herlingu-Grudzińskim zmienią choć trochę tok myśli młodych słuchaczy? We współczesne komercyjne otoczenie wedrze się na moment refleksja o innym świecie?

Ów inny świat pisarza towarzyszył mu przez całe życie. Spowodował zerwanie przyjaźni z Jerzym Giedroyciem (do końca życia nie podawali sobie ręki). Inność spowodowała, czy może przyczyniła się, do krytyki prezydentury Wałęsy i Kwaśniewskiego. Ta część opowieści prof. Buryły przypomina mi nieco wiadomości o niedawno zmarłym Karolu Modzelewskim. Obaj jakby byli nie tutaj, nie dzisiaj. Niepasujący, zawiedzeni współczesnością, ale do końca życia broniący swoich idei i przekonań, rozwijający je w słowie pisanym.

Wykład Profesora podsumował dyrektor Witold Gagacki. Słowa skierował do młodzieży. Namawiał, naciskał, prosił, polecał, prawie przykazywał. Nie przymuszał wszak do czytania „Innego świata" albo zainteresowania się biografią Herlinga-Grudzińskiego. Mówił o chwili zastanowienia, autorefleksji, czy wręcz opamiętaniu i skierowaniu intelektu ku innym światom, gdzie dobra współczesności, nawet te najzwyklejsze, prawie niedostrzegalne, są nie do zdobycia, chyba że za cenę własnej godności.

Jerzy Lenauer

Maja Wolińska

ESEJ

Kamil Wrzeszcz

DROGI JANKU.[1]

O Janie Błońskim na podstawie listów z Czesławem Miłoszem

[…] nigdy nie ginął w tle. Nie tylko dlatego, że ubierał się staranniej i bardziej elegancko niż inni, a „zagraniczna" jakość jego garniturów, krawatów i nawet skarpetek rzucała się w oczy. Błoński przyciągał uwagę jako – w dobrym sensie tego słowa – osobliwość. Wcale nie dlatego, że wiedział więcej czy lepiej od swoich koleżanek i kolegów profesorów.[1]

Tak Jana Błońskiego wspomina Małgorzata Sugiera. Przede wszystkim właśnie ten cytat powinien kształtować wizerunek krytyka w oczach osób, które nie miały okazji go poznać. Mając ten obraz przed sobą, jesteśmy w stanie „oczyma wyobraźni" poznać profesora Jana Błońskiego.

Urodził się w 1931 roku w Warszawie, a zmarł w 2009 roku w Krakowie. Wybitny krytyk, eseista, historyk literatury oraz tłumacz. Wraz z rodziną przeprowadził się do Torunia, by tam zdać maturę, niedługo później przeniósł do Krakowa głównie po to, by być studentem Kazimierza Wyki.

Od kiedy miałem kilkanaście lat, chciałem zajmować się literaturą (jak właściwie, nie wiedziałem jeszcze), żeby zaś zajmować się literaturą, chciałem do Krakowa, to znaczy do Wyki. Miasto, które później polubiłem, było mi wtedy raczej obojętne. Ale Wyka — czułem od początku — miał mnie do tej literatury wprowadzić. Jak, także nie wiedziałem, byłem jednak przekonany, że tak będzie. Znałem go tylko z pism, z jednej książki…[2]

Niedługo potem do Krakowa przeniosła się również rodzina Błońskiego, do której szybko dołączyła Teresa Płońska. Studentka I roku medycyny, której później Czesław Miłosz przesyłał ukłony i pozdrowienia w każdym liście, stała się żoną Błońskiego i ta więź trwała aż do jej śmierci.

„Po śmierci żony ucichł, usunął się, wreszcie zgasł"[3] mówi Paweł Taranczewski.

Pod skrzydłami Wyki utworzyła się nieformalna krakowska szkoła krytyki, którą nazywano również „stajnią Wyki". Znajdowali się tam m.in. Andrzej Kijowski, Krzysztof Puzyna czy Ludwik Flaszen. Członkowie grupy najczęściej debiutowali jeszcze podczas studiów, a Błoński w 1956 roku pozycją *Poeci i inni*[4]. Po studiach podjął pracę w Wydawnictwie Literackim, gdzie zżył się z autorami, o których pisał.

Po śmierci Błońskiego pojawiło się, i pojawia się nadal, wiele wspomnień oraz listów. Wśród nich czytamy:

Wydaje się, że powinien pisać powieści. Bowiem, jak sam przyznaje, oko jego jest syntetyczne. Ogląda idee, a nie uczucia. Nie potrafi dać wyrazu emocjom, ale znakomicie radzi sobie z myślą, z ideą. Gdyby dokończył swój dziennik, byłby on zapewne wyznaniem o egzystencji duchowej i umysłowej otoczonej społecznym roztworem.[5]

Błoński w korespondencji do Czesława Miłosza stwierdza, że literatura równa się idea. Słowa te kieruje głównie w stosunku do twórczości autora *Ars poetica?*, ale można przypuszczać, że odnoszą się one do całości literatury i tego, czego w niej poszukiwał. Pytania, które zadaje, m.in.: „Kim był ojciec? I kim jest Bóg? Jak mnie wychowano, co zrobiłem, a co zmarnowałem? Do jakiego czasu historycznego należę? Jak kończy się moja epoka, gdzie znaki jej obumierania?"[6], można uznać za fundamentalne dla człowieka. Jednocześnie odsłania i zakrywa swoją osobowość. Na płaszczyźnie jednego tekstu przenikają się jego myśli i przekonania, a do ich wyjaśnienia używa swojej wiedzy i umiejętności obserwacji świata. Błoński bowiem poszukiwał idei, to ona była dla niego najważniejsza.

Osobiście poznał Miłosza w styczniu 1956 roku, w Paryżu[7] od tego czasu starali się utrzymywać stały kontakt, a o ich zażyłości mogą świadczyć zwroty w listach takie jak: „ściskam Cię", „kochany Janku/Czesławie" czy „Twój Czesław". W pierwszym z zachowanych listów Błoński kieruje do poety osobliwą prośbę:

Ludwik i ja chcielibyśmy prosić, żeby Pan przerwał tymczasem kontakt ze mną tutaj. Bardzo bym chciał jeszcze bywać w Paryżu, między innymi dlatego, żeby móc z Panami jasno i szczerze rozmawiać.[8]

Pisze to Błoński do przebywającego w Paryżu Miłosza. Niepokój związany z odebraniem paszportu był silny, a prośba skierowana do poety jest zarówno działaniem prewencyjnym, jak i koniecznym. Nie było do końca wiadomo, co mogłoby nie spodobać się ówczesnej władzy. W latach 1944-1990 wszystkie teksty, od wydawanych książek, poprzez gazety, aż po listy musiały przejść pomyślnie kontrolę GUKPPiW[9]. Jeśli jej nie przeszły, mogły zostać cofnięte, a autora mogły czekać inne konsekwencje, w zależności od tego, jaka była zawartość tekstu. Błoński obawiał się kar za kontakty z „Kulturą" paryską.[10]

By jeszcze bardziej uwydatnić różnicę między tymi dwoma światami, czyli światem paryskiej wolności i ograniczonej rygorami polskiej rzeczywistości, należałoby przytoczyć dwa listy Błońskiego do Miłosza. Pierwszy pisany w Krakowie 18 października 1958 roku i drugi wysłany już z Paryża 16 czerwca 1961 roku, gdy Miłosz otrzymał posadę na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

W pierwszym z nich Błoński zwraca się do Miłosza z szacunkiem, jak do wielkiego autorytetu, którym niewątpliwie był, zwłaszcza dla młodego krytyka.

Zastałem tu sytuację gorszą jeszcze niż się spodziewałem. Nie ma prawie książki bez konfiskaty.[11]

Można odczytać w nim niepewność, a nawet strach. Te dwa zdania charakteryzują trudną sytuację polskiego artysty w swym kraju. Dla Błońskiego taki stan rzeczy był nie do przyjęcia. Wolał zaprzestać korespondencji z Miłoszem niż pisać o sprawach błahych i powierzchownych, ponieważ tylko w ten sposób mógł mieć pewność, że zachowa swój paszport. Nie chciał być człowiekiem igrającym z losem, zbyt wiele miał do stracenia. Zależało mu głównie na rozwoju i poszukiwaniu idei, na rodzinie i wartościach, które w sobie pielęgnował. Później, w listach z Paryża komentował otaczający go świat, emocje, które mu towarzyszyły oraz polską rzeczywistość.

Poza tym oddycham; mnie przynajmniej Paryż do tego służy, jako że ojczyzna nad wyraz męcząca i po paru miesiącach ogarnia (mnie) rodzaj ogłupiałego zniechęcenia, w którym najprzyjemniejszy jest moment usypiania.[12]

Błoński w latach 1961-1966 mieszkał w Sarcelles, z krótkimi przerwami na wakacje w Polsce. Przeprowadził się tam ze swoją żoną Teresą i dwójką dzieci Krzysztofem[13] i Piotrem[14]. W tych latach prowadził również wykłady na Sorbonie, w katedrze literatury polskiej.

W tych dwóch listach, które dzieli kilka lat, widać, gdzie krytyk czuł się swobodnie. Polskie realia w tamtym okresie nie sprzyjały wyrażaniu własnych opinii, przez co wielu artystów odczuwało niemoc. Niektórzy z nich, jak Miłosz, wyjechali z kraju, inni z kolei postanowili omijać cenzurę na własne sposoby. Błoński nie identyfikował się do końca z żadną z tych grup. Poszukiwał czegoś trudnego do uchwycenia.

W liście z 30 października 1962 roku Błoński pisze o ważnej do rozważenia sprawie pozycji pisarza w Polsce, który, jego zdaniem, stał się wyczulony na wahania społeczno-obyczajowe, lecz niestety stracił swój indywidualizm moralno-polityczny oraz artystyczny.

Taka straszna klęska ludzkich wartości, które miał ten socjalizm przynieść. Obojętność społeczna, prymitywny indywidualizm, nieumiejętność współpracy, kooperacji, zanik odpowiedzialności; tak naprawdę to ludzie są bardzo dalecy jeden od drugiego. Nawet życie towarzyskie jakieś przypadkowe, niesystematyczne, raz natręctwo, raz obojętność. Zanik f o r m y współżycia. A jednocześnie Polacy skarżą się na „zimny" Zachód! Jakby maź ludzka, raz się klei do siebie, lepi, że oderwać nie można, a potem odrywa się nie wiadomo dlaczego i odpływa w pustkę, w nic.[15]

Zdiagnozował chorobę, która była dla społeczeństwa epidemią. Z jednej strony wszyscy czuli się pokrzywdzeni nie tylko wobec Zachodu, ale również pod względem swych wzajemnych osiągnięć, a z drugiej strony każdy uważał się za „lepszego". Błoński zauważył to, co pobrzmiewa w naszym społeczeństwie po dziś dzień.

To wszystko sprawia — a przecież jest jeszcze sprawa kryzysu tysiąca wartości, kryzysu w praktyce społecznej (takich jak patriotyzm — przy całym trzewiowym szowinizmie! — rodzina, religia, sztuka — już minął czas nabierania dziewczynek na sztukę — skarżył mi się niedawno żartem Flaszen…) — otóż to wszystko sprawia, że niejeden z moich przyjaciół, a i ja sam po trosze, trochę się obco zaczynamy czuć we własnym kraju. Co nie znaczy wcale, że swojsko gdzie indziej![16]

Błoński w listach zwierzał się Miłoszowi. Poruszał tematy, które uważał za ważne, a gdy publikował w kraju, pisał tak, by teksty te „[…] pozwalały zachować minimum autentyczności autorskiej i przekazać coś wartościowego czytającym"[17]. Pisał o tym, co jest głęboko ukryte, niewidoczne gołym okiem. Uważał również, że wieloaspektowość tego kryzysu jest w stanie opisać tylko literatura.

Przyjeżdżając do Polski na kilkutygodniowe wakacje, pisał listy do Miłosza, które w większości wysyłał po powrocie do Francji. Referował i komentował w nich sytuacje w Polsce.

Polska, jeśli cię to interesuje, zrobiła na mnie wrażenie kraju po trosze obcego. Tyle się zmieniło i w takim kierunku, który mnie ani ziębi, ani grzeje, tylko po prostu nic nie obchodzi. Nie mówię nawet o stronie aktualnie politycznej, której plugawość temperowana jest wyłącznie marazmem i absolutną niewiarą w cokolwiek prócz forsy i kariery.[18]

Czuł się zupełnie obco w kraju, w którym, jak uważał, zatraciła się energia i duchowa głębia.

Jakiś nowy typ rodaka mego powoli się wytwarza, patrzę na niego z boku, widzę jego dobre strony, śmieszy mnie często — swym dorobkiewiczostwem, swym cynizmem, który skrywa dawne nostalgie i oczywiście nic o tym nie wie, przeciwnie, wydaje się takiemu, że wszystkie rozumy zjadł, podczas gdy jest jak dziecko — smuci nieraz, bo mało wie, nie w sensie nauki samej, ale rozeznania w świecie i sobie, samodzielności myślenia, ale przede wszystkim nudzi. W końcu i ja jestem dziecię dawnej Polski, tej bogoojczyźnianej, wyrodne naturalnie, ale jednak. Więc do przyczyn poczucia obcości jeszcze to dochodzi, nie tylko życie na emigracji.[19]

Błoński miał problemy z odnalezieniem się w tych dwóch różnych rzeczywistościach. Każdej z nich czegoś brakowało, w jakiś sposób były niepełne.

Dopiero teraz widzę wyraźnie, jak my, tu przyjeżdżający, jesteśmy pobandażowani w obce (tzn. nauczone, nieosobiście przeżyte) sprawy, naprawdę hermetycznie zagarnięci przez nacisk narzuconej odpowiedzialności: co jest chyba przeciwieństwem prawdziwej.[20]

Najważniejszym problem był brak swobody, nie tyle w działaniu, ile w myśleniu. Nigdzie nie czuł się komfortowo. W swoim państwie czuł, że władza hamuje jego twórczość, a we Francji, że kraj narzuca na przybyszy pewne zachowania i myśli, które nie należą do nikogo poza Francuzami. Czuł odpowiedzialność również za samopoczucie swoich synów, którzy szkołę francuską nazywali „szkołą-męki" i z tęsknoty do kraju całymi dniami czytali *Pana Tadeusza*.[21]

Jednak miłość do Francji pozostała z nim do końca jego życia. Ze wspomnień Taranczewskiego dowiadujemy się również, że:

Kochał to, co ładne. Kiedyś pokazał mi zdjęcie paryskiej witryny podobną tej, którą niegdyś można było oglądać w Krakowie — mam na myśli witrynę przy Rynku, tuż obok Baranów, z jedną, ogromną, czerwoną ciżmą — wizytówką krakowskiego rzemiosła. Błoński z zachwytem opowiadał o tym miejscu w Paryżu, które właściwie nie było sklepem, tylko punktem przyjmowania zleceń na wykonanie mebli, tapet, zasłon na okna, zastawy stołowej, oprawy książki itp. To, co stało w witrynie, anonsowało rzemiosło najwyższej klasy, wykonanie według najlepszych francuskich wzorów.[22]

Błoński darzył sympatią wszystkie miejsca, w których bywał. Zarówno Francja, jak i Polska nie były jednak miejscami, gdzie mógł czuć się wolny. Odczytując kolejne strony listów Miłosza i Błońskiego czytelnik może mieć wrażenie, że takie miejsce nigdy nie istniało. Umiejętności obserwacji, które posiadał, pozwalały mu widzieć rzeczywistość, a nie jedynie marzenie o niej.

Błoński był zdania, że problem, którego nie widać polega na zanikającej umiejętności odczytywania w literaturze ukrytego przekazu łączenia ze sobą intencji pisarza z hasłami, które chce szerzyć swoją twórczością.

Maja Wolińska

[…] przepisywanie Homera i Arystotelesa nie tylko jest bardzo przyjemne, ale jeszcze stanowi wszystko, co mógłbym naprawdę zrobić dla ludzi, skoro naprawdę nie umiem, nie mogę podpisać się pod żadnym modnym czy aktualnym hasłem, skoro naprawdę n i e w i e m, czemu ufać i co zalecać; a na dodatek wydaje mi się, że właśnie to jądro kultury — które trzeba naturalnie nieustannie odczytywać i odczyszczać — jest ukrytą siłą, tajemny *spiritius movens* wielkich dzieł naszej epoki, tylko taką siłą, której trzeba się dogrzebać.[23]

Nawarstwiające się na przestrzeni tysięcy lat tradycje i różne sposoby myślenia obecnie pozornie znajdują oparcie w mocnych filarach cywilizacji, lecz mieszanie mnożących się informacji powoduje szum, przez który należy się przebić, by odszukać istotę rzeczy.

[…] oś kultury jest religijna i zapewne — choćbyśmy na głowie tańczyli — nie możemy się od niej odchylić, a przynajmniej musimy być wobec niej w jakimś stosunku, poza tym wszystko jakieś miałkie. Jesteśmy wpisani w jaką przygodę ducha — w jakąś cywilizacje — i zawsze do niej wracamy, nie możemy z niej wyjść […] [24]

Nie chciał przemawiać do tłumów, nie zależało mu na głoszeniu haseł czy propagowaniu wybranych ideologii. Przede wszystkim pragnął zrozumieć rzeczywistość, odczytywać ukryte zawiłości dzieł literackich. Twierdził, że wysiłek, który trzeba w to włożyć, jest konieczny i ważny, by móc pojąć to, czym tak naprawdę jest literatura.

[…] dla mnie literatura jest grą, albo, żeby zmienić słowo, konotujące »niepowagę« — jest bezinteresownym doświadczeniem języka. W języku zaś — jak przypuszczam — jest wszystko […] Właśnie bezinteresowność literackiego doświadczenia sprawia, że literatura jest wielofunkcyjna i że wymyka się wszelkim definicjom, chyba opisowym i sumującym.[25]

Jako czytelnik musiał odpowiedzieć na pytanie, na które każdy musi kiedyś znaleźć własną odpowiedź: „Czym dla mnie jest literatura?", ale jako krytyk musiał mieć coś więcej, mianowicie powołanie i jasny cel.

Wbrew pozorom nic prawie nie stało się całkiem zrozumiałe. Tylko w tym widzę zadanie krytyki, aby przesuwać granice zrozumienia, przygotowując w ten sposób powstanie (możliwych, niepewnych) arcydzieł, które jedynie usprawiedliwiają naprawdę istnienie sztuki.[26]

Jego wypowiedzi, zarówno krytyczne jak i metakrytyczne, wyjaśniały zadania i odpowiedzialność jaką niesie ze sobą ten zawód. Wiedząc czego oczekuje od literatury miał prawo do formowania postulatów i próby stworzenia literackiej utopii. Potrafił przemyśleć wszystko co chce powiedzieć, a tym bardziej napisać, ponieważ za każde słowo brał odpowiedzialność.

Literatura była dla niego nie tylko spotkaniem sam na sam z tekstem, ale również siecią poplątanych ze sobą znaczeń i zależności.

Pisarz kształtuje czytelnika. Ale przecie sam jest ukształtowany. Nie ma w nim niczego, co by nie było skutkiem interakcji: człowieka na człowieka, dzieła na dzieło, tekstu na tekst. Nie można więc kształtować człowieka w próżni, udając, że nie było przed nim nikogo i że nikogo poza nim i czytelnikami nie ma. Niczego nie można przekazać inaczej niż poprzez formy już istniejące. […] Wszystko, co przekazujemy bliźnim, przekazujemy przez znak. Ale przecie znak nie jest nasz własny, jeżeli jest zrozumiały, to dlatego, że przejąłem go od poprzedników, że już jest mi dany. Mogę go co najwyżej uzupełnić, wzbogacić, zmodyfikować.[27]

Zależności, które Błoński zauważył były na pierwszy rzut oka oczywiste, lecz dla ludzi często najbardziej oczywiste rzeczy są trudne do zauważenia. Błoński nie tylko je zauważał ale i się do nich stosował.

Błoński twierdził, że wiele problemów sprawia pisanie o utworach, które odbiera się z całkowitym zaufaniem, dlatego niewiele pisał o utworach Miłosza, był jego wielbicielem, jak sam siebie określał.

W istocie podobny stosunek ma się — czy przynajmniej ja mam — do klasyków, zawsze zaglądam do Mickiewicza, Słowackiego (którego lubię, w przeciwieństwie do Ciebie), ale nie przychodzi mi do głowy, że mógłbym o nich pisać, brak odwagi. Zapewne jest w tym coś dziecinnego, młodzieńczego, jak teraz to piszę, lepiej to rozumiem.[28]

Najczęściej starał się diagnozować życie literackie na bieżąco. Nie czuł się kompetentny, by pisać o klasykach, dlatego wybierał dzieła bardziej aktualne, co pomogło mu utrzymywać kontakty z pisarzami, nie tylko z Miłoszem, ale również, np., ze Sławomirem Mrożkiem.

Skupienie się na literaturze współczesnej nie było próbą ułatwienia sobie pracy czy też ignorancją ze strony Błońskiego. Podczas komentowania życia literackiego na bieżąco Błoński również zmagał się z problemami, których nie mógł zignorować, nie pozwalało mu na to jego sumienie krytyka.

[…] Błoński bywał z literatury jak najbardziej współczesnej często niezadowolony. Bo komuż przydzielić nagrodę Kościelskich? Słuchał sugestii młodszych, czytał nowości, przeglądał i odrzucał rzeczy drukowane. Trudno być jurorem w sprawach delikatnych, gdy dziesiątki nowych tekstów, setki wierszy, a tylko parę rzeczy godnych dostrzeżenia i cokolwiek chociaż ponadczasowych.[29]

Pod koniec lat sześćdziesiątych, po powrocie z Francji, jak kiedyś jego mentor Kazimierz Wyka, zaczął wykładać na Uniwersytecie Jagiellońskim historię literatury polskiej dwudziestolecia międzywojennego. W 1991 był kierownikiem literackim Teatru Starego, przez kilka lat przewodniczył też gremium przyznającemu Nagrodę Nike. Jak pisze Grzegorz Nurek: „nie miał zwyczaju przesiadywania za biurkiem"[30].

Błoński przeżył śmierć żony, która, jak mówi Grzegorz Nurek:

Przyszła niespodziewanie, nie mógł się do niej przygotować. Razem wrócili z wakacji w Żarnowcu, położyli się. Rano był zdziwiony, że Teresa tak długo śpi, zazwyczaj wstawała wcześniej od niego, krzątała się w kuchni. Zmarła we śnie.[31]

Od tego czasu krytyk zmagał się również z chorobą. Odszedł we śnie 10 lutego, mając 78 lat.

Warto również przypomnieć, zarówno badaczom, jak i studentom, że Błoński, Miłosz czy każdy inny krytyk, pisarz oraz artysta, przede wszystkim byli ludźmi. Kształtowały ich czasy, w których przyszło im żyć, szukali swojego miejsca na ziemi, najczęściej metodą prób i błędów, tak jak i my robimy to teraz. Poza twórczością równie ciekawe było życie prywatne wielkich twórców ich wzajemne relacje oraz kontakty z najbliższym otoczeniem.

Fragment listu Miłosza do Błońskiego napawa optymizmem, nie dlatego, że szerzył kulturę polską na obczyźnie, ale dlatego, że żył ze studentami jak z równymi sobie.

Zresztą studentów b. lubię i nie z poszukiwania popularności biorę często udział w ich pijaństwach, ale dlatego, że mi to sprawia przyjemność.[32]

Ze wspomnień o Błońskim można się dowiedzieć, cd. str.48

cd. ze str.47

że i on nie stronił od bliskich kontaktów ze swoimi studentami. Dzięki temu nie odbierano go tylko jako wykładowcę, ale również stawiano za wzór i mentora. Stanął na miejscu swego młodzieńczego autorytetu — Kazimierza Wyki.

Błoński miał to do siebie, że na przerwach wykładu chętnie rozmawiał z młodszymi. Słuchał pytań, otrząsał popiół z papierosa „salem", palił — jak to mówią górale — „z nerwów", nie zaciągając się zresztą. […] W czasie wykładu przerwa trwała za krótko, przelatywała w oka mgnieniu, przecież to było około dziesięciu minut, rozmowa zaledwie się rozkręcała, gdy Profesor musiał już wracać na katedrę.

Kończył wykład punktualnie, mijało południe, szedł na herbatę do kawiarni, ale nie sam, zabierał swych wychowanków[33]

Twórczość wielkich i wybitnych Polaków pokroju Błońskiego, czy Miłosza bez wątpienia można nazwać wybudowaniem pomnika, *exegi monumentum*. W tym wypadku możemy oglądać przysłowiowy pomnik nie z dołu, czując jego narzuconą wielkość, lecz stając z nim twarzą w twarz, jak z człowiekiem.

Bywaliśmy potem corocznie z żoną na imieninach Błońskiego obchodzonych 27 grudnia, w dniu świętego Jana Ewangelisty. Przychodziły tłumy jego przyjaciół: artystów, polonistów… trudno wymienić wszystkich. Przyciągał podobnych sobie – jak do Krakowa zjeżdżał ktoś wielki, pewne było, że prędzej czy później przyjdzie na imieniny Błońskiego.[34]

Tak pisze o Błońskim jego były uczeń, Taranczewski. Świadczy to, nie tylko o niezwykłej popularności Błońskiego, ale o jego umiejętności zjednywania w sobie ludzi.

Był raczej chłodny, zdystansowany. Nie miał w sobie nic z „ciepłej kluchy", „brata łaty", „pocieszacza", człowieka z sercem na dłoni – w potrzebie nieobecnego… Potrafił pomagać w ważnych i mniej ważnych sprawach – konkretnie i bez gadaniny. W trudnym dla mnie momencie wziął po prostu samochód i wywiózł mnie na Bielany, do Kamedułów, na rozmowę z ojcem Piotrem Rostworowskim. Pomógł mi też w znalezieniu mechanika, który umiałby naprawić Fiata 125 (co w latach 70. graniczyło z cudem). Był konsekwentny w przyjaźni. Opiekował się ludźmi, mną też; brał odpowiedzialność za uczniów, którzy wokół niego się gromadzili.[35]

— wspomina Taranczewski. Błoński zdecydowanie nie uważał się za pesymistę, co często podkreślał w listach z Miłoszem, chociaż jego wypowiedzi mogą mieć taki wydźwięk. Był realistą i świetnym obserwatorem. Zależało mu na zrozumieniu rzeczywistości.

Poszukiwał swojej tożsamości jako pisarz, krytyk oraz człowiek, chciał zrozumieć samego siebie, w czym pomagało mu tworzenie wybitnych, jak czas udowodnił, tekstów. Zdawał sobie sprawę ze swoich braków, szlifując je, przybliżał się do doskonałości i prawdy. Można odnieść wrażenie, że cała jego twórczość jest poszukiwaniem piękna, tożsamości i ideałów.

Kamil Wrzeszcz

Maja Wolińska

1 Przyjacielski zwrot w listach Czesława Miłosza do Jana Błońskiego.
2 M. Wyka, T. Walas, M. Sugiera, Głosy o Błońskim, http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6682011glosy-o-blonskim/, dostęp 1.06.2019.
3 J. Błoński: Obecność Wyki. W: Kazimierz Wyka. Charakterystyki. Wspomnienia. Komentarze, red. H. Markiewicz, A. Fiut, Kraków, 1978, s. 347.
4 P. Taranczewski, O Janie Błońskim — wspomnienie, http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6582010pawel-taranczewskio-janie-blonskim-wspomnienie-2/, dostęp 31.05.2019.
5 Zob. M. Krakowiak: Jan Błoński. Paradygmat postępowania krytyka literackiego, W: „Ja" w przestrzeniach aksjologicznych, red. Leszek Zwierzyński, Monika Wiszniowska, Paweł Paszek, Katowice, 2017, s. 235.
6 M. Wyka, T. Walas, M. Sugiera, Głosy o Błońskim, http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6682011glosy-o-blonskim/, dostęp 1.06.2019.
7 Ibidem.
8 Zob. Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s. 268.
9 Ibidem, s. 7-8.
10 Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk powołany w 1946 roku, a od lipca 1981 roku funkcjonujący pod nazwą: Główny Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk.
11 Rozpowszechnianie pozycji wydawniczych Instytutu Literackiego, a do takich należał miesięcznik „Kultura", w Polsce było urzędowo zakazane.
12 Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s. 7.
13 Ibidem s. 9.
14 Ur. 1952 roku, ukończył później romanistykę, a obecnie jest wykładowcą akademickim. Mieszka w Krakowie. Zob. Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s. 270.
15 Ur. 1953 roku, z wykształcenia historyk literatury. Obecnie mieszka we Francji. Zob. Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s. 270.
16 Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s. 33.
17 Ibidem, s. 34.
18 K. Dybciak, Kilka myśli o Janie Błońskim, http://rcin.org.pl/Content/62360/WA248_80860_P-I-2524_dybciak-kilka_o.pdf, dostęp: 25.06.2019.
19 Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s. 75.
20 Ibidem, s. 75-76.
21 Ibidem, s. 10.
22 Ibidem, s. 12.
23 P. Taranczewski, O Janie Błońskim — wspomnienie, http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6582010pawel-taranczewskio-janie-blonskim-wspomnienie-2/, dostęp 31.05.2019.
24 Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s 147.
25 Ibidem.
26 J. Błoński, Romans z tekstem, Kraków 1981, s. 154-155.
27 M. Wyka: Krytyk na czele zmiany warty, W: Jan Błoński …i literatura XX wieku, red. Małgorzata Sugiera, Ryszard Nycz, Kraków 2002, s. 48.
28 J. Błoński, Wszystko co literackie. Pisma wybrane tom. I, Kraków 2001, s. 284.
29 Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s. 195.
30 A. Sulikowski: Spotkania z Janem Błońskim, W: Jan Błoński …i literatura XX wieku, red. Małgorzata Sugiera, Ryszard Nycz, Kraków 2002, s. 141.
31 G. Nurek, Błoński jak świat, https://www.tygodnikpowszechny.pl/blonski-jak-swiat-136114, dostęp 03.06.2019.
32 Ibidem.
33 Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019, s. 16.
34 A. Sulikowski: Spotkania z Janem Błońskim, W: Jan Błoński …i literatura XX wieku, red. Małgorzata Sugiera, Ryszard Nycz, Kraków 2002, s. 135.
35 P. Taranczewski, O Janie Błońskim — wspomnienie, http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6582010pawel-taranczewskio-janie-blonskim-wspomnienie-2/, dostęp 31.05.2019.
36 Ibidem.

Bibliografia:

- *Błoński J., Wszystko co literackie. Pisma wybrane tom. I, Kraków 2001, s. 284.*
- *Błoński J.: Obecność Wyki. W: Kazimierz Wyka. Charakterystyki. Wspomnienia. Komentarze, red. H.Markiewicz, A. Fiut, Kraków, 1978.*
- *Błoński J., Romans z tekstem, Kraków, 1981.*
- *Czesław Miłosz, Jan Błoński, Listy 1958-1997, red. Piotr Kłoczowski, Gdańsk 2019.*
- *Dybciak K., Kilka myśli o Janie Błońskim, http://rcin.org.pl/Content/62360/WA248_80860_P-I-2524_dybciak-kilka_o.pdf, dostęp: 25.06.2019.*
- *Krakowiak M.: Jan Błoński. Paradygmat postępowania krytyka literackiego, W: „Ja" w przestrzeniach aksjologicznych, red. Leszek Zwierzyński, Monika Wiszniowska, Paweł Paszek, Katowice, 2017, s. 235.*
- *Nurek G., Błoński jak świat, https://www.tygodnikpowszechny.pl/blonski-jak-swiat-136114, dostęp 03.06.2019.*
- *Sulikowski A.: Spotkania z Janem Błońskim, W: Jan Błoński …i literatura XX wieku, red. Małgorzata Sugiera, Ryszard Nycz, Kraków 2002.*
- *Taranczewski P., O Janie Błońskim — wspomnienie, http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6582010pawel-taranczewskio-janie-blonskim-wspomnienie-2/, dostęp 31.05.2019.*
- *Wyka M.: Krytyk na czele zmiany warty, W: Jan Błoński …i literatura XX wieku, red. Małgorzata Sugiera, Ryszard Nycz, Kraków 2002.*
- *Wyka M., Walas T., Sugiera M., Głosy o Błońskim, http://www.miesiecznik.znak.com.pl/6682011glosy-o-blonskim/, dostęp: 01.06.2019.*

Maja Wolińska

Krystyna Śmiechowicz

„WSZYSTKO ZOBACZYĆ, WSZYSTKO ZROZUMIEĆ, WSZYSTKO PRZETRWAĆ...”

(MAKSIMILIAN ALEKSANDROWICZ WOŁOSZYN)

O Maksie;

M. A. Potapienko; „Maks, czyli Maksimilian Aleksandorwicz Wołoszyn był moim bliskim znajomym, przyjaźniliśmy się pomimo znacznej różnicy wieku. Poznałam go w Paryżu, gdy był jeszcze bardzo młody. Przez prawie dwa lata codziennie przychodził do naszej willi na Montparnassie. Rozpierała go radość i ciekawość życia. Tryskający zdrowiem, z rumianymi policzkami, dobrze zbudowany, mówił cicho, a przecież głos miał tak wspaniały, że mógł być słyszalny na drugim brzegu Sekwany. Z całej tej emigracyjnej literacko-artystycznej bohemy był najbardziej towarzyski; wszystkich znał, wszyscy go zapraszali. Przez francuskich przyjaciół nazywany ciepło: „*Monsieur, c'est trés interessant!*”[1]

Aleksiej Tołstoj; „Wszedł młody człowiek, usiadł na wprost mnie i uśmiechnął się. Jego twarz wyrażała trzy cechy; absolutną gotowość udzielania odpowiedzi na wszelkie pytania, absolutną ciekawość drugiego człowieka i brak granicy, która dzieliłaby dwóch obcych sobie ludzi. Wyglądało to tak, jakby nasza rozmowa już jakiś czas się toczyła.”

Malarz w odeskim porcie; „...zobaczyłem rudego mężczyznę, lekkim krokiem tancerza i godnością ambasadora niósł ciężar ogromnego ciała. Szary aksamitny beret zsunięty na tył głowy, aksamitna marynarka na nagim brązowym torsie i krótkie do kolan spodnie. Tym fantazyjnym dużym beretem i spodniami przypominał hiszpańskiego granda, głową – Zeusa, a sandałami na bosych stopach - ładowacza z Baku. Stanowił niezwykły obrazek na tym placu zapełnionym oficerami Denikina, włoskimi i greckimi marynarzami i przerażonymi uciekinierami z północy. Wiedziałem od razu; to słynny Maksimilian Wołoszyn”.

Marina Cwietajewa; „Maks, to wyjątkowa encyklopedyczna wiedza. W sporach nigdy nie stawał po jednej stronie. Odpowiedź zawsze była taka – On ma swoje racje! – i to była nadrzędna cecha myślenia Maksa. Każdą rękę podniesioną do uderzenia, potrafił swoim podziwem lub zdumieniem opuścić, a bywało, zmusić do podania”.

Los oszczędził Wołoszyna; ocalał, chociaż w tym czasie przetoczyły się dwie wojny i dwie rewolucje, w latach dwudziestych nie był represjonowany, udało mu się uniknąć (nie dożył) kleszczy Wielkiego Terroru, a na dodatek, gdy wszyscy tracili swoje majątki on pozostawał właścicielem rozległego domu z przybudówkami i przez wiele lat pisał tak, jak myślał. Nie wszystko jednak było idealne. Dla białych – był czerwonym, dla czerwonych – białym; „ ...kto pierwszy mnie powiesi – biali za czerwonych, czy czerwoni za białych?”

Dla miejscowych władz był burżujem, więc interweniowano „wyżej”, by wysiedlić poetę z jego koktebelskiego majątku. Młodzi czerwoni aktywiści nachodzili dom i trzeba było prosić o wstawiennictwo Łunaczarskiego lub Gorkiego. Jeszcze później nowa władza wydała całkowity zakaz publikacji utworów (obowiązujący od 1921 - do 1961 roku) pozbawiając go możliwości zarabiania, a opublikowane usuwano z bibliotek.

Maksimilian Aleksandrowicz Kirijenko-Wołoszyn, człowiek wielu talentów; poeta i malarz, krytyk literacki, tłumacz, publicysta, znawca i krytyk sztuki, cieszący się także wśród współczesnych zasłużoną sławą niezwykłego erudyty urodził się w Dzień Świętego Ducha w Kijowie. W autobiografii wspominał szesnastowiecznego bandurzystę Matwieja Wołoszyna, którego Polacy za śpiewanie patriotycznych piosenek żywcem obdarli ze skóry, wspominał młodego mieszkańca Kiszyniowa Kirijenko-Wołoszyna, który razem z Puszkinem odwiedzał cygańskie tabory - i to właśnie ich chciał mieć za swoich przodków. W związku z pracą ojca rodzice często zmieniali miejsce zamieszkania, a po dwóch latach rozstali się. Maks został z matką. Miał cztery lata gdy zmarł ojciec. Matka nie chcąc być

Dom poety

finansowo zależna od rodziny męża podjęła pracę w Moskwie. Ponieważ życie w dużym mieście było zbyt drogie Jelena Ottobaldowna decyduje się opuścić Moskwę i z pomocą przyjaciela, lekarza P. P. von Tescha, kupuje na Krymie ziemię. Maks początkowo chodzi do szkoły w Moskwie, później w Teodozji.

Za granicę po raz pierwszy wyjechał z matką w 1899 roku. Zwiedzili Paryż, Wersal i przez Berlin powrócili do Rosji. W następnym roku odbył pierwszą samodzielną podróż; Włochy, Grecja, Szwajcaria, Paryż i Berlin; „Rok 1900. był dla mnie rokiem duchowych narodzin, uformowały mnie podróże i samodzielna praca.” Wędrował pieszo, z pasterskim kijem i szkicownikiem, przemierzając kolejne kraje. Nocował w noclegowniach i karczmach przydrożnych. Po powrocie do Moskwy zapisuje się na wydział prawa. „Ani szkole średniej (dwie; jedna w Moskwie, druga w Teodozji), ani uniwersytetowi niczego nie zawdzięczam… dziesięć drogocennych lat zostało zmarnowanych”.

Na drugim roku studiów za udział w studenckich strajkach zostaje relegowany z uczelni. Rozpoczyna więc nową podróż po Italii i Grecji. Jednak władze nie zapominają o nim i w drodze powrotnej z Grecji zostaje aresztowany, pod strażą odeskortowany do Moskwy i wyrokiem sądu zesłany do Środkowej Azji, do pracy przy budowie Kolei Orenbursko-Taszkenckiej; - „Pół roku spędzone na pustyni z karawaną wielbłądów było decydującym momentem w moim życiu duchowym. Tutaj poznałem Azję, starożytny wschód, tutaj szukałem powiązań z kulturą europejską i tutaj po raz pierwszy przeczytałem <<Trzy rozmowy>> Sołowiowa, a także pierwszy raz zetknąłem się z filozofią Nietzschego. Ale najważniejsza była pustynia.”

Przez prawie piętnaście lat Wołoszyn będzie regularnie odbywał trasę; Moskwa -Petersburg - Berlin - Paryż. Podróżuje tam i z powrotem.

W styczniu 1902 roku przyjeżdża do Paryża na dłużej. Początkowo mieszka w atelier Nikołaja Wasiliewicza Dosiekina (malarza impresjonisty) przy 9 rue Campagne-Première, później w pracowni Jelizawiety Kruglikowej; „...obudziwszy się widzę w oknach obłoki płynące nad moją głową, widzę mokre pnie drzew za szklaną ścianą i rozrzucone bryły domów”. Gdy Kruglikowa opuszcza Paryż Wołoszyn często korzysta z jej pracowni. U Jelizawiety Kruglikowej uczył się rysunku i można zaryzykować tezę, że to dzięki niej oglądamy wspaniałe pejzaże Krymu, bo to właśnie malarka Kruglikowa zachęcała krytyka sztuki Maksa Wołoszyna; „A dlaczego sam nie spróbujesz malować”. Także dzięki Kruglikowej zaprzyjaźni się z polskim malarzem Władysławem Ślewińskim i zostanie autorem bardzo wnikliwej pracy poświęconej twórczości tego artysty. Poza lekcjami u Jelizawiety Kruglikowej, chodzi na lekcje rysunku do Luwru i Akademii Colarossiego. Rysował tak, jak inni fotografują; rejestrował szkice postaci, sceny uliczne, bukinistów nad Sekwaną, przyjaciół stołujących się u Marii Wasiliew uczennicy Matisse'a. Właśnie tam najłatwiej było go spotkać, tam gdzie on i Rivera mogli tanio zjeść; u Marii Wasiliew na Avenue du Main, gdzie obecnie jest Muzeum Montparnasse'u. Tam lub w La Rotonde Wołoszyn i Rivera czuli się, jak w domu. Pod koniec 1905 roku wynajmuje mieszkanie pod numerem 16 na Boulevard Edgar Quinet. Bardzo lubi ten rejon miasta (skrzyżowanie ulic Vavin, bulwarów Raspail i Montparnasse). Boulevard Edgar Quinet jest niedużym bulwarem wysadzanym drzewami. Z okien mieszkania ma widok na cmentarz Montparnasse, ale to co widzi - to jedynie mury cmentarne i zieleń za murami. Ta część cmentarza wygląda jak park, a rue Emile Richard, która przecina bulwar i dzieli cmentarz na dwie części jest ulubionym miejscem samotnych spacerów Maksa. Teraz wielu z jego sławnych współczesnych znalazło tutaj swój ostatni adres. Niedaleko stąd jest maleńki passage de Dantzig i słynny La Ruche dokąd chodził odwiedzać przyjaciół. Jeszcze dalej z passage de Dantzig, skręcając w prawo w bulwar Victor i idąc dalej wzdłuż Boulerward Exelmans w kwartale domu pod numerem 66 znajdziemy rzeźbę polskiego artysty, ucznia Rodina, Edwarda Wittiga do której Wołoszyn pozował. Z listu do matki; „...codziennie pozuję polskiemu rzeźbiarzowi Wittigowi, który rzeźbi moje, ogromnych rozmiarów, popiersie”. (Rzeźba od lat stoi anonimowo z podpisem „Głowa poety”.) Powracamy na Boulevard Edgar Quinet; niedaleko stąd przy rue de la Gaité, jesienią 1906 roku opuściwszy zbyt drogie mieszkanie przy bulwarze Saint Germain, wynajmie pokój Nikołaj Gumilow. Nie po raz pierwszy, i nie ostatni, przetną

Максимилиан Ал

сандрович Волошин

się drogi poetów. Z listów Gumilowa do Walerego Briusowa wynika, że w tym czasie spotykali się, chociaż według wielu znawców twórczości poznali się znacznie później w Petersburgu. Gumilow bywał także gościem Wołoszyna w Koktebelu. Tam, na samym strychu, w części domu należącej do Pra znajdował się pokój, który zajmował Gumilow i tam powstał jeden z najbardziej znanych jego wierszy; „Kapitanowie". (Do dziś ten pokój jest częścią muzeum.) Ich znajomość zakończyła się sensacją towarzyską, lub jak kto woli, skandalicznym „ostatnim pojedynkiem poetów". Zadbano, by pojedynek nie skończył się tragedią, jednak chłód w stosunkach pozostał. Zachowała go także do końca żona Gumilowa, Anna Achmatowa, która jako jedna z nielicznych nigdy nie odwiedziła Koktebela.

Esejom poświęconym Paryżowi Maksimilian Wołoszyn da tytuł „Oblicza Paryża". Pisał w nich o paryskich ulicach, paryskiej modzie, wystawach malarskich. Opisuje dzień otwarcia Salonu Niezależnych; „Wczesny wiosenny dzień, jak zwykle trochę mokry i trochę słoneczny. Tutaj zjawia się cały Paryż, ale nie ten Paryż modny, błyszczący; Paryż snobów, salonów, estetów, lecz Paryż, który kryje się po mansardach, pracowniach, którego dewizą jest; „bez nagród i bez jury". Tego dnia możesz spotkać ich wszystkich; długowłose, długobrode postaci wyłażą ze swoich barłogów na Montmartrze i Montparnassie, lecz w tym tłumie migają także twarze znakomitości; Octave Mirbeau – z prostą, wyrazistą twarzą, jakby wyrzeźbioną z korzenia starego drzewa, z ciężkim nieprzyjaznym spojrzeniem... od postaci bije siła, ale w oczach zapisana jest już bezradność starości. Niewysoka, muskularna postać Rodina z białośnieżną brodą patriarchy sprawia wrażenie takiej siły i energii, że wydaje się, jakby sam siebie wyrył w kamieniu. Jest Vuillard i Odilon Redon, który chodzi po wystawie drobnymi niepewnymi kroczkami człowieka rzadko wychodzącego z domu. Cały ten tłum niesamowitych twarzy i postaci obejmuje się, wita, pozdrawia, ściska ręce. Na obrazy nikt tego dnia nie patrzy. To dzień spotkań i powitań."

Opisywał bale artystów, pisał o malarzach, pisarzach i poetach, o wszystkim tym co mogło zaciekawić czytelników gazet; „Birżewyje wiedomosti", „Mir iskusstwa",„Apołłon", „Moskowskaja gazieta", „Wiesy", „Zołotoje runo" i „Rus'". Porównując Paryż z innymi miastami pisze o osobliwościach paryskiego życia; „Tutaj mieszkają ludzie ubrani od stóp do głów w maski, Paryżanin nakłada maskę, tak jak inni zakładają suknię, kapelusz, krawat lub rękawiczki (...) maska i moda są ściśle ze sobą związane. Maski są wszechobecne; są w głosie, w gestach, intonacji, ich zadanie to zakryć indywidualność. Ale, jak to w Paryżu, zakrywając – odsłaniają; podobnie, jak Paryżanka, która zakładając suknię, odsłania nagie ciało." Ta koncepcja maski przewija się w jego uwagach o kulturze i życiu codziennym. „Jeżeli, idąc ulicami Paryża, długo wpatrujesz się w potok ludzkich oczu, twarzy, postaci, szybko zaczynasz dostrzegać niewytłumaczalną rytmiczność powtórzeń. To co wcześniej wydawało się ludzką twarzą, absolutnie pełną w swoim indywidualizmie, okazuje się wspólną, jedną z masek Paryża. Twarz pozbawiona maski daje dziwne wrażenie nagości i po tym Paryżanie poznają prowincjuszy, obcokrajowców, a w szczególności Rosjan."

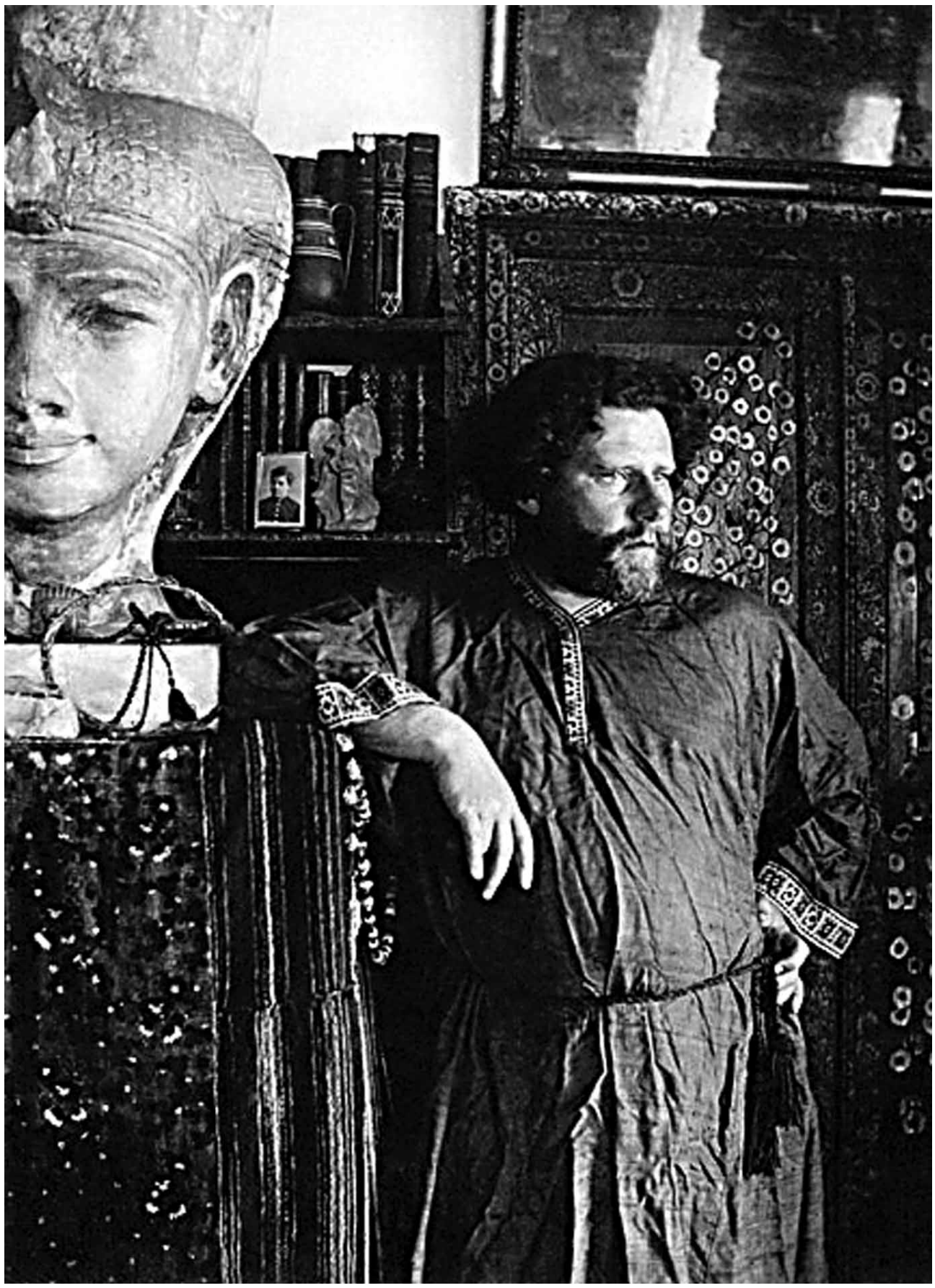

Pracownia Wołoszyna

To właśnie w Paryżu niedoszły prawnik staje się Europejczykiem, erudytą, znawcą sztuki. Zawiera znajomości i przyjaźnie. Na Montparnassie mieszkał Ilja Erenburg, znający wszystkich i przez wszystkich rozpoznawalny, mieszkali; Sawinkow, Balmont, Maria Wasiliew, Marevna - Maria Vorobieff-Stebelska. Częsty obrazek to; Erenburg, Wołoszyn, Picasso z żoną, i Modiglani włóczący się po Montmartrze lub Montparnassie razem z „dobrodusznym ludojadem" Diego Riverą. Marevna, której romans z Riverą stał się jedną z legend Montparnasse'u (mieli córeczkę niezwykle podobną do ojca... a na koniec mała Marika dostała cukierki, Marevna obietnicę ślubu plus pięćdziesiąt franków i Diego odjechał do Meksyku) tak opisywała przyjaciół; „Wołoszyn i Rivera, obaj mieli zbyt krótkie ręce i zbyt małe dłonie jak na tak wielkie dzieła". Picasso podobnie jak Wołoszyn mieszkał tuż obok cmentarza Montparnasse. Maks po wizycie u malarza opowiadał Marevnie o pokojach zajmowanych przez Picassa, że były zupełnie puste, nie było w nich nic, oprócz sztalug, obrazów i książek. Swój pobyt w Paryżu trwający prawie piętnaście lat i liczne podróże, tak podsumował; „Czego nauczył mnie Zachód; Francja – kompozycji, Paryż – wyczucia kolorów, logiki nauczyłem się od gotyckich świątyń, myślenia nauczył mnie Bergson, sceptycyzmu Gustave Flaubert, a wierszy Goethe i José-María de Heredia. W tamtych latach byłem ja gąbka, wchłaniałem wszystko."

Gdy odjeżdżał - Wołoszyn wracał do matki do Koktebela - na dworzec odprowadzali go; Marevna i Diego Rivera. Więcej już się nie spotkali.

* * *

Kiedyś Wołoszyn zapisał w pamiętniku; „Koktebel, to moja ojczyzna, mój dom - Koktebel i Paryż - tylko tam nie czuję się jak przechodzień".

Wtedy gdy Jelena Ottobaldowna Kirijenko-Wołoszyna kupowała ziemię ta część Krymu była prawie bezludna i trzeba było niemałej odwagi, by osiedlić się w takim miejscu. Jelena Ottobaldowna przyjechała do Koktebela latem 1898 roku. W Muzeum Wołoszyna zachowała się mapa terenu z tego okresu, na której zaznaczone są tylko dwa domy i jeden z nich jest własnością matki poety. Półokrągła zatoka z jednej strony zamknięta jest wysokimi skałami wygasłego wulkanu Karadah, a z drugiej plażą. Koktebel w przekładzie z turkijskiego znaczy „Kraina błękitnych wierzchołków „Kok-Tepe- el". Wołoszyn nazywał to miejsce antyczną nazwą Kimmeria. Teren wokół niezamieszkały, wszędzie ostre skały, kamienista plaża; najpierw trochę piasku, a im bliżej morza oszlifowane przez fale morskie kamienie, pomiędzy nimi półszlachetne chalcedony, agaty, górski kryształ, karneol i chryzolit. Zieleni prawie żadnej, brak kwiatów, brak drzew, dominujący zapach piołunu... i żadnej studni w pobliżu. Wiatr wieje tutaj przez cały rok, nawet w upalne dni, a zimą szalejące wichury i zamiecie śnieżne mogą wystraszyć i tych najodważniejszych. (Taką zamieć pustoszącą wybrzeże wokół Koktebela opisała w swoich wspomnieniach Anastazja Cwietajewa, gdy śnieżna nawałnica wdzierała się do wnętrz domów rozrywając ściany.) Na tym odludziu, pomiędzy skałami i morzem Jelena Ottobaldowna buduje dom. Cyprysy (jedyne w okolicy) posadzone jej ręką, po latach utworzą park wokół domu i stoją tam do dziś. W 1903 roku Maks zaczyna budowę swojej części.

Ten dom w całości według projektu Wołoszyna i Jeleny Ottobaldownej budowany był przez dziesięć długich lat. Projekt niezwykły, część przypominająca wieżę z bardzo wysokimi oknami, to zimowe i letnie atelier malarza, natomiast pokoje dla gości połączone zostały galeriami i wyglądało to jak plastry miodu. Współcześni nadali mu nazwę „Dom Poety". Z okna pracowni Wołoszyn widział całą zatokę, widział zbocze góry, której ostre skały utworzyły dziwny rysunek; „Na skale zamykającej fale zatoki los i wiatry wyrzeźbiły mój profil". Wymarzył sobie, że dom ten będzie zawsze otwarty dla gości i przyjaciół: „Mój dom otwarty jest na wszystkie drogi."

Właśnie z myślą o nich ciągle go rozbudowywał; w końcowej fazie miał dwadzieścia dwa pokoje z czego piętnaście przeznaczonych dla gości. Wszyscy letnicy od wczesnej wiosny do późnej jesieni przez wiele lat mieszkali tutaj za darmo, ale pod jednym warunkiem; mieli wnosić w życie tego domu twórczą fantazję, poczucie humoru i nieustającą chęć zabawy. Dom w Koktebelu gościł prawie wszystkich znaczących w tym czasie artystów. Na plenery przyjeżdżali malarze; Kandaurow, Kustodijew, Pietrow-Wodkin, Polenow, Bogajewski, Altman, Ostroumowa-Lebiediewa. Przyjeżdżali poeci i pisarze; Zoszczenko, Bułhakow, Grin, Bunin, Błok, Gumilow, Jelizawieta Dimitriewa, Cwietajewa z siostrą Anastazją, Mandelsztam, Pasternak, Gorki, Biełyy K. Czukowski, Efron, Erenburg i wielu innych. Tutaj Marina Cwietajewa poznała Osipa Mandelsztama, otoczonego „uszami" - na jego wiersze i „sercami" – pełnymi zrozumienia dla jego słabości.

cd. str.48

ександрович

ан Александрович Во

cd. str.48

Gdy pierwszy raz pojawił się w Koktebelu Maksa Wołoszyna nie było. Pomimo swego trudnego charakteru został ciepło przyjęty przez Pra i otoczony szczególną opieką. On także nie oparł się wyjątkowej urodzie Kimmerii. W Koktebelu powstaje jeden z najpiękniejszych jego wierszy;

„Znowu bezsenność. Homer. I żagle napięte."[2]

Niezwykli goście tego domu nazywali siebie „obormotami" (czyli „nic dobrego") w sposobie ubierania przyjmując jedynie naturalność i wygodę, co powodowało, że miejscowi unikali tej części plaży, naturystów Wołoszyna nazywając dzikusami. Wołoszyn pracował według ścisłego planu dnia; był czas na pisanie, czas na malowanie, czas na wspólne czytanie wierszy i prozy oraz czas na spacery. Nad jego spokojem czuwała wszechwładna Pra w godzinach pracy nie dopuszczając przyjaciół. Pra - Jelena Ottobaldowna w życiu syna była osobą chyba najważniejszą. Pra i Maks, matka i syn; a jak obdzielono cechami te dwie nierozłączne postaci; wszystko co męskie, zasadnicze i stanowcze to – Pra, wszystko, co delikatne, mgliste, nieokreślone – to Maks. Maks nawet swojego kota nie zganiał z krzesła - a prosił by zszedł. Gdy matka dawała mu za przykład Siergieja Efrona[3]; „Popatrz na Sieriożę; on i żołnierz, i prawdziwy mężczyzna!" - odpowiadał - „...Mamo ja nie mogę strzelać do żywych ludzi".

Dwunastego października 1892 roku Wołoszyn zapisuje w swoim dzienniku; „moim największym marzeniem jest być pisarzem". W domu na szczególną uwagę zasługuje biblioteka poety. Liczyła około 10 000 książek. Książki w językach: rosyjskim, francuskim, niemieckim i włoskim - w tym prawie czterysta z dedykacjami - zajmowały ściany dwóch pięter, poza tym niezliczona ilość czasopism, także zagranicznych. Półki z książkami były wszędzie; w pokoju bibliotecznym (tych absolutnie nie można było brać bez zgody gospodarza) w pozostałych pokojach i na ścianach nad schodami prowadzącymi na pierwsze piętro, gdzie znajdował się letni gabinet Wołoszyna. O książki bardzo dbał i pożyczał niechętnie, był surowym stróżem swojej liczącej tysiące tomów biblioteki. Czytać pozwalał jedynie w bibliotece. Pewnego razu siostra Siergieja Efrona książkę z biblioteki zostawiła na plaży. Źle sklejoną zaczął roznosić po mokrym piasku wiatr. Maks zebrał wszystkie kartki i kategorycznie zabronił wynoszenia książek. Letni gabinet na pierwszym piętrze nazywano „Maks na swoim". Było w nim duże panneau, za którym znajdowała się niewielka skrytka mieszcząca człowieka. Na ścianach obrazy gospodarza i jego przyjaciół. Największym płótnem był portret właściciela domu, dzieło jego przyjaciela z czasów paryskich – Diego Rivery. Wchodzący do pokoju widział przede wszystkim książki, obrazy, pamiątki z podróży, z półmroku wyłaniały się pośmiertne maski; Piotra I, Puszkina i Dostojewskiego, a nad wszystkim górowało popiersie egipskiej królowej Teje.. Rzeźbę Wołoszyn zobaczył w paryskim Muzeum Sztuki Wschodu. Uderzające podobieństwo do pierwszej żony poety Margerity Sabasznikowej, spowodowało, że wkrótce gipsowy odlew powędrował do Koktebela. Z podróżnych pamiątek najbardziej sobie cenił grającą muszlę podarowaną przez hinduskiego marynarza i wyrzucony przez fale na koktebelski brzeg wielkości pięści fragment burty statku z miedzianym gwoździem, który zdaniem Wołoszyna mógł być fragmentem łodzi Odysa. Wierzył także, że wejście do Hadesu znajduje się właśnie w Koktebelu na granicy skał i morza. Aby pokazać to miejsce Marinie Cwietajewej wynajął tureckich przemytników. Szybką łodzią wpłynęli pomiędzy rozstępujące się skały; „To wejście do piekła Marino!". „Teraz, gdy słucham Glucka – wspomina Cwietajewa - zawsze widzę tamto czarne wejście, połysk załamujących się w ciemności fal i słyszę śmiech Turków." W domu większość mebli wykonał sam gospodarz. A jak żył właściciel tego domu? Nie lubił elektryczności, nie interesowało go kino ani radio - ale lubił fotografować. W jego pokoju nocą paliła się lampa naftowa. Z kolorów lubił kolor żółty; żółte firanki, żółte koszule, żółte parawany. Palił nargile i pił turecką kawę ze spirytusem. Każdego dnia rano stawał przy sztalugach i przez lata nazbierały się całe albumy (przede wszystkim malował morze i góry). Morze w słoneczny dzień, morze nocą, morze w blasku księżyca; od jasnozielonego do krwistoczerwonego i brązowego. Kontury gór najczęściej szkicował lekką, wyraźną kreską. Pomimo tuszy był niesamowitym wręcz piechurem. Krym przedeptany został jego sandałami. Doskonale znał tę Ziemię, wszystkie strumyki, ścieżki i drogi. Był autorem przewodnika po Wschodnim Krymie. Nie wszyscy goście mieli odwagę towarzyszyć mu w jego górskich spacerach.

Gdy w czasie rewolucji Aleksiej Tołstoj zaproponował by razem opuścili Rosję – Wołoszyn odpowiedział; „Gdy matka chora - dzieci zostają z matką".[4]

W 1905 roku był świadkiem protestów robotniczych w Petersburgu. W artykule „Krwawa Niedziela w Petersburgu", dokładnie opisuje godzina po godzinie to, co działo się na ulicach miasta, podkreślając, że tłum, który szedł z ikonami był nieuzbrojony; „Car wydał rozkaz strzelania do ikon". Pod wpływem tych wydarzeń powstaje wiersz „Anioł zemsty"

A miecz sprawiedliwości – ów sądny i mszczący –
Oddam w ręce motłochu. Niechaj ślepy zbojca
Błyska nim, co jak piorun nagły i rażący –
Syn zabije nim matkę, córka zadźga ojca. [5]

Pierwsza wojna światowa zastaje go w szwajcarskiej miejscowości Dornach, gdzie pomaga przy budowie Goetheanum przyszłej siedziby Towarzystwa Antropozoficznego. Wojna zatrzaskuje drzwi do ojczyzny. Austriaccy budowniczowie zostali zmobilizowani, budowę kontynuują cudzoziemscy wyznawcy filozofii Rudolfa Steinera w tym spora grupa Rosjan, wśród nich; Andriej Biełyj, Margarita Sabasznikwa, Anna Minclowa, Asia Turgieniewa i Wassily Kandinsky. Wołoszyn wykonuje prace wykończeniowe dla teatru. Margarita Wasiliewna Sabasznikowa, uczennica Riepina, córka bogatego kupca herbacianego, której wujami byli znani i cenieni wydawcy Michaił i Siergiej Sabasznikowowie wydający literaturę rosyjską i światową (w tym także Maksimiliana Wołoszyna - poetę i tłumacza), Wołoszyna poznała w Moskwie w Galerii Szczukina gdzie wystawiała swoje pierwsze prace. Znajomość kontynuowali w Paryżu, dokąd niezamężna piękność przyjechała by studiować malarstwo. Maks, postanowił zaopiekować się „niezwykłą dziewczyną", pojawiał się każdego ranka i prowadził do muzeów, gdyż tylko tam, jego zdaniem, mogła zdobyć prawdziwą wiedzę. Prowadził do cerkwi przy rue Daru, a także do pracowni przyjaciół-malarzy; tam oraz w salach Luwru i Ogrodach Wersalskich powoli rozwijał się romans. Jewgienija Giercyk tak wspomina tę parę; „On, z niesamowitą czupryną, zachłystujący się słowami, spieszy się, by zdążyć wszystko powiedzieć, wszystko pokazać, wszystkim się podzielić, wszystko dostrzec i odczuć, a obok chudziutka dziewczyna patrząca na niego protekcjonalnie, jakby z boku oczekująca na bieg wydarzeń". Pobrali się w Moskwie, a już cztery dni później znowu byli w Paryżu. Jej poświęcony jest cykl wierszy „Amori Amara Sacrum". Po powrocie z Paryża zamieszkali w Petersburgu, tuż obok Ogrodu Taurydzkiego w domu, w którym mieszkał Wiaczesław Iwanow (w słynnej „Wieży" w każdą środę odbywały się spotkania literackie). Oboje od samego początku pozostawali pod ogromnym wpływem tego znawcy antyku i mistyka. W tym czasie Iwanow był niekwestionowanym autorytetem dla Intelektualnej Północy. Znacznie silniej wpływom jego i jego żony, Lidii Zinowiewej-Annibał, uległa Sabasznikowa i wkrótce stanowili *ménage à trois*. Były jeszcze próby ratowania związku i wspólny wyjazd do Koktebela. Jednak rozstanie było nieuniknione, Margarita wraca do Europy, do antropozoficznej kolonii Steinera i zafascynowana osobowością filozofa zostaje w Dornach. Wołoszyn rewolucję 1917 roku powitał w Moskwie. Z zapisu w autobiografii; „Przez Plac Czerwony przechodziły tłumy żołnierzy i mieszkańców miasta; wszyscy z czerwonymi wstążeczkami, idą radośnie, ochoczo - nikt nie widzi tragedii, która właśnie się zaczyna, a rewolucja będzie długa i okrutna, będzie ogólnonarodowym sabatem czarownic siedemnastego roku!".

„.... I kłosy nienawiści, i nieszczęścia plewy
Wzejdą na polach zwycięstw nieradosnych,
Gdzie Ziemię-Matkę srogi syn rozgniewał." [6]

Postanawia wracać na południe. W Koktebelu, z dala od wydarzeń chce czytać, pisać i malować. Ale sowiecka rzeczywistość i tutaj go dopadła. Narażając własne życie ratuje innych. Ratuje białego generała N. A. Marksa, na którego wydano wyrok. Ratuje Osipa Mandelsztama zatrzymanego w teodozyjskim porcie wysyłając do kapitana portu z pisemną prośbą o zwolnienie poety księżnę Maję Kudaszewą (przyszłą żonę Romain Rollanda i przyszłego agenta GPU), przekonany, że tytuł książęcy dokona więcej niż on sam; „Mówiono mi, że Mandelsztama obwinia się o szpiegostwo na rzecz bolszewików, ostrzegam, że to człowiek który wszystkiego panicznie się boi i potwierdzi wszystko co tylko będziecie chcieli. A Mandelsztam to wielki poeta!" Jest rok 1917. Półwysep Krymski zajmują czerwoni, następnie armia niemiecka, po niej Anglicy i Francuzi, następnie znowu czerwoni, których przeganiają biali, a w Koktebelu Dom Poety, jak okręt w czasie burzy... narastający niepokój, który w nocy przechodzi w strach, artysta zagłusza pisaniem; pisze wspomnienia z początku wieku. Opisuje współpracę z Diagilewem, moskiewskie spotkania z Wasilijem Surikowem, czas, gdy był świadkiem powstawania najsłynniejszego obrazu „Bojarynia Morozowa". W styczniu 1918. miejscowi chłopi uprzedzili Wołoszyna, że wszystkie domy właścicieli będą plądrowane i palone. Czterdzieści osiem godzin gospodarze nasłuchiwali w lęku, jednak ich dom oszczędzono. Jeszcze latem jakaś „dama-letniczka" głośno oskarżała Wołoszyna o sympatie do czerwonych i nazywając go najgorszym z bolszewików domagała się aresztowania. A nieco później naczelnik Koktebela Barto, zapytany dlaczego toleruje u siebie burżuja odpowiedział, że to jego „burżuj" i nikomu nie pozwoli go ruszyć. A Wołoszyn modlił się i za białych, i za czerwonych.

Koktebel - rok 1920 - Sztabskapitan otacza żołnierzami dom, szukają towarzysza Chmiela. (Wcześniej „towarzysz" usiłował nakłonić poetę do wstąpienia do partii - Wołoszyn odpowiedział na to, że wszelka prawda, która pochodzi od tłumu nie interesuje go, bo człowiek jest dla niego ważniejszy niż jego przekonania.) Oficer poznaje w Wołoszynie poetę który występował na froncie i gdy żołnierze przeszukują dom, panowie w gabinecie poety prowadzą kulturalną rozmowę o malarstwie i poezji. Na stwierdzenie matki, że to taki kulturalny młody człowiek Wołoszyn

Александрович В

odpowiada; „Taki sam morderca jak czerwoni". „Towarzysza" nie znaleziono, wychodząc sztabskapitan powiedział; „Igra pan z ogniem poeto!" A Chmiel faktycznie ukrywał się w domu Wołoszyna za wiadomym obrazem. Jest maj 1921 rok w Koktebelu znowu są czerwoni, wraca towarzysz Chmiel – poszukuje białego oficera - ale teraz już wie, gdzie znajduje się schowek, rozkazuje dokładnie przeszukać cały strych. Domowników ratuje zimna krew Wołoszyna – „Towarzyszu Chmiel, w sąsiednim pokoju odpoczywa przewodniczący CZeka, towarzysz Kułagin – czy to nie jego szukacie?" Kułagin?! - wszyscy za mną – po cichu!! wychodzimy! Nieustraszony z pana człowiek, panie Wołoszyn..."

Teraz, gdy po raz drugi Krym opanowali bolszewicy, wielkoduszny proletariat ogłosił, że kto chce może wyjechać, natomiast ci oficerowie, którzy zechcą pomagać ojczyźnie powinni zgłosić się do rejestracji. Wielu z tych, którzy nie wyjechali, chętnie zgłaszało się by pracować dla kraju. Wywożono ich za miasto i rozstrzeliwano, lub ładowano na barki i topiono w morzu. Naczelnik tej operacji Iwokunow mieszkał w domu malarza Ajwazowskiego, w tym czasie pracował tam Wołoszyn, poeta na tyle potrafił oczarować naczelnika, że pozwolono mu skreślić z listy skazanych co dziesiąte nazwisko. Na liście było także i jego nazwisko, już wcześniej wykreślone ręką komendanta. Wędrując do Teodozji, gdzie znajdował się dom Ajwazowskiego, po drodze był świadkiem jak młodzi żołnierze - podrostki zaledwie - upojeni posiadaniem broni wyciągali ludzi z domów i nie trudząc się zbytnio, za węgłem tych domów rozstrzeliwali, by zaraz potem ze śpiewem, zaśmiewając się, wracać na swoje kwatery.

Z prozy Wołoszyna; „Krym – wiosna i lato 1921. – Czerwonoarmiści swoją pracę zaczynali nocą; czytali donosy, listy, pospiesznie podpisywali wyroki, ziewali, pili wino. Rano rozdawali żołnierzom wódkę, a wieczorem, przy świecy, wyciągali według spisu mężczyzn i kobiety wyganiali w ciemną noc nad brzeg przepaści, oświetlali wszystko ręczną latarką; pięć minut pracowały karabiny maszynowe, kończyli bagnetem, nie dobitych zrzucali na dno i śpiewając na całe gardło rozlewne rosyjskie pieśni wracali do domu, do przerwanego picia. O świcie do tej samej przepaści zbiegały się żony i matki i ryjąc ziemię szukały najbliższych".

W styczniu 1923 roku jeden z czerwonych żandarmów zaproponował artyście pomoc w ucieczce do Berlina, Wołoszyn nie skorzystał z szansy. Już wcześniej w wierszu na śmierć Błoka i Gumilowa napisał; „Puszkin otrzymał swoją kulę, Dostojewski szafot, a co ja? ...piwniczne więzienie, a może poślizgnę się na kałuży krwi… jednak nie odwrócę się od twoich mogił i nie porzucę twojej Golgoty, innego losu nie będę wybierał… ".

Rok 1927 stał się końcem pracy twórczej. Wyzbywszy się wszelkich iluzji poeta myśli o samobójstwie, ale przede wszystkim musi zadbać o bibliotekę, dom i żonę. Druga żona, Maria Stiepanowna Zabołocka (jej ojciec był Polakiem) przyjęta została jako pielęgniarka dla chorej matki. Elena Ottobaldowna – Pra - przed śmiercią prosiła syna by zatroszczył się o „Marusię" i tak oto Maria Stiepanowna na zawsze została w Koktebelu. W czerwcu 1931 roku w dzienniku pojawia się wpis; „Postanowiłem pisać codziennie". Jest chory, ma kłopoty z pamięcią, ale ciągle jeszcze pracuje nad cyklem poematów „Drogami Kaina". Sam tytuł zawiera to co najistotniejsze – ludzkość kroczy drogami Kaina, niszczy wszystko tracąc wolność ducha. Ale pisanie przychodzi mu z trudem, pismo jest nie do odszyfrowania. Pisać pomaga Maria Siepanowna, to ona zapisuje wypowiedziane przez poetę z goryczą słowa; „Nie wiem co się ze mną dzieje, nie czuję żebym był chory, ale wokół siebie czuję śmierć. Dawniej miałem marzenia, myślałem, że mogę jeszcze pisać, a teraz jest mi obojętne, nie czuję takiej potrzeby, a nawet gdy spróbuję, nic z tego nie wychodzi". Na początku 1932 roku starzejący się i fizycznie, i duchowo Wołoszyn zapisuje w dzienniku; „Luty – jest coraz gorzej, marzec – to dni głębokiego upadku ducha." Szóstego maja wpisuje; „Tak bardzo chce się zmian, przyjazdu przyjaciół.". Lipiec 1932 rok, Nikołaj Czukowski (syn Korneja) przyjechał do Koktebela już nie do Maksa Wołoszyna, ale w ramach skierowania, otrzymanego z Litfondu (Fundusz Literacki). Dom nazywany teraz Domem Pracy Twórczej został nieodpłatnie przekazany państwu. Tylko w ten sposób artysta mógł zabezpieczyć go przed zniszczeniem i grabieżami. Przez wiele lat panowania nowej władzy Wołoszyn w podobny sposób ratował przed zdziczałym tłumem zabytkowe dwory i domy, które w pośpiechu opuszczali ich właściciele, w tym także dom Ajwazowskiego pełen zabytkowych mebli i obrazów artysty. Gdy Czukowski pojawił się w Koktebelu Wołoszyn był po pierwszym udarze, mowę jego rozumiała jedynie żona. Pierwszy udar był skutkiem napaści miejscowych chłopów-sąsiadów, którym przez wiele lat, podobnie jak Jelena Ottobaldowna pomagał. Nowi panowie-chłopi donieśli, że stare psy Wołoszyna nagle zaczęły zagryzać miejscowe owce, było to oczywiste kłamstwo, ponieważ psy te były tam już od wielu lat, jednak wyrok zapadł. Jednego psa otruto, a co z drugim się stało nie wiadomo, Wołoszyn miał nadzieję, że zdążył uciec. Pogarda i poniżające traktowanie w sądzie były przyczyną udaru. Do Koktebela Czukowski przywiózł radosną wiadomość. W najbliższym numerze czasopisma „Nowyj mir" miały ukazać się wiersze Wołoszyna. Wiadomość ważna, gdyż starzejący się poeta, żyjący z dala od literackiego centrum nie miał styczności z nową dynamicznie rozwijającą się literaturą sowiecką. (Poza tym, nowa władza dużo wcześniej wydała zakaz publikacji. Przez wiele lat pisał więc do szuflady.) Wkrótce jednak nastąpił drugi udar i śmierć poety. Nikołaj Czukowski tak wspomina pogrzeb; - „Stojąc nad grobem, wysoko w górach, patrzyliśmy na niebiesko liliowe szczyty, na skalne cyple otoczone grzywami fal, patrzyliśmy w dół, gdzie Koktebelska dolina i dom Maksa z drewnianą wieżyczką. Powietrze było ciężkie, gorące, a ze spalonej upałem trawy dochodziły ostre dźwięki cykad. Artobolewski przeczytał wiersz Boratyńskiego – <<Na śmierć Goethego>>. Wiersz o tym, że wszystko to marność, że nie należy płakać nad grobem... „bo to co ziemskie zostaje tutaj, na ziemi". Pozostało także wspomnienie Borisa Eichenbauma; „Chowano go wieczorem. Miejsce wskazał sam Wołoszyn. Przyszli nie tylko mieszkańcy Koktebela, ale i okolicy. Wszyscy z pochodniami wspinali się stromą ścieżką, w zapadającym mroku". Maks Wołoszyn, niezwykły człowiek miał swoje „niezwykłe" pasje. Przez całe życie zbierał kamienie; kamienie o wyjątkowej urodzie, niespotykanym kształcie lub kolorze. Tradycyjnie ci, którzy odwiedzają grób poety zostawiają na nim kamień.

* * *

Sowiecka władza utrzymała zakaz publikacji. W 1962 roku, w okresie krótkiej politycznej odwilży, jako pierwszy wspomina o nim Andriej Siniawski (który już niedługo sam stanie przed sądem). Następną próbę publikacji podejmie Jefim Etkind, tutaj nie dochodzi nawet do druku, a Etkind wykluczony ze Związku Pisarzy zmuszony jest opuścić kraj. Wcześniej było piętnaście lat pełnego zapomnienia za życia poety, później prawie pięćdziesiąt po śmierci. Po pewnym jednak czasie na wolność wypuszczono prace malarskie, a w roku 1977. (stulecie urodzin) okazało się nagle, że istniał taki pisarz, krytyk i eseista, że wolno już wydawać Maksimiliana Aleksandrowicza Wołoszyna. Na nowo wszedł do literatury; felietony, wiersze, wspomnienia, dzienniki, albumy, artykuły i listy... powróciły na półki księgarskie.

Mało ci pisarzu mieć dobrą żonę,
trzeba ci pisarzu mieć dobrą wdowę [8]

W 1984 roku dom otrzymał status muzeum. Wdowa po Wołoszynie zadbała o wszystko. To właśnie jej zawdzięczamy najwięcej. Wdowa po poecie, jak wiele rosyjskich literackich wdów, resztę życia (prawie czterdzieści pięć lat) poświęciła ochronie pamięci. Jej stanowczość i rozsądek pozwoliły zachować i dom, i archiwum poety. Przez wszystkie lata podtrzymywała legendę tego wyjątkowego miejsca, którą tworzyli najwięksi artyści tamtego czasu. Zachowane zostały autentyczne wnętrza, archiwum, sprzęty, przedmioty (około 1500 grafik i 150 obrazów), które kiedyś otaczały poetę i ponad tysiąc książek. Dom ten do dzisiaj jest domem pracy twórczej. Raz na 2 lata odbywają się sympozja, tak zwane; „Wołoszynowskije cztienija" . Jest także coroczny „Wołoszynowski wrzesień" w muzeum artysty – na który zjeżdżają z całego kraju malarze i poeci.

Krystyna Śmiechowicz

---

1 Monsieur, to bardzo interesujące !
2 Tłumaczenia Seweryn Pollak
3 Mąż Mariny Cwietajewej
4 A. Zagorulko, „Gora i mysz'"
5 „Anioł zemsty" w tłumaczeniu Adama Pomorskiego
6 Tłumaczenie Seweryn Pollak
8 Wiersz Nikołaja Dorizo dla Eleny Bułhakowej
9 - Wszystkie cytaty pochodzą z książek; В П Купченко „Воспоминания о Максимилиане Волошине" i Максимилиан Волошин „Парижа я люблю осенний строгий плен"

Mogiła

Aleksandra Naróg

OBRAZY CZASU

Alina Biernacka, *Zamknięty czas*
Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2018

Alina Biernacka jest autorką sześciu tomów poetyckich, z których pierwszym były wydane w 1977 roku *Ziemie polarne*, przedostatnim natomiast – opublikowane w 2015 r. *Ptaki ze snów*. W każdym z tomów zauważyć można różnorodne dziedziny zainteresowań poetki. Pochodząca z artystycznej rodziny (jest córką skrzypaczki Grażyny Bacewicz oraz matką pisarki Joanny Sendłak), ukończyła malarstwo na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Ta interdyscyplinarność bardzo wyraźnie zaznacza się również w jej najnowszym tomie poezji *Zamknięty czas*, wydanym przez Fundację Światło Literatury.

Uważność odbiorcy budzą obecne już na okładce oraz w samym tomie fragmenty obrazów autorki. Opierają się one na delikatnych kolorach i pastelowych, abstrakcyjnych formach.

W artystyczny sposób wydają się zamykać w sobie doświadczenie czasu i ruchu. Motywy malarskie przeniesione zostaje również na przestrzeń wierszy – jak w utworze *O podobaniu się*, opisującym bliskie relacje malarki z własnymi obrazami. Wizje barw tworzone przez Biernacką są bardzo impresjonistyczne – towarzyszy im oniryzm i ciągłe zacieranie różnicy pomiędzy prawdą a fikcją – jak w wierszu *Ogród*:

Cisza. Cienie ustępują.
Różowe drzewa patrzą na mnie z góry (…).
Małe płaty błękitu, jakie widzę pomiędzy drzewami,
Ślą mi obrazy na szkle.
Czas galopuje przez ogród,
Nie zatrzymują go drzewa.

Czas – raz statyczny, innym razem „galopujący" – to główny motyw konstruujący warstwę tematyczną całego zbioru. To zarówno czas różnych etapów życia, jak i ponadczasowość sztuki i nieuchronność odchodzenia. Przenikają się one nawzajem w tekstach samych utworów, tworząc wariacje na temat relacji pomiędzy sztuką a życiem. Czas posiada w poezji Biernackiej – jakby na przekór tytułowi całego zbioru – formę zarówno otwartą jak i zamkniętą, które nieustannie się ścierają i poddawane są dynamicznym przemianom. W otwierającym cały zbiór utworze *Zamknięty czas*:

Jedna godzina spycha drugą,
Rozwarstwiają się,
Tworzą złomowiska czasu.
(…) Zamknięty czas nie sprawia się jednak tak,
jak powinien – kurczy się, niknie,
jego treść staje się jałowa.

Filozoficzna refleksja nad czasem opiera się w tomie Biernackiej na zakwestionowaniu ustalonego porządku pomiędzy światem ludzkim i światem sztuki oraz świadomością przemijania. Czas mitu i czas codzienności przenikają konstruując autoironicznie w nim zawieszoną bohaterkę liryczną. Pretekstem do jej ukazania okazuje się między innymi studium autoportretu – jak w wierszu *Minotaur*, gdzie odbijający się w lustrze mitologiczny stwór staje się zarazem figurą poetki daremnie oczekującej na swojego „wydawcę" – Tezeusza. Doświadczenie przemijania często staje się w poezji Biernackiej wyrażaną wprost refleksją nad śmiercią, posiadającą tu wymiar indywidualny i społeczno-kulturowy. W wierszu *A śmierć?* śmierć ulega karnawalizacji – „w jej kostiumach tańczą dzisiaj w Rio de Janeiro / na platformach samby". Jej widmo zdaje się krążyć nad bohaterami utworów; jak w utworze *Nie mówiłaś*: „zimna czerń / pośród jaśniejących galaktyk".

Jedynym pewnym ratunkiem przed upływającym czasem jest w *Zamkniętym czasie* przestrzeń sztuki – muzyki, obrazu i literatury. Pojmowana jest ona synestezyjnie – twórczość Mozarta staje się w poezji Biernackiej „czerwona jak powierzchnia Marsa", a niektóre obrazy przypominają „oratorium Caledry". Wątki muzyczne powracają w większości utworów – *Terrorze*, *Pomiędzy światami* czy *Julii, Romeo i innych*. To przede wszystkim muzyka klasyczna – opera, której tematyka zostaje przeniesiona na przestrzeń tekstu i żartobliwie uwspółcześniona. Warstwę intertekstualnych odniesień tworzą również klasyczne teksty literackie oraz mitologia. Przestrzeń kulturowa opisywana w poezji Biernackiej wywodzi się z zakresu dobrze znanego europejskiego kanonu. Bohaterowie literaccy przenoszą się w dzisiejsze czasy – jak Anna Karenina, która „(…) nie pije już laudanum, / szuka w internecie najlepszej szkoły / dla swojej córki", czy Julia, która „(…) pracuje w Europejskim Parlamencie / i tylko w weekendy widuje Romea". Sceny literackie są również inspiracją dla opisu anegdotycznych, ironicznych obrazków z życia sfer (*Z Henry'ego Jamesa*), stawiających pytania o kierunek rozwoju nowoczesnego społeczeństwa. Elementy kultury stanowią rodzaj pomostu pomiędzy dzisiejszym i minionym, gdzie – jak w wierszu *Pomiędzy światami* – Edgar Allan Poe staje się „specjalistą od przechodzenia / z tego świata do innego", podobnie jak Hermes „prowadzący dusze do Hadesu". Konfrontacja świata literatury ze światem współczesnym pozwala autorce na ironiczną redeskrypcję i reinterpretację kulturowych toposów. Czas wydaje tu jednak nieustannie dominować nad tłem kulturowym – jak pisze Biernacka, „nawet Impromptus Schuberta" nie mogą pomóc w samym procesie oczekiwania (*O czekaniu*), w którym czas „zakrzywia się i ucieka". Sztuka stanowi rodzaj zapomnienia, chwilowej refleksji w ciągłej pogoni za uciekającym i minionym.

To, co wysokie, bardzo często zderza się w poezji Biernackiej z poetyką codzienności. Autorka operuje nieskomplikowanym, zbliżonym do prozy językiem,

próbując uchwycić egzystencjalne paradoksy ludzkiego istnienia. W utworze *Świat jest sklepem* wątek sprzedawania towarów i ich zwrotu staje się zarazem ironiczną metaforą przebiegu ludzkiego życia. Dużą rolę odgrywa tu również szeroko pojmowane doświadczenie kobiece. Archetypową bohaterką kobiecą staje się w *Zamkniętym czasie* na przykład Mickiewiczowska Grażyna, która zaczyna „pisać na śniegu", czy wspomniana już Tołstojowska Anna Karenina, wrzucona w przestrzeń współczesnego konsumpcjonizmu. Nie jest to jednak kobiecość oparta jedynie o stereotypową cielesność i rytm natury. Biernacka analizuje w swoich utworach jej aspekt intelektualny i duchowy, godzący się z naturalnym rytmem życia, ale też twórczy, postrzegający świat sensualnie, ale z dużą dozą intelektualnego dystansu.

Wydaje się, że największą siłą tekstów Biernackiej okazuje się w *Zamkniętym czasie* ironia, traktowana jako sposób na złagodzenie doświadczenia zagubienia w czasie. Wyrażać może ona stosunek artystki do rozwoju techniki – jak obraz biletów, które rezerwowane są w dzisiejszych czasach „kliknięciem myśli". Perspektywa ludzka zderza się tu z perspektywą kosmiczną, przypominając w wielu momentach liryczną postawę Wisławy Szymborskiej, wyrażającą ironiczny dystans wobec ogromu wszechświata. W momencie jednak, gdy ta postawa ulega osłabieniu, ustępując miejsce poważniejszym tonom, niektóre z utworów w *Zamkniętym czasie* mogą wywoływać wrażenie zbytniej dosłowności i naiwności, czy czytelniczego niedosytu wywołanego zbytnią czytelnością motywów kulturowych. Nie jest to jednak przypadek częsty i nadmiernie przeszkadzający w odbiorze całego tomu. Poezja Biernackiej ponownie okazuje się, jak określiła to w tytule szkicu o twórczości Biernackiej Maria Jentys-Borelowska, „liryczną medytacją" – oszczędną w środkach wyrazu i pozostawiającą sporo niedopowiedzeń.

Aleksandra Naróg

Aleksandra Naróg

O ISTOCIE?

Joanna Sendłak, *Atotsi*
Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2019

Joanna Sendłak znana jest jako autorka sześciu powieści – między innymi *Z ogniem. Miłość Grażyny Bacewicz w przededniu wojny*, *Szklanka ambrozji* czy *Fano i filozofowie*. Na tle jej dotychczasowej twórczości – a także głównych nurtów współczesnej polskiej prozy – najnowszy zbiór opowiadań, *Atotsi*, wydaje się stanowić propozycję dość nietypową. Niektóre z piętnastu zawartych w tomie tekstów – *Twór Atotsi* czy *Wezwanie* były już publikowane między innymi w miesięczniku „Twórczość". Opowiadania Sendłak w często zaskakujący sposób łączą ze sobą konwencję fantastyki naukowej, przypowieści filozoficznej i realizmu magicznego, tworząc wariacje na temat relacji pomiędzy prawdą a fikcją na tle nowoczesnych procesów cywilizacyjnych.

Tytułowy neologizm *atotsi* odczytywać można jako anagram rzeczownika „istota". I rzeczywiście, cały zbiór opowiadań interpretować można jako opowieść o różnorodnych, nieoczywistych „istotach". Są one zarazem ludzkie i „nieludzkie", oscylujące na granicy pomiędzy snem i jawą i poznające mechanizmy społeczne zupełnie od nowa – jak główny bohater tytułowego opowiadania. Autorka opisuje rzeczywistość skonstruowaną niejako „na wspak", w oniryczny sposób odwróconą, gdzie zatarciu uległy podstawowe wyznaczniki pomiędzy realnym a nierzeczywistym. Wrażenie to podkreślają również ilustrujące zbiór prace graficzne Sendłak, przedstawiające surrealistyczne, znajdujące się w ciągłym ruchu i pełne labiryntowych detali miasteczko. Grafiki korespondują z treścią samych utworów, opisujących, jak mini-opowiadanie *Z lotu ptaka*, figurę tajemniczego miasta:

> Miasto z lotu ptaka było ogromne i puste. Po szerokich placach, podobnych do piłkarskich boisk, wiatr przetaczał śmiecie. (…) Na słupach ogłoszeniowych szarpały się na wpół odklejone kartki, ostrzeżenia przed zarazą i informacje z adresami szpitali. Listy nazwisk, kolumny drobnego druku maszerowały jak mrówki faraona (Z lotu ptaka).

Samo pojęcie *atotsi* zostaje również wytłumaczone przez narratorkę w opowiadaniu otwierającym zbiór – jest to imię jego głównego bohatera:

Zostałem ulepiony z chaosu. Jestem stworem człekopodobnym, ktoś nadał mi imię Atotsi. Niewiele pamiętam: skłębione kolory, powiewy wiatru i światło, przeraźliwe i intensywne, jakby wdzierało się w głąb czaszki, a może wydobywało się z niej? Nie umie określić, mam trudności z nazywaniem rzeczy, tyle nowych pojęć leży przede mną jak stosy kamieni (*Twór Atotsi*)

Część z tekstów zawartych w zbiorze to kilkudziesięciostronicowe, rozbudowane narracje, niektóre z nich natomiast stanowią kilkustronicowe miniatury prozatorskie. Można dostrzec między nimi znaczące różnice w przetwarzanych gatunkach i konwencjach literackich. Miniatury często poruszają w poetycki, metaforyczny sposób tematykę granicy pomiędzy życiem a śmiercią oraz snem i jawą (*Odchodzenie*, *Podróż* czy *Przyszłość*). Są one oszczędne w środkach wyrazu i alegoryczne – jak utwór *Czekanie*, przedstawiający bieg czasu jako metaforę płynięcia na łodzi z nurtem rzeki. Tematyka dłuższych utworów natomiast związana jest z – często groteskową i żartobliwą – krytyką absurdów nowoczesnej cywilizacji. Niektórzy z ich bohaterów noszą nazwiska rodem z twórczości Stanisława Lema – jak pan Cis, Kam czy Tsi, pojawiający się w opowiadaniu tytułowym. Przez inne z opowiadań przewijają się natomiast postacie rodem z teatru absurdu – Wysoki i Niski (*Wezwanie*), czy bohaterowie przypominający groteskowych bohaterów prozy Michaiła Bułhakowa – jak pojawiający się w opowiadaniu *Piramida* tajemniczy artysta Skiński.

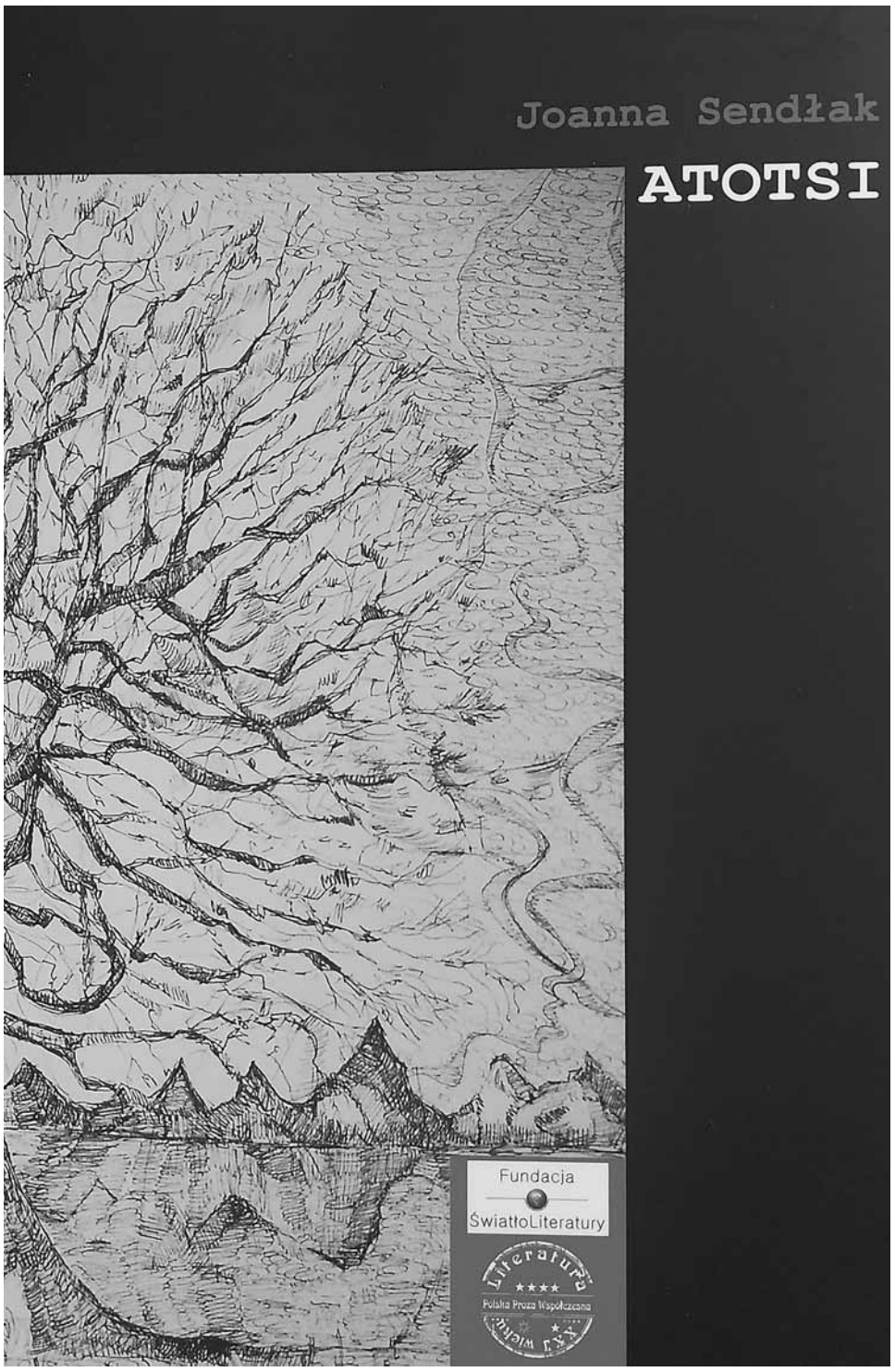

Narracja niemal każdego z opowiadań w zbiorze *Atotsi* oparta jest na surrealistycznej metaforze „wrzucenia" bohaterów w świat, wywołującego u nich doświadczenie niedopasowania i samotności. Oparta jest ona na chwycie uniezwyklenia pozornie znanej rzeczywistości. Bohaterowie prozy Sendłak to często postacie postawione w sytuacji bez wyjścia, na nowo go odkrywające to, co tylko pozornie znane – także najbliższe otoczenie czy też własną przeszłość i przyszłość. Żyją one niejako w zawieszeniu, poza obowiązującym czasem; śniąc, eksplorują różnorodne aspekty czasu i przestrzeni, pojawiają się w opisywanym świecie bez wcześniejszych uwarunkowań. Świat przedstawiony w tej prozie to rzeczywistość tajemnicza i oniryczna – często zdehumanizowana, jak wielopiętrowy budynek w utworze tytułowym. Opowiadania autorki *Atotsi* bardzo często zdają się być inspirowane poetyką absurdu i metaforyką kafkowską - niektóre z jej elementów autorka wykorzystuje zupełnie dosłownie. Powraca motyw zamknięcia w pułapce i pozostawienia w sytuacji niepozwalającej na odwrót, „zakleszczenia" w niewiadomym miejscu i czasie – jak we *Flanelowym uzurpatorze*, gdzie miasto staje się niemożliwym do opuszczenia labiryntem, w którym rozgrywają się losy dwojga bohaterów. Sytuacja rodem z *Procesu* powtarza się ponownie we współczesnym świecie, gdzie „w głowach łóżka siedzą dwaj mężczyźni. Są ubrani w szare garnitury i milczą. (…) Kiedy mrugam powiekami, wymieniają ukradkowe spojrzenia".

Sendłak porusza również w swojej prozie wątki związane z językiem i doświadczeniem kobiecym oraz procesem pisania. W wyraźnie inspirowanym językiem Olgi Tokarczuk opowiadaniu *Ona* obudzoną ze snu główną bohaterkę, pozbawioną pamięci i tożsamości, prowadzą przez jej własne wspomnienia archetypiczne postacie kobiece, przypominające matkę i córkę. Pamięć działa tutaj tylko poprzez strzępki obrazów, migotania barw i dźwięków. Na pierwszy plan wysuwa się w opowiadaniu Sendłak cielesne odczuwanie: odbieranie bodźców sensualnych płynących z zewnątrz. Zmysły nie wykazują się jednak ostrością, wychwytują tylko pojedyncze bodźce, z trudem przywołujące to, co zapomniane. Bohaterka przechodzi powolną naukę czytania i odbierania zapomnianych wrażeń na nowo. Jak opisuje poszukiwanie odpowiednich słów odzwierciedlających rzeczywistość narratorka:

Nie rozumiem ani słowa, ale monotonny głos kapie mokrymi dźwiękami. W głowie powstaje kopczyk sylab, które stworzą znaczenie, kiedy wyobraźnia dopasuje odpowiedni przedmiot. Przetrząsam szufladki w swojej głowie, ale tam, gdzie trzymałam nazwy, nic nie ma (*Ona)*

Joanna Sendłak próbuje w swojej prozie przyjrzeć się zarówno istocie nowoczesności, jak i doświadczeniu uniwersalnemu – zarówno męskiemu, jak i kobiecemu. Czasami ta wielość poruszanych aspektów i stylistyk może wprowadzać czytelnika w konfuzję, na pewno nie pozwala się jednak nudzić podczas lektury. Choć dobrą czytelniczą zabawą było dla mnie wychwytywanie różnorodnych intertekstualnych nawiązań i pojedynczych „mrugnięć okiem", lektura zbioru *Atotsi* nie pozwoliła mi jednak w tym momencie określić możliwych pól innowacyjności twórczości pisarki i malarki – samej jej „istoty". Jest ona bardziej zapowiedzią, rodzajem obrazowych, filozoficznych szkiców do obrazu nowoczesnej tożsamości

Aleksandra Naróg

Jan Stanisław Smalewski

O „Kamienicy" Renaty Elżbiety Paligi (2)

Może będzie tupała, może nawet zacznie krzyczeć nieprzyzwalająco. Od zwierciadeł jej oczu z niezadowolenia odbije się westchnienie: - Tylko nie to, nie on - mężczyzna samiec ma prawo plątać się po zakamarkach mojej „Kamienicy"!

Może?.. Bo ta „Kamienica" to kamienica symbol życia kobiety: kobiety - lalki, wcale nie porcelanowej w luksusie, ale zwykłej, takiej szmacianej lalki z dzieciństwa, wyciągniętej z mroków przeszłości, kobiety - samicy „Która nie otwiera drzwi", „Pięknej", „Kapryśnej", „Milczącej", kreującej się na „Trejsi", wreszcie dojrzałej mądrością zarówno własnych przeżyć, jak i doświadczeń wszystkich podobnych do niej kobiet.

I tylko takie kobiety potrafią ją w pełni zrozumieć, do takich kobiet jest skierowana ta poezja o wyjątkowej perswazji przekazu i przekonywania. To im, tym kobietom - wydawało mi się - ta „Kamienica" przywołująca szereg specyficznych doznań, jest dedykowana.

Tak pomyślałem, gdy pierwszy raz przeglądałem ten nowy tomik poezji Renaty Elżbiety Paligi, który ukazał się na początku 2019 roku w wydawnictwie Fundacji Światła Literatury w Gdańsku.

Mówiąc szczerze spodziewałem się kolejnego zbioru nowych wierszy autorki, lekarki, która swym zacięciem poetyckim połączonym z wykonywanym zawodem, po raz kolejny zaskoczy mnie ich urokliwością i nowoczesnym podejściem do poezji. ...Zbiorem wierszy.

No cóż, kobiety potrafią zaskakiwać - wiemy o tym od zawsze. Ta poetka, po świetnej książce poetyckiej „Osłuchiwania", która przecież była dopiero jej drugim tomikiem, zaskoczyła mnie autentycznie szczerze. Jej nowy zbiór poezji to nie tylko wiersze. Ten nowy tomik, mimo swej skromności tekstu, przepycha się w kolejce do Czytelnika bogactwem jednorodnych obrazów połączonych treściowo w całość dwoma klamrami: klamrą epickiej opowieści o przeszłości domu - kamienicy, w której Poetka spędziła dzieciństwo i klamrą wiążących je wierszy, których obrazy domalowują go do końca, wypełniając ramy nowego dzieła. - Tomiku, który - jak już dostrzegli jego redakcyjni recenzenci, okazał się nie tylko „udaną sztuką latania"; to poetyckie dziełko skrojone jest przez świetnego scenarzystę, niczym filmik o całym lotnisku, a ściślej rzecz ujmując o kamienicy, z udziałem żyjących w niej ludzi oraz ich doświadczeń związanych z „istnieniem czasu".

Tomik Renaty Elżbiety Paligi „Kamienica" to doskonale skomponowana i skrojona poetycko całość, wykraczająca poza typowe normy zbiorów poezji umieszczanych w typowych autorskich tomikach.

Już nie drugi raz, a nawet nie trzeci, czytałem wyrywkowo to dziełko. I wcale nie po to, by go zrozumieć; to poezja przeznaczona dla intelektualistów z wyjątkowym zacięciem filozoficznym rozumienia siebie i otaczającego nas świata. Zaglądałem do „Kamienicy" Renaty Paligi, żeby pogłębiać własne doznania i przeżycia z młodości, czy też z przeszłości w ogóle, przywoływać obrazy i rozszerzać ich spektrum refleksyjnego odnoszenia się do innych ludzi, wnikać w duchowość tych zapisów, porównując je z własnym JA i swoim egzystencjalnym bytem. Emocje, emocje... To bardzo ciekawe i pouczające zajęcie; kto lubi tego doświadczać, naprawdę polecam mu czytanie dobrej poezji, nie wykluczając przy tym poezji Renaty Paligi.

Maja Wolińska

Co do wstępnej uwagi przenaczenia tego poetyckiego zbiorku głównie dla kobiet, po gruntownej lekturze zdania nie zmieniam, ale... co do tego, iż poetka tupać na moje reakcje eseisty nie będzie, jestem pewien. Jestem o tym przekonany dlatego, że mimo iż tomik, podobnie jak miasto, w którym spędziła swoje lata młodości „ma posmak samotności" typowy dla kobiety; oczekującej na swojego księcia z bajki, na spełnienie marzeń o szczęściu rozumianym egzystencjalnie i o spełnieniach, których podłożem bywają nie tylko sny o wielkości, ale często także zwykłe plany ułożenia sobie życia w gąszczu ludzkiej dżungli. A tej dżungli przecież bez mężczyzny pokonać się nie da.

Zresztą, co by nie mówić, „kobieta zrozumie kobietę" (z wiersza „Kapryśna"), ale mężczyzna jest tylko genetycznym dodatkiem, bez którego nie byłoby siewcy, plonu, nie istniałaby ludzkość.

(...) ona i on - nie wiedzieli co się wydarzy
on - posłuchał instynktu
ona wessała go w siebie z pewnością samicy
krew z niej i jego strach czy zrobili dziecko
utwierdziły ich w przekonaniu
że jest już po wszystkim (...) - z wiersza „Kot" o Jance spod jedynki.

O ile kobieta - bohaterka tekstów poetyckich i wierszy jawi się w tym zbiorze Autorki w szerokim wahlarzu postaci czasowo różnych, od „małej dziewczynki" po „niekochane staruszki"; poprzez „Tę z dzieciństwa", „Tamtą z przeszłości", i „na Jaką czeka"; mężczyzna to tylko symbol jakiejś pojedynczej, najczęściej przysparzającej bólu lub smutku sytuacji. Ale jest, ulotny jak duch poezji, jak bezdomny na tle starej kamienicy.

W tej „Kamienicy „ zatem poetka:

(...) przewraca(m) wiele razy karty zapamiętanego świata
aby zobaczyć go prawdziwym
i nie odnajduję siebie w Tamtej
ani Mnie w niej (...)

bo świat się zmienia, zmienia się też kamienica, a głównie jej lokatorzy i wszystko nigdy się nie kończy. Dlatego Autorka zachęca wszystkich (zatem mnie również), otwierając całość tej publicystycznej ekspozycji powitaniem:

Witaj
w świecie
zdarzeń niezakończonych

Przynależąc zatem do mężczyzn - samców, którzy tak często kobiet do końca nie rozumieją, jestem pogodzony z tym, że rozdzielność płci nie tylko zresztą jest motywowana biologicznie (genetycznie), o czym także poetka będąca lekarzem informowała czytelnika już w poprzednich swoich tomikach, ale wynika również z umocowania kulturowego, biznesowego i wielu wzajemnie niespójnych potrzeb duchowych. Tu dominują raczej potrzeby różnego rozumienia świata i na jego tle rozumienia siebie, jako istoty w nim porzuconej.

Podoba mi się utrafiona zręcznie spójność pomiędzy tekstami o charakterze prozy poetyckiej, a treścią wierszy poszczególnych podtytułów zbioru. Jest mądra, przemyślana i ciekawa. Wprowadzająca w nastrój pewnego rodzaju niepokoju, często nawet irytacji, gdyż budowane na ich bazie obrazy zawierają w metaforach swoistą mieszankę surrealizmu z pastiszem pojęć na wskroś współczesnych, na przykład z półki Internetu, czy też medycyny.

Jako czytelnika urzeka mnie ta introspekcja. Ujmuje subiektywna ocena czasu i widzenie przez poetkę siebie w kimś, czy chociażby siebie sprzed lat.

Interesującym rozwiązaniem graficznym jest też oprawa książki; w podwójne ramy fotografii opisywanej kamienicy - na zewnątrz okładki i na jej wewnętrznych drugiej i trzeciej stronie. Wzmacnia niejako ona credo Autorki: Oto ja kamienica, w której mieszkają tylko samice - ...kobiety, koty, ewentualnie psy. (...)

W powietrzu (której) unosi się estrogen wymieszany z odświeżaczem powietrza(...). W której - (...) każde z mieszkań ma inny dźwięk dzwonka. Odgłos kroków na drewnianych schodach tłumiony przez dywaniki bywa trudny do zidentyfikowania. (...)

I w której - niepokoi poświata bramy, ale - „u stóp krętych schodów klatki wita wycieraczka z napisem WELCOME".

Ładne są te refleksje, a o specyficznej atmosferze panującej w kamienicy przekonujemy się na każdym kroku, bo oto (...) kiedy małe dziewczynki dorosną i stają się lekarkami (...) zdarza się coś, czego Czytelnik może spodziewać się od samego początku. Następuje retrospektywne połączenie losów. Subiektywne odczucia na temat roli czasu w życiu zarówno domowników, jak i samej Autorki im głębiej łączą się z kamienicą (kolebką dzieciństwa), tym większy wpływ wywierają na bohaterów tej opowieści.

Wspólnota losów: samotności, posiadania wspólnych przedmiotów: ..."kota, bezpańskiego człowieka" stwarzają pozory przynależności do tego samego świata. Łączą czasowo, ale... jednocześnie nakazują zmiany, zerwanie tych więzi krępujących murami miejsca pobytu, wyznaczającymi jednocześnie potrzeby pośredniego, bądź zdecydowanie bezpośredniego odnalezienia się w świecie wolnym od uprzedzeń, zawiłości i zawiłych norm przeszłości zmuszającej do szukania siebie w innym obszarze doznań i samorealizacji.

W jaki sposób Autorka „wyprowadza się" z owej kamienicy? To już pozostawiam Czytelnikowi do własnego doszukiwania się w tym fascynującym tomiku Renaty Paligi.

Jan Stanisław Smalewski

Renata Paliga, Kamienica, Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2019

Urszula M. Benka

Nie śpiesz się. Nie ma do czego. Nikt cię nie goni

Ani do śmierci, ani do miłości! – takie zdania-ocknienia albo, że „historia wywija nade mną ogonem jak maczugą" – trafiają się w wierszach transowych, pisanych przez młodość unerwienia i właśnie ocknięcia z maligny, nie dającą się upchnąć, zatrzasnąć w metrykalnych ramkach, tak jak utworu w przewidzianych ramkach formalnych. Gdyż miałyby one w sobie coś z kołków do świniobicia. Jeśli wyobrazić sobie scenę tego wywijania ogonem przez wielkie zwierzę (historia jest zawsze pamięcią; tu mowa o potworności spraw zalegających w pamięci) – kiedy sami bywamy w sytuacji skulonego wiersza lub prosiaka – to pozostaje nam giętkość uchylania się, właściwie taniec, a taniec, przynajmniej ludy naturalne tak wierzą, to sposób wyrażania siebie, świata i rzeczywistości.

Paradoksalnie, *Lacrimosę*, poemat zbudowany z siedmiu elegii, Marta Fox rozpoczyna wierszem o starzeniu. Starość okazuje się nawałem nieznanych dotąd, bo nigdy jeszcze aż tak intensywnych wrażeń zmysłowych, np. zapachu grzyba w piwnicy, zapachu koca na fotelu. Och, nie usuwają z przestrzeni psychicznej zapachu perfum Passion – po prostu go uzupełniają. Fox wymienia też pewne symboliczne miejsca, wręcz kultowe dla młodości metrykalnej, teraz omijane: czarne dziury, studnie z echem, zejścia do piekieł. Nie tędy droga. Droga przez kręgi piekielne stała się już dzisiaj trasą regularną i gęsto upstrzoną reklamami jak szosa na miejskich rogatkach, zarazem drogą na skróty, a o jej symbolice powiadamia się nas hurtem, w ramach obowiązkowej edukacji. Co nie ma nic wspólnego z trwożnym samopoznaniem, pełnym wstrętu i wahań.

Patrzę na ten późny już tomik wierszy cenionej poetki, ujmującej werwą i sex-appealem, porównywanej przez Tymoteusza Karpowicza z Haliną Poświatowską „ale na następnym poziomie" dojrzałości życiowej i, dodam od siebie, wolnej od szaleńczych ekstrawertyzmów – patrzę jednak przez pryzmat może nie tyle samych wierszy teraz, co jej książki, jaka ukazała się w 2004 we wrocławskim Siedmiorogu, *Coraz mniej milczenia. O dramatach dzieciństwa bez tabu*. Było to kilka rozmów, bo nie wywiadów, ale właśnie trwożnych rozmów, z osobami, jakie odpowiedziały na jej zaproszenie. Mówiły więc o swoich wczesnych doświadczeniach udręki odbierającej odwagę a nawet umiejętność przeżywania szczęścia. Jednej z rozmówczyń Fox wyjaśnia: „Nie chodziło mi o wspomnienia z tzw. trudnego dzieciństwa, trudnego z powodów obiektywnych – bo była wojna, bo była bieda, były choroby, był alkohol. Chodziło mi o dzieciństwo spędzone z rodzicami albo innymi dorosłymi opiekunami, którzy zafundowali dzieciom koszmarny los, ale czynili to z premedytacją: w imię tak zwanej miłości, chorych ambicji, fałszywego wstydu i bezwzględnego imperatywu społecznego nakazu wychowania dziecka na 'porządnego człowieka'; o dzieciństwo, w którym rodzice w imię tak zwanej miłości **poniżają** i jeszcze robią wszystko, by dziecko całe to wyrządzone mu okrucieństwo poczytywało za dobrodziejstwo." Brak akceptacji jest poniżaniem. Brak chęci poznawania dziecka przez dorosłych mało się różni od niepoznawania przyjaciela na ulicy – jest poniżające.

Coraz mniej milczenia było pierwszą znaną mi książką o tych sprawach, napisaną w Polsce przez cenionego pisarza – a nie przez zawodowego psychologa, nie przez terapeutę, i nie w formie skandalizująco głośnego debiutu jak Rozstania Magdy Dygat z 1998 (uwaga czytelnika za bardzo lgnie tam do pikantnych scen z życia gwiazd srebrnego ekranu) – bądź powieści, chociaż Marta Fox szerszym kręgom znana jest raczej jako prozaik. W prozie siłą rzeczy dominować zaczynają prawa fikcji, toteż i artystycznej manipulacji rzeczywistością. Nie tylko z winy pisarzy. Wydawcy poczytnego autora naciskają, aby nie komplikował, aby możliwie ułatwiał odbiór, a jeszcze nęcił czymś „hot". Powieść w rezultacie okazuje się często wypadkową artystycznych zamierzeń i tzw. realiów rynkowych, a to znaczy – literaturą śmieciową jednorazowego użytku. Fox umiała się obronić, niemniej jedną z form tej manipulacji bywa gra z odbiorcą w zgaduj-zgadulę co takiego w tekście jest „autentyczne". Rozmowy Marty Fox stanowiły wręcz przeciwieństwo celebryckich zwierzeń na pokaz. W wierszu *Dmuchaj na lustro* mówi ona coś kluczowego: ten cały proces arbitralnego „kształtowania", wykręcania nas ze złej drogi „na ludzi", powoduje, że spod matczynych palców nie popłynie mleko, tylko, jak z chorego wymienia, krew i...

Nie wyfrunie ze mnie gołębica,
Tylko wiersz –

Ścieżka tej poezji faktycznie omija piekielne czeluści tudzież dzieciństwo wykreowane, przesunięte do jakiegoś zalegoryzowanego „w ogóle" z zadęciem uniwersalności, mówi natomiast o codziennej szarzyźnie bycia razem w złej ciszy. Nie o gwałcie, ale o byciu grzeczną, dobrą dziewczynką, która jednak wolałby być bita kablem niż robić wujkom „to". Ta psychiczna przemoc ma teraz, po latach, zapach kapci, powraca pomimo potrzeby zapatrzenia się w okno. Zresztą, w zbiorku Fox *Wszystko co niemożliwe* z 2012 jest osobliwy wiersz *Moja Kora*. Klasyczna tam figura bolesnej matki, Demeter, strwożonej o zaginioną córkę, Kore, znalazła puentę z „tego świata", a mianowicie, że – skoro jestem matką – będę też pewnego dnia pożegnana za zawsze. Jest w tym przenikająca do szpiku dosłowność, ponieważ niezgoda na własne odejście oznaczałaby wyrok śmierci na córkę. Oznaczałaby narcyzm trzymania w zbolałych ramionach zwłok dziecka. Być może Fox w przyszłości odnajdzie związek podobnego „mitycznego" narcyzmu z odmową zgody na to, aby dziecko żyło po swojemu, aby odłączyło pępowinę i nabrało autonomii.

W środowisku wrocławskim, bliskim Marcie Fox z wielu względów, Coraz mniej milczenia przeszło bez żadnego prawie echa, chociaż mogło stanowić swoisty intelektualny przełom, wyłom w murach pozerstwa innych twórców tutaj, poza Janem Kurowickim (Momenty prozaiczne), którzy wciąż nie ośmielają się wprost nazwać własnej psychicznej rzeczywistości i – jeśli wolno się tak wyrazić – małpują ekspiację. Czym? Agresywnością tonu oskarżeń, tyle że nie winowajców, a jakichś „onych", poznawanych po dzieciństwie. Tym zastępczym gniewem maskują swoją wstydliwą studnię przeżycia upokorzenia, jak wilczy dół. Maskują ją też rozdzierającymi wołaniami „pokochajcie mnie, pokochajcie, wreszcie, do jasnej cholery!", „tak was nienawidzę za to, że mnie nie wielbicie!". Zamiast prawdy. Co stało się już natarczywą powszedniością, jak gdyby brak samozrozumienia rzutował na nierozumienie świata i zdobywania się na szczerość: socjologowie wprowadzają termin „postprawdy" .

Kilka razy już dotykałam problemu literatury jako aktywności zastępczej w poraniu się, neurotycznym, z matrycą upokorzenia. Literatura powojenna miała jeszcze długo wysoką rangę i pewien nimb, jaki kojarzył się z przywracaniem sobie poczucia bezpieczeństwa. Sukces literacki dawał nawet fory w mniej ważnych konfliktach z władzą komunistyczną. Mniej ważnych w tym sensie, że pisarz mógł wcale nie tykać kluczowej problematyki zniewalania, mógł nie naruszać cenzury „politycznej", a tylko drażnił surowe totalitarne obyczaje: ubierał się, zachowywał jak ktoś „niegrzeczny". Mógł więc kryć sporo potulności pod prowokatorską fryzurą hipisa lub Beatlesa. Każde zaczepienie go przez „władze" szło jednak na konto jego mniemanego wyzwolenia, chlał zatem spokojnie w naszpikowanych ubecją klubach i bezkarnie pokrzykiwał „Parszywy komunizm!". W momencie, kiedy zmieniał się system, ludzie ci nie potrafili wiele sprawić jako obywatele i jako społeczeństwo. Raczej przyspieszali wykruszanie się wymagającej publiczności kulturalnej.

Nie chcę oczywiście przypisywać akurat Marcie Fox jakiejś wysokiej świadomości w zakresie filozofii kultury. Ta poetka-prozaik dokonała rzeczy ważniejszej: zaczęła pisać o własnych poranieniach w sposób zrozumiały. Bez ucieczek w szumną „eschatologiczną" metaforykę. Bez przykucia do raz na zawsze zafiksowanej topiki pseudo-świata. Jej proza dla młodzieży to – w powyższym kontekście – kilka mocnych nazwań po imieniu kilku okoliczności rodzących upokorzenie, co doskonale wychwytuje młody czytelnik. Takich choćby, jak prawo młodziutkiej kobiety do macierzyństwa, do seksualności czyli własnych impulsów biologicznych. Fox uniknęła więc zarówno jałowej babraniny „nożem miłości w sercu", uniknęła kompulsji zasypywania rynku rok w rok tomikiem bądź przeciętnym, bądź epatującym „formalną rewolucją". Próba dokonania jakiejś summy tych spraw w *Autoportrecie z lisiczką* była w tym sensie jeszcze nieudana, że pozbawiona klarowności. Może za wcześnie Fox chciała podsumowywać? Osobiście cierpłam kilka razy, w tym czytając jej *Stycznia w marcu*, krótkie, sympatyczne wspomnienie z przyjazdu Janusza Stycznia do Katowic. Cierpłam, bo brakowało mi dystansu do jego okopów mityzacji, do jakich dorzucała tym samym swoje małe co nieco, powtarzając mantrę o rozdzierająco niezaradnym genialnym poecie. Aczkolwiek przemawiała za nią czysto ludzka dobroć serca. Lecz z drugiej strony, dzieje kultur są dziejami przyjaźni. Pytanie, czy kultury nie są właściwie niczym więcej, jak obecnością serca – lub też jego zmrożeniem? Lecz kultura a literatura to sprawy bardzo odległe. Aby kultura była przyjaźniami, literatura musi być bezlitosna. Musi być nie słodzikiem, ale solą nazywania spraw po imieniu, inaczej staje się wroga wobec wszystkiego, co kreatywne. Złe dzieciństwo zmraża nam wrażliwość, odbiera lekką swobodę dobroci, zmusza organizować dobroć, upolityczniać, ureligijniać, całkowicie wygłusza w niej zabawę – a nie ma kultury bez zabawy.

W *Lacrimosie* jednak poetka uwalnia się z chaosu. Kluczowe kwestie nazwała wprost: „bałam się ojca w trumnie", „miałam być dojną krową dla matki" albo – że ciało „wszystko pamięta" i wywija tą pamięcią jak ogonem. Pojawia się bezduszność księżowska z tym swoim wyciągniętym mędrowato palcem, jest wreszcie namiętność do mężczyzny ujęta jakby od dołu, tak, że w obiektywie wiersza widać muchę klejącą się do zroszonego falusa, przy czym w tle słychać głos babki trzy razy dziennie odchodzącej od zmysłów.

Lacrimosa, to płacz bez łez – niełzawy płacz. Spowiedź życia w niewielu tabletkach, ujęta bez apriorycznie nakazanych sobie stanów. Tytuły więc świadomie zaprzeczają stereotypom: „to nie jest pieśń" rozpaczy, żalu, więzienia. Nie są „tym". Natomiast niepokojem oraz ciszą są w Lacrimosie dwa osobne cykle wierszy. W ich przestrzeni większość miejsc to jakby pustka po czymś, co już było. Po prostu grubieje kokon miejsc już pustych – po czymś albo kimś, czyli czymś. Z konkluzją, że właściwie potrzeba tylko kąta bez strachu i jeden wiersz dziennie – nie trzeba go pisać. Wystarczy przeczytać.

Urszula M. Benka

Maja Wolińska

Jerzy Stasiewicz

Cisza w poezji Edmunda Borzemskiego

Tytuł do poniższego szkicu zaczerpnąłem z lektury ostatniej książki poety. *Coraz więcej ciszy,* tomik wydany w 2015 roku przez Krakowską Oficynę Konfraterni Poetów, jest jak na razie ostatnim słowem Edmunda. Miejmy nadzieję, że tylko „na razie". Bo twórczość poetycka Edmunda Borzemskiego, poety z Korfantowa jest niezwykle ciekawa. Debiutował w 1987r. Drukuje wiersze w licznych czasopismach i wydawnictwach zbiorowych. Rok 1992 przynosi jego debiut książkowy: *Podzielmy się słowem* (Opole). Za nim idą kolejne tomy: *Obok milczenia* (Opole, 1995), *Nieobecność to kamień* (Opole, 1996), *Wyścig o* (Opole, 1998), *Gwiazda Syzyfa* (Opole, 2002), *Nie gasić gwiazd* (Kraków, 2005), *Wiatrem po szkle* (Kraków, 2009), *Przetrwać* (Kraków, 2011), *Człowiek za burtą* (Kraków, 2014). Jest jeszcze książka z wierszami dla dzieci: *Malowanie słowa* (Opole, 2018). I wspólne przedsięwzięcie wydawnicze; z Ewą Maj-Szczygielską, Tadeuszem Soroczyńskim, Wojciechem Kałubą pt. *Fotografia poezji. Poezja fotografii* (Niemodlin, 2008).

Członek Związku Literatów Polskich, Konfraterni Poetów w Krakowie, Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Opolu oraz Niemodlińskiego Towarzystwa Regionalnego. Popularyzuje poezję wśród młodzieży szkolnej. Inicjator konkursu recytatorskiego poezji jenieckiej oraz cyklicznych spotkań z poezją patriotyczną. W uznaniu osiągnięć i zasług w dziedzinie kultury, uhonorowany tytułami: „Zasłużony dla Gminy Korfantów" oraz „Honorowy Obywatel Gminy Łambinowice". Jak z powyższego biogramu widać, człowiek niezwykle mobilny (pasjonat starych samochodów) i uczestnik dziesiątków spotkań, wieczornic, promocji, spektakli.

W sobotę 15 czerwca 2019r. miałem zaszczyt z Violą i Oskarem w Sanktuarium Matki Boskiej Bolesnej na Szwedzkiej Górce w obecności kustosza ks. Karola Wacholca, zaprzyjaźnionych kapłanów, poetów regionu śląskiego, uczniów Szkoły Podstawowej nr 2 w Korfantowie, licznych wiernych, pielgrzymów i muzyków, którym drogie jest słowo, uczestniczyć w obchodach 99. rocznicy urodzin Św. Jana Pawła II. W tym dniu również swoje 60. urodziny obchodził poeta Edmund Borzemski, w intencji którego odprawiono mszę. Jako jeden z nielicznych miał zaszczyt dwukrotnie uczestniczyć w prywatnej audiencji u Ojca Świętego, który wręcz nakazał, by nie zaprzepaścił talentu tworzenia liryki.

Spektakl poetycko-muzyczny „Rodzina Bogiem silna" w opracowaniu niezmordowanego Marka Krassowskiego przybliżył zebranym utwory poetów opolskiego kręgu: Agnieszki Tomczyszyn-Harasymowicz, Zbigniewa Kresowatego, Danuty Babicz-Lewandowskiej, Mirosława Łopucha, Anny i Piotra Myszyńskich, Waltera Pyki, Jerzego Stasiewicza, Krystiana Szafarczyka, Ewy Maj-Szczygielskiej, Jana Szczurka, prof. Mariana Zembali i jubilata w recytacji uczniów szkoły im. Czesława Niemena. Całość muzycznie dopełnili: na klawiszach Marysia Ruszecka, gitara klasyczna Staszek Młynarski, akustyczna Mirek Otręba.

Dalsza część urodzin to uroczysty obiad w murach szkoły. Był czas na złożenie życzeń i skromnego upominku. Jubilat drżącym głosem podziękował wspaniałym rodzicom Stanisławie i Zdzisławowi za tyle lat troskliwej opieki, kardiochirurgii prof. Marianowi Zembali za uratowanie obojga rodziców. Wspomniał swoich mentorów na poetyckiej drodze, prof. Zbyszko Bednorza – pracownika delegatury rządu londyńskiego na kraj - za odkrycie jego talentu i przekazaniu dalej Harry'emu Dudzie, wyroczni tutejszego środowiska literackiego, u którego w wydawnictwie „Wers" drukował kolejne książki.

W przekazie multimedialnym zobaczyliśmy całe życie poety. Od zdjęcia małego Mundka przenikliwie patrzącego na świat - te oczy zapowiadały nieprzeciętność - poprzez szkołę podstawową, średnią, studia, powożenie końmi, w gnieździe rodzinnym z dziadkami, spotkania w szkołach z młodzieżą, w bibliotekach z czytelnikami, w czasie kolejnych przystanków „Najazdu na zamek brzeski" z poetami niemalże z całej Europy, jurorowanie w konkursie poezji jenieckiej, której jest pomysłodawcą, a w tym roku minęła 27 edycja.

Janusz Ireneusz Wójcik przekazał list gratulacyjny od Marszałka woj. Opolskiego, a Edmunda zaskoczył reportażem: „Moje kroki po Wilnie", będącym retrospekcją pobytu poety na festiwalu poetyckim „Maj nad Wilią" sprzed dwudziestu z górą laty. Organizowanym do dzisiaj przez Romualda Mieczkowskiego. Widzimy poetę z grupą pisarzy, mamą, Ewą Maj-Szczygielską przy pomniku Adama Mickiewicza. Potem podąża śladem czterech kolejnych adresów zamieszkania autora „Dziadów". Jest w celi Konrada. U Matki Bożej Ostrobramskiej. W dzielnicy artystów i na cmentarzu na Rosie przy grobie matki z sercem syna. Towarzyszą Edmundowi Wojciech Piotrowicz i prof. Szostakowski, Widzę w oku jubilata łzę podróżnika i dumny jestem, że wraz z rodziną obok dziesiątków gości zostałem zaproszony na jego urodziny. I wiem jak wybitną postacią jest w swoim środowisku, czego dowodem są dzisiaj obecni. Bo w pędzie dzisiejszego świata mamy czas na wszystko. Tylko nie na spotkanie człowieka z człowiekiem.

Patrzę po sali i widzę tych, którzy zawsze byli przy Edmundzie, a odeszli na niebiańską łąkę: Wiesława Malickiego, Zygmunta Dmochowskiego, Karolinę Turkiewicz-Suchanowską, Tadeusza Sroczyńskiego. Jak bardzo ich brak w środowisku.

Edmund często przywołuje Charona, ponurego starca ze szczeciniastą siwą brodą, w stroju niewolnika i okrągłym kapeluszu, przewożącego łodzią dusze zmarłych przez rzeki Hadesu – Styks i Acheron. Wierzy, że gdzieś jest podziemny Hades poetów, do którego dotrą wszyscy lirycy za opłatą jednego (wiersza) obola wkładanego w usta. I wie, że poezji nie można dzielić, gdyż jest nieśmiertelna. Oczywiście nie wszystka.

Lubię to miejsce,
przylatują tu
potargane anioły
z przetrąconymi skrzydłami,
szumią Kujawy
pszenne i buraczane.
Twoje słowa Zygmuncie
to wciąż *płonąca sól*,
chodź Ty sam
już po tamtej
stronie Styksu.

Rozłożyłem na stole wszystkie tomy Borzemskiego. Okazuje się, że pierwszych czterech brak. A przecież miałam wszystkie. Pożyczyłem życzliwemu i przepadły. Ot dobry zwyczaj nie... I wspomniała mi się opowieść Edmunda, który po brzeskiej nocy poetów wspominał, że skradziono mu kilka egzemplarzy. Na co jeden ze starszych kolegów rzekł: „Ty się ciesz chłopie, że chcą Cię czytać, a nie mają pieniędzy. Ja rozdaję darmo, a nikt książki nie chce wziąć."

Świat poetycki Edmunda Borzemskiego zamyka się w czworoboku: Opole, Łambinowice, Korfantów, Gracze. Przeżycia, doznania, obserwacje, sny i zasłyszane historie przenikają przez siebie. Są echem głębokiej studni z solidną cembrowiną ewangelii i mitologii, które poeta przywołuje w puentach wierszy.

Własnymi ścieżkami
Chodzę, Panie –
nie tymi,
któreś wskazał.

Ale tak na wszelki wypadek
dojrzyj mnie w tłumie
raz jeszcze.
Spotkajmy się
na drodze
niekoniecznie
do Emaus.

Kolejny liryk potwierdzający ogromną wiedzę:

Dzięki Ci, Panie,
że pokazałeś mi
ścieżki Barabasza.
Nie aspiruję do jego świętości
ani do krzyża,
który mu ofiarowałeś.
Drogi, na których znajdę
Twoje ślady
pokonam jak gladiator,
nie zabijając bliźnich.
Kiedy będę szedł
na moją Golgotę,
napoisz mnie winem.

Dla mnie w twórczości poety ważne jest, że w swoich wierszach korzysta i cytuje kolegów po piórze, jakby duchowo łączył się z nimi, a co za tym idzie, przemawiali jednym głosem, przykładem cytowany w tym opracowaniu pierwszy utwór pt. „Wspomnienie II". Inny przykład:

Stojąc przy rampie obozowej,
nie krzyczę z bólu.
Pamiętam, Zygmuncie,
Twój „Przystanek Lamsdorf"
i ten brzuch przestrzeni
przepasany kolczastym drutem.

Jutro znów gwiazdy
przejrzą się w lustrach
kałuż.

Z wioski Gracze, będącej miejscem dzieciństwa, uczynił niemalże mitologiczną Itakę:

Dom
moich Dziadków
jeszcze stoi.
Jak Odys
do Itaki
wracam do niego
wspomnieniami.
Argos
szczeka radośnie,
choć jego buda
rozpadła się
z tęsknoty.

Kładę rękę
na ramieniu ślepca.
Jeszcze tylko on
mnie rozpoznaje.

Zabijam marzenia
jak zalotników
Penelopy.

Z babci Anny i dziadka Franciszka ludzi świętych za życia. Egzystujących w trudzie uprawiania ziemi: orki, siewów, sianokosów, żniw, zbioru buraków i wykopków. Z pór roku następujących po sobie nieubłaganie i cyklicznie - czas błogi utrwalony w podświadomości na zawsze. Konie jak pegazy codziennie dzwonią podkutymi kopytami na pobudkę, przynosząc w blasku poranka zaczyn nowego wiersza. I tak będzie dokąd sił starczy.

Jerzy Stasiewicz

Roman Warszewski

Hiszpanie czyli... Polacy

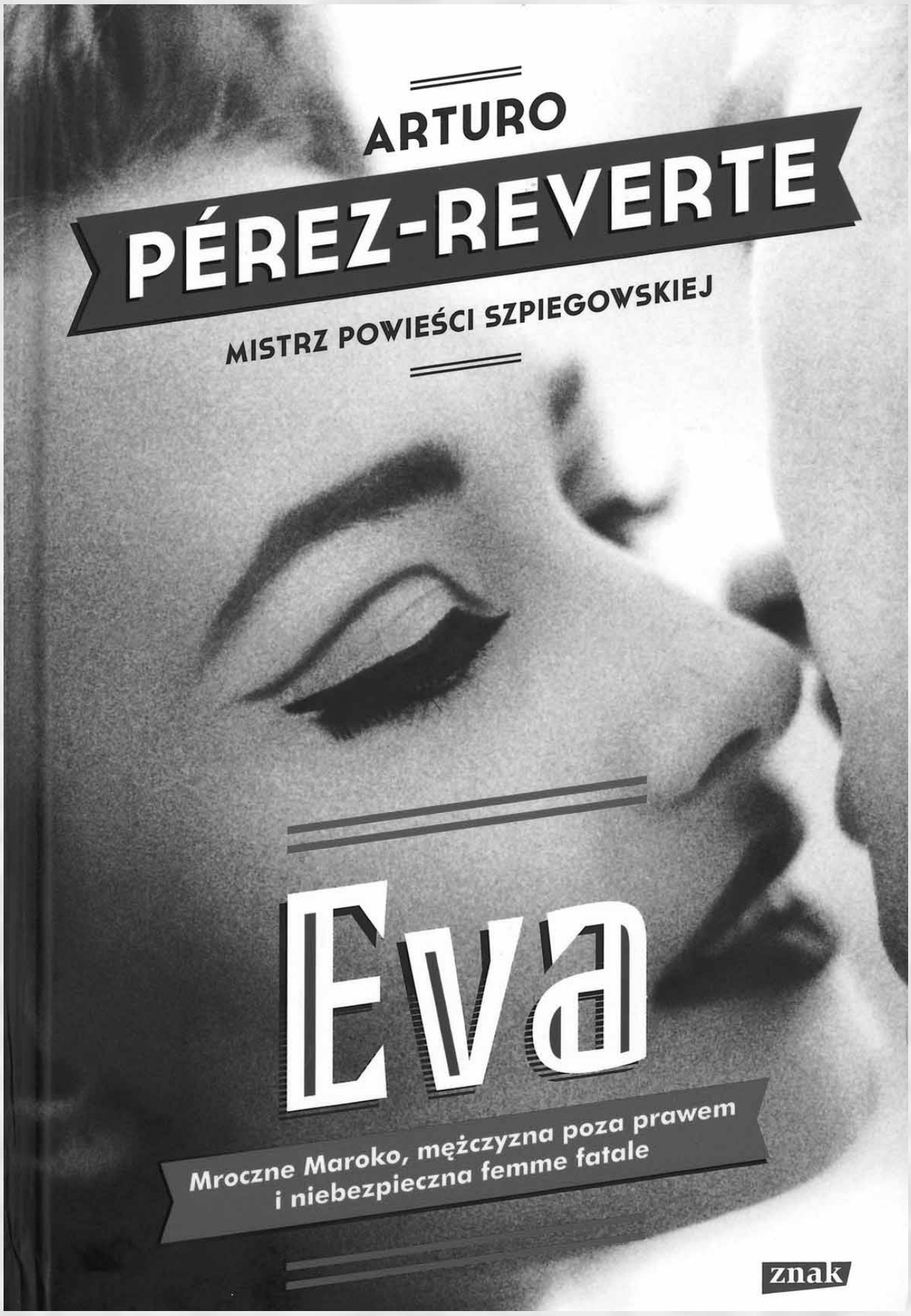

Arturo Perez-Reverte jest jednym z najznakomitszych piór współczesnej literatury hiszpańskiej. Zaczynał jako korespondent wojenny – co dało mu świetne przygotowanie do nowoczesnego pisania z reporterskim nerwem –, natomiast obecnie jest pisarzem celebrytą, już wielokrotnie zgłaszanym do literackiej nagrody Nobla.

Ale nobel jest mu niepotrzebny. Bez tego ma ogromną popularność, a tyle, ile w dolarach wynosi literacki nobel, on inkasuje jako zaliczkę, gdy wydawcy oznajmia, co chce napisać. Tak też było w przypadku tomu „Eva", będącego kontynuacją niedawno opublikowanej książki pt. „Falco". – Wiele wskazuje na to, że Reverte zamierza stworzyć nowy wieloksiąg, podobny do historii kapitana Alatriste jego autorstwa, tym razem jednak umiejscowiony nie w czasach Trzech Muszkieterów, lecz w okresie „guerra civil" – wojny domowej, jaka rozrywała Hiszpanię w latach 30-tych XX wieku.

Przypomnijmy: W wyniku wyborów na początku roku 1936 w Hiszpanii zdecydowaną (choć nie miażdżącą, jak potem niektórzy twierdzili) większość zdobyła lewica. Wzbudziło to wielkie niezadowolenie prawicy i wyższych oficerów hiszpańskiej armii, spotęgowane przez zabójstwo przedstawiciela prawicy Jose Calvo Sotelo (co z kolei było rewanżem za zabójstwo Jose Castillo, związanego ze stroną republikańską). W połowie lipca 1936 doszło do buntu wojskowych i stworzenia przez nich „junty", na której czele stanął generał Miguel Caballenas Ferrer. Reprezentował on nacjonalistyczną stronę konfliktu, do którego wybuchu doszło 16 lipca 1936 r.

Strona republikańska, reprezentowana przez większość zasiadającą w Kortezach (hiszpańskim parlamencie) była zaskoczona rozwojem wypadków i – organizując własne wojsko oraz różnego rodzaju milicje – odpowiedziała na nie z pewnym ociąganiem. W tym czasie z Maroka ruszyły do Hiszpanii dowodzone przez generała Francisca Franco liczne oddziały wspierające nacjonalistów. Po dotarciu na Półwysep, szły one praktycznie od zwycięstwa do zwycięstwa. Starcia były bardzo krwawe. Okrucieństwem wykazywali się zarówno republikanie, jak i nacjonaliści. Żadna ze stron w mordowaniu siebie nawzajem, jak i ludności cywilnej wspierającej przeciwnika, nie chciała pozostać w tyle.

Mniej więcej w tym momencie zaczyna się historia opisana Pereza-Reverte w powieści „Eva". Z Hiszpanii, z Kartageny, wypływa na Morze Śródziemnej statek Mount Castle, w którego ładowniach znajduje się złoto zabrane przez republikanów z państwowego skarbca. Ma ono trafić do ZSRR, do Odessy. (Związek Radziecki w konflikcie nacjonalistów z republikanami, stał oczywiście po stronie republikanów) Nacjonaliści nie chcę oczywiście do tego dopuścić. W ślad za Mount Castle wysyłają okręt wojenny Martin Alvarez, który ma albo złoto przejąć, albo zatopić Mount Castle.

Statek ze złotem chroni się w Tangerze – mieście, które w tamtym czasie miało status zbliżony do statusu Gdańska w okresie międzywojennym. W ślad za nim do Tangeru wchodzi Martin Alvarez, który ściganej jednostki nie chce stracić z oczu. Cumuje nieopodal statku ze złotem. Niemalże burta w burtę. Marynarze obu jednostek widzą się, a nawet spotykają się i rozmawiają… Z uwagi na międzynarodowy status Tangeru, w porcie między obiema jednostkami nie może dojść do starcia. Sytuacja jest patowa. Nie może jednak trwać wiecznie.

Zadaniem Falco – pracownika wywiadu nacjonalistów jest odzyskanie złota znajdującego się na Mount Castle. Jak tego dokonać? Możliwe są różne rozwiązania. Przekupienie republikańskiego kapitana, albo nocny, niespodziewany atak na statek ze złotem. Szybko jednak okazuje się, że żadna z tych opcji nie jest możliwa do wprowadzenia w życie…

Ostatecznie Martin Alvares – okręt pościgowy, opuszcza Tanger i we mgle, na morzu., czeka aż Mount Castle – znacznie słabiej uzbrojony – w końcu zostanie uznany w Tangerze za jednostkę „non grata" i będzie musiał opuścić port. A wtedy Martin Alvares otworzy do niego ogień i Mount Castle zostanie zatopiony. Złoto pójdzie na dno, ale nie trafi do Odessy.

Tak też się dzieje. Jedyne, co Falco osiąga to to, że znana mu z przeszłości tytułowa Eva, reprezentująca na pokładzie Mount Castle interesy ZSRR schodzi na ląd i już na pokład nie wraca. Najprawdopodobniej unika przez to śmierci. Jednocześnie – szeroko otwiera drzwi do trzeciej części cyklu o przygodach Falco.

Co – prócz interesującej intrygi i znakomitego warsztatu autora – w książce jest ważne?

„Eva" to niespodziewanie także książka o Polsce – o głęboko podzielonym społeczeństwie, które, gdy już się rozpadło, bardzo trudno na powrót scalić. Hiszpanie już zawsze byli porównywani do Polaków – choćby przez temperament, zamiłowanie do zabawy, przez głęboko zakorzeniony katolicyzm, wspomnienie dawnej odległej świetności, czy wieloletnie trwanie w dyktaturze.

Autor książki, choć nieśmiało, zdaje się to podpowiadać.

„Falco (…) – pisze – był przyzwyczajony do poruszania się po terytoriach o niesprecyzowanych granicach (…). Lokalna atmosfera była dlań tak znajoma, jak granica między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi albo niespokojny pas oddzielający Europę Środkową i Bałkany od Związku Radzieckiego. Te miejsca ewidentnie coś łączyło (…)".

Strona nacjonalistyczna opisana w „Evie" to jakby PiS; republikańska – Koalicja Europejska; nieprzejednani wrogowie. Falco nie udaje się dogadać z kapitanem Quirosem, dowodzącym Mount Castle, ponad politycznymi podziałami, w imię racji nadrzędnych. Quiros jedynie blefuje, że jest to możliwe, natomiast tak naprawdę próbuje Falco wciągnąć w zasadzkę.

A wydaje się, że powinno być inaczej. W pewnym miejscu, opisując rozstanie marynarzy z obu statków po wyjściu z tawerny, w której przypadkiem się spotkali, Perez-Reverte stwierdza:

„(…) Marynarze zaczęli się rozdzielać, republikanie odchodzili w jedną, narodowi w drugą stronę. Robili to niechętnie, zauważył Falco. Niemalże wbrew sobie. Wielu uśmiechało się do siebie, a niektórzy nawet ściskali sobie ręce, zanim odeszli ze swoimi.

Negus i podoficer wymienili ostatnie spojrzenie. Nie odezwali się do siebie ani słowem. Pierwszy schylił nieco głowę, na jego ustach zarysował się uśmiech, drugi odpowiedział tym samym. A potem każda grupa udała się różnymi ulicami na swój statek".

Co jedynie udaje się osiągnąć to to, iż gdy Mount Castle zostaje zatopiony, Martin Alvares stara się podjąć na swój pokład jak największą liczbę rozbitków; następnie wysadza ich na ląd w Tangerze, gdzie ręka sprawiedliwości nacjonalistów na pewno ich nie dosięgnie.

Podział można więc zasypać dopiero w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Nie wcześniej.

Roman Warszewski

Arturo Perez-Reverte, „Eva", tłum. Marzena Chrobak, Wydawnictwo Znak, Kraków 2019, ss. 425

Andrzej Walter

Gdzie my, tam niebo coraz bliżej

Jednym z najbardziej zagadkowych tomów poezji, z jakim dane mi się było w swoim życiu zetknąć okazał się zbiór wierszy sprzed siedmiu już lat, znanego i rozpoznawalnego wielkopolskiego poety Zbigniewa Gordzieja zatytułowany „Piórem po żebrach anatomii". Nienapisanie o nim przez te siedem lat to w moim odczuciu ogromne zaniechanie, niedopatrzenie, tudzież mój wielki wyrzut sumienia.

Długo się też broniłem przed konsekwencjami wniknięcia w tę podróż. Ten tom ma bowiem dla mnie swoją jakże niepowtarzalną historię. Wkroczył on bardzo mocno i odważnie na najważniejsze medyczne salony. Czytał go (i to z pewnością dość wnikliwie) sam profesor Marian Zembala (którego cenię, szanuję i podziwiam). Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że najważniejszy kapitan polskiej kardiochirurgii sam pisuje (niezłe) wiersze, że ów lekarz wielkiego serca, sam serce ma na wyciągnięcie swojej drogocennej dłoni, wtedy nie przeczuwałem jak mogą splatać się: poezja z medycyną i jak mogą: współistnieć, dopełniać się, kreować duchową intensywność i jakże często wyrażać się w literackich poszukiwaniach najważniejszych prawd życia przez lekarzy, właśnie w słowie.

I nagle dotarło do mnie, że Zbigniew Gordziej odwrócił ten porządek. Stanął sam naprzeciw wzbierającej fali piszących i poszukujących lekarzy, jako poeta, który najbardziej indywidualnie i samodzielnie odkrywa zagadki (nazwijmy to – nieśmiertelności) w potężnych i rwących meandrach medycyny, w jej szerokim spektrum odcieni, w jej gąszczu odkrywania, wreszcie w jej urzekającym, magnetycznym przyciąganiu wszelkich umysłów niepokornych.

Medycyna dla Zbyszka Gordzieja to niemal kamień filozoficzny ludzkości, kwintesencja jedności wszystkich żywiołów, najważniejszy szlak, na którym można bodaj najwięcej uczynić dla ludzkich istnień. I jest w tym Gordziej doprawdy niesamowicie przekonywujący. Jego poszukiwania poetyckie na kartach „Piórem po żebrach anatomii" docierają o wiele dalej niż nam się wydaje, choćby po pierwszej lekturze wierszy. Przywołuje postaci z różnych specjalizacji i epok, największych z wielkich, i obok tych mniej znanych, przywołuje lekarzy z krwi i kości (z żeber anatomii) i jakże idealnie ludzkich, oddanych bliźniemu i nauce, oddanych odkrywaniu i służbie, oddanych wierze i wytrwałości oraz oddanych idealizmowi postawionemu ponad naszą ludzką śmiertelność w imię niesienia ulgi drugiemu człowiekowi.

Gordziej nie ukrywa swojej fascynacji. Rozmawia z nimi, zadaje im niewygodne pytania, które i nas, uwierają u swych źródeł, jak i w szerszej perspektywie, poeta czasem rozważa nawet sam ze sobą, ale i dla nas to czyni, jak to jest, chcieć za wszelką cenę podarować ... kolejny dzień. W medycynie bowiem liczą się fakty, wyliczenia, diagnozy i prognozy prawdopodobieństwa, ubrane jednakowoż w bezbarwny konkret, od którego często nie ma już odwrotu. Jego bezbarwność, jak się okazuje, może jednak mieć swoje kolory, może tylko odcienie, szkopuł w tym, że każdy z nas widzi jej jakby inaczej.

Zbigniew Gordziej stworzył tom wyjątkowy i bardzo przewrotny. Jego artyzm ukrywa się między słowami, między znaczeniami i stanami świadomości, pomiędzy dygresjami życiorysów przywołanych postaci, pośród gąszcza tajemnic kryjącymi się za losami lekarzy, za ich sumieniami, duszami, za ich myślami, motywacjami i niespełnionym często pragnieniem. Jego wymiar jest tak mocno intelektualny, że jest to tom wierszy tylko dla ludzi cierpliwych, dociekliwych, słowem dla tych, którzy odważą się przyznać o swej niewiedzy przed samymi sobą i po odszukaniu niezbędnego kontekstu pojmą wielką ideę. To jest tom dla ludzi pokornych i tych, którzy jednocześnie: trwożą się, ale i szanują ... przypadek Końca. Koniec jest bowiem niemal namacalnie nieuchronny, lecz jego nieuchronność jest też tak dalece wielowymiarowa, że dajemy wiarę poecie, kiedy wskazuje nam czym jest: ból, czym jest jego (poety) górskie marzenie (jako panaceum) i (ludzkie) wyzwanie, tudzież jak mocno poezja splata się z medycyną właśnie i z życiem, z Tatrami, z miłością i z nadzieją, wreszcie też - z najprostszą codziennością, którą stabilizuje się najlepiej naszymi małymi ucieczkami w inność.

Bardzo ciekawie zgłębia się tom, tom, którego się nie rozumie, który jednakowoż fascynuje, przez który się nieśpiesznie przedziera i który się stopniowo i powoli się przed nami otwiera. A na końcu jest (jak zawsze) wielka nagroda. Są myśli i spojrzenia, chwile zachwytu i chwile refleksji. Oddala się samolubne, beznadziejne i przewrotne ja, a w zamian przychodzi cały niepokój czasów, ludzkiego, pięknego dążenia do pomagania drugiemu człowiekowi, a potem też, jakby w kontredansie przychodzą nasze bliskie, zawsze wytęsknione, wymarzone i jedyne, najpiękniejsze góry na świecie – Tatry, gdzie zaczyna się Polska i gdzie leżą już chyba od dawna wszystkie nasze serca od tych właśnie najlepszych gór do morza...

Ja głęboko i prawdziwie tę Zbyszkową tęsknotę rozumiem i podzielam. Tatry bowiem to coś więcej niż tylko góry. To Góry Przemienienia. To Góry zagubienia i odkrycia, góry naszych ludzkich ścieżek, którymi jedni szli do Boga, inni do nadziei, a jeszcze inni do samego siebie. Czymkolwiek była ta droga, jakikolwiek był jej kres, była z pewnością wymiarem przeznaczenia i jako takie Tatry stanowią dla nas pewien mit, czy symbol, a może i nawet pewnego rodzaju: odnośnik, drogowskaz czy jakże niezbędną pustelnię. Tatry to najczystsze źródło naszej dojrzałości. Prawie każdy z nas nosi w sobie jakąś historię związaną w Tatrami. To bardzo wiele. Zbigniew Gordziej opowiedział nam tu swoją.

Jego historia jest... subiektywna. Czyja taką nie jest?

Jest trudna, jak wszelkie nasze historie. Jak oczekiwanie na Tanatosa, jak okowy cierpienia, jak lęk przed bólem, jak Jaskinia Mylna, jak sale operacyjne, tęsknoty, wspinaczki na te wszystkie nasze góry, na które z syzyfowym uporem wspinamy się od lat... aby znów dostać kopniaka i rozpocząć znów, beznamiętnie i uporczywie od początku.

Ta medycyna, idee fixe u Gordzieja ma posmak wieloraki: renesansowy, tantryczny, aksjologiczny, magnetyczny i magiczny i jeszcze wielu, wielu sensów i innych wysublimowanych wydźwięków możemy się tu dopatrzeć, a w połączeniu z tymi Gordziejowymi Tatrami

kiedy z lampką czerwonego wina w ręce
wyszedłem by spojrzeć
w niebieskie podniebienie Ziemi

(...)

zrezygnowałem z zagranicznych wojaży
wszedłem na Kozi Wierch
niebo było bliżej
pogłaskało mnie po twarzy
słońce rozjaśniło źrenice

Słowa wołały o papier

I zawołały bardzo donośnie. A pomiędzy tatrzańskim echem, lawiną, miłością i medycyną odnajdziemy trzy jakże ciepłe, piękne i osobiste wiersze, do Żony, do Ojca i do Matki. Poeta jakby się tłumaczy, jakby ma sam przed sobą skrupuły wyboru tej własnej drogi w życiu. Ma chyba sumienie, wciąż żywe, czułe i wrażliwe. Niezatapialne wręcz. Wiem to, bo znam Go osobiście i czuję się taką znajomością ... zaszczycony, cokolwiek Zbysiu po nas pozostanie. Wiesz jak to jest, po prostu, coś nam każe ... resztę każdy sobie tu dopisze sam.

Czuję się zaszczycony ze względu na zaczyn przyjaźni, ze względu na to, że pomimo różnic w poglądach odczuwamy obaj chyba pewną jedności idei, wspólnotę przekonań najgłębszych i solidarność fascynacji tego największego osiągnięcia ludzkości – renesansowego humanizmu, będącego motorem ludzkości w jej dążeniu ku realnej chęci poprawy ludzkiego losu. Wiemy już też, że dobrymi chęciami piekło brukują, ale z drugiej strony „piekło to inni" jak mawiał Sartre, a gdzie jest to piekło, no ba, tego już chyba nikt nie wie... no, może Michaił Bułhakow... który jakże sugestywnie opisał bal w piekle... i to jest właśnie nasze życie: książki, ludzka myśl, empatia, prawda, cel, idea, wspólnota, i wreszcie najważniejsza - sztuka... w końcu poświęciliśmy Jej całe życie...

Ten tom urzeka swoją autonomią. Czaruje swoją innością. Poraża przemyśleniami intelektualisty przełomu wieków i prowadzi nas dostojną ścieżką ludzi wielkich, dla których słowo Człowiek znaczyło o wiele więcej niż słowo Ja, dla których medycyna nie była tylko nauką, ale innym wymiarem rozpoznania rzeczywistości i rzucenia jej brawurowego wyzwania, wreszcie dla których ból, lęk i cierpienie nie były zamkniętą oczywistością, ale ledwie bramą w te nowe przestrzenie, gdzie możemy po prostu je przezwyciężyć i pokonać. Medyczna fascynacja Gordzieja ma zatem głęboko humanistyczne podłoże, naznaczone sztuką i literaturą, naznaczone poezją i poszukiwaniem wymarzonej Arkadii, ale z możliwością odnalezienia jej tylko przez pryzmat drugiego człowieka.

„Piórem po żebrach anatomii" to tytuł bardzo skromny. Nie znajdziecie w nim próżności, pysznienia się, nonszalancji, silenia się na oryginalność, to tytuł osobisty, taki Gordziejowy sposób spojrzenia na świetny tom poezji, który napisał. Nie jest to jednak skromność bezradna. W tej skromności jest i siła. Siła polegająca na bezkompromisowości i to bezkompromisowości uzasadnionej, popartej argumentem, istotą, esencją, w nade wszystko wiecznie żywą ideą. Jest nią wiara w to, że człowiek nie powinien być świnią, nie powinien się upadlać, upokarzać, załamać i dać złamać. Jest nią wiara, że człowiek to coś więcej niż systemy, które stwarza, czy to systemy świeckie czy religijne. Tu też jest ten pomost, który nas łączy. Nas oraz wszystkich ludzi dobrej woli. To przesłanie oczywiste po lekturze tej wytrawnej poezji. Poszukiwania Zbigniewa Gordzieja są warte lektury. Są warte czasu, zgłębienia i zanurzenia się w tę poetycką wizję medycznego świata, być może dalece odrealnionego od polskiego systemu tak zwanej służby zdrowia, lecz nie o to w poezji chodzi, aby być kreatorem realistą. W tym też kontekście tom Gordzieja jest bardzo ważny, gdyż przypomina nam wszystkim ten, być może dziś zapomniany, mistyczny wymiar medycyny i powołania do medycyny.

Jestem sam z rodziny lekarskiej. I zaprawdę powiadam Wam, wiem o czym mówię i piszę. Dzisiejszy lekarz (w większości, bo nie wszyscy) to cynik z zanikiem empatii. Nie to jest jednak tematem tego tekstu. Jest nim - nie życie w aspekcie trudów współczesności - ale poezja. Poezja i medycyna. Tatry i wielka tęsknota... dla takich jak Gordziej świat to za mało. I po lekturze Jego tomu coraz mocniej wierzę, że

gdzie my, tam niebo coraz bliżej ...

Andrzej Walter

Zbigniew Gordziej „Piórem po żebrach anatomii".
Wydawnictwo Związku Literatów Polskich Oddział w Poznaniu, seria wydawnicza LIBRA nr 46, Poznań 2012. Stron 56. ISBN 978-83-61412-81-6

Zbigniew Joachimiak

Aneks do kalendarza(5)

05.11.2018

Wydaję teraz w *Fundacji Światło Literatury* ciekawa autorkę, córkę Grażyny Bacewicz, matkę pisarki Agnieszki Sendłak, malarkę i poetkę, Alinę Biernacką . Specjalnie tak pokrętnie napisałem, bo chciałem pokazać jak losy artystów są uwikłane rodzinnie. Biernacka to dobra poetka. Czyta się jej wiersze jak balsam dla zmęczonej duszy. Pisze o sprawach ostatecznych w sposób czysty, klarowny, spokojny i mądry, tak po ludzku mądry. Jej wrażliwość ma dobre źródło, bo mama była wybitnym muzykiem. Gdyby nie była kobietą najpewniej wymieniono by ją obok Pendereckiego lub Lutosławskiego. Niestety los kobiet muzyczek nigdy nie był łatwy, by tylko wspomnieć Schumanową. Choć ta miała jako takie życie dzięki sławie brata. A co wspominać liczne kompozytorki i wirtuozki z nieznanych polskich rodzin w XIX a nawet XVIII wieku. Słucham często nocą audycji o historii polskiej muzyki. Szokujące jak wiele jest dobrej a zupełnie nieznanej twórczości. I to kobiecej, choć słuszniej ująć to: napisanej przez kobiety.

Ale nie o tym chciałem pisać teraz. Tom Biernackiej będzie godny zapamiętania, dlatego też przyłożyłem się, aby książka była piękna i dopracowana. W takich sytuacjach zwykle zwracałem się do Jurka Suchanka, który - jak to poeta, pisarz, redaktor, krytyk i animator - robił mi składy książek. I to świetnie. Seria poetycka, którą wydaję (na początku w wydawnictwie Tower Press) wychodzi od lat i pierwsze projekty pochodziły od Bogusławskiego (grafika) oraz Darka Szmidta. Z czasem projekt się wyemancypował i nabrał swoistego, niepowtarzalnego charakteru. Składał mi go, już w Fundacji Światło Literatury, Jurek Suchanek. Zmarł miesiąc temu (…) Brakuje mi Jurka. To była trudna znajomość i... chwilami przyjaźń. Na początku przede wszystkim łączyły nas przygody z życia młodoliterackiego. Spotykaliśmy się na różnych zjazdach, seminariach i sympozjonach. Chyba pisałem mu wstęp do pierwszej jego profesjonalnej książki poetyckiej, to było gdzieś na początku lat 80`. On się odwzajemnił i napisał recenzje z mojego tomu wierszy (*Mam do powiedzenia*, Wyd. Morskie). A potem jakoś się toczyła ta znajomość , czasami w korespondencji, czasami na spotkaniach literackich, w dyskusjach, przy wódce i z dziewczynami (też). Przerwał te idyllę stan wojenny. Przyhamowały się wszelkie aktywności społeczne, artystyczne i literackie (ja straciłem pracę w kwartalniku literackim *Punkt*). Nie wiem jak wyglądały losy Suchanka w tym ciężkim czasie. Ja po roku stanu wojennego wyemigrowałem do Stanów Zjednoczonych (…). Gdy wróciłem po 3 latach, na nowo zacząłem się w Polsce układać. *Punktu* nie udało się reaktywować (fakt, ze ostatecznie to nie władze zdecydowały o likwidacji, ale samo środowisko literackie), ale po pewnym czasie powstał *Autograf*, w którym publikowałem wiersze Suchanka. Powoli wracaliśmy do zwykłego literackiego życia. I znowu jeździłem na Śląsk (miałem zresztą dodatkową motywacje – Myszkę, Misię, vel Martę Fox w ostateczności). Zacząłem pracować w wydawnictwie u Edwina Mischke), tam byłem prezesem wydawnictwa i było sporo okazji do współpracy literackiej. Ale z Jurkiem nie pracowało się łatwo. Zawalał terminy. Milczał. Bywał nieuchwytny pomimo ważnych spraw (również dla siebie). Po kilku latach zorientowałem się, nie ma co z tym walczyć, trzeba go pokochać takim, jakim jest. (…) Pisałem już, że był świetnym składaczem. I rzeczywiście przy jego pomocy udało mi się rozwinąć layout gazety *Migotania*. Teraz sobie uświadamiam, że był prawdziwym współtwórca *Migotań* z tych z ostatnich lat, gdy pismo wychodziło w dużej już objętości. Jurek był wszechstronny. Gdy składał *Migotania*, czytał je. I redagował. Gdy robiłem z nim pismo miałem poczucie bezpieczeństwa, że nie wkradną się jakieś specjalnie paskudne babole. Jurek czuwał. Ostatnie dwa lata niestety musieliśmy przerwać współpracę, choć nadal sporadycznie składał mi książki. Lubiłem się z nim kłócić. Bywał uparty, ale miał do tego prawo, bo był to upór merytoryczny. Na chwile przed jego śmiercią złożył mi jeszcze książkę Marii Jentys, „Z wyroku cara". Planowałem następne. Ale zmilczał. Przeczytałem, że zmarł 25 września.

10.11.2018

Pierwszy wieczór od wielu miesięcy, gdy czuję sie bardziej odprężony i spokojny

Przełom października i listopada to -oczywiście - Dzień Zmarłych i z całą mocą przypominają mi się rodzice. Ojciec odszedł już 19 lat temu, matka 13. Mam ich w domu zawsze pod okiem - portret akwarelowy Szczepanka z ojcem i kilka zdjęć w różnych miejscach matki

(..)16.11.2018

Myśliwski na marginesie swojej najnowszej powieści powiedział, że czasu teraźniejszego właściwie nie ma i że go interesuje właściwie tylko czas przeszły. To efektowne postawienie sprawy, ale raczej na efektowności się wyczerpuje, bo to że każda chwila obecna przechodzi wraz z jej urzeczywistnieniem w przeszłość i w ten sposób nie dochodzi do czasu teraźniejszego, to logicznie oczywiste. Filozoficznie jednak cienkie. Choćby dlatego, że strasznie zawęża pojęcie teraźniejszości, redukując ją do temporalności. A teraźniejszość to nie tylko *ta chwila*, chwila w tym tylko dokładnie momencie. Może być rokiem, epoką, stanem po jakimś zamkniętym wydarzeniu, okresie, po myślach... Pisarz, taki jak Myśliwski, wie dobrze, że jest możliwe np. zdanie: *teraz, gdy już odeszła ode mnie chandra, po trzech miesiącach poczułem się odmłodzony...itp.*" A więc o co mu chodzi? Pisarzowi Myśliwskiemu, a nie jakiemuś tam Myśliwskiemu..

Może po prostu wypowiedział tę kwestię w związku z intencją pisarska. W związku ze sposobem pisarskim? Być może pisząc powieść, konstruują światy fikcyjne musimy czerpać z realności, z pamięci świata rzeczywiście istniejącego (i faktycznie zawsze nieco wczoraj). Tworząc światy fikcyjne w rzeczy samej musimy rozpoznawać świat już zaistniały (przeszłość). Każda powieść jest oparta na przeszłości (nawet futurystyczna), jest procesem poznawczym, bardziej epistemologicznym niż ontologicznym. Proza, powieść Myśliwskiego sięga do przeszłości, bo dla Myśliwskiego pisanie jest procesem poznawczym. W przeciwieństwie do twórczości prozatorskiej sytuuje się poezja a jej wektor poznawczy ma charakter ontologiczny. Poezję mało interesują wydarzenia, przebiegi fabuł, historia a też historia następstw i skutków (mało, to nie znaczy, że zupełnie nie interesuje). Poezja koncentruje sie na tym ***jak*** sie jest, jaka jest rzeczy istota. Jej wektor ontologiczny powoduje, że refleksja podstawowa koncentruje się pytaniu „*jak rzecz jest*" (uwaga: czas teraźniejszy jest ważny, nawet , gdyby dotyczył...przeszłości), a nie „*jak rzecz była*". Tak więc, gdy Myśliwski mówi, że nie ma teraźniejszości, to mówi tak naprawdę o tym jak tworzy swoje światy powieściowe, a nie po to, aby zabłysnąć paradoksem.

W najnowszej powieści następuje zjednoczenie bohatera, jednej osoby z przeszłości i teraźniejszości. W tym zabiegu jest wielka poetyckość, bo w ten sposób Myśliwski odpowiada na pytanie *jak jest* człowiek. Właśnie *człowiek*. Bo tylko człowiek ma tak skomplikowaną i rozwiniętą pamięć (poczucie czasu). Odpowiedź jest prosta (a przynajmniej u Myśliwskiego): człowiek jest we wszystkich czasach, lecz królem czasów jest czas przeszły. Stoimy w koronie czasu przeszłego, która wpija się nam w czoło czasem teraźniejszym. Kiedyś użyłem podobnego zabiegu literackiego, w *wierszu Okładka książki* (ze zbioru Sezon lotów trwa). W tekście tym bohater wiersza spotyka się w roku 2001 z tym samym osobnikiem z 1973 roku. I nie jest to fragment fabuły science-fiction, jakkolwiek obaj są naprawdę tymi samymi ludźmi, choć być może ta jednotożsamość dotyczy bardziej osoby z 2001 roku

Mam niekiedy dużo poważniejsze przygody z poczuciem czasów: i przeszłego i teraźniejszego oraz przyszłego. Od czasu do czasu, odnoszę wrażenie, że zostałem wrzucony w czas przyszły, w rzeczywistość niemalże ze świata science fiction. I mam wiele dowodów, poświadczeń, że tak jest. I to nie jest takie dziwne, ale gdzie jest mój czas teraźniejszy? A przeszły?

Okładka książki

Jest jesień.
Jest ciepła jesień, październik.
Jest ciepły październik 2001 roku .
Jest rok 2001, jesień, uliczka Stanisława Dubois we Wrzeszczu.
W drugim końcu ulicy.
W drugim końcu ulicy pojawia się ruch.
Ten ruch się pojawia na końcu ulicy, gdy zamykam oczy.
Zamykając oczy widzę wyraźnie na końcu ulicy
pojawia się drobny mężczyzna.
Drobny mężczyzna pojawia się na końcu ulicy.
Drobny, w długich włosach, pojawia się w świetle lamp.
Do mnie idzie pustym chodnikiem.

Po jezdni jedzie szara warszawa.
Jak zjawa skrada się po tej sennej ulicy.
Mężczyzna z końca ulicy jest już blisko.
Jest już blisko samochód. Nie mija mnie.

Mija mnie facet.
Auto wciąż jedzie. Na śmietniku obok widzę kalendarz.
Widzę kalendarz z bliska. Jest rok 1973. Jest szaro i buro.
Facetowi wypada z kieszeni żółty tom poezji.

Wypada tom poezji. Nie przepada. Przejeżdża przez mnie
warszawa. Facet już za zakrętem znika.
Ginie facet na drugim końcu ulicy. Na drugim końcu ulicy zginął w mroku 2001 roku.

Otwieram. Otwieram jedno oko.
Otwieram jedno i drugie oko. Jest ciepły październik.
Jest ciepły październik. Na ulicy liczne samochody.
Na jednym z nich widzę żółtą okładkę książki.

Leży zwyczajnie i choć powinna , tajemniczo nie migocze.

18 grudnia 2018

Jednym z nielicznych wspomnień jakie zachowałem a dotyczące mojego biologicznego ojca, poza tym, że bardzo mnie podniecała jego teczka w której miał smaczne rzeczy do jedzenia, były dwie postaci: Dziki Smalec i Lodyga. Lodyga był ten lepszy, a gdy ojciec chciał mnie przywołać do porządku straszył Dzikim Smalcem. Jak widzę, to wszystko, co zostało mi po nim dobrego, niestety na tym kończyło się jego ojcostwo. Te dwie fikcyjne postaci uświadamiały mi, że zewnętrzny świat jest groźny, choć bywa dobry, jak … Lodyga, który przynosi prezenty i chroni przez swoim przeciwieństwem . Nie zdążyłem przedłużyć bytu tym postaciom w pamięci mojej córki, Sybilki. Teraz jednak dochodzi do triumfalnego powrotu tych Super Postaci. Lodyga nieomal codziennie podrzuca jakieś drobiazgi Hani, a Dziki Smalec się nie zbliża do naszego domu, bo właśnie Lodyga na to nie pozwala. Dzisiaj zapytałem Hanię, kto Cię kocha najbardziej? Odpowiedziała, że mamusia, dziadek i …Lodyga.

Muszę powiedzieć Lodydze, że ma tutaj swoją wielką fankę.

Za chwilę Nowy Rok, 2019. Pamiętam jak czytałem książki fantastyczno-naukowe dziejące się w dalekiej przyszłości, na początku XXI wieku. A teraz żyję w przyszłości. Fantastyczno-rzeczywistej. Ten świat jest bardzo ciekawy, trzeba przyznać.

Czyszczę stare zapiski dziennikowe. Teraz z czasu stanu wojennego. W przyszłym roku chcę zamknąć nowy tom poetycki. Mam niewiele wierszy, ale wiem o co mi chodzi. Część dopiszę, a część dopracuję, bo mam też sporo tekstów naszkicowanych lub w postaci „scenariusza".

16 stycznie 2019

Morderca zabił Prezydenta Miasta Gdańska, Pawła Adamowicza. Na oczach tłumu celebrującego Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Bezsensowne morderstwo. (Ostrożnie, ostrożnie z tym określeniem, bo czy bywają sensowne morderstwa? Muszę o tym pamiętać).

Urszula Małgorzata Benka:

Może mam alergię na manipulacyjki pana premiera, na te przemiany szawła w pawła. Jedne chwyty są grube i brutalne, inne wcale gładkie w dotyku. Mnóstwo zależy od kręgosłupa i ostrożności pani vice. Jest w Newsweeku mądry tekst Bema: że jak się wszyscy zaczną bić w pierś, to powstaje papka. Nie wierzę w żadne ocknięcie ani internauty, ani trolli wiadomo skąd.

Moja odpowiedź:

Dziwne, ale ja też ani trochę nie wierzę w żadne przemiany. Śmierć, morderstwo to straszna rzecz, ale właściwie to tylko morderstwo, bo śmierć to inna para kaloszy do rozważania, przeżywania i rozumienia. Śmierć chyba jest smutna, ale niekoniecznie straszna.

Zginął człowiek tylko dlatego, że innemu pomiesza- cd. str.62

cd. ze str.62

ło się w głowie. Nie widzę związku z sytuacją społeczną czy polityczną, to tylko pozory związków. Zginął człowiek, a na pewno nie musiał i na pewno bez sensu (czytaj nic to nie wniosło do naszego rozumienia świata). To smutne, ale nie więcej niż inne zbędne śmierci , a może lepiej powiedzieć, że inne morderstwa-śmierci są równie smutne. Pewnie nie powiedziałbym tego publicznie, bo ...itd. itp. , ale niedawno umierała przez wiele dni moja labradorka i bardziej mnie to zabolało, bo umarł piękny, naiwny byt (...)

Urszula M. Benka:

Pomogło mi to twoje jasne rozgraniczenie: śmierć to śmierć, a morderstwo to morderstwo. Tak patrzy zdrowy śledczy. I też to wymieszanie wszystkiego ze wszystkim, tylko przeszkadza .Tak było po śmierci Jana Pawła II, po Smoleńsku. Znikają wszystkie inne sprawy przy okazji.

15 marca 2019

Wydałem *Migotania* nr. 4/2018. Nawet już jest od dłuższego czasu w obrocie papierowa wersja. Chyba nienajgorsza zawartość. Bardzo dobre wiersze Aliny Biernackiej, ciekawy esej Benki. A też ciekawa rozmowa Kresowatego (mojego imiennika, Zbigniewa) z profesorem Deglerem. Grafiki, rysunki Joanny Gościniewicz w numerze wyszły lepiej niż sądziłem. Wydrukowałem w nowej drukarni. Taniej. A to ważne w roku 2019, bo nawet nie wystąpiłem do piso-ministerstwa o finansowanie dla gazety. Gdy pomyślałem, że mam umieścić informacje o finansowaniu *Migotań* przez ministerstwo Glińskiego, to odechciało mi się tych ewentualnych pieniędzy. Bo być finansowanym przez obecną tzw. dobrą zmianę, ekipę rządząca, to po prostu wstyd. Nie chcę mieć nic wspólnego tymi ludźmi (...).

Wydałem też dwie ciekawe książki. Tom poetycki Aliny Biernackiej, znakomity, Bardzo mi odpowiada ten typ poezji. Realizuje to co – moim zdaniem – powinno być realizowane przez poezję: osobiste doświadczenie przetworzone na doświadczenie powszechne. W przypadku wierszy Biernackiej przesycone to jest mądrością, rozwagą, wyczuciem stylu i wielką wrażliwością, również językową. Alina Biernacka to córka Grażyny Bacewicz, chyba najsłynniejszej współczesnej kompozytorki polskiej (już nieżyjącej). Chyba przed laty drukowałem równie i jej wiersze. Aby było ciekawiej wydałem drugą książkę – rodzinnie - Joannie Sendłak, która jest wnuczką Bacewicz i córką Biernackiej.

Obie Panie są zadowolone ze poziomu wydawniczego książek, co mnie – oczywiście – cieszy.

W krótkim czasie wydam jeszcze jeden tomik poezji, to już będzie drugi raz, jak wydaję wiersze Renacie Palidze. Paliga jak poprzednio, bardzo wyrazista, odbija od powszechnej współczesnej, młodej (pokoleniowo) poezji. Lubię jej znerwicowany i zbuntowany styl.

24 marca 2019

Osoby: Zbigniew Żakiewicz. Prozaik gdański, Kresowiak. Przez lata uznawany za najwybitniejszego prozaika w Gdańsku. Umarł 10 lat temu. I szybko pamięć o nim się zaciera. Nie wiem, dlaczego tak szybko zapomina się o Żakiewiczu. Nie wiem, bo nie byłem wielkim miłośnikiem jego twórczości, a zatem trudno mi o obiektywizm. Sam Żakiewicz był być może bardziej kolorową postacią niż jego twórczość. Ale zastrzegam raz jeszcze: nie czytałem go zbyt uważnie. Natomiast miałem z nim kilka mocnych spotkań. Jako starszego pisarza szanowałem go i okazywałem mu należny respekt. Ale on najpewniej mnie nie lubił zbytnio. Rozpoczęło się od alkoholu. Do połowy lat 70`tych nie piłem. A Zbyszek i owszem, i sporo, i do końca życia. Pamiętam, że kiedyś mi powiedział w kawiarni literackiej na Starym Mieście, że nie ufa mi, bo nie piję. W tym względzie bardzo byli do siebie podobni Żakiewicz i Jurewicz. Obaj ochlapusy, obaj mówili, że poeci powinni pić, a jak nie piją, to *nie będą z nich ludzie*. Co prawda pod koniec siódmej dekady przeszedłem na ciemną stronę mocy i też nie żałowałem sobie mocnych trunków, ale już nigdy nie zadzierzgnęła się między Zbyszkiem i mną jakaś wyrazistsza sympatia. Byłem u niego w domu chyba z raz. Poczęstował mnie po wschodniemu herbatą z konfitura na podstawku. U mnie bywał częściej. Zresztą głównie na tzw. imprezach, bo na ul. Dywizjonu 303, na Zaspie, często się one odbywały. Bywali Zawistowscy, Anka Czekanowicz, Krysia Chwin, a też Stefan, Małgorzata Czermińska, Marian Terlecki, Staszek Rosiek, Jurek i Justyna Limonowie, Olek Jurewicz, Aldon Mrozowska, Andrzej Żurowski, Georgia Scott, David Malcolm, i wielu, wielu innych osób związanych bardziej lub mniej z literaturą. Ale bywali też i artyści innych profesji, choćby Maciej Świeszewski - malarz, Marek Radke też malarz, Janek Ledóchowski – fotografik. Bywali też dziennikarze. Żakiewicz nie miał daleko ode mnie i gdy coś się działo wpadał wraz Jurewiczem, Huelle i innym mniej lub bardziej mi znanym osobami. Dziwne to były spotkania, bo niby powinny świadczyć o jakiejś sympatii, ale ja tego raczej nie odczuwałem. Jak na prawdziwych ochlapusów przystaje, były też incydenty, sprzeczki... Pewnego razu, gdy odwiedzał mnie Tony Harrison (poeta brytyjski), najpierw Marian Terlecki postanowił się ugotować (nalewając sobie wrzątku do wanny), a potem Żakiewicz i Huelle postanowili wynieść z mojego domu kilka flaszek wina. Mariana udało nam się odwieść od wejścia do wrzątku, natomiast Żakiewicza i Huelle od wyniesienia paru butelek wina nie. Nie było mi żal, bo cóż, trochę rozumiałem już ich wtedy, sam już lubiłem pociągnąć czerwonego wina, a poza tym współfundatorem tych flaszek na spotkaniu było British Council . Wspominam te szczegóły, ale nie one są ważne, istotne jest to, co napisałem na początku, wyżej: jakże błyskawicznie zaciera się pamięć o Żakiewiczu. I znowu, nie pisze tego, bo tak strasznie mi przykro (choć jest przykro), ale że nie potrafię zrozumieć mechanizmów pamięci społecznej. Wystarczy umrzeć aby natychmiast zaczął się proces wymazywania z pamięci społecznej? Naprawdę? Niezależnie od tego co przedstawiał sobą pisarz, artysta, intelektualista? Przecież Żakiewicz pozostawił sobie bogaty dorobek literacki, legendę, omówienia twórczości, odznaczenia, medale... To wszystko zamiera, osuwa się w niepamięć. Piszę to już bez znaku zapytania. To nie jedyny taki smutny przypadek pomiędzy moimi znajomymi pisarzami. Andrzej Żurowski zaczął umierać społecznie natychmiast po swojej śmierci fizycznej. Jeszcze miesiąc nim wpadł w dół ostrej białaczki, obiecywano mu wydanie paru tytułów. Nic z tego. Mam jego manuskrypt ostatniej dużej prozy, rodzaju wspomnień, pod tytułem „Powidoki" . Jednak sponsorzy książki natychmiast się wycofali. Szukałem w Gdańsku, w Gdyni, Sopocie. Urząd Marszałkowski, pomimo , że kilkakrotnie o to zapytywałem i zabiegałem, nie zamierza sfinansować jego ostatniej książki (brawo panie Dyrektorze Departamentu Kultury). I nie jest to koniecznie zrozumiałe.

1 marca 2019

Nim wyjechałem ze Szczecina do Gdańska, wcześniej wyemigrowałem na studia w Studium Nauczycielskim w Raciborzu. Ale moje pierwsze migracje były znacznie wcześniejsze. Mieszkałem wtedy – nomen omen – na ul. Gdańskiej, w Szczecinie. Chodziłem do klasy piątej. Było to jeszcze przed moją pierwsza miłością, do Gieni, przez którą chciałem popełnić samobójstwo, ale to było później , chyba w klasie siódmej. Pamiętam, że co najmniej dwukrotnie podjąłem decyzję o wyruszeniu w świat. Właśnie w klasie piątej i potem w szóstej. Miało to wyraźny związek z nadejściem wiosny. Czułem niepokój i niejasny imperatyw, że należy wyruszyć z domu. Naszło mnie to raptownie i zorganizowałam się w ciągu kilku dni. Musiałem znaleźć torbę podróżną (nie wiem skąd, ale wiedziałem, że musi to być specyficzna torba, rodzaj dużego chlebaka). Musiała tam zmieścić się pałatka, bo jakoś trzeba spać, miałem palnik spirytusowy i kociołek, sznurek, nóż harcerski i scyzoryk wielofunkcyjny a też inne bardzo ważne z punktu widzenia 12 latka przedmioty. Skombinowałem też dwie konserwy, oczywiście, chleb, butelkę z kawą zbożową. Ubrałem się też stosownie, znacznie cieplej niż wymagała tego ciepła wiosenna pogoda, wszak ruszałem w świat i nie wiadomo jakie warunki życiowe mnie dopadną. Przygotowywałem się do tego ze dwa dni. Rodzice wtedy pracowali oboje, a więc bez przeszkód któregoś zwykłego dnia ruszyłem rano w stronę Odry podpierając się kosturem, czyli długim leszczynowym kijem. Nie pamiętam szczegółów, jak przebiegła ta jedna i druga wyprawa. Pamiętam tylko uczucia, które we mnie wtedy buzowały – było pewne, że należy iść w świat. A więc ruszyłem i to dobrze przygotowany. Nie myślałem wtedy o sobie jak o chłopcu. Nie myślałem też, że gdy pójdę wzbudzę niepokój w domu. Jednak tak naprawdę nie pamiętam dokładnie „treści" swoich uczuć. Podobnie czułem się, gdy postanowiłem, już mając 20 lat, opuścić Szczecin. Wracało też podobne uczucie, gdy przemieszkiwałem w Krępie, tam też od czasu do czasu porywało mnie do wędrówki. Jednakże w Krępie było to znacznie lepiej zorganizowane, bo na przykład wcześniej przygotowałem sobie w leśnych schowkach-stacjach zapasy wędrowca, czyli kawę, słoiki z cukrem i słodyczami. Poza tym podczas tych pierwszych wędrówek miałem niejasne poczucie, że odchodzę... Choć gdzie i dlaczego, nie wiedziałem. Lecz były to najbardziej poważne odejścia w moim życiu. Bo były całkowite, bezwarunkowe. To, że nie odchodziłem ostatecznie od domu dalej niż parę kilometrów i na kilka tylko godzin, nie pomniejsza i determinacji, i ostateczności tych odejść. Zresztą wyprawom tym towarzyszyły ciekawe i dzikie tereny zalewu Odry, a też dawnego poniemieckiego wysypiska śmieci, gdzie zbudowałem sobie ziemiankę. Nigdy tak potem nie odchodziłem. Tak ostatecznie. Tak spontanicznie. No, może raz, w Cincinnati. Ale to zupełnie inna historia i znacznie boleśniejsza.

Tylko pół kroku

To było bardzo proste i łatwe,
wystarczyło zrobić tylko pół kroku za próg
i dwunastoletni chłopiec z zapakowanym chlebakiem,
obłokiem marzeń,
z zapałkami w kieszeni i kawałkiem kija,
wyruszał w świat. Aby go zdobyć.
To nic, że wyprawa kończyła się na skraju okolicznych krzaków.

To było takie proste i łatwe,
wystarczyło zrobić pół kroku
i wsiąść do osobowego pociągu jadącego do innego miasta,
a może do innego kraju lub na inny kontynent.
Ten dwudziestoletni młodzieniec z chaotycznie zapakowaną głową,
oczami z tęczowymi tęczówkami, podręcznym wózkiem pomysłów
i podręczną biblioteką,
wyruszał w świat. Aby go zdobyć.
To nic, że wyprawa kończyła się parę godzin lub dni później.

Dzisiaj to też jest proste i łatwe,
wystarczy ledwie pół kroku
aby zostawić za sobą zdobyty lasek zarośli, pojmane zapachy, swoje pomnożenia,
godziny policzone i godziny mroku, napisane (i nie) wiersze, psa, swój dom...
To nic, że wyprawa zakończy się definitywnie.

Wystarczy pół kroku, abym sięgnął dłoni mojej zmarłej mamy,
abym otarł się o policzek mojej córki mijającej mnie na ulicy
niewielkiego miasta w Ohio, aby znów zadrżało mi serce pod spojrzeniem
Oli Soleckiej , abym przypłynął do mnie zapach ulicy,
gdzie mieszkałem w zamierzchłym roku 1955.
Aby ujrzeć i stracić wiarę w Pana Boga.

Ten dwunastoletni chłopiec jest wciąż we mnie
i rusza do przodu.

Ma chyba wszystko: chlebak, zapałki, dziecinną rynienkę po której spłyną wszystkie łzy świata, parasol na spadające gwiazdy, dwa kwaśne jabłka i jeszcze parę innych niezbędnych drobiazgów.

Wystarczy na cały świat.

Na te pół kroku do zawsze.

Gdańsk, 2006 r.

26 maja 2019

Wpisałem datę powyżej i mnie zamurowało. Czy ja mam Alzhaimera? Czy uwiąd starczy i mózg mi się lasuje? Bo co to, 2019 rok? To data z jakieś przyszłości, z czasu, który ma dopiero się stać.

Nie mogę sobie też dzisiaj dać radę z innym problemem. Właśnie odbyły się wyboru do Europejskiego Parlamentu i w Polsce wygrała Prawo i Sprawiedliwość. Ponad 45 procent Polaków chce, aby nasza europejską przyszłość kształtowała ta partia. Jak to jest możliwe? Kim są wyborcy? Czego oczekują? Czego pragną, jak widzą ten Świat. Wczoraj oglądałem film o Hitlerze. W kilka lat zaciemniły się mózgi Niemców i stanęli po stronie zła, po stronie obsesyjnego rasisty i nacjonalisty. Jak to się stało? Jak naród o takim dorobku mógł w tak krótkim czasie zdegenerować się do faszyzmu, obozów koncentracyjnych, ludobójstwa, nacjonalizmu, do podjęcia wojny nieomal przeciwko całemu światu? W filmie cytowane są słowa młodego amerykańskiego podróżnika. Kilkanaście lat później ten podróżnik, młody John Kennedy zostanie prezydentem wielkiego kraju. Wtedy zwiedzając Niemcy nie mógł się nadziwić, ze tak łatwo to społeczeństwo zrezygnowało z wolności osobistej, zaakceptowało kontrolę państwa nad wszystkim, jak łatwo wyparło ze świadomości niepokojące objawy degeneracji porządku społecznego. Jak łatwo... Jak łatwo dzisiaj te 40 procent polskich wyborców jest obojętne wobec ograniczania i demontażu demokracji w Polsce, jak obojętne jest wobec poszerzania kompetencji państwa, jak obojętne jest wobec zawłaszczania mediów przez rządzącą partię. W filmie padły słowa o tym, że nadchodziły pospiesznie ciemne czasy. Uświadomiłem sobie, że te ciemne czasy już nadeszły tutaj, że żyjemy w mrocznej mgle. I nie mogę sobie dać radę w tym kontekście, jak to możliwe, że wyborcy tak tłumnie opowiadają się po stronie tej nowej władzy, władzy zakochanej w autorytarności i socjo-nacjonalizmie, Jak łatwo Ci wyborcy zapomnieli o wszelkich wolnościowych ideach zapadając się w papkę nacjo-patriotyzmu. Czyli wystarczyło dać im po 500 zł, aby wyparli z siebie pamięć nie tak odległych czasów, gdy jedna partia rządziła kulturą, ekonomią, edukacją i mediami? Co ja mam myśleć o tych wyborcach? Musi być w tym jakaś tajemnica. Jakiś nie pojmowany przeze mnie mechanizm. Czy narody muszę co jakiś czas przechodzić swoje katharsis? Jak dalece musi upaść życie społeczne i polityczne, a też kulturalne w Polsce, aby znowu chciało się odrodzić?

Zbigniew Joachimiak

W numerze grafiki prezentuje Maja Wolińska

Maja Wolińska, lat 21. „Rysować nauczyłam się rysując - zwierzyła się na wernisażu swych debiutanckich „Majaczeń" w Centrum Kultury Łowicka w Warszawie (2016). Pisze wiersze i opowiadania; publikowała w pokonkursowym zbiorze ,,Wyjustowani. Antologia Młodych Twórców" (Wydawnictwo Naukowe UMK, Toruń 2018

gazeta literacka
Migotania
Migotania
www.migotania.pl

ISSN 2083-2494
numer 2,3 (63, 64) 2019

Redakcja:
Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**
Dział PR: **Adam Buszek**
Dział tekstów, redakcja i korekta: **Agata Foltyn**
Dział fotografiki: **Sybilka Storie**
Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa)**, **Andrzej Wołosewicz (Warszawa)**, **Zbigniew Kresowaty (Lądek Zdrój)**

Stale współpracują:
Anna Frajlich (Nowy Jork),
Adam Majewski (Gdańsk),
Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),
ks. Jan Sochoń (Warszawa),
Leszek Szaruga (Warszawa),
Olga Śmiechowicz (Łódź),
Roman Warszewski (Gdynia),
Marek Wawrzkiewicz (Warszawa),
Krystyna Śmiechowicz (Łódź),
Zofia Beszczyńska (Warszawa),
Sławomir Majewski (Miechów),
Leszek Żuliński (Warszawa)

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:
Baltox Jolanta Rakowska
Wydawca: Fundacja Światło Literatury
Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,
ul. Grunwaldzka 303, 80–314 Gdańsk
tel. 782-022-502
601-840-302
joa@migotania.pl,

Fundacja
ŚwiatłoLiteratury

Migotania.
Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e–mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:
joa@migotania.pl

WOJEWÓDZTWO POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Zasady współpracy z autorami w Gazecie Literackiej "Migotania":
– Przekazując materiały do redakcji Pisma:
– autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
– autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
– autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
– autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
– autor zezwala redakcji na dokonywania skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Migotania

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW,
Autorów
oraz Przyjaciół „Migotań"
zapraszamy
do wsparcia finansowego naszej Gazety

Tylko dzięki Waszej pomocy
będziemy w stanie przetrwać
na trudnym rynku
oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc!
Redakcja

Migotania

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.
Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
   Fundacja Światło Literatury, ul. Grunwaldzka 303, 80-314 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
   "Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przesłanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866

Debiut

Patrycja Cieślak

Czas pogrywa ze mną w berka,
jednak to On ucieka przez cały czas.

Zdarza mi się pomyśleć,
oczywiście od czasu do czasu,
nad zamianą miejsc w tej zabawie.
Z czasem dostrzegam jednak,
że przez te myślenie, daję Mu przewagę.

Zaczyna się wyścig z czasem.

Czasami udaje mi się Go oszukać
lecz kiedy biegnę już od dłuższego czasu,
a On mnie goni,
poddaję się.

W międzyczasie tracę wszystkie siły.

Niestety.

Wtedy już czas by powrócić do zasad,
które są tylko kwestią czasu.

***

Od dziecka chciałem być murarzem.
Chciałem budować domy.
Chciałem stawiać mocne fundamenty.
Chciałem być jak mój tata przed laty.
W jednej chwili wszystkie marzenia odeszły.

Ujrzałem królową z zamku,
którego sam nie zdołałbym zaprojektować.
Zamurowało mnie.

Postanowiłem więc rękoma duszy wybudować moje szczęście.
Postanowiłem więc oprzeć Cię na swoim fundamencie.

Mając Ciebie nie potrzebowałem niczego,
bo właśnie wszystko przy Tobie stało się niczym

Kwiaty były znaczące,
gdy tylko znaczyły coś dla Ciebie.
Dzień był promienny,
gdy tylko Ty rozjaśniałaś go uśmiechem.
Nawet czekolada była dobra,
gdy tylko ty tak stwierdziłaś.

Byłaś pełna gracji i wdzięku,
radości i zalet,
lęku i wad,
gorzkich tajemnic i prawd,
wyrzutem sumienia,
złości i zmarnowanych lat,
zdrad.

Z czasem domyślałem się,
wiedziałem,
byłem całkowicie pewien.

Zburzyłaś budowlę tworzoną przez lata.
Zniszczyłaś fundament,
a razem z nim runęły w gruzach moje marzenia.
Nie czuję szczęścia.
Nie byłbym dobrym murarzem.

Leszek Szaruga

WYPRASOWANIE (29)

Od czasu do czasu warto rzucić okiem na strony co bardziej niepodległościowo-patriotycznie nastawionych środowisk, jak choćby tych, jakie skupia tygodnik „Do Rzeczy" (nr 29/2019), gdzie natrafiłem na notę zatytułowaną „Wolność w piosence" relacjonującą przebieg krakowskiego – ma się odbyć także w innych miejscach – koncertu „Gintrowski – a jednak coś po nas zostanie...", który się odbył z okazji rocznicy 4 czerwca 1989. Po raz kolejny – wcześniej, ku swemu zdumieniu, natrafiłem na ten trop na stronach... kibiców warszawskiej Legii – odkryłem wewnętrzną sprzeczność, jaką cechuje chęć przywłaszczenia sobie dorobku ruchu sprzeciwu wobec komunistycznej opresji przez jedną tylko opcję obecnej sceny politycznej. To, że Przemka Gintrowskiego liczy się do zdeklarowanych zwolenników „dobrej zmiany", nie dziwi – sam zapewne by się po tej właśnie stronie opowiedział. Ale już trudno do tej grupy włączyć autorów słów wszystkich piosenek, które ożywił komponowaną przez się muzyką. I tak czytam, że niektórzy z wykonawców „nie starali się naśladować chropowatego głosu Gintrowskiego, bo też te głos jest przecież niepodrabialny,,. Zamiast imitacji zaproponowali swoją interpretację znanych nam wszystkim pieśni. Gdzie trzeba byli delikatni, tak jak Ola Gintrowska w „Modlitwie", gdzie trzeba – bezpardonowo ostrzy, tak jak Łukasz Drapała w utworze „Gdy tak siedzimy nad bimbrem"". Miło że „bimber", jak w skrócie nazywam ten wiersz, który napisałem w 1982 roku, włączony został do projektu „niepodległa" realizowanego, jak czytam, „w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości oraz odbudowy polskiej państwowości", ale też i zdziwienie, gdyż z pewnością daleko mi było i wtedy i dziś do hurapatriotycznych manifestacji. No – ale w końcu dominującą rolę odgrywa tu Gintrowski, a nie jacyś tam, panie, poeci, jak choćby Natan Tenenbaum, autor „Modlitwy". I jakoś dziwnie, zapewne zupełnie bez związku, stojąc w Warszawie na skrzyżowaniu ulic Jacka Kaczmarskiego i Przemysława Gintrowskiego powstałym w ramach projektu dekomunizacji szlaków komunikacyjnych stolicy, przypomniałem sobie, jak to w szkolnych podręcznikach niemieckich z lat trzydziestych publikowano wiersz Heinricha Heinego „Lorelei", lecz ze względu na trefną rasowo postać poety, opatrywano tekst podpisem „autor nieznany" - sam wiersz bowiem, znany każdemu Niemcowi, nie dawał się usunąć.

Ale zostawmy na boku sprawy marginalne, gdyż na łamy tygodnika „Sieci" powrócił jedne z moich ulubionych autorów, twórca MaBeNy czyli „maszyny bezpieczeństwa narracyjnego", doradca Prezydenta RP, profesor Andrzej Zybertowicz, który w wypracowaniu „Aleksander Smolar skłamał" (w spisie treści „Aleksander Smolar skamał" - ot, korekta szwankuje, o czym z przyjemnością donoszę) dowodzi, że kłamstwo nie musi być kłamstwem. Oto bowiem w programie telewizyjnym Smolar zarzucił Zybertowiczowi kłamstwo, gdy okazało się, że to niekoniecznie prawda. Niekoniecznie: „Jakie miał podstawy, by z góry wykluczyć, że po prostu mogłem być źle poinformowany? A może prezes Fundacji Batorego rozmyślnie bezpodstawnie przypisał mi kłamstwo, by realizować jakieś cele polityczne? Jeśli komuś zależy na jakości naszej publicznej debaty, to rada jest taka: jeśli nie macie jasnych dowodów, że ktoś świadomie, celowo rozpowszechnia nieprawdziwe informacje, nie mówcie o kłamstwie. Miast szermować zarzutem „kłamstwa", prostujcie nieprawdy, błędy, nieporozumienia. Awansując nieporozumienie do rangi kłamstwa, niszczymy przestrzeń tak potrzebnego dialogu". Przyznam, że jest to podejście bardzo nowatorskie i inspirujące. Powtarzane wielokrotnie hasło „Polska w ruinie" stanowiące jeden z głównych szlagwortów kampanii wyborczej obecnie rządzącej ekipy, powtarzane do znudzenia, okazuje się oto jedynie „nieporozumieniem", „błędem", skutkiem powzięcia „nieprawdziwych informacji" - ważne, że powtarzany był w dobrej wierze. No nie, to nie było kłamstwo, gdzieżby tam!

Rośnie ranga pisowskich profesorów. Nie tylko profesora Zybertowicza. Ostatnio sam prezes partii ogłosił, że profesor Ryszard Legutko jest najwybitniejszym intelektualistą Parlamentu Europejskiego – nikt mu tam nie podskoczy. Jeszcze wyżej chyba trzeba ocenić nominata profesora Piotra Glińskiego, jakim jest dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie, profesor Jerzy Miziołek, którego dorobek na łamach „Tygodnika Powszechnego" (nr 24/2019) opisuje w artykule „Stan przedzawałowy" Piotr Kosiewski: „Miziołek szybko pozbył się osób, które zarządzały dotąd Muzeum. Dyrektor ma prawo dobierać sobie najbliższych współpracowników. Jednak jego wybory są dość zaskakujące: trener sportowy, dwóch byłych policjantów, blogerka modowa (która sama szybko odeszła). (...) Za rządów nowego dyrektora odeszło już 48 osób, w tym niemal cały Dział Komunikacji i Programów Publicznych. Media piszą o atmosferze strachu i bałaganie organizacyjnym (...). Jednak największe oburzenie wywołało usunięcie przez Jerzego Niziołka z ekspozycji stałej sztuki XX i XXI wieku „Sztuki konsumpcyjnej" Natalii LL oraz „Pojawienia się Lou Salome" Katarzyny Kozyry. Uznano to za wprowadzenie cenzury". No ale i reakcja była fajna: przed Muzeum zgromadziła się spora grupa pań ze smakiem wyzywająco spożywających banany, co dowodzi ze jednak profesor Miziołek ma ukryte dotąd talenty kreacyjne, skoro jego działalność zaowocowała takim performance. I oto: „"Wszystkim krytykom przypominam, jestem dyrektorem, miałem prawo tak postąpić, mam swoją własną wizję dynamiki" - mówił w wywiadzie dla radiowej Dwójki poświęconym „awanturze o banany". W kolejnych rozmowach często podkreśla swoją wszechwładzę, chyba nie rozumiejąc, ze nie na tym polega współczesne zarządzanie instytucjami".

Rzecz w tym, że nie o zarządzanie instytucjami chodzi, lecz o ich opanowanie – od stadniny koni arabskich w Janowie poczynając, na Muzeum Narodowym kończąc. I nie wiem czy to dobrze, czy jeszcze lepiej. Trochę rozjaśnia mi sytuację Marcin Wolski przedstawiający zarys przyszłości po kolejnym zwycięstwie wyborczym „dobrej zmiany". W felietonie „Smutek awangardy" na stronach „Do Rzeczy" wieszczy, charakteryzując postawy „niektórych celebrytów" (m.in. Krystyny Jandy): „Kogo więc dziś właściwie reprezentują? Awangardę? Tylko czego? Działają w interesie Polaków, którymi gardzą? Nie są więc nawet awangardą! Wiem, heroicznie bronią konstytucji. Tylko w czyim interesie i co takiego się stało, aby wrzeszczeć wniebogłosy: „Ratunku!"? Bardzo jestem ciekaw, co się stanie, jeśli PiS uzyska większość konstytucyjną (oby) i tą konstytucję zmieni. Co wtedy? Będą bronić tej starej czy pogodzą się z rzeczywistością? Istnieje niebezpieczeństwo, że nie. Tak zawsze się działo, kiedy masy nie poszły za samozwańczymi prowodyrami. Tylko jakie widać wyjście? Trzeba będzie założyć jakieś nowe Czerwone Brygady czy Świetlisty Szlak? W ostateczność zorganizować strajk okupacyjny w Skolimowie? Niestety, nawet najwybitniejszym aktorom zdarza się nie trafić w rolę. Wydaje im się, że grają w dramacie. A to ino farsa". Bla, bla, bla... Cytat do antologii „z dziejów głupoty". I przy okazji: jeśli mnie pamięć nie myli, to tradycja jakichś tupamaros czy Świetlistego Szlaku miła była niegdyś niedawnemu ministrowi wojny (czym skorupka za młodu....), radziłbym więc autorowi z tymi śmichami-chichami uważać. Bo może wciąż zbyt małe jego zasługi w opluwaniu obcych ideowo czy rasowo koleżanek i kolegów. Na razie poczekam na zapowiadaną zmianę ustawy zasadniczej - osobiście obaw nie żywię, ale kraju szkoda.

Szukając odpowiedzi na pytania zgromadzone w tekściku Wolskiego natrafiłem na nią w wywiadzie udzielonym „Plus-Minus" (nr 24/2019) przez Andrzeja Saramonowicza zatytułowanym „Nie chcę się urządzać w pisowskiej Polsce", w którym autor „Pokraju", stwierdzając, że artyści widzą więcej, podkreśla: „Kiedy zatem bywam przeciwny obecnej władzy politycznej, to nie dlatego, że nie podoba mi się ten lub inny polityk, ale dlatego, że dostrzegam spustoszenia, jakie za sprawą obecnej polityki dokonują się w polskiej duchowości. Widzę też, jak potężnie dewastowana jest kultura oraz wspólnota narodowa, a także jak polskości otwartej przeciwstawia się neoendecki tumor. Gdybym nie był patriotą, przyjmowałbym to wszystko obojętnie, co więcej, mógłbym się w tej pisowskiej Polsce doskonale urządzić, czy to zawodowo, czy materialnie, czy nawet towarzysko. Ale – jako się rzekło – skoro już widzę więcej, nie mogę szast-prast oślepnąć, nawet w sytuacji, gdyby mi się to bardziej opłacało".

No tak, ale w urządzaniu się specjalistami zostali wspomniani wyżej profesorowie oraz Marcin Wolski – ten ostatni urządza się w tej Polsce równie sprawne, jak czynił to w Polsce komunistycznej. Jest to, trzeba przyznać, pewne umiejętność, choć niekoniecznie godna podziwu. Można nawet zaryzykować tezę, że godna pogardy. A zresztą – pewnie i tego nie.

Leszek Szaruga

Borja Bolčina

Z tomiku wierszy: Bologna, Wydawnictwo - Ruthenus Krosno, 2016

PÓŁNOCNA GRANICA

Jeszcze tylko by Maistrę zaakceptować i potem przyszykuję się na inne kultury. Tak powiedziałem sobie i odwróciłem tę sławną kartę słoweńskiej historii. Potem to siepło mnie i zaczęło się dziać różnie, ale wszystko tu jest nieruchome, jak wieczność, czysta metafizyka, cały świat w skorupie żółwia, tak mi się przynajmniej wydawało.

Jeśli go tak pobożnie obserwujesz, nigdy nie ruszysz się z miejsca, więc wściekle musisz smagnąć go jak Galileusz i nie zatrzymywać się.

To byłby największy błąd jaki może się łatwo przydarzyć. Patrz! E pur si muove! Wszystko się kręci! Ostatnim razem, gdy byłem w Padwie – gdzie musisz długo chodzić, potem przejść przez mostek i dopiero tam znajduje się obserwatorium, w zimie często jest zamknięte – poszedłem zobaczyć to cudo. Byłem także na Uniwersytecie. Nie wiem, czy kiedyś oglądaliście te potężne herby nad wejściem?

Jest to coś najpiękniejszego, piękniejsze mogą być tylko herby w Bolonii. Tak jak mówię, jeszcze tylko Maistra.

*

Moje serce jest jak bomba zegarowa
W nocy rozlały się akwaria trosk
I w błękitnych śpiworach odpływały do
Ekwatorialnej szerokości.
Tam murzyni należący do szarej ekonomii gotują głowy.
Dają ci pensje i jeszcze kończysz w czerwonych numerach,
Rumianych stron fabrykantów i zdarzeń za jeden dolar.

Stary automat na kartę wie, co dzieje się w policzonej godzinie.
Skrytość znajduje się w bębnie, karylionie, który gra Only You
na preselekcji skrzyń. Matryca drży pomimo wieczorowej muzyki, pomimo tablic
i rakiet w trzecim secie. W czasie gry nie ma czasu na rozmyślanie,
kto rzeczywiście popatrzy z kąta
i zobaczy swoje życie przed śmiercią.

Między innym w Bolonii pogoda zapowiedziała wiosnę.
Chodzę w kurtce tylko do pracy teraz jest bardzo gorąco.
Dni w szklanych parkach płyną szybko i wygodnie, dzikie koguty schowały się po krzakach
i na szyi noszą wszystkie barwy świata.
Podczas nocy zginął, ponieważ leciał nad miastem.
Kobiety je lubią, malują oczy i paznokcie na happy hour.
Do tego czasu jesteś też wędrowcem, wreszcie powoli odpoczywa i ściąga swoje
bluesowe buty.

Tylko dwóch Skandynawów, piękni jak z filmu, jeszcze w nocy przebierają
nieskończone strofy Mississipi Blues.
Tylko dwóch Skandynawów…

*

Dziwne doznanie wyrosło z figi
i księgę mądrości wzbogaciła nowa wiosna.

I z jej jeszcze zielonego zadka faktycznie
przyjaciela ręki udało się wyciągnąć
całą historię. Brzmiała ona:

»Jak dobrze jest cykadom, którym
Świeci światło słoneczne i po upale skrzydełkami cykają.«

I na drugim miejscu:
»Poprzez koronkę baldachimu
wzleci jaskółka i skrzydłami drobnymi jak nożyce
przelatuje niebo.«

Jednakże wszystko razem było niezwykle,
Nic nie mógł po prostu powiedzieć, że to blef.
Później w wydaniu integralnym zgubili na jakiejś wystawie.
Tam z czytelniczej potrzeby rozmyślali także o początku i końcu, jak to bywa
w każdym integralnym wydaniu,
zawsze z jasnymi tendencjami
do możliwości syntezy, czy zabrałeś wystarczająco dużą lupę.
Potem skutki oddali czytelnikowi, których szukał…

Pozostał problem końcowy
Więc, dzięki przyjacielowi szczęśliwej ręki, od której wszystko się zaczęło,
po prostu jak wyobraźnia, kiedy rosną figi.

SŁODKI TYTUŁ

Tak jak starego pajaca
na siłę zabrali z materaca,
wszyscy myśleli, że nadchodzą lepsze czasy.
Tak, nie wyszło nic,
ani z tego kolorytu
nie pozostało nic.
Jednakże potem w Modenie
każdego lata organizowano tu imprezę,
była coraz śmieszniejsza, tak by turyści zabawili się, a nie oni.
Podobnie w Goricach
roku dwutysięcznego zdobywaliśmy
słodki tytuł
najbardziej czystego miasta w Europie
(na co wskazuje plakietka
na głównej tablicy miejskiej rady),
teraz będziemy mieli
na głównym rondzie plastikowe bidony pełne wody.
Żeby pomyłka znowu się nie powtórzyła,
najlepiej po cichu
wygodnie siedzieć w domu.
Jedni mówią, że drudzy słyszeli o tym, w co nie uwierzyli,
że pod skałą kostanjeviškiej kaplicy,
odnaleźli freski z dawnych czasów,
że są o wiele piękniejsze i drogocenniejsze od tych,

Przełożyła: Olga Lalić-Krowicka

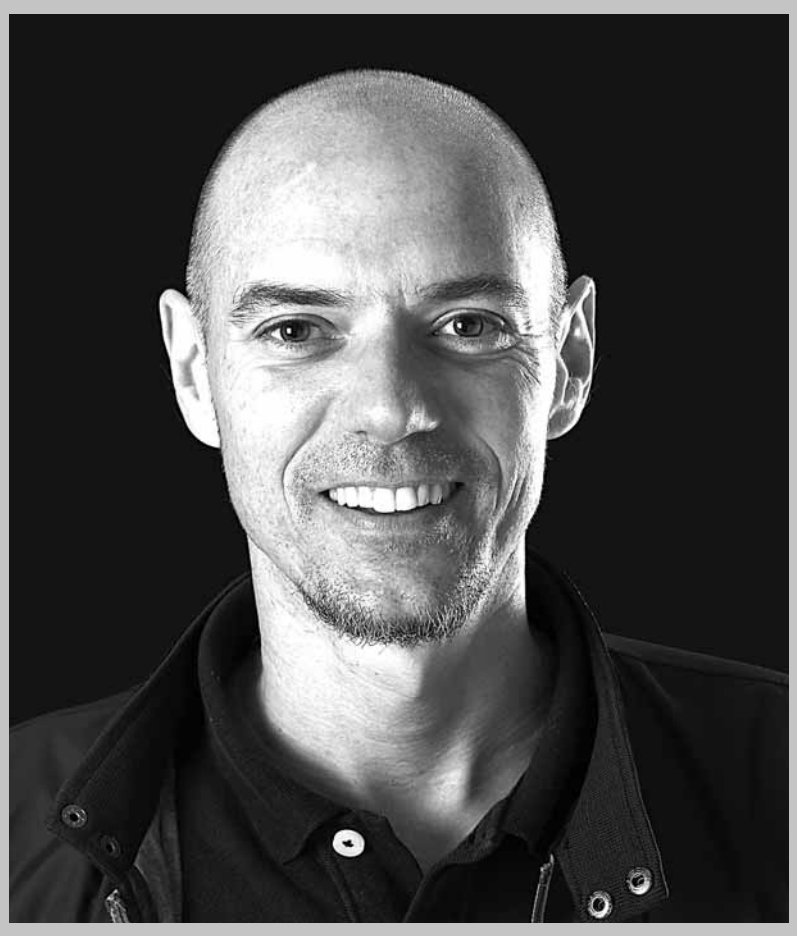

BORJA BOLČINA - Ur. w 1976 r. w Nowej Goricy w Słowenii. Po ukończeniu szkoły średniej oraz zdaniu matury został przyjęty na Wydział Filologiczny Uniwersytetu w Lublanie, na katedrę literatury porównawczej.

Przez rok był stypendystą programu Erasmus na Uniwersytecie Karola w Pradze.

Dyplom obronił w 2009 roku na temat „Materialność w sztuce". Powodem późnego ukończenia studiów była udana kariera w słoweńskim zespole rockowym Zaklonišče prepeva, gdzie zaczął swoją drogę artystyczną, przede wszystkim jako kompozytor muzyki. Poezję zaczął pisać w wieku trzydziestu lat, przeważnie były to teksty do muzyki późniejszych piosenkopisarskich projektów, w istocie także „czysta" poezja. Wiersze niniejszego tomu powstały w latach 2010- 2013 w Bolonii, gdzie przywiodła autora dalsza kariera muzyczna. Na twórczość Borji wpłynęła twórczość takich słoweńskich autorów jak Tomaž Šalamun i Ivo Svetina.

ESEJ

Michał Frąckiewicz

Cyfrowe widma

Niektórzy uważają, że wszystko już było. Jednak dzięki sieci i milionom aktywnych w niej autorów, komentatorów i obserwatorów kultury, szanse na powstanie czegoś nowego uległy zwielokrotnieniu. Nie tylko niekomercyjni artyści, ale i kreatorzy reklam i mainstreamowych trendów, szukają coraz mniej oczywistych dróg. Sądząc po tempie zmian mód, fascynacji, prądów, stoimy nie tylko u świtu technologicznej, ale być może i kulturowej i artystycznej osobliwości. Niektóre obrazy współczesnej popkultury już znalazły się na jej krawędzi.

Obejrzyjmy jeden z przerywników popularnej telewizji MTV. W fioletowej dżungli, która może być zarazem scenografią psychodelicznego horroru, bądź zmutowanym wyobrażeniem rajskości, znajdziemy typowe elementy klasyczne – przewróconą antyczną kolumnę, postać ubraną w togę w pozie rzymskiej figury. Na długiej szyi osadzono jednak psią głowę. Wśród stroboskopowych wyładować, owa figura okazuje się zbudowana nie z marmuru, ale z plastycznej masy, która rozpada się w makabryczny sposób w gumowatą breję. Ta bizarna scena, której towarzyszą odgłosy drapieżnej gęstwiny, jest zarazem pociągająca dla oka i niepokojąca. Taki dychotomiczny charakter cechuje też inne klipy puszczane na MTV w przerwach między banalnymi programami, które z wyrafinowaniem i eksploracją cienkich granic między stanami wyobraźni, mają niewiele wspólnego.

Ondrej Zdunka, autor tej animacji działa na dziwnym styku makabry, popkultury i reklamy. Oglądając jego marketingową stronę widzimy niepokojące fantasmagorie, groteskowe motywy cyberpunkowe oraz reklamy, które zrealizował dla Nike czy Pumy. Optymizm haseł i płynący lukier jaskrawych kolorów tworzy mdlący kontrast z budzącymi lęk wizjami, które mogłyby powstać w zawirusowanym softwarze lub udręczonym umyśle schizofrenika.

Od 2015 roku MTV porzuciło swój cukierkowy styl na rzecz niedwuznacznej estetyki seapunku i vaporwave. Brand MTV miał być skojarzony z gwałtownymi zmianami nastroju, smutkiem, labilnością, melancholią, niepokojem, kompleksami, nowym marketing dwubiegunowej psychiki. Nawet logo MTV w niektórych mikroscenach poddano niepokojącym mutacjom. Raz to jest rozciągliwe niczym masa plastyczna, a raz najeżone kolcami. Produkt istniejący tylko po to, by być sprzedanym, stara się nawiązać dialog z odbiorcą poprzez identyfikację z odczuciami i stanami uznawanymi raczej za niepożądane i niekomfortowe.

Kolejne klipy, oglądane przez setki milionów ludzi, w znacznej większości urodzonych już w erze cyfrowej, a może już w wirtualnym oceanie świata postcyfrowego, pokazują sceny surrealistyczne, balansujące gdzieś na granicy ironii, uogólnionego lęku i wciąż przyjemnych barw. Ciągły stan podwyższonej gotowości, neuronalnego przeładowania, informacyjnej nadstymulacji, zmieniających się perspektyw zdaje się paradoksalnie strefą komfortu, jedynym znanym azylem. Jest to swojego rodzaju kontrola poprzez traumę, obrazy miłe dla oka, ale jednocześnie wzbudzające odrazę. Wyjęte z kontekstu, mogą obrazować wizję sztucznego umysłu, konstruującego koszmar z najlepiej znanych zasobów – memów, gifów, prostych animacji.

Zestaw kilkusekundowych filmików z MTV zawiera żółte bąble-robaki poruszające się ku czemuś w rodzaju słonecznego bóstwa czy rząd korporacyjnych ludzików, przechodzących przez zawieszone w próżni drzwi. Z jakichś powodów ostatni ludzik rozbija się o niewidzialną barierę. Wszyscy mogą przejść przez wrota prowadzące, jak się domyślamy do świata kariery, tylko nie on. Załamany uderza w szklaną przeszkodę, co skutkuje jej pęknięciem i rozsypaniem się wraz z drzwiami. Przejście zostaje zamknięte, ludzik uwięziony, a zagadka nierozwiązana. Może ta scena śmiało obrazować współczesne lęki przed przegraniem wyścigu, niedopasowaniem, zapóźnieniem, a może utknięciem w zawirusowanym świecie.

Jeśli już jesteśmy przy wirusach, to przejdźmy do bodaj najpopularniejszego wirusa umysłu polskiej sieci, czyli niesławnej Krainy Grzybów. Konsumowanie mroku, płynącego z krótkich odcinków na youtube, w których upakowano niepokojące wizje i klisze pamięci czasów PRLu i lat 90, stało się obsesją dużej części polskiego internetu, a nawet rozlało się poza nasze wirtualne granice.

O ile klipy MTV mogą pochodzić z czasów targanych sprzecznościami, to ten dziwny twór, ma swoje źródło raczej w epoce postcyfrowej apokalipsy. Łatwo sobie wyobrazić, że taśmy z Krainy Grzybów znaleziono na wysypisku nieistniejącej już cywilizacji, że to jakieś zmielone wspomnienia, tworzące kulturową pulpę, z jednej strony niestrawną i budzącą dreszcz odrazy, z drugiej niezwykle nośną i wciągającą niczym tytułowa kraina, do której łatwiej się dostać niż znaleźć z niej wyjście. Wieloznaczność i zarysowana szczątkowo fabuła wywołała wykwit teorii tłumaczących znaczenie postinternetowego fenomenu, a potem jego mutację w nowe, wykreowane przez obserwatorów opowieści. Mamy tu wątki reklam z czasów transformacji, filmików instruktażowych z czasów zimnej wojny, nostalgiczny klimat bajek z czasów PRL-u i groteskę czasów współczesnych. Kraina nie zachęca nachalnie do eksploracji, ale raczej otwiera ścieżki do inspirujących wędrówek. Towarzysząca im muzyka, która z jednej strony jest chwytliwa, a z drugiej, jak przyznał sam twórca Krainy Wiktor Stribog, ma wywoływać nudności.

Internauci sami próbowali dociec czym w istocie była Kraina Grzybów. Tajemnicza historia na kanale youtube miała miliony wyświetleń. Dla jednych było to ostrzeżenie przed wojną atomową, dla innych alegoria medialnej kontroli umysłu lub po prostu wędrówka przez świat halucynogenów lub przerażających legend miejskich. Choć tematyka kanału pochodziła sprzed internetu, jej autor posługiwał się nowoczesnymi technika promocji, skierowanymi do tych, dla których sieć jest naturalnym przedłużeniem zmysłów. Przestawił nawet zdjęcia z prawdopodobnie fikcyjnej książki niejakiej Zofii Kopytlanki „W Krainie Grzybów" i wciągał całe rzesze widzów w tworzenie teorii na forach, blogach i stronach stworzonych po to, by rozwikłać lub przeciwnie, ukryć prawdziwą istotę tajemniczej krainy.

Niewątpliwie Krainy Grzybów i wszystko, co się wokół niej działo, wykwitło na bardzo nośnej ostatnio glebie hauntologii. Termin ten na polu kulturowym odnosi się do podszytej strachem nostalgii. Źródłem lęku miałby być rewers masowo skomunikowanego i ztechnologizowanego świata. Świat duchologii ma w sobie podobną dwuznaczność co Kraina. Pozornie sielankowy klimat podszyty jest czymś niepokojącym, osobliwym, wykraczającym poza normalne postrzeganie rzeczywistości. O ile powracający jeszcze nieśmiało nurt cyberpunk był ostrzeżeniem, to hauntologia wydaje się widmem nawiedzającym krajobraz po katastrofie, która już się dokonała. Widmo, które zdawało się że odeszło w zapomnienie wraz z transformacją ustrojową, nagle wychynęło z odmętów sieci.

Autor krainy jest nie tylko twórcą sieciowego wirusa umysłu, ale i marketingowego contentu. Sprzedaje coś co wydawałoby się jest ostatnią rzeczą, którą możnaby sprzedać. Na przykład koszulki i plakaty z nikomu nieznanej krainy Berkelesz. Wydaje się, że jego twórczość celnie trafia w ambiwalencję, rozmycie, niepokój XXI wieku, wykorzystując przy tym całą moc kanałów społecznościowych.

Nieco podobna, mglista i bagnista groza bije z obrazów Aleksandry Waliszewskiej. Baśniowo makabryczny folklor spotyka socialmedia, wyziera z instagrama i facebooka, sprzedaje się na plakatach, koszulkach i skarpetkach, osiąga marketingowe zasięgi godne sieciowch influencerów. I tutaj budzące dreszcz sceny stają się swojego rodzaju marką i trafiają na rynek popularnych gustów.

Sieć pozostawiona sama sobie rozrasta się w najmniej oczekiwany sposób. Oto na przykład ze wschodu zalewa nas kultura trasz i wypływa na salonach i pokazach mody. Runet (rosyjski internet) zaraża całą sieć obrazami postradzieckiej estetyki, autoironicznym kiczem, niepozbawionym zresztą autorefleksji. Te obszary sieci to zbiornik dziwactw, potłuczony hologram niespełnionej przyszłości, popowa tłuczka, zachwycająca pulpa codzienności, zgrywa z własnej niemocy, trzy paski na dresie i młodzież z postindustrialnych miast w słowiańskim przykucu. Drugie dno stanowi jakaś nowa smuta, która tym razem nie ma posmaku kadzidlanych dymów, ale technologicznej grozy. Wydaje się, że złoża absurdu wydobywa się na Syberii na eksport razem z surowcami. Wszystko to w akompaniamencie rzewnych melodii wygrywanych na Casio w cieniu miast o złowieszczych nazwach. Niewykluczone, że właśnie w takim kierunku zmierza cywilizacja, a zakamarki sieci staną się mainstreamem. Społeczeństwa równie niestabilne, jak układ okresowy pierwiastków Mendejewa, zależne od wyeksploatowanych złóż, geopolitycznych sankcji, tąpnięć rynku, spontanicznie emanują na świat swoją własną kulturową samoróbką.

Kultura opowiadana poprzez spam, poprzez tandetne animację gifów, memy z głębin Internetu, zyskała miliony śledzacych. Jest efektem bezpośredniego związku człowieka z technologią bez podłoża tradycyjnej kultury. Nowe obszary sieci są swojego rodzaju polem eksperymentalnym określonym przez zupełnie nowe reguły gry. Główne nurty popkultury, a także reklama zaczyna adoptować i promować estetykę samoróbki, żywi się turpistycznym pojęciem piękna i chce sprzedać to, co dziwne. W neurotycznym społeczeństwie to, co dotąd znajdowało się na peryferiach, zostaje dostrzeżone i staje się chodliwym towarem. Na zasadzie recyklingu, śmieci popularnej cywilizacji zostają przerobione na designerski towar. Drugie życie przeżywają kiczowate twory stworzone tylko po to by je skonsumować – seriale z lat 90, estetyka bazaru, wczesne reklamy i wszechobecny kicz. Nie jako symbol bezmyślnego konsumpcjonizmu, ale przywłaszczone i polubione przez internautów, którzy wydobyli z nich jej drugą, niepokojącą stronę, która ich bardziej pociąga. Wiele z tych rzeczy pochodzi lub kojarzy im się z czasami młodości, która przez widmowość zacierających się wspomnień budzi lęk i fascynację. Jest to swojego rodzaju proces poszukiwania integralności z przeszłością, próba powrotu do Krainy Grzybów, odzyskania czegoś co po drodze utracono, za co być może obwiniamy technologie, która rozpuściła, poszatkowała naszą pamięć. Odciążona, zgrana na twardy dysk pamięć jest pusta. Kiedyś ludzie śnili marzenia o wielkie przyszłości, dziś wielu marzy o odzyskaniu wspaniałej przeszłości. Przerabiając przeszłość, rozbrajają teraźniejszość. Internauci szukają wielkiej epoki swojego życia wśród dawnych filmów, obrazów, dźwięków z telewizji i starają się uchwycić choćby muśnięcie tych odmiennych stanów świadomości. Echo naszej własnej, zapomnianej historii objawia się czasami jakimś zapachem, smakiem powietrza, nastrojem nakazującym zerwać się i iść w poprzek czasu, migotaniem rzeczywistości, by użyć słów Bruno Schulza, którego proza też jest próbą mediacji, nawiązania łączności z osobistymi, magicznymi epokami. Żerują na tym całe rejestry muzyki, wywołujące duchy, pola magnetyczne dźwięków, odsyłające nas wprost do zmyślonych wymiarów nostalgii. A Internauci wciąż zadają sobie pytanie – czy my tam byliśmy, czy to my to przeżywaliśy?

Marketingowcy MTV, Kraina Grzybów, czy twórcy z kręgu hauntologii choć pracują na dobrze znanych kliszach, zaskakują swoją autentycznością, celnie diagnozują współczesne nastroje i zarazem wyznaczają trendy nowej mody. Można się zastanawiać co jest pociągającego w nadruku z obrazem Waliszewskiej, męczących krajobrazach grzybowych, porażającej grotesce trash-netu, zjawiskach sieciowych takich jak Polsatwave (polska wersja popowo-onirycznej estetyki hauntologicznej)? Wszystkie te rzeczy można zlokalizować gdzieś na mapie internetowej trwogii i świadomie prowokowanej nostalgii. Niewątpliwie to właśnie te rejestry sztuki będą rywalizować o pierwszeństwo w przyszłych opracowaniach osobliwej kultury początku XXI wieku.

Michał Frąckiewicz

Maja Wolińska

Marcin Grabowski

„SMUTNA HISTORIA SAMOTNEGO NAWIGATORA"

Wyciągnąłem się na sienniku, zamknąłem oczy, wyrównałem oddech i rozpocząłem podróż po wirtualnych sub-światach mojej wyobrażonej krainy, którą nazywam Unterwelt. Panują w niej niepodzielnie królowa Miłość i król Czas, najpotężniejsi władcy jakich znam, sprawiedliwi, a jednocześnie trudno uchwytni i względni w swojej szczodrości wobec nas, maluczkich. Królowa Miłość obdarowuje czymś, co określam jako proces zmiany, który rodzi się w doświadczaniu sytuacji krytycznej, jak śmierć czy narodziny, rozstanie, powrót, zakochanie lub choroba. Wyjątkowość miłości polega na tym, że nie zmienia na gorsze, zawsze zmienia na lepsze. A król Czas tę zmianę mierzy. Co za dobrana para. I jaka hojna, dla nas, maluczkich.

W karczmie „Pod Wyrwigroszem Alfa-Centauri" siedzą trzy barczyste postacie: Galaktyczny Wojownik, Samotny Nawigator i jego młodszy brat, Samotny Ratownik.

Twarz Samotnego Nawigatora ma fakturę mapy satelitarnej, są na niej kaniony i kratery, wzgórza, przełęcze i doliny. To twarz starej, ciężko doświadczonej planety, przedziurawionej oczami koloru fioletowo-pomarańczowego, błyszczącymi i pustymi.

Galaktycznego Wojownika definiuje ruch, przy czym jest on najczęściej bezcelowy. Galaktyczny Wojownik wierci się, nerwowo macha stopą, to lewą, to prawą, to środkową i mnóstwo przy tym pali, jednego za drugim.

Przy stole siedzi jeszcze trzeci osobnik - Samotny Ratownik - młodszy brat Samotnego Nawigatora. Samotny Ratownik to monstrum ludzkie, które służy innym monstrom do wyrażania ich własnych emocji. Jego praca sprowadza się przede wszystkim do stałej obecności i słuchania, a w razie potrzeby uratowania degenerata przed jego własnymi słowami, myślami lub działaniami. Na ratunek rzucał się wielokrotnie, wściekłym kraulem płynął po tonących i najczęściej tonął razem z nimi. Jak się ma na koncie więcej utonięć, niż uratowań, to się siedzi cicho. Taki już los pechowych ratowników.

Na ekranie zawieszonym nad trzema degeneratami leci talk show pt. „Byłem z Czarną Dziurą". Formuła programu polega na tym, że zranieni degeneraci ze łzami w oczach opowiadają o swoich tragicznych przeżyciach z degeneratkami określanymi jako emocjonalne Czarne Dziury.

Samotny Nawigator, jego młodszy brat Samotny Ratownik oraz Galaktyczny Wojownik są w nastrojach nihilistycznych, żeby więc rozweselić atmosferę postanawiają powspominać. Opowiada Samotny Nawigator:

-Kiedy się poznaliśmy nie miała jeszcze czterdziestu lat, ale jedno dłuższe spojrzenie w jej oczy przekonało mnie momentalnie, że Julcia już na dobre umościła się w swojej przedwczesnej starości. Mówię wam, degeneratka przedwcześnie zajeżdżająca smrodkiem starości to zgroza. Powielokroć utwierdzała mnie w tym przekonaniu ulubiona sukienka Julci, ten ohydny pastelowy róż, do tego krótkie szpilki z odsłoniętymi piętami. Moja stara ciotka lepiej się ubierała.

-Opisz ją - wtrąca brat opowiadającego, Samotny Ratownik.

Samotny Nawigator waha się, coś bolesnego drga w jego głosie:

-Była drobna i niska. Mordkę miała małą, mysią, z wysokim czołem i brązowymi oczami osadzonymi zbyt blisko osi, na której wykwitał duży nos. Jego kształt zawsze kojarzył mi się ze zjeżdżalnią.

-A włosy? - odzywa się Galaktyczny Wojownik - Jakie miała?

-Do ramion, ciemno-szare i matowe.

-O, to ładne - mówi Galaktyczny Wojownik i jest przy tym rozmarzony, jak gdyby wyobrażał sobie Julcię ślepiami swojej zdegenerowanej wyobraźni.

-Dalej, śmiało - zachęca Samotny Ratownik.

Samotny Nawigator, opowiada więc dalej: -Dosyć szybko zorientowałem się, że Julcia należy do wielkiej rzeszy degeneratek, które idą przez życie jedynie po to, żeby odtrącić i upokorzyć, a najchętniej zdeptać jak najwięcej degeneratów. Brało się to z zaniżonej samooceny Julci. Robiłem dobrą minę do złej gry. Od czasu do czasu zakładałem na ryj maskę rozgniewaną, żeby chwilę później parsknąć śmiechem a ona wciąż mnie nękała, uporczywie nachodziła i wszczynała awantury, oczekując ode mnie deklaracji. Szybko zaprzestałem prób udawania czegokolwiek i wtedy poczułem dobrze mi znany niesmak. Nie trwał długo i zgodnie z moimi przewidywaniami szybko zmienił się w obrzydzenie wobec bezczelności, która bierze się z wielkiej i patologicznej w swoim działaniu miłości własnej; ale też mam na myśli obrzydzenie wobec premedytacji, z jaką to wszystko zrobiłem. Otóż byłem już tak samotny, że dobrowolnie położyłem się pod krótką szpilką z odsłoniętą piętą. Wzięliśmy ślub cywilny.

-Chciałbym kiedyś wziąć ślub - rozmarza się Galaktyczny Wojownik.

-Na samym jeszcze początku tej całej hecy z małżeństwem czułem rozbawienie, śmiałem się z trywialności i patosu w drobnomieszczańskim wydaniu, z nas się podśmiewałem, dwojga aktorów wciąż tej samej komedii, odgrywających żałosne melodramaty w pięciopokojowym apartamencie z trzema balkonami i salonem wielkim jak lotnisko. Myślałem, że w tym nie uczestniczę, że jestem obok. Niestety, siedziałem w tym po uszy, a kiedy w pobliżu pojawiała się Julcia, momentalnie ogarniała mnie senność… Mimo wszystko były to dla mnie dobre czasy. Kawę z ekologicznych plantacji słodziłem miodem, na śniadania jadałem puszyste omlety z truskawkową konfiturą, z malinowym musem, albo z mango. Życie było dobre i łaskawe. A jak się kochaliśmy to był ogień.

-To co się stało? – odzywa się szeptem Galaktyczny Wojownik.

-Nie miałem prawa oczekiwać, chcieć lub żądać od niej czegokolwiek - mówi Samotny Nawigator, a żałobny grymas wykrzywia mu ryj. -Czułem to w sobie bardzo wyraźnie. Jedyne do czego byłem zobowiązany, to zachowywać się jak przyzwoity degenerat, co naturalnie nigdy jej nie odpowiadało. Moja ogólna postawa nie spełniała oczekiwań Julci.

-Klasyk - odzywa się Samotny Ratownik.

-Pamiętam taką sytuację. Patrzyłem w tablecie na rozkład lotów i zastanawiałem się, który prom wybierze. Przyleciała tym najszybszym, przed dziewiątą. Brała prysznic, ja otwierałem wino, kiedy nagle zabrzęczał mój telefon. Dzwonił jej prawnik, powiedział, że spuści mnie w kiblu. I tak też się stało. Po roku i dziesięciu miesiącach małżeństwa wzięliśmy z Julcią rozwód za porozumieniem stron. Nie zostawiła mi nic, prócz wielkich długów, odeszła na zawsze a moje życie przez długie jeszcze miesiące spoczywało na dnie. Bardzo szybko wylały się ze mnie emocje, byłem od nich mokry, ciągle chodziłem przeziębiony. Bolało mnie w piersiach, coś mnie kuło pod sercem i nie mogłem zaczerpnąć głębszego oddechu. Dociskały mnie troska i tęsknota. Co teraz robi? jak wygląda? jakie ma życie i z kim je dzieli? czy aby dobrze umościła się w tym wszystkim ze swoją przedwczesną starością? Rozrywała mnie tęsknota, szarpało mną całym irracjonalne poczucie winy, że nie umiałem jej kochać, że straciłem szansę. Nie potrafiłem zaakceptować jej odejścia. Potem nadeszła zima, za oknem stały śniegi a dla mnie nastał czas refleksji, ciężkich rozliczeń i gorzko-kwaśnych podsumowań. Wymyśliłem sobie i zracjonalizowałem, że Julcia potraktowała mnie jak bezpieczną przystań, w której mogła nabrać oddechu przed następną łupieżczą wyprawą. Potrzebowała zaspokoić instynkty – opieki, bliskości, czułości, ale też dominacji i posiadania – zaspokajałem je, więc się mnie chwyciła mocniej i zaczęła domagać spełnienia pozostałych parametrów: jeszcze więcej pieniędzy, apartament w mieście, domek w lesie nad jeziorem, wypasiony kruzer, egzotyczna podróż minimum raz na rok. Zapragnęła wszystkiego. Ogarnęło ją pragnienie luksusu; chciała, żeby było pięknie, dokładnie tak, jak to sobie zaprojektowała pod własne umieranie. Nie otrzymywała żadnych gwarancji, więc zaczęła wmawiać mi lęk przed bliskością. Nie mam lęków przed bliskością, tylko przed patologicznymi postawami. Dlatego nie było między nami miłości. Julcia, mówiąc krótko, tworzyła problemy i hodowała lęki, nie potrafiła cieszyć się życiem i swoim ciałem, przy czym swoje władze umysłowe darzyła szacunkiem. Kiedy czuła lęk drapała się po głowie, szyi albo plecach. Mówiłem jej głaszcząc po podrapanej główce: -Julciu, nie drap się, połóż, wyciągnij nogę, odpocznij. Uczuć drugiego człowieka nie można traktować jak własnych. W relacjach z innymi degeneratami potrzebna jest pewna skala, nad czułością której pracuje się całe życie. Ogląda się na niej różnice między nami. Ta skala to akceptacja. - Julcia nie słuchała. Nie byliśmy gotowi na bycie w sobie nawzajem. Smuteczki w kropeczki, smuteczki w paseczki, w ciapki, desenie, z frędzlami. Z odmętów miłosnej choroby wynurzyłem się na powierzchnię życia wczesną wiosną. Rozejrzałem się dokoła i zobaczyłem wspaniałe degeneratki. Od tamtej pory jest pięknie.

-Nie kłam – wtrąca Samotny Ratownik. –Pamiętam dobrze, jeszcze w czerwcu oglądałeś jej zdjęcia.

-Potrzebowałem popatrzeć na nią bez żadnych emocji.

-Jak to bez emocji? – pyta retorycznie Galaktyczny Wojownik.

-Co tu dużo gadać. Było nam razem dobrze… - Samotny Nawigator zawiesza głos, zamyka ślepia, jest bardzo spokojny; ślepia otwierają się, nie ma już w nich melancholii. -Dziś jestem przekonany, że trzymała się mnie czekając na lepsze czasy. Ale one nie nadeszły z naszym rozstaniem, ani dla niej, ani dla mnie.

-Ja po rozstaniach zawsze traciłem na wadze. A wy? – odzywa się Galaktyczny Wojownik, ale bracia nie podchwytują pytania. Samotny Nawigator jeszcze się mazgai: -Co bym robił? Jak wyglądałyby moje dni, gdybym dalej z nią był? Czy byłyby to dni szczęśliwe?

-Opowiedz to inaczej – odzywa się Samotny Ratownik, który najwidoczniej uznał, że starszemu bratu trzeba pomóc.

-Jak inaczej?

-Przestań być taki oficjalny. Poślizgaj się.

Samotny Nawigator drapie się za uchem.

-Opowiedz jeszcze raz, Mieciu – zachęca Galaktyczny Wojownik – Ja tak bardzo lubię jak opowiadasz.

Samotny Nawigator bierze głęboki wdech i rzuca się w ślizg:

-Od samego rana ludzie nie mówią o niczym innym tylko wielkim huraganie mającym nadejść w nocy. Jak większości huraganów, tak i temu nadano imię - Julia. Co bardziej zapobiegliwi zabijają płytami wiórowymi witryny swoich sklepików i okna mieszkanek. Ja zrobiłem to zawczasu. Siedzę na werandzie i przyglądam się zaaferowanym sąsiadom. Huragany i inne niszczycielskie żywioły mam w… Wszystkie moje myśli zajmuje Julcia, jej przedwczesna starość i krótkie szpilki bez pięty. Tęsknię za nią. Spokojnym ruchem ręki sięgam po telefon i wybieram numer. - Pytającym spojrzeniem spogląda na młodszego brata, ale tamten nic nie mówi.

-Odebrała? – odzywa się zaintrygowany Galaktyczny Wojownik.

-Chcielibyście wiedzieć?

Galaktyczny Wojownik potakująco potrząsa głową, a Samotny Ratownik milczy i nawet nie patrzy na starszego brata; widocznie uznał, że brat już nie potrzebuje pomocy w wyrażaniu własnych emocji.

Samotny Nawigator powraca do swojej opowieści:

-Po moim telefonie spotkaliśmy się tydzień później w podmiejskim klubie „Sosnowy". Lecąc na to spotkanie przeszyła mnie myśl paradoksalna, że Julcia - obłożona przeze mnie tyloma klątwami, sponiewierana i opluta - jest degeneratką mojego życia, a jednocześnie kimś bardzo odległym i obcym.

-Jak wyglądała?

-Jej mordka - blada od makijażu, którego nigdy nie umiała dobrze położyć - ta jej mordeczka miała osobliwie stary i beznamiętny wyraz; włosy rozpuszczone do ramion, odsłonięte uszy; usta pomalowane na bordowo z pogrzebowym odcieniem fioletu; jasnoszary kaszmirowy płaszcz, różowa-pastelowa sukienka i szpilki z odsłoniętą piętą; przymrużone brązowe oczy. Moja stara, kochana Julcia, bez wiedzy o swojej przeszłości, w permanentnym stanie ucieczki przed własną teraźniejszością, i z wielkim pragnieniem przyszłości, którą sobie zaprojektowała pod swoje umieranie. Moja Julcia. Po serdecznym przywitaniu gorąco jej podziękowałem za wszystko, co dla mnie zrobiła, przede wszystkim za to, że nie chciała już do mnie wrócić; dzięki temu dowiedziałem się i zrozumiałem, czym jest chory, toksyczny związek. Powiedziałem Julci, że ja się jej nie dziwię, ale ona też nie powinna się dziwić, że mam o niej

Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania, jeszcze wiecej Migotania *** jeszcze wiecej ***

taką właśnie, a nie inną opinię. Przyjęła to wszystko z satysfakcją i długo opowiadała, że czuje się jak rozkwitająca róża, że jest w niebie - szczęśliwa i spełniona, napełniona po brzeg pucharu. -Och, czuję się wreszcie wolna - mówiła. Nie wierzyłem w jej wolność, dlatego że wolność nie wiedzie do samotności. „A może wróciła na terapię, albo co gorsze, na te ustawienia systemowe? Ale skoro to jej pomaga…" – przemknęło mi w myślach. A potem mimo wszystko wróciliśmy do tematu naszego związku, opowiadaliśmy sobie, co było w nim złe, chore i toksyczne. Zgodnie uznaliśmy, że to smutna historia ten nasz związek i nie ma co się katować przeszłością, ale tematu nie zmieniliśmy przez cały wieczór. Patrzyłem na Julcię i nie czułem wobec niej żadnej emocji. Znałem ją przecież na wylot, chociaż obce mi były nowe przedmioty i maski, którymi się otoczyła: czarny, lśniący kruzer, nowa garderoba, makijaż postarzający ją o dziesięć lat. Ach - wzdycha Samotny Nawigator - te wszystkie maski Julci, która wciąż próbuje się na nowo zdefiniować, aby nikt nie odkrył jaka jest naprawdę z tą całą swoją przedwczesną starością, której śmierdzący oddech czuła już na plecach.

Galaktyczny Wojownik nerwowo wierci się w krześle czekając na finał opowieści, więc Samotny Nawigator wyprzedza pytanie kolegi:

-Tak, wzięliśmy pokój.

-Fantastycznie - odpowiada Galaktyczny Wojownik nie mogąc się doczekać pikantnych szczegółów. Samotny Nawigator wie o tym dobrze i nie zamierza zawieść kolegi: -Najpierw wylizałem Julcię jak królową, a potem wziąłem jak się bierze tanią prostytutkę, brutalnie, ale z pasją. Julcia była zachwycona. Tak mi z tobą dobrze – powiedziała jak już leżeliśmy objęci i nasyceni po brzeg pucharu.

-Samotny Nawigatorze, bracie – odzywa się Samotny Ratownik – nie przypuszczałem, że w sprawie Julci pozostałeś do tego stopnia autodestrukcyjny.

-Lubiłem tę degeneratkę – odpowiada Samotny Nawigator wzruszając ramionami. -I cieszę się, że tak to się wszystko skończyło. - Unosi kielich. -Znów jestem wolny, a moje życie poświęcone jest sile i pięknu. Wypijmy za to, bracia degeneraci!

Wypijają, po czym głos zabiera Samotny Ratownik, poczuwający się do podsumowania bełkotu brata:

-Miłość nazywana cudowną chorobą, świętą aberracją, ślepą destrukcją, ekstatycznym zaburzeniem hormonalnym, iluzją, mirażem, złudzeniem czy kataklizmem… - to nie jest żadna miłość, tylko pospolite i mocno nadużywane słówko, złamany klucz, pęknięty wytrych. O wiele większe korzyści przynosi doświadczanie miłości, niż próby jej definiowania. Nie urodził się jeszcze taki, co by wiedział, czym ona tak naprawdę jest, natomiast taki, który przynajmniej raz kochał, wie, że miłość widać, słychać i czuć i z niczym innym nie można jej pomylić. Jakie kojące jest przeświadczenie, że miłość, tak jak czas, nie ma i mieć nie może jednej, niepodważalnej definicji.

Idąc do karczmy „Pod Wyrwigroszem Alfa-Centauri" wyobrażałem sobie, że werbalna komunikacja trzech degeneratów może mniej więcej tak wyglądać. Frustraci, siedzą i bełkoczą smętne kawałki, zamiast działać. Degenerat nigdy nie stanie się człowiekiem, tylko dlatego, że rozprawia o wielkich zagadnieniach. O tym właśnie myślałem idąc do karczmy „Pod Wyrwigroszem Alfa-Centauri", żeby zabić Galaktycznego Wojownika, Samotnego Nawigatora i jego brata, Samotnego Ratownika. -W obecnej sytuacji - myślałem zbliżając się do karczmy - moim wybawieniem jest następujące podejście do sprawy: to jest zło i trzeba to zniszczyć - pomyślałem otwierając drzwi i podnosząc automat w kierunku zaskoczonych degeneratów. Wypuściłem na nich cały magazynek, a drugi przeznaczyłem na ostrzelanie trupów. Pociski zrobiły z nich miazgę.

Na ekranie zawieszonym nad stołem dostrzegłem twarz płaczącego degenerata występującego w programie „Byłem z Czarną Dziurą". Koleś mówił coś, ruszał ustami i płakał. Podszedłem do ekranu i dałem głośniej. Stojąc w mięsnej brei z degeneratów usłyszałem słowa tamtego kolesia z programu „Byłem z Czarną Dziurą": -Życie z nią to była krwawa jatka, ubojnia pozytywnych emocji. To cud, że ja z tego wyszedłem żywy - i żalił się dalej, że nie ma pieniędzy, że zaczął chorować, że to wszystko przez nią. Odszedłem na bezpieczną odległość, wycelowałem automat w ekran i posłałem mu cały trzeci magazynek.

Marcin Grabowski
2018

Maja Wolińska

Paweł Markiewicz

POETYCKI MANIFEST WYCZAROWANY Z ISKIER STAROPOLSKICH

Przedmowa:

Ten utwór ma w sobie cudną i nadobną moc, przybliżyć do Twego serca, karmazynowe tudzież błękitne zwierciadła dusz błogo tęskniących muz-marzycielek, jakby fantazja uskrzydliła moją melancholię.

W pięknie muz moja poezja staje się **admiracyją** marzeń.
Marzenia mojej duszy uskrzydlają nieraz **baczliwe** wiersze.
Wiersz **chędoży** rosę magiczną, co nie każe mi czekać.
Czekać w **ćwirdzy** poezji to znaczy być spełnionym romantycznie.
Romantycznie nastrojowy czas dla wiersza to: **dębień** spełniony.
Spełniona dusza w **eksperyjencyji** pragnie błogości poety-skowronka.
Poeta-skowronek to czuły towarzysz mojej drogi bez **frasy** ku dokonaniu.
Dokonanie najczulsze poezji to wers wyryty w gagatku o północy.
O północy moja liryka jest dokonana jak **hyzop** w muzie czułości.
Czułość to **inszy** stan rosy w czasie majestatycznych zórz.
Zorze poranne i rosa w czasie **jaru** to istota moich wierszy.
Wiersze piją ambrozję z **kadłubka** od muz dla romantyzmu.
Romantyzm czasu przed gwiezdnego to wobec **latopsiki** najczulszy doskonały byt.
Byt zwany fantazją poetycką prowadzi mnie **łagodliwego** nieraz do gwiazd.
Gwiazda samotna nad Kantem rozumie male wiersz z duszy.
Dusza poety nie płacze **najpirwej,** ale marzyć potrafi na pewno.
Na pewno podążanie za marzeniami potrafi bez **obnazy** uskrzydlić.
Uskrzydlone wiersze uwielbiają skrzydła Apollina z dala od **paciepu** sępów.
Sęp płowy z wyspy Cres uchodzi **rado** za marzyciela.
Marzyciel-poeta zna drogę ku Feniksom – pijanym **sekiem** dionizyjskim.
Dionizyjski poeta zawsze pragnie **taboru** poety.
Poeta-Apollon to **ucieszny** opiekun zórz porannych i gwiazdy porannej (Venus).
Venus ma swoją **wabną** gwiazdę nad orłami poranku.
Poranek z rosą to atmosfera za **laty** motyli z blasków.
Blaski nocne niczym **źrzadło** wróżą melancholijny dzionek.
Dzionek potrafi tęczowo mą **żartką** duszę oczarować.

Słowniczek użytych wyrazów staropolskich:

admiracyja – zdumienie
baczliwy – roztropny
chędożyć – upiększać
ćwirdza – twierdza
dębień – kwiecień
eksperyjencyja – doświadczenia
frasa - utrapienie
gagatek – bursztyn czarny
hyzop – ziele balsamiczne
inszy – inny
jar – wiosna
kadłubek – naczynie z kory drzewnej
latopiska – kronikarka
łagodliwy – łaskawy
male – trochę
najpirwej – przede wszystkim
obnaza – pokalanie
paciep – mroczność
rado – często
sek – słodkie wino
tabor – obóz
ucieszny – pocieszający
wabny – powabny
za laty – po latach
źrzadło – zwierciadło
żartki - chyży

Objaśnienie końcowe:

Wiersz ów zawiera w sobie wyrazy staropolskie, zaczynające się od każdej z liter alfabetu, umieszczone po jednym w każdym zdaniu-wersie. Ostatni wyraz wersu jest zarazem początkiem wersu następującego.

Marian Lech Bednarek

Wokół ławeczki

Spokojnie ławkę wiatr gładzi
swym całunem zgrzebnym
gdy siadasz z dziewczyną i jej patrzysz w oczy.
Miasto w oddali zgrozą
próbuje przebić wasz balonik szczęścia
ale jego ostrza to tępe bankructwo.

Dziewczyna poprawia włosy a mistrz wiatr
jak malarz zakręca je w fale przypływu i odpływu
by je namalować.

Wiatr i ławeczka oto para
która tak bardzo się stara w sercu siedzenia
upodobnić się do splecionych szeptających
do siebie palców.

2

„Mróweczki" z Europy nadchodzą
po jałmużnę coraz bardziej.

Trzeba więc resztą cieszyć się
jak dziecko literkami układanymi
w wielkie wortycystyczne rzeźby
niech ptaki mają na czym siadać.

Serce siedzenia nie jest obraźliwe
wybaczcie jeśli ktoś leniuchom nie dowierza.

Serce spływające
drąży w kosmicznej kopalni
by zarobić na chleb
bo chlebowy jest nasz czas
gdy czuwa Nadchlebie.

3

Widzę
jak przyjmują mnie do roboty.
Poczynam nowe życie
bez grawerowania toalet swym gniewem .

Pierwszą wypłatę przemienię na oklaski dla deszczu
i jego kumpli niemodnisi.
To dopiero będzie, grabki z miotłą nie przepuszczą
ani jednemu toastowi. Sekator, kosiarka też jeszcze przybędą
jak ich znam. Łopata ta nudna nicyja może wreszcie zmieni
o mnie swe czarne zdanie.

Nie wiem jeszcze kto przyjdzie?
ale drewienko na ognisko musi być.

4

Gdy Bóg się dobija do mych myśli
oto chwila zastanowienia
rozległa jak łąka nad łąkami.
Kroczysz po niej czując źdźbła trawy
i to co do wesela ludzi zbliża
ten śpiew z niej wydobywający się.

A Bóg ci kładzie powidła z wiśni
na chleb i serek wiejski
i kawę z mlekiem miesza.
W serku widzę ludzką pracę w grudkach
białych jak miliony świętych komunii
się proszących o wytrwałość i błogosławieństwo
dla wchodzących w życie brzdąców.

Niech Bóg w mojej głowie nie zostanie
obrazkiem palącym wioski
bo wielka jest siła różnicy
między Nakazem a Przekazem
tak olbrzymia że przewraca światu w głowie
prostą drogę.

O sentymentio elokwentio ciszy
ja tylko spełniać chcę
swoje ludzkie obowiązki.

2018

Moje słowo

Moje słowo zatacza kręgi i długo długo kołuje
jak niechciany ptak.

Miasta i wsie i to wszystko tylko z daleka jest ponętne
i wiele obiecuje.

Pozostaje więc pustynia.
Lecz wiatry do lądowania są niesprzyjające, pachną kobietami
nieszczęśliwymi z miłości. Ich łzy wygonią mnie z pustyni,
ich spełnienie też, bo za słabą jestem jeszcze grudką.

Od zachodu błyska się mózgami-ośmiornicami.
Od wschodu huragan o „niczym", ziarna piasku oświecone
zapraszają na kurs jogi.
Rydwany mamony ścigają w wąskich przesmykach bytu
chrześcijańskie zwierzęta.
Jestem koniem tego rydwanu, reaguję na cukier i nie tratuję
kiedy mam co do gęby włożyć,
ale Większe prr... nie do mnie należy.

Od południa pada długi cień
górników wydymanych za grosze; jakby w tym kominie zebrały się
wszystkie pokrzywdzone dusze i szykowały wojnę.

Od północy pachnącej księgarnią, poeta mistyk z Czerniowiec
rozpalił ogniska do lądowania – bym się odchrzanił od starych
przyzwyczajeń,
ale to jego pustynia.

Zataczam kręgi, coraz szersze, jakbym szukał w nich domu.

2002

DZIEŃ ŚWIATOWEGO ŚMIECIA (modlitwa)

na Dzień Światowego Śmiecia
będziemy zawsze równo szli
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
nie pozbawimy się dobrej gry
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
wyjdziemy kiedyś z tej mgły
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
pożremy swe wszystkie marzenia
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
położymy się obok swej żony
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
zamienimy nasze bachory w pąki białych róż
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
wypełnimy wszystkie wory złości
i zrzucimy do zsypu by się zatkał
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
pozrywamy struny gitar i wyrzucimy na złom
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
puścimy trzody na pokoje
bo najlepiej się czujemy wśród świń
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
wydłubiemy sobie oczy i wstawimy tam świeczki
przebacz nam Panie
na Dzień Światowego Śmiecia
zaśpiewamy najlepsze piosenki o miłości
i się Ciebie wyprzemy
przebacz nam Panie

2018

Grzegorz Borowiec

Jedz

Jakie to wszystko piękne
oprawione w plastik
ozdobione etykietami potwierdzającymi
najwyższą jakość cierpienia

Normy prawne spełniono
sprzedano zapakowane
w próżni umyte ludzkie zwłoki
ludziom

odrobina paszy
krat ciemności
i krwi

nie naszej
więc w porządku

* * *

Dźwięk zamykanego życia
z lewej strony płacz
z prawej odrętwienie
z nieba leje się piekło

Czujesz dziwny rodzaj spokoju
chociaż koniec tak naprawdę
nastąpił dużo wcześniej

Przeżegnaj się
rzuć ziemią i idź

do śmierci po omacku

Szczęściarz

Budzę się w środku ciemności
i już wiem że nie prześpię normalnie
tej cholernej nocy
tego cholernego życia

serce znowu tłucze jak oszalałe
boję się bo mózg się boi
wibruje mi cały organizm
wszystko to bez wyraźnego powodu

włączam ograny schemat
tabletki
telewizyjne śmieci
i czekam do świtu

jak się trochę poszczęści
to może padnę z wycieńczenia

Po co to wszystko

Starałem się nie wychylać
patrzeć na otaczające boiska
w sposób pozytywny

Pamiętam jak liczyłem dni w tygodniu
w których wychodziłem bez szwanku
rzadko było to więcej niż zero

Zawsze mnie jakoś znaleźli
czasami sam sobie byłem winien
ale nigdy na tyle ile się działo

szkolni idioci
psychopaci
nudziarze

doprowadzili do krawędzi
wielu takich jak ja
wszyscy żyjemy łapiemy normalność
ciągle się zastanawiając

Tak będzie najlepiej

Kolejny poranek w którym
pustkę zalewam zimną kawą
można powiedzieć że jest stabilnie źle
prócz nagłych spadków energii

żółte liście latają za oknem
jak nadzieje o poprawie Twojego stanu
dłuższe niż kilka dni

coraz gorzej wstaję
nasza bańka udawanego szczęścia
staje się coraz cięższa

zapalam papierosa i myślę
że pozwolę sobie na zejście
dopiero po Tobie i że tak
będzie uczciwie

Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania jeszcze wiecej *** Migotania, jeszcze wiecej

OPOWIADANIE

Norbert Pilarz

BANAŁ

Nie napisała. Kolejny dzień i nic. Czekam, czekam i nic. Nie pisze, nie dzwoni. Nawet żadnego „Co tam?" ani nic w tym rodzaju. Po prostu nic. A ja tak czekam. Sprawdzam telefon i sprawdzam. Ciągle nic, pustka. Co chwilę myślę, że to może ona. Ale zgadnij co? To nie ona. Mój brat albo Adam, albo nawet ostatnio ty, albo ktoś jeszcze inny… I wiem, że to trochę źle zabrzmiało, ale nie chodzi mi o to, że nie chcę z tobą rozmawiać, po prostu ty – to nie ona.

Wiesz o co mi chodzi… mam nadzieję.

Tak w ogóle, to pewnie nawet nie wiesz, o kim mówię. Albo i wiesz, dlaczego miałbyś nie wiedzieć? Przecież całkiem długo byliśmy razem, więc pewnie widziałeś coś, czy… a zresztą nieważne. Co to za różnica, czy ją znasz, czy nie? Nawet jeżeli wiesz, jak wygląda, znasz jakiegoś jej znajomego, który coś ci o niej kiedyś powiedział - to nie ma to znaczenia. I tak jej nie znasz. Więc może ci o niej trochę opowiem. W sumie to i tak nie mamy nic do roboty. Jesteśmy już na takim etapie nocy, w którym czas został już zmarnowany, więc nie jest ważnym, czy jego resztkę przeznaczy się na nudniejsze, czy ciekawsze i cokolwiek wnoszące rozmowy. Dodatkowo ten moment pomiędzy głęboką nocą a świtem, kiedy dookoła jest tak kojąco cicho, co zarazem usypia i przygnębia – to najlepsza chwila, żeby pogrążyć się w sentymentach. A muszę cię ostrzec, że będzie bardzo sentymentalnie. Mogłeś się zresztą tego domyślić. Nie wiem, czy lubisz takie klimaty: pijanych gości opowiadających smutne historie siedząc w ciemności z załzawionymi oczami. Bo w sumie jak lubisz, to też będziesz w jakimś stopniu zawiedziony. Muszę też ci powiedzieć, że nie będę opowiadał historii w sensie ścisłym. Nie opowiem ci żadnych romantycznych ani zabawnych przygód. Mógłbym. Mieliśmy sporo. Mógłbym opowiadać o tym, co razem zrobiliśmy, co śmiesznego powiedziała, co ja zrobiłem głupiego. Mógłbym opisać, jak patrzyli się na nas wtedy tamci ludzie, jak zanosiliśmy się śmiechem, jak czuliśmy w takich momentach tą dziwną więź, która czasami okazuje się najlepszym, czego w życiu można doznać – ta ponadrealna sekunda poczucia obecności na świecie i zrozumienia, że miejsce, w którym się teraz znajdujemy jest wszystkim, czego chcemy, a osoba, którą mamy obok siebie jest tą jedyną, która nas rozumie oraz że świat powinien zostać na zawsze takim, jakim był w tym małym mrugnięciu. Jednak ja tego nie opowiem. Boję się, że jak to zrobię, to wszystko to nagle straci sens. Jakby opowiedziane chwile mogły zostać odfiltrowane ze wszystkiego, co w nich było wyjątkowe. Bo co ja zrobię, jak te wszystkie uśmiechy, mokre włosy przylepiające się do czoła, głupie żart, noce beznadziejnie przegadane – rozlecą mi się w rękach? I żebyś mnie lepiej zrozumiał, to powiem wprost – ja po prostu boję się, że te wszystkie wspomnienia sobie sam stworzyłem. A nie chcę ich tracić, jakby okazało się, że wszystko było inaczej albo więcej sobie dodałem, niż w rzeczywistości tam było.

Zatem opowiem tylko tak ogólnie, tak po prostu.

A więc kim ona była? Mógłbyś się teraz zapytać. I ja bym chyba nie wiedział jak odpowiedzieć. Wcześniej powiedziałem, że niezależnie od tego ile o niej wiesz, to i tak jest niewystarczająco. Jednak ja mam takie samo prawo jak ty, aby zadać to pytanie. Co ja o niej wiem?

Może powinienem opowiedzieć ci o jej wadach? Och, można by gadać w nieskończoność! Wad miała bardzo dużo i bardzo widocznych. Denerwowała mnie niesamowicie. Jeżeli chciałoby się ją przed kimś obgadać, dałoby się wyładować całą swoją złość nie mając wrażenie, że właśnie naciąga się rzeczywistość, czy hiperbolizuje jej zachowania.

Opowiedziałbym ci o jej ciągłym obrażaniu się o najbardziej błahe czy irracjonalne rzeczy; o tym, jak robiła bałagan, aby później nie dać mi tego posprzątać (bo jak wiesz - jestem osobą bardzo na tym punkcie wyczuloną, czego wiedza nie jest potrzebna w znajomości tej historii, ale w trakcie sentymentalizowania chce się czasami podkreślić czy też udowodnić swoją własną wartość) zapewniając o własnej inicjatywie w tej sprawie ostatecznie zawsze przesuwanej na termin późniejszy, co myślałem zawsze, że jest cechą występującą głównie u mężczyzn. Powiedziałbym ci nawet o tym, jak mnie kopała na powitanie. Pewnie zastanawiasz się, o co chodzi? Oczywiście chodzi o przyjazne kopanie. Ale wciąż o kopanie. Gdy do mnie podchodziła, kiedy na nią czekałem, czy gdy wracała do domu, kiedy ja już w nim byłem – zawsze podchodziła do mnie i szturchała mnie czubkiem buta w piszczel. Raz mocniej, raz słabiej. Zawsze myślała, że to zabawne i urocze. Przyznam – niekiedy miała rację. Jednak przez większość czasu nie. Udawałem, że nie zwracam na to uwagi, czy też uważam to za coś równie śmiesznego, jakim było to dla niej. W środku irytowało mnie to do granic. Nienawidziłem tego.

Opowiedziałbym ci jeszcze wiele jej natręctw, ale jaki w tym jest sens? Żeby ją oczernić? Pokazać, jaka była głupia i niezrównoważona, co ostatecznie spowodowało, że mnie zostawiła? Nie chcę tego. Nie chcę mówić o jej słabościach (co już w sumie zrobiłem, ale to kolejna chęć cichego i dokonywanego wbrew własnej moralności dowartościowania własnego ego).

Chcę za to powiedzieć, jak ona wpłynęła na mnie.

Otóż piłem zbyt dużo, zbyt często. Wiem – bardzo typowe. Ale cóż poradzić? To chyba jest jakaś nieodłączna część człowieka; coś zapisanego w naszych genach. Kiedy coś idzie nie tak, kiedy wszystko się rozpada - pragniemy jeszcze większego, acz kontrolowanego i do momentu przyjemnego rozkładu.

U mnie zaczęło się od czasu.

Zawsze się mówi, że z czasem wszystko się rozmywa. Przestaje być ważne. Taką też miałem nadzieję. Nic innego nie ma szans pomóc, więc jedyną nadzieją jest zgubienie tego całego balastu razem z pozostawianymi za sobą dniami. Jednak, co jeżeli czas nie chce pomóc? Jeżeli jest coraz gorzej? Co wtedy zostało? Nie wiedziałem, co zostało, więc zacząłem pić.

Był to jeden z najbardziej rozczarowujących momentów w moim życiu.

Naprawdę - przed tym wszystkim myślałem, że alkohol przyniesie ze sobą jakiekolwiek ukojenie. Nawet chwilowe. Niestety nie dał rady. Upijałem się, żeby nie myśleć, jednak czym bardziej byłem pijany, tym więcej o niej myślałem, a gdy o niej myślałem, to dalej piłem, a wtedy ona wręcz już dusiła wszystko dookoła i była wszędzie; w każdej aluzji, przedmiocie, myśli, sekundzie, no to piłem znowu, bo chciałem wyrzucić, ale piłem myśląc, żeby się jej pozbyć, zatem ona była wciąż i to coraz bardziej obecna w swojej wszechobecności, no to ja znowu i dalej, dalej, znowu, kolejny raz, dalej, dalej, dalej, aż do usranej śmierci.

W takich pijackich stanach traciłem niekiedy kontrolę. Chciałem do niej iść. Chciałem robić to, z czego śmieją się w tak wielu filmach. Coś, co jest takim banałem i kalką, że ja pierdolę, a ja mimo to chciałem. Byłem gotowy iść pod jej drzwi, zarzygać wycieraczkę, krzyczeć, że ją kocham, błagać o powrót. Wydawało mi się to dobrym pomysłem. Może się zlituje? Może przemyśli? Może zobaczy, że… co zobaczy? Że jestem jeszcze bardziej żałosny niż wiedziała, że jestem? W końcu zyskiwałem takiego właśnie (lub przynajmniej podobnego) olśnienia ostatecznie rezygnując z wycieczki.

Nigdy do niej nie poszedłem w takim stanie.

Po rozstaniu widziałem się z nią tylko raz. Jakieś dwa tygodnie po fakcie. Byłem wtedy całkowicie trzeźwy. Zapukałem do drzwi, poczekałem chwilę, otworzyła. „To ty" – powiedziała. I mówię ci! Co to było za „to ty"! Najgorsze „to ty", jakie można usłyszeć. Stwierdziła to (i tak – stwierdziła. Nie była nawet zdziwiona, nie była życzliwie zaskoczona. Tylko stwierdziła) w tym swoim okropnym tonie, który przybierała, kiedy była zirytowana, czy jej rozmówca był ostatnią osobą jaką chciała widzieć. Nawet nie ukrywała swojej niechęci i zażenowania całą sytuacją. To było jakby westchnienie – opływające obojętnością, podniesione do rangi groźby śmiertelnej przez lekko podniesione brwi oraz wzrok wbity gdzieś ponad mnie, jakbym nie był nawet godny spojrzenia. Kiedy słyszałem ten głos, jedyną dobrą drogą była ucieczka lub skok z okna. Ja mimo wszystko zacząłem z nią rozmawiać. Nie będę ci opowiadał nic więcej, w końcu nie chcę wnikać w szczegóły. A zresztą – nie pamiętam. Wiem jedynie, że trwało to dość krótko, ale właściwie nie musiała. Stresowałem się tak, że każda minuta mogła być sekundą i tak dalej. W każdym razie – to była ostatnia nasza rozmowa.

(cisza)

Nadal chciałbym z nią porozmawiać. Jedynie porozmawiać. Nawet raz. Godzinkę. Tak po prostu. Brakuje mi jej głosu. Jej śmiechu. Jej bezgłośnego zanoszenia się śmiechem. Czuję, że jest mi to potrzebne. Kolejny raz gadać z nią o kompletnych głupotach i tracić wszystko, co jest. Ale nie próbuję już nawet tego spełnić. Nawet jeżeliby się zgodziła. Myślę, że byłoby mi wtedy gorzej. Czułbym, że jestem w sytuacji i miejscu, które kiedyś dawało mi szczęście, a teraz nie ma nic – wkoło jest pusto. Nie ma nic obecnie, nie ma nadziei na przyszłość. Jakbym próbował złapać dym… czy inne gówno (wybacz, nie jestem dobry w metaforach).

(cisza)

Od tamtej rozmowy powoli zacząłem ją zapominać. Teraz pamiętam już niewiele. Nie mogę nawet przypomnieć sobie jej twarzy. Ukazuje mi się jakby widziana z daleka. Bez wyraźnych rysów, cech charakterystycznych, drobnych szczegółów, które niegdyś były dla mnie oczywistością, a teraz przypominam je sobie, dopiero kiedy zobaczę jakieś jej zdjęcie. Wtedy ożywa: staje się tak wyraźna, jak gdyby znów siedziała obok mnie, a wkoło zaczynają wyrastać nasze wspólne wspomnienia. I nie są to jakieś wyjątkowe wydarzenia. Zwykle jakieś rozmowy, spacery, tym podobne. Zwyczajne życie ludzi, osadzone w odległym czasie płynącym gdzieś w nieistniejącym już miejscu. A ja nawet nie wiem, czy dobrze to wszystko zapamiętałem. Wściekam się na to, jak bardzo umysł jest słaby nie pozwalając zachować tak cennej rzeczy, zniekształcając ją i czyniąc bezznaczeniową, co wywołuje u mnie głęboko gryzącą irytację potęgowaną przez to, że tak naprawdę jestem bezradny i muszę poddać się, oddając cały zasób tych chwil, które z upływem kolejnych tygodni zaczynają sypać się wypadając mi z rąk, a ja widząc ten koniec podejmuję się działania niemożliwego, czyli z tego popiołu próbuję ułożyć to, co było pierwotnie, ale jedynym efektem jest porwana niewiadoma mogąca mi jedynie zaszkodzić.

(krótka cisza)

Zatem jak - kiedy przyglądam się temu, co zapamiętałem - mam ostatecznie nie zwątpić w jej istnienia? Ona już dawno stała się w mojej głowie czymś na tyle moim i podległym mojemu zapamiętywaniu albo uprzedzeniom, urazom – że nie można nazwać jej prawdziwą osobą. Rozpadała się po kawałku, po jednej myśli, po jednej godzinie. Przepadała fizycznie, przepadało to, kim była, przepadało to, co tak naprawdę dla mnie znaczyła. Zostało we mnie to, co sam jej nadałem, to co chciałem, żeby zostało, oraz ewentualnie te same banały, które zostają każdemu z nas, gdy ktoś nas opuszcza. Pomieszanie uwielbienia z nienawiścią. Sakralizacji z desakralizacją. Wzniesienia z pochowaniem.

Teraz ją krzywdzę. Ciągle próbuję powiedzieć, że była „jakaś". Chcę znaleźć to, co wtedy mi umknęło. A zauważyłeś, co ja o niej powiedziałem? Nic dobrego. Przynajmniej niewiele. Jakby była gorsza niż w rzeczywistości. Na dodatek przeczę przez to wszystkiemu, co powiedziałem, gdy ten wywód zacząłem. To jest silniejsze ode mnie. Muszę wydzierać jej wady. Powtarzać wszystkim te same historie, aby ją umniejszyć mszcząc się na niej w choć najmniejszy sposób. I w takich okolicznościach opowiadam o tym, jak irytowało mnie, gdy mówiła do siebie w trzeciej osobie (chociaż robiła to tylko w sytuacjach, w których jak gdyby chciała sparodiować samą siebie – najczęściej gdy jej się coś nie udało, czy popełniła jakiś błąd. Myślę, że było to coś na wzór tego kopania, o którym opowiadałem ci wcześniej. Zwyczajnie uważała to za coś uroczego, a nie wyrażała tym samouwielbienie.

Migotania, jeszcze wiecej *** Migotania, jeszcze wiecej Migotania *** jeszcze wiecej ***

Chociaż można zastanowić się, z pewną uszczypliwością, czy jedno nie wiąże się z drugim) lub o czymś, o czym wspominałem na początku.

I czy ja mogę powiedzieć, że ją znałem? Znałem chociaż przez ułamek sekundy, odczytałam dobrze chociaż jedno jej spojrzenie? Ja ją tylko sobie stworzyłem, tak jak stwarzamy sobie miliony osób. Mógłbym pokochać tysiące, tak jak szalenie pokochałem ją. Nie ma znaczenia. Każdą z wcześniejszych kobiet mogłem tak kochać, każda mogła tak samo kochać mnie. Wypadło na nią. Czysty przypadek. Losowanie. Następuje zwolnienie blokady i proszę. Jest. Miłość. Zakochanie, które trwa do dziś. A co to właściwie trwa? Co ja właściwie teraz czuję? Na pewno nie miłość w powszechnym rozumieniu. Ja czuję wściekłość, tęsknotę, rozdwojenie, zagubienie. A czym jest ta tęsknota za nią? To czysty mój egoizm. To pragnienie poczucia bezpieczeństwa i strach przed samotności łączą się w potrzebę nierozłączności z drugim, a to uczucie zwane powszechnie miłością, to najczęściej chronienie jedynie swojego interesu. I czy ta moja „miłość" jest warta cokolwiek? Uczucie, którym mógłbym darzyć zarówno wszystkich, jak i nikogo. Bo to wszystko tylko przypadek.

Ale mimo to – czuję, że to, co z nią przeżyłem, było warte tego całego pierdolnika i rozchwiania, które później nastąpiła. Bo jednego jestem pewien. Tak wielu rzeczy nie wiem, w tak wiele wątpię, tak dużo mi się miesza. Jedno wiem – przeżyłem z nią najlepsze chwile mojego życia. To mogę powiedzieć, bo chwile nie są tylko tym, czym były w trakcie ich trwanie, ale też tym, w jaki sposób je zapamiętujemy. Czasami i tak mam wątpliwości. Zastanawiam się, czy było warto te chwile przeżyć, a później wszystko utracić, czy lepiej byłoby nigdy nic nie poczuć. Ale to są kompletne głupoty. Pretensjonalne rozterki jakiegoś załzawionego dzieciaka w szaliczku szarganym przez wiatr. Takie chwile są zawsze warte zapamiętania. Muszą z nami zostać. Definiują nas. Pozwalają nam dorosnąć. Są nami.

A wiesz, co jest teraz najgorsze? Ja wiem, że to wszystko, co teraz powiedziałem to tylko banały. Nie powiedziałem nic wartościowego. Co ja jednak miałem powiedzieć? Czy my na ogół nie jesteśmy banalni? Ciągle szukamy w nas samych czegoś oryginalnego, wyjątkowego, niepowtarzalnego. A może nie ma w życiu nic ponad to, co zostało już powiedziane i wyśmiane? Ja się zawsze bałem naśladowania, powtarzania. Na koniec i tak to robię. Jestem taki jak inny, taki jakim być powinienem. Więc czy jeżeli czuję teraz uczucia przesiąknięte pretensją i schematami, to czy odbiera to im jakąkolwiek wartość? Nie mogę czuć ich naprawdę? Zawsze wstydziłem się tych wielkich słów, uciekałem od „cierpienia", od „miłości", ale teraz powoli myślę, że nie ma z czym walczyć. Może bardziej pogodziłem się ze sobą. Może stałem się bardziej płytki. Teraz czuję się trochę jak w pułapce. Z jednej strony wiem, że te uczucia są szczera, a z drugiej myślę o nich, jako o pozie, którą nieświadomie przybrałem, aby egzaltować swoje cierpienie, oczekując od innych wsparcia oraz zrozumienia.

(cisza)

A ty? Jak myślisz? Czy to wszystko banały?

(cisza)

Ej, jak myślisz?

-Ekhm, ekhm... ale... ale co?

-Banały. Czy banały?

-Ale co?

-Jak to co?...

-No co banał?

-To, co ci mówiłem...

-Ale o czym teraz mówiłeś?...

(cisza)

-Bo wiesz... ja... tak jakby... spałem teraz... chyba...

-Jak to?... Jak to, kurwa, spałeś?! Od kiedy?!

-Pewnie od jakiegoś czasu...

-Co ostatnie słyszałeś?

-To, jak mówiłeś o kaczkach.

-Jakich, kurwa, kaczkach?

-No nie wściekaj się, przecież mówiłem, żeby światło włączyć, że nic nie widać...

-Ja się pytam – jakie kaczki?

-No o tych kaczkach, które miały wpływ na twoje życie, czy coś...

(krótka cisza)

-Ach, te kaczki... I ty już nic więcej?...

(krótka cisza)

-Ale możesz opowiedzieć jeszcze raz, skoro takie ważne. Ja posłucham... i tak już nic do roboty...

-Nie, nie trzeba, nie muszę...

-Ale naprawdę – jak chcesz, to możesz.

-Nie, nie, to wszystko nieważne. Jak te kaczki nieważne.

Norbert Pilarz

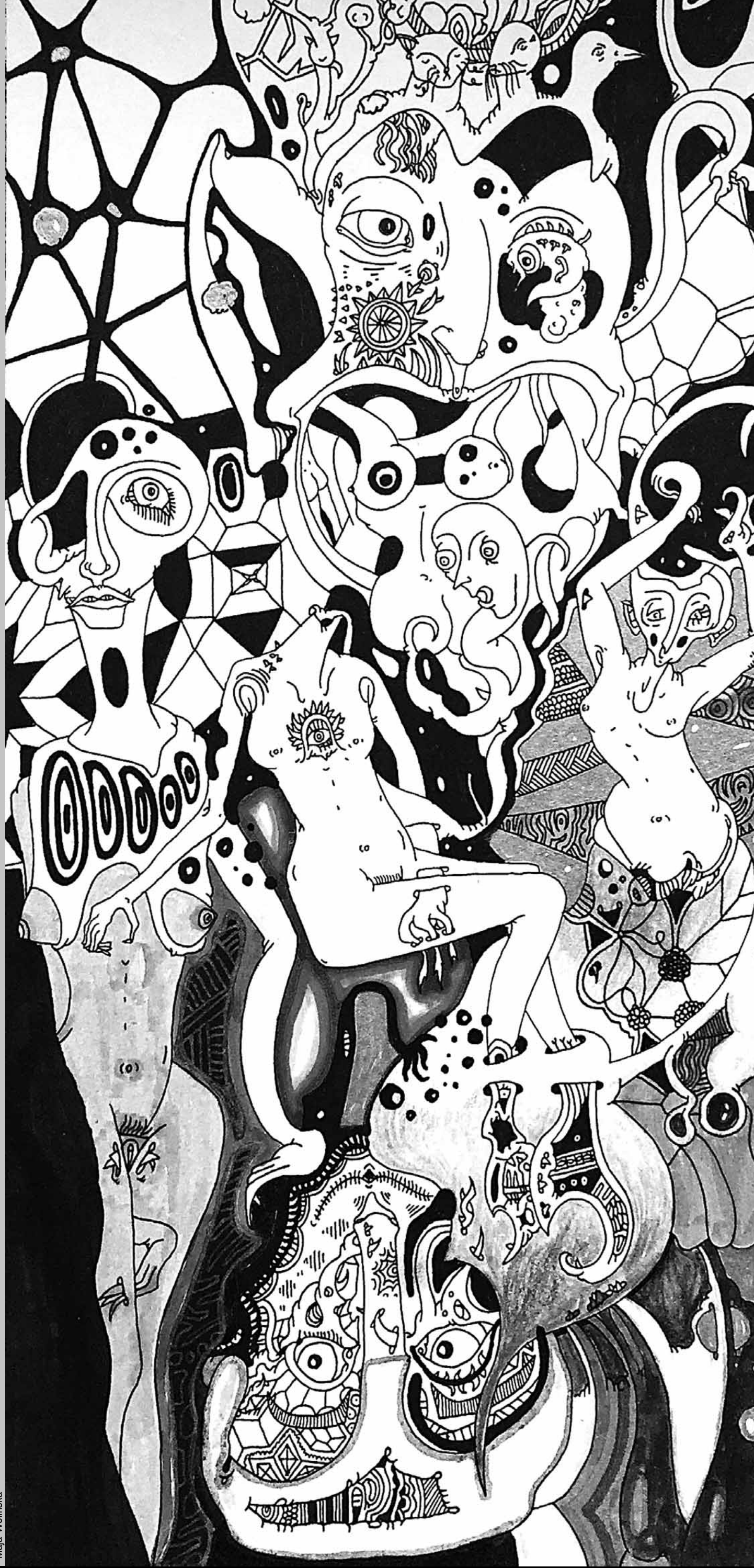

Maja Wolińska

Zofia Zarębianka

***

Wakacje sprzed pięćdziesięciu lat
w Zawoi
na żółknącej trawie
leży
blask słońca
a ścieżką pod lasem
o zachodzie
jak wtedy
przechodzi ruda
krowa
mała dziewczynka po raz pierwszy
przeżywa Weltschmerz
i nie chce się dziś bawić
lalkami

Wspomnienia nadmorskie dedykowane Mamie

Pamięci mojej Matki, aktorki Teatru Wybrzeże w sezonie 1946/1947,
absolwentki studia teatralnego Iwo Galla

Jakże ci Mamo
Opowiedzieć zieloną wodę w Zatoce
Przypływają twoje wspomnienia
Na skwerze przed Riwierą
To tam na trzecim piętrze
była ulica Złoczyńców
Artystyczny kołchoz
Pierwszych powojennych lat
Morze jak dawniej jest
Szare albo zielone
I tak upływa w wieczność

Tablica Iwo Galla
Miał być moim chrzestnym
Ale umarł
Kulawą panią Halinę
Jego żonę
Pamiętam
Wnosi herbatę na chyboczącej się tacy
I mówi
Całkiem ładna
Jest ta twoja córeczka

Z Orłowa

Dla Joli Laudańskiej-Łukowicz

Byłam tutaj zanim się narodziłam
Niewielkie uliczki opodal nadmorskiego brzegu
Stare wille w zaniedbanych ogrodach
Już wtedy z tego molo patrzyłam w daleki
Horyzont
Było późne lato
Była wczesna jesień
W białych koralach i sukience w kropki
Stoisz w oknie
opierając się o framugę
I czekasz na mnie
uśmiechasz się łagodnie
Z czarno-białej fotografii
Którą pomału ściera czas

***

Pamięci Dziadka zamordowanego w Oświęcimiu

Nosił takie optymistyczne
Nazwisko
Mój dziadek Jakub
Jutro będzie lepiej
Nadzieja
Na lepsze jutro
Spełnił a się
W dymie
Oświęcimskiego komina

***

Dla Taty

Dziewięćdziesięcioletni
Chłopczyk
Obserwuje na łące
Motyle
Z siatką na kiju
Przerzuconą przez
Ramię
W krótkich spodenkach
Biegnie
Na spotkanie
Nad nim przelatuje
Ćma

***

Na molo w Orłowie
Tańczą panny młode
Jak na moście
W mieście Avignon
Na molo w Orłowie
Zapada zmierzch
I gorzka kawa
podpowiada sen
Na molo w Orłowie
Kończy się dzień
W wodzie topi się
Ślad

ALINA BIERNACKA

Dla Kaf Poetycki.

Zadowolenie

Zadowolenie zjawia się jak kot,
który przyszedł ocierać się o twoje ramię.
Trzeba było dokonać wielu rzeczy,
żeby przywabić zadowolenie:
pokonać Hydrę, przeciąć węzeł gordyjski,
czy powrócić z Hadesu.
Zadowolenie jest niecierpliwe –
ledwie się pojawi, już by się gdzieś wybierało.
Trzeba cudów, żeby je skłonić
do pozostania w wygodnym fotelu
nad filiżanką kawy.
Niezadowolenie ciągnie za sobą cały kufer
twoich codziennych przewin,
ma zadyszkę, wypomina każdą złą myśl,
powtarza w kółko rozmowy,
o których chciałbyś zapomnieć,
Streszcza twoje życie i daje do zrozumienia,
że jest żałosne.
Niezadowolenie, które żywi się twoimi błędami,
ma rozległe włości
i na nich buduje kiczowate rezydencje,
w których przyjmuje twoich krytyków.
Wydaje też pisma szkalujące twoje dobre imię.
Zadowolenie i niezadowolenie nie spotykają się nigdy,
zawsze mijają się idąc sąsiednimi ulicami.
Za nimi frunie, rozkładając szeroko skrzydła
poczucie absurdu.

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania

MAJA WOLIŃSKA

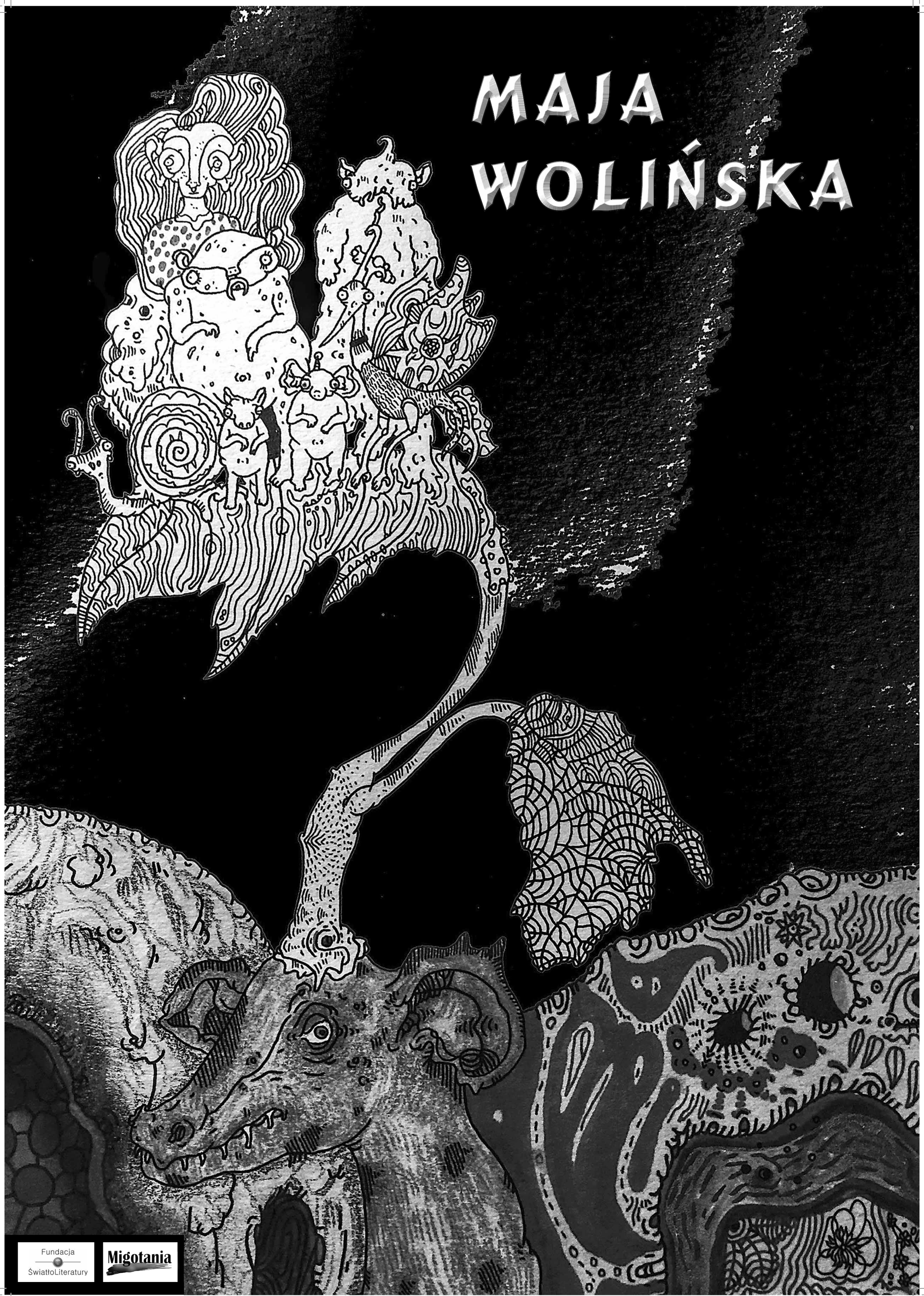

Fundacja ŚwiatłoLiteratury
Migotania